



**UUK**

JONATHAN CARROLL

DREWNIANE MORZE

Przekład: Radosław Kot  
DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2001  
Tytuł oryginału *The Wooden Sea*  
Wydanie I (dodruk)



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI . . . . .	2
OLD VERTUE . . . . .	3
MAŁPA UTRAPIONA . . . . .	21
RÓŻ CHOWANIE . . . . .	38
CIEŃ STRYCZKA . . . . .	53
DZIURY W DESZCZU . . . . .	69
DREWNIANE MORZE . . . . .	95
W DOMU NA KRZEŚLE ELEKTRYCZNYM . . . . .	124
SZCZURZY ZIEMNIAK . . . . .	136
LWY NA ŚNIADANIE . . . . .	155
PILOT . . . . .	182
EPILOG . . . . .	200

## OLD VERTUE

Nigdy nie kupuj złotych ubrań ani taniej skóry, to moje credo, nie jedyne zresztą. Wiecie, co lubię najbardziej? Jak ludzie robią sobie kuku, jak się zabijają. Żebyście mnie źle nie zrozumieli, nie myślę o tych potłuczeńcach, co skaczą z okien albo pakują głowy do foliowych worków. „Ultimate Fighting Championship” też mnie nie bierze, to zwykła kotłowanina ostrzyżonych do skóry furiatów. Mówię o takim typku, co płacze się po ulicy z mordą szarą jak mokry ołów i jeszcze camela zapala, a gdy się zaciąga, to zaraz kaszel go bierze, jakby duszę miał wypluć. Sportowy tryb życia, psiakrew! Niech żyje nikotyna, głupi upór i odporność na wiedzę!

— Jeszcze jedną kolejkę, Jimmy! — zawodzi przy końcu baru Król Cholesterol. Ma czerwony nos i ciśnienie krwi tak wysokie, że jak raz mogłoby go odrzucić na Plutona. Z całym drzewem genealogicznym na dokładkę. Masa cielska plus czyste zadowolenie. Ten atak serca, co go kiedyś powali, jak uderzy, to w parę sekund będzie po wszystkim. A na razie zimne piwo w grubych kuflach i wonny stek z polędwicy z kością. Tak po kres dni; dobry układ. To rozumiem.

Moja żona Magda mówi, że tłumaczenie mi czegokolwiek to jak grochem o ścianę. Naprawdę chwytam wszystko w lot, tyle że zwykle nie mam ochoty się z nią zgadzać. Old Vertue to idealny przykład. Pewnego dnia wchodzi na mój posterunek jakiś gość i prowadzi psa, jakiego jeszcze nigdy nie widzieliście. Niby mieszaniec, ale w zasadzie pitbul pokryty brunatnymi i czarnymi cętkami, taki marmurek. I tyle normalnego, bo pies ma trzy i pół łapy, brakuje mu oka i oddycha jakoś dziwnie. Trochę jakby bokiem pyska, chociaż na pewno nie wiadomo. Gdy wypuszcza powietrze, to brzmi, jak gdyby *Michelle* gwizdał sobie pod nosem. Przez szczyt łba biegną mu dwie głębokie szramy i na dodatek jest tak zapuszczony, że wszyscy tylko gapimy się na niego, jakby właśnie concordem z piekła przyleciał.

Chociaż przekotłowany sakramencko, nosił porządną, czerwoną obrozę ze skóry. Na niej wisiało srebrne serduszko z wyrytym imieniem „Old Vertue”. Tak to się pisało. I wszystko; ani nazwiska właściciela, ani adresu czy numeru telefonu. Tylko Old Vertue. I był jeszcze zmęczony. Padł na podłogę w środku całego zbiegowiska i zachrapał. Ten, kto go przyprowadził, powiedział, że pies spał na

parkingu Grand Union. Nie wiedział, co z nim począć, ale był pewien, że jak ten pies będzie dalej tam spał, to ktoś go w końcu przejedzie, no to przyprowadził go do nas.

Wszyscy pomyśleli, że powinniśmy zawieźć psa do najbliższego schroniska dla zwierząt i zapomnieć o sprawie. Wszyscy oprócz mnie, ja zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia. Zrobiłem mu legowisko w moim gabinecie, kupiłem mu psiego żarcia i parę pomarańczowych misek. Spał niemal bez przerwy przez dwa dni. Gdy się budził, leżał na posłaniu i patrzył na mnie przymglonymi ślepiami. A raczej jednym ślepiem. Gdy ktoś z komisariatu pytał mnie, czemu go trzymam, mówiłem, że ten pies kiedyś już tu mieszkał i teraz tylko wrócił. Ponieważ to ja jestem szefem policji, nikt nie protestował.

Oprócz mojej żony. Magda uważa, że zwierzęta nadają się jedynie do garnka, i ledwo znosi obecność tego świetnego kotucha, który mieszka ze mną od lat. Gdy usłyszała, że trzymam na posterunku trzynogiego i jednookiego marmurka, przyszła, żeby go sobie obejrzeć. Długo mu się przyglądała, wysuwając dolną wargę, co zawsze było złym znakiem.

— Im większy przygłup, tym bardziej ci się podoba, co, Fran ?

— Ten pies to weteran, kochanie. Stary żołnierz.

— W Korei Północnej głodują dzieci, a ty faszerujesz go żarciem.

— Przyślij je tutaj, podjedzą sobie z jego puszeki Alpo.

— Jesteś jeszcze głupszy niż on.

Stojąca obok Pauline, córka Magdy, zaczęła się śmiać. Spojrzeliśmy na nią zdumieni, bo Pauline nie śmieje się z niczego. Całkiem braknie jej poczucia humoru. Gdy już się śmieje, to zwykle z osobliwych powodów, a nigdy w porę. To dziwna dziewczyna, która bardzo się stara, żeby pozostać niewidzialną. W myślach przezywam ją Pleksi.

— Co w tym śmiesznego?

— Frannie: jak wszyscy idą w prawo, to on zawsze skręca w lewo. Co się dzieje z tym psem? Co on robi?

Obróciłem się akurat w porę, by zobaczyć, jak Old Vertue umiera.

Zdołał wstać, chociaż wszystkie trzy łapy trzęsły mu się paskudnie. Łeb trzymał nisko, kołysał nim na boki, jakby chciał czemuś zaprzeczyć.

Pauline, jak to ona, zaczęła chichotać.

Vertue uniósł łeb i spojrzał na nas. Na mnie. Popatrzył dokładnie na mnie i mrugnął. Przysięgam na Boga. Stary pies mrugnął do mnie, jakbyśmy mieli wspólny sekret. Potem przewrócił się i umarł. Trzy łapy drgały jeszcze przez chwilę, aż podkulił je powoli i znieruchomiał. Bez dwóch zdań widać było, że opuścił ten padół.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa; patrzyliśmy tylko na biedaka. W końcu Magda podeszła do niego, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Jezu, może nie powinnam tak źle o nim mówić.

Martwy pies pierdnął. Długo i głośno, jakby ostatni oddech wyszedł nie tym końcem. Magda odsunęła się szybko i zgromiła mnie spojrzeniem.

Pauline założyła ręce na piersi.

— Ale to dziwne! Jeszcze dwie sekundy temu był żywy, a teraz już nie jest. Nigdy jeszcze nie widziałam śmierci.

To jeden z przywilejów młodości. Gdy masz siedemnaście lat, śmierć wydaje ci się gwiazdą odległą o tyle lat świetlnych, że nawet przez potężny teleskop ledwie ją widać. Potem starzejesz się i odkrywasz, że to nie gwiazda, tylko wielki jak nieszczęście asteroid, który leci prosto na ciebie i jeszcze trochę, a przyładuje ci w ciemię.

— No i co teraz, doktorze Dolittle?

— Pewnie go pochowam.

— Ale nie na naszym podwórku, jeśli łaska.

— Myślałem, żeby raczej pod twoją poduszką...

Spojrzeliliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się w tym samym momencie. Posłała całusa w powietrze pomiędzy nami.

— Chodź, Pauline. Mamy sporo do zrobienia.

Wyszła, ale Pauline jeszcze się wahała. Idąc powoli do drzwi, wciąż patrzyła na psa jak zahipnotyzowana. Ostatecznie zatrzymała się ze wzrokiem wbitym w truchło. Zza drzwi doleciał potężny wybuch śmiechu. Bez wątplenia Magda przekazywała im smutną wiadomość.

— Idź z matką, Pauline. Muszę go zawinąć i wynieść.

— Gdzie zamierzasz go pochować?

— Gdzieś nad rzeką. Żeby miał ładny widok.

— Czy to legalne?

— Jakby co, to sam się zaaresztuję.

To wytrąciło ją z transu. Wyszła.

Staruszek nawet po śmierci wyglądał na mocno zmęczonego. Jakikolwiek życie było mu dane, zdołał je zakończyć na równych łapach, nieważne, że tylko trzech. Wyczerpał żywot do końca, nic mu nie zostało. Starczyło na niego spojrzeć, żeby się o tym przekonać. Łeb wtulił w pierś; wyraźnie widać było te paskudne różowe blizny na szczycie. Gdzie on się ich, cholera, nabawił?

Pochyliłem się i otuliłem psa połami taniego koca, potem powoli go weń zawinałem. Ciało było ciężkie i bezwładne. Jedyna zdrowa przednia łapa wysunęła się spod materii. Wsuwając ją z powrotem, uściskałem przelotnie opuszki.

— Jestem Frannie. Dziś będę twoim konduktem.

Uniosłem tobół i ruszyłem do drzwi. Otworzyły się nagle i stanął w nich Wielki Bill Pegg, policjant z patrolu. Ze wszystkich sił maskował uśmiech.

— Pomóc ci, szefie?

— Nie, już go zapakowałem. Otwórz tylko szerzej drzwi. Za progiem zebrał się cały tłumek. Klaskali, gdy ich mijałem.

- Bardzo śmieszne.
- Na twoim miejscu nie zakładałbym sklepu ze zwierzakami, Fran.
- Co tam, prosiaczki niesiesz w kocu?
- Fajny gość, zapraszasz go, a on odwala kitę.
- Po prostu zazdrościcie, że wolał zejść u mnie, a nie u was — rzuciłem i poszedłem dalej. Ich żarty i śmiechy ściagały mnie aż za próg.
- Old Vertue nie był lekki, dotaszczenie go do samochodu nie było najłatwiejszym zadaniem tamtego dnia. Położyłem go na pokrywie bagażnika i wyłowiłem kluczyki z kieszeni. Wsunąłem jeden do zamka i przekręciłem, ale stuknęło tylko i nic się nie stało. Ciało zbyt obciążało pokrywę. Wziąłem je na ramię i raz jeszcze przekręciłem kluczyk. Pokrywa odskoczyła. Zanim jednak zrobiłem cokolwiek więcej, w lewym uchu zadudnił mi donośny głos kogoś, kto stał ledwie stopę ode mnie.
- Czemu chowasz tego psa do bagażnika, Frannie?
- Bo nie żyje, Johnny. Zamierzam go pogrzebać.
- Johnny Petangles, nasz miasteczkowy idiota, stanął na palcach i zerknął mi przez ramię.
- Mogę pojechać z tobą i popatrzeć?
- Nie, John. — Próbowałem dopchnąć Vertue do ścianki, żeby nie latał po całym bagażniku podczas jazdy, ale indywiduum stojące obok dość mi przeszkadzało. — Rusz się, John! Nie masz nic do roboty?
- Nie. Gdzie zamierzasz go pogrzebać, Frannie? Na cmentarzu?
- Nie, tam się chowa tylko ludzi. Jeszcze nie wiem. Może byś się jednak odsunął, żebym mógł go porządnie ułożyć?
- Czemu to ważne, jak go ułożysz, skoro on nie żyje?
- Zastygłem i zacisnąłem powieki.
- Nie masz ochoty na hamburgera, Johnny?
- Miło byłoby zjeść hamburgera.
- Świetnie. — Wyciągnąłem z kieszeni pięć dolarów i wcisnąłem mu je w rękę. — Zjedz hamburgera, a potem idź do mojego domu i pomóż Magdzie wnieść drwa, dobrze?
- Okay. — Stał z tymi pięcioma dolarami w garści i ani myślał odchodzić. — Jeśli pozwolisz mi jechać ze sobą, będę bardzo cicho.
- Mam cię zastrzelić, Johnny?
- Zawsze tak mówisz. — Spojrzał na zegarek z Arnoldem Schwarzeneggerem, który dostał ode mnie kilka lat wcześniej, gdy przechodził okres „terminatorowy”. — Ile mam czasu, zanim będę musiał pójść do twojego domu? Nie chcę jeść za szybko. Dostaję od tego wzdęcia.
- Nie spiesz się. — Poklepałem go po ramieniu i wsiałem do samochodu.
- Nie wiedziałem, że miałaś psiego przyjaciela, Frannie.
- Psy umieją kochać, John. Nawet książkę o tym napisali.

Odjeżdżając, zerknąłem w lusterko wsteczne. Machał mi na pożegnanie jak dziecko: ręka chodziła mu w górę i w dół.

\* \* \*

Magda uważa, że można ocenić charakter człowieka po tym, co taki gość wozi w samochodzie. Gdy przystanąłem na światłach na April Avenue, spojrzałem na miejsce pasażera i oto, co ujrzałem: trzy nie otwarte paczki marlboro, tani i poobijany od częstego upuszczania telefon komórkowy, miękkie wydanie zbioru opowiadań Johna O'Hary i zaklejoną kopertę, list z miejskiego szpitala donoszący o wnioskach płynących z lewatywy. Lewatywa była z roztworu baru. W schowku na rękawiczki znalazłem puszkę miętowych pastylek odświeżających „Altoid”, kasetę wideo z filmem *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* i kompakt z muzyką dyskotekową z lat siedemdziesiątych, której nie chciał słuchać nikt prócz mnie. Jedynymi naprawdę ciekawymi obiektami nieożywionymi w tym samochodzie były pistolet Beretta, który trzymałem w kaburze pod pachą, i martwy pies w bagażniku. Cały ten spis inwentarza nieco mnie przygnębił. A gdybyśmy mieszkali pod Wezuwiuszem, któremu akurat teraz zebrałoby się na kolejny wybuch? Lawa i popioły zabiłyby mnie, a następnie zakonserwowały w metalowej trumnie dwutonowego forda. Za tysiące lat archeologowie odkopaliby mnie i zaczęli dociekać, kim byłem, skoro moje otoczenie tworzyły papierosy, KC & Sunshine Gang, wyniki badania dziury w zadku i psia padlina. I jak bym wyglądał?

Gdzie miałem zakopać Old Vertue? I czym? Nie woziłem w samochodzie żadnych narzędzi. Znaczący, najpierw muszę zajrzeć do domu i wziąć łopatę z garażu. Skręciłem ostro w lewo i pojechałem Broadwayem.

W swoje osiemdziesiąte urodziny mój ojciec przysiągł, że nigdy więcej nie przeczyta żadnej instrukcji. Miesiąc później umarł. Mówię o tym, bo pochowałem go z pomocą tej samej łopaty. Ludzie myśleli, że mi odbiło. Cmentarze mają do tego specjalne koparki, ale ja uznałem, że jak sam przygotuję mojemu ojcu miejsce ostatniego spoczynku, to będzie w tym coś z pradawnej, antycznej wręcz tradycji. I że tak będzie dobrze. Kadisza odmówić nie umiałem, ale dziurę w ziemi własnoręcznie zrobić, to jak najbardziej. Kopałem mu grób w samym środku upalnego, letniego dnia i uśmiechałem się. Johnny Petangles siedział obok na ziemi i dotrzymywał mi towarzystwa. Spytał, gdzie idziemy po śmierci. Żli do Bangladeszu, powiedziałem. Nie zrozumiał, to spytałem go, co on uważa. Odparł, że do oceanu. Zmieniamy się w skały i Bóg ciska nas do oceanu. Czy mój ojciec był właśnie gdzieś tam? I jakaś kałamarnica się może pod nim chowała? Jadąc dalej, zastanawiałem się, gdzie według Johnny'ego mogą iść po śmierci zwierzęta. Nagle coś zachrobotało w radiu.

— Szefie?



- McCabe, słucham.
- Szefie, mamy awanturę domową na Helen Street.
- Schiavowie?
- Zgadza się.
- Dobra, jestem akurat blisko. Zajmę się tym.
- Fajnie, że pan, a nie ja — zachichotał dyspozytor i wyłączył się.

Pokręciłem głową. Donald i Geraldine Schiavo, z domu Fortuso, byli oboje z mojej klasy ogólniaka w Crane's View. Pobrali się zaraz po skończeniu szkoły i od tamtej pory trwała pomiędzy nimi wojna. Ona przydzwaniała mu czasem w łeb rondlem, on niekiedy traktował ją krzesłem. Zależy, co było pod ręką. Od lat ludzie błagali ich, żeby się rozwiedli, ale te dwa pędzone nienawiścią kwiatuszki nie znały innego paliwa i jakkolwiek zmiana byłaby im nie na rękę. Zwykle tak raz na miesiąc ciśnienie w rodzinnym kotle wysadzało zawór i potem któreś chodziło trochę bardziej szczerbate.

Na chodniku przed domem Schiavów stała grupa roześmianych nastolatków z sąsiedztwa.

- Co jest grane, proszę ferajny?
- Gwiazdne Wojny jak cholera, panie McCabe. Musiałby pan słyszeć, jak wrzeszczała. Ale od chwili jest cicho.

— Przerwa między rundami. — Podeszedłem chodniczką do drzwi i przekręciłem klamkę. Były otwarte. — Jest tu kto? — Gdy nie usłyszałem odpowiedzi, zawołałem raz jeszcze. Cisza. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Od progu uderzyło mnie, że w domu panował porządek i pachniało jakoś tak miło. Geri Schiavo była rozlazłą i leniwą babą, której nie przeszkadzało, że w mieszkaniu śmierdzi. To samo dotyczyło jej męża. Comiesięczne rozdzielanie tej pary było tym bardziej przykre, że trzeba było wówczas wejść do ich domu, gdzie niezmiennie cuchnęło zastarzałym potem, okien nie otwierano chyba nawet od święta, a po pokojach wałały się resztki jedzenia, których wolelibyście nie próbować.

Ale tym razem było inaczej. Całkiem niedawno otwarli w mieście nowy sklep z wieloma egzotycznymi gatunkami herbaty. Nie pijam herbaty, ale korzystałem z każdej wymówki, by tam zajrzeć i nacieszyć się aromatem. Gdy przeszedł mi pierwszy szok wywołany porządkiem panującym w domu Schiavów, skojarzyłem, że pachnie tam identycznie jak w sklepie z herbatą. Wspaniała i bogata woń, która pieści nos i sprawia, że zaczynasz myśleć o przyjemnych rzeczach.

Jednak nie był to koniec zaskoczeń, bo dom okazał się pusty. Przechodziłem z pokoju do pokoju w poszukiwaniu Donalda i Geri. Nic nie zmieniło się tu od czasu mojej poprzedniej wizyty. Ta sama stara kanapa i prehistoryczny fotel zaległy obok siebie w salonie niczym para wraków na urlopie. Na obramowaniu kominka stały rodzinne fotografie, w klatce skakał chudy i żółty jak nieszczęście kanarek. Wszystko tak samo. Tyle że w całym domu panował porządek i błysk ta-

ki, jakiego tu jeszcze nie widziałem. Zupełnie, jakby gospodarze uszykowali chatę na przyjęcie lub jakąś ważną wizytę. A jak tylko skończyli, to wyszli.

Zszedłem do piwnicy. Obawiałem się poniekąd, że mogę znaleźć tam odpowiedź na podstawową zagadkę, czyli Donalda i Geri wiszących na odpowiednio grubych krokwiach lub też jedno stojące nad ciałem drugiego, z paskudnym błyskiem w oku i spluwą w garści. Ale nic z tego. Piwnica była pełna równo poukładanych stosów czasopism, starych mebli i śmieci, przy czym nawet te ostatnie złożono porządnie w kącie. I tam też całkiem ładnie pachniało i to było najgorsze. Co tu się, u diabła, działo?

Podwórko za domem było rozmiarów przystanku autobusowego, ale trawnik został przyszyrony. Nigdy jeszcze nie widziałem tam trawy niższej niż na pięć cali. Raz zaproponowałem nawet Donaldowi, żeby skorzystał z mojej kosiarki, ale burknął, że się obejdzie.

Wróciłem do domu i usiadłem w fotelu, żeby pomyśleć, i omal nie wylądowałem na tyłku, gdy mebel poleciał do tyłu. Nie miał sprężyn. Kilka sekund trwało, nim opanowałem sytuację i sporym nakładem sił wyprostowałem fotel. Wtedy zobaczyłem pióro.

Naprzeciwko był dekoracyjny kominek. Gdy walczyłem z grawitacją, by ustawić ten głupi fotel, jak należy, dojrzałem błysk czegoś niewiarygodnie jaskrawego, co leżało na podłodze przed paleniskiem. Nieco sponiewierany po walce podszedłem i podniosłem pióro. Miało około dziesięciu cali długości i mieniło się najcudowniejszymi kolorami, jakie można sobie wyobrazić. Purpurą, zielenią, czernią, pomarańczowym i nie tylko. Za nic nie pasowało do domu tych popaprańców, ale jednak było tu. Patrząc na nie, zadzwoniłem na posterunek i opowiedziałem Billowi Peggowi, jaki pasztet zastałem.

— To coś nowego. Może wrócili po promieniu na statek macierzysty.

— Kapitan Picard nie wzięłby ich na *Enterprise*. Masz może jakieś zgłoszenia, Billy? Żadnych wypadków samochodowych czy innych takich?

— Nic. Ale to by było fajnie, gdyby zmarli. Nie musielibyśmy tam więcej jeździć. Nic jednak nie przyszło.

— Zadzwoń do Michaela Zakridesa, do szpitala, i sprawdź, czy tam nic nie wiedzą. Teraz jadę po coś do domu, a potem nad rzekę. Jakbyś się czegoś dowiedział, to dzwoń do mnie na komórkę.

— Okay. A co z tym psem, szefie? Może zostawisz go Schiavom, żeby go znaleźli, jak wrócą. Załaduj go im do piekarnika! Jak Geri to zobaczy, to jej mowę odbierze. Na całe pięć minut.

Przesunąłem pióro między palcami.

— Potem z tobą pogadam. A, Bill, jeszcze jedno. . .

— No?

— Znasz się na ptakach?

— Ptakach? Jezu, nie wiem. Czemu? Co z tymi ptakami?

— Jaki gatunek ptaka ma pióra długie na dziesięć cali i kolorowe, aż w oczach  
ćmi?

— Paw?

— Też o nim myślałem, ale nie sędzę. Wiem, jak wyglądają pawie pióra. To  
jest inne. Pawie mają bardziej symetryczny wzór i jeszcze wielkie koło. To nie  
jest z pawia.

— Co nie jest? O czym mówisz?

— O niczym — warknąłem, pojmując, że zapatrzyłem się na pióro i zacząłem  
myśleć głośno. — Potem cię złapię.

— Frannie?

— Co?

— Wpakuj psa do kuchenki.

Przerwałem połączenie.

Jakim cudem jedno cienkie pióro mogło się mienić aż tyloma kolorami? Nie  
potrafiłem oderwać od niego oczu, ale wiedziałem, że muszę już iść. Na ulicy  
wciąż stała ta sama grupa dzieciaków, pewnie mieli nadzieję na ciąg dalszy przed-  
stawienia. Spytałem, czy nie widzieli nikogo wychodzącego z domu przed moim  
przyjazdem. Powiedzieli, że nie. Gdy oznajmiłem, że chata jest pusta, nie chcieli  
mi uwierzyć.

— Ktoś musi tam być, panie McCabe. Nie słyszał pan, jak wrzeszczała!

Wyjąłem papierosy i poczęstowałem wszystkich wkoło.

— Co krzyczeli?

Chłopak przyjął ode mnie ogień i wydmuchnął smugę dymu.

— Nic specjalnego. Ona nazwała go dupkiem i lizusem. Ale głośno. Jak gło-  
śno! Chyba za miastem było ją słyszeć.

— A on? Donald się odzywał?

Drugi dzieciak zniżył głos o cztery oktawy i zrobił minę, jakby szykował się  
na duszę towarzystwa.

— DZIWKO! Pierdołem ciem, głupia fico! Robiem to, na co mam, kurwna,  
ochotę!

— Fico?

— Fica. Cipa po włosku, wie pan.

— Co ja bym bez was zrobił, chłopaki? Słuchajcie, jeśli zobaczycie, jak które-  
kolwiek z nich wraca, to zadzwońcie do mnie pod ten numer. — Dałem jednemu  
moją wizytówkę.

— A to co? — Wskazał na pióro.

— Piękne, nie? Znalazłem u nich na podłodze. — Uniosłem pióro wyżej.  
Przez chwilę wszyscy podziwialiśmy je w milczeniu.

— A może oni zabawiali się z piórami, wie pan, tak bardziej ma ostro —  
zasugerował chłopak i aż pojaśniał na twarzy.

— Gdy ja byłem młody, to nie było niczego ostrzejszego niż zabawa ze skórzanymi strojami i pejcami, a i tak o mało ataku serca nie dostałem, gdy zdarzyło mi się o tym usłyszeć. Ale wy pewnie znacie teraz więcej zabaw niż Alex Comfort.

— A to kto?

Wróciwszy do samochodu, wsunąłem ostrożnie pióro za osłonę przeciwsłoneczną nad siedzeniem kierowcy. Czemu frontowe drzwi ich domu były otwarte? A tylne? W dzisiejszych czasach nikt nie zostawiał drzwi otwartych, nawet w Crane's View. Donald Schiavo pracował jako mechanik w Birmfion Motors. Zadzwoniłem tam i porozmawiałem z sekretarką, która powiedziała, że pan Schiavo wyszedł cztery godziny temu na lunch i dotąd nie wrócił. Szef był na niego wściekły, bo Donald zostawił 4x4 na podnośniku i klient czekał.

Wzruszyłem ramionami. Schiavowie musieli gdzieś być. W końcu się pokażą. Jadąc do domu, próbowałem sobie przypomnieć, gdzie dokładnie położyłem w garażu tę łopatę.

\* \* \*

Godzinę później natrafiłem na kolejny korzeń i cholera mnie wzięła. Odrzuciłem łopatę, wpakowałem brudną łapę do ust i zacisnąłem zęby. Od dziesięciu tygodni nie czułem się tak sfrustrowany, no, plus minus dziesięciu. Mój plan był prosty: pojechać nad rzekę, znaleźć ładne miejsce, wykopać dziurę, wrzucić Old Vertue do środka, życzyć mu miłych snów i wracać na posterunek. Zapomniałem tylko, że nad rzeką kładziono akurat jakieś rury i wszędzie było pełno ludzi i maszyn. Dla mnie i psa zabrakło już miejsca.

Ruszyłem więc ku wielkim, mrocznym lasom daleko za domem Tyndallów i tak długo szukałem, aż natrafiłem na właściwie miejsce. Słońce przenikało błyskami poprzez liście, było cicho i tylko wiatr szeleścił i ptaki śpiewały. Powietrze pachniało latem i ziemią.

Byłem w tak dobrym nastroju, że zacząłem sobie podśpiewywać *Hej-ha, hej-ho, do pracy by się szło*. I wbiłem łopatę w miękki grunt. Pięć minut później łopata uderzyła w pierwszy korzeń, który okazał się równie gruby, jak podziemny potwór ze *Wstrząsów*. Wciąż pełen werwy (*Hej-ha, Hej-ho*) wzruszyłem ramionami i zacząłem kopać w innym miejscu. Okazało się jednak, kurczę blade, że korzenie były wszędzie, pod całym lasem. Old Vertue sztywniał sobie spokojnie w bagażniku samochodu, a mi taka gula wezbrała, że mało co, a bym do niego dołączył.

Gdy skończyłem przeżuwać dłoń, wypaliłem trzy papierosy i zmuszając się do spokoju, doszedłem z wolna do wniosku, że spróbuję jeszcze raz. Jeśli i to nic nie da... Jednak co ciekawe, chociaż byłem wściekły i sfrustrowany oporem

ziemi wobec moich zamiarów, nawet przez chwilę nie pomyślałem, żeby zawieźć ciało psa do kremacji. Old Vertue musiał zostać pochowany. Musiał zostać złożony w ziemi. Delikatnie, troskliwie. Nie wiedziałem, skąd wziął mi się ten upór, ale był, chociaż niczego rzeczonemu psu nie zawdzięczałem. Nie było długich lat spędzonych razem, nie było pocieszania mnie w chwilach załamania i samotności, nie było patyków rzucanych w letnie dni na podwórku za domem. Najlepszy przyjaciel człowieka? Nawet go nie znałem. Był tylko starym, parszywym kundlem, który przypadkiem zszedł w moim pokoju. Jasne, po części musiało to mieć coś wspólnego z twierdzeniem Magdy: lubię przegranych. Zwykle byłem po ich stronie. Życiowi połamańcy, łgarze, pustogłowi, pijacy i zbrodniarze, wszyscy mogli liczyć u mnie na kolejkę. Old Vertue miał w sobie coś z każdego z powyższych. Byłem pewny, że gdyby wypadło mu być człowiekiem, głos miałby chrapliwy niczym młynek do kawy i mózg brunatny od nadużywania, co popadnie. To, że zjawił się w moim życiu, znaczyło coś więcej, chociaż co? Skłamałbym, odpowiadając, że wiem. Byłem tylko pewien, że powinienem zająć się jego pochówkiem. I gotów byłem to uczynić. Dałem sobie zatem na wstrzymanie i znów złapałem za łopatę. Tym razem zadziałało.

Wykopanie głębokiej dziury wymaga większego wysiłku, niż się wam wydaje. No i przyprawia jeszcze o całą masę pęcherzy na dłoniach. Jednak znalazłem ledwie kilka stóp dalej miejsce, w którym mogłem kopać jak długo wola i ochota i nic mi nie przeszkadzało. Gdy skończyłem, dziura miała trzy stopy głębokości i była dość szeroka. Powinno mu być w niej dobrze. Najciekawsze pojawiło się z ostatnią łopatą ziemi. Na szczycie kopczyka dostrzegłem coś jaśniejszego, prawie białego. Odbijało się od tła tak bardzo, że nie dawało się przeoczyć. Odłożyłem łopatę i sięgnąłem po to coś. Z początku myślałem, że wykopałem patyk, który stracił kolor. Miał z dziesięć cali długości, był srebrzystoszary i z jednej strony jakby odłamany nierówno od czegoś większego. Podniosłem go do oczu, żeby się przyjrzeć, a srebrzysta barwa zmieniła się w kremową i okazało się, że to nie drewno, ale kość.

Nic niezwykłego. Lasy są pełne zwierzęcych kości. Uśmiechnąłem się nawet na myśl, że naruszam grób jednego stworzenia, kopiąc mogiłę dla innego. Zgroza! Tak się porobiło, że nawet wiewiórka nie może spoczywać w spokoju. Zawiadomić ASPCA! Przypadek okrucieństwa wobec martwego zwierzęcia.

Pauline interesowała się zoologią. Pomyślałem, że mogłaby obejrzeć tę kość, i schowałem ją do kieszeni, a potem poszedłem po Old Vertue.

Gdy zajrzałem do bagażnika, trochę mną wstrząsnęło. Pies leżał na boku, miał otwarte ślepią i patrzył prosto na mnie. Niezależnie od stopnia samokontroli i obyczaj z widokiem zwłok takie spojrzenie nigdy nie poprawia samopoczucia. Nawet w martwych oczach jest dość życia, żeby oblizać nerwowo wargi i odwrócić głowę. Może jak zajmę się chwilę czymś innym, to te powieki same opadną. . .

— Zamierzam położyć cię spać, Vertue. Tam jest całkiem miło. To dobre miejsce na koniec.

Wsunąłem rękę pod ciało i dźwignąłem je z bagażnika. Wydało mi się cięższe niż przedtem, ale uznałem, że kopanie zmęczyło mnie i to dlatego. Ręce trzęsły mi się lekko, gdy go niosłem. Słońce przeświecało przez drzewa i nagrzewało mi buty. Ostrożnie zszedłem do dziury i ułożyłem go na dnie. Poprawiłem jeszcze kończyny, żeby nie leżał tak powykęcany. Ślepią miał wciąż otwarte, koniuszek języka wysunął się z boku pyska. Biedny staruszek. Wyszedłem i wziąłem łopatkę, by go zasypać, ale czegoś mi jeszcze brakowało. Po chwili już wiedziałem. Wróciłem do samochodu i wyciągnąłem pióro z przesyłki.

Wsunąłem mu je pod obrozę. Dawni władcy Egiptu odchodzili otoczeni dobrami doczesnymi, a Old Vertue dostawał na drogę piękne pióro. Robiło się późno, a ja miałem jeszcze trochę do zrobienia. Szybko zasypałem grób i ubiłem ziemię. Pozostało liczyć, że żadne inne zwierzę nie wyczuje zapachu i nie rozkopie dołu.

Wieczorem przy kolacji Magda spytała mnie, gdzie go złożyłem. Gdy opisałem wszystkie moje przygody w lesie, dość mnie zaskoczyła.

— Chciałbyś mieć psa, Frannie?

— Niespecjalnie.

— Ale dla niego byłeś taki dobry. Mi by nie przeszkadzało. Niektóre psy są takie urocze.

— Ty nie cierpisz psów, Magdo.

— To prawda, ale ciebie kocham.

Pauline zatoczyła wzrokiem i ostentacyjnie wyszła z talerzem do kuchni. Poczekałem, aż na pewno znajdzie się poza zasięgiem głosu.

— Mógłby być kot.

Moja żona zamrugnęła i zmarszczyła brwi.

— Masz już kota.

— No to kitunia.

\* \* \*

Tej nocy najpierw odwiedziłem moją najulubieńszą na świecie kitunię, a potem śniłem o piórach, kościach i Johnnym Petanglesie.

\* \* \*

Następnego ranka pogoda była taka ładna, że pojechałem do pracy nie samochodem, lecz motocyklem. Koniec lata zagościł na dobre w mieście. To moja ulubiona pora roku. Wszystko wydaje się wtedy bujniejsze i ciekawsze, bo wiesz, że

to już prawie koniec. Matka Magdy mawiała, że kwiaty pachną najładniej w chwili, gdy zaczynają gnić. Kilka kasztanowców zaczęło już zrzucać okryte zieloną skorupą owoce. Rozbijały się na chodnikach, dzwoniły na maskach samochodów. W powietrzu pachniało dojrzałą zielenią i kurzem. Trawa lśniła od rosy, która utrzymywała się coraz dłużej. Naprawdę ciepło miało się zrobić dopiero za parę godzin.

Miałem duży motocykl, Ducati Monster, z silnikiem, który samemu Bogu rzucał wyzwanie swym rykiem. Całe dziewięćset centymetrów sześciennych. Nie ma nic przyjemniejszego niż powolna jazda wierzchem na takiej maszynie przez Crane's View w stanie Nowy Jork. Szczególnie w podobny poranek. Dzień jeszcze się nie zaczął, nie zmienił tabliczek na drzwiach sklepów, wszędzie widać napis ZAMKNIĘTE. Na ulicach kręcą się tylko szczególnie pracowite pszczołki. Uśmiechnięta kobieta zamiata czerwoną miotłą podest przed drzwiami. Młody weimaraner obwąchuje ustawione przy krawężniku kubły ze śmieciami i macha jak szalony kikutem ogona. Starszy mężczyzna w białej baseballowej czapeczce i dresie uprawia coś pomiędzy wolnym joggingiem a szybkim chodem.

Jak widzę, że ktoś ćwiczy, to zaraz nabieram ochoty na chruściki i kawę z masą śmietanki. Miałem zamiar zatrzymać się gdzieś na jedno i drugie, ale najpierw musiałem zrobić co innego.

Niespiesznie skręciłem kilka razy w lewo, tyleż w prawo, aż zatrzymałem się przed domem Schiavów. Chciałem sprawdzić, czy coś się tam nie zmieniło. Wiedziałem, że Geri i Donald mają błękitnego mercury'ego, ale podjazd i jezdnia były puste. Żadnego błękitnego samochodu w pobliżu. Drzwi były wciąż otwarte. Pomyślałem, że trzeba z tym coś zrobić. Przecież nie można pozwolić, żeby jakiś złodziej tu wszedł i ukradł im wymalowany na aksamicie widok Zatoki Neapolitańskiej. Postanowiłem przysłać kogoś w ciągu dnia, niech wymieni na razie zamki i zostawi nieuchwytnym gospodarzom wiadomość. Nie, żebym troszczył się szczególnie o nich czy ich własność. Stałem z rękami w kieszeniach i rozejrzałem się wkoło. Ranek był zbyt piękny, aby marnować go na roztrząsanie podejrzanych zagadek, szczególnie w przypadku tych dwojga durni. Ale na tym polegała moja praca, nie miałem wyboru.

Telefon zadzwonił mi w kieszeni. To Magda donosiła, że samochód nie chce zapalić. W kwestiach technicznych robiła z siebie niezmiennie dziewicę i jeszcze była z tego dumna. Ta kobieta gardziła komputerem, kalkulatorem i w ogóle wszystkim, co popiskiwało elektroniką. Rachunki prowadziła na papierze, z pomocą ołówka, kuchenkę mikrofalową traktowała podejrzliwie niczym bombę, a samochody jak osobistych wrogów, szczególnie gdy któryś nie zapalał od pierwszego poruszenia kluczykiem. Pikanterii sytuacji dodawał fakt, że jej córka miała hopla na punkcie komputerów i nawet specjalizujących się w informatyce kumpli zaganiała w kozi róg. Magda kwitowała jej talenty wzruszeniem ramion.

— Wczoraj nim jeździłem.

— Wiem, pudelku, ale teraz nie zapala.  
— Może zalałaś świecie. Pamiętasz, jak raz...  
— Ani słowa, Frannie — syknęła. — Mam zadzwonić po mechanika czy sam to załatwisz?  
— Zadzwoni. Jesteś pewna, że nie...  
— Jestem. I wiesz co? W naszym garażu wspaniale pachnie. Rozpyliłeś tam jakiś odświeżacz? Co zrobiłeś?  
— Nic. Mówisz, że samochód, który wczoraj jeździł, dziś nie chce zapalić, ale w garażu ładnie pachnie?  
— Właśnie.  
Minęły ze dwa uderzenia serca.  
— Mag, powiem tyle, że gryzę się w język. Kilka słów ciśnie mi się na usta, ale się wstrzymuję...  
— I dobrze! Tak trzymaj. Zadzwonię po pomoc. Do zobaczenia!  
Klik. Gdyby nie przerwała rozmowy, to w końcu by usłyszała. Byłem pewien, że zrobiła coś głupiego, na przykład zalała gaźnik. Znowu. Ale cóż, małżeństwo jest poniekąd rodzajem handlu wymiennego. Ktoś podaje długość, ty podajesz szerokość, i przy odrobinie szczęścia wychodzi z tego mapa wspólnego świata. Znanego i wygodnego.

\* \* \*

Rano nie było zwykle wiele pracy. Burmistrzynie przyszła, żeby przedyskutować zamontowanie świateł na skrzyżowaniu, na którym przez kilka ostatnich lat zdarzyło się trochę za wiele wypadków. Pani burmistrz nazywa się Susan Ginnety. W ogólniaku byliśmy kochankami i Susan nigdy mi tego nie wybaczyła. Trzydzieści lat temu należałem do najpaskudniejszych drani w mieście. Po okolicy wciąż krążą opowieści o tym, jakim to byłem ziółkiem, w większości prawdziwe. Gdybym miał album ze zdjęciami z tamtych czasów, na wszystkich byłbym albo en face, albo z profilu i trzymałbym przed sobą policyjny numer kartoteki.

W odróżnieniu od mojej nędznej osoby, Susan była dobrą dziewczyną, której zdało się nagle, że usłyszała zew natury, i postanowiła spróbować zostać złą dziewczyną. Na prowincjonalną, dzinsową miarę naturalnie. Zaczęła włóczyć się ze mną i z całą bandą. Skończyło się szybko i gwałtownie. Naprawiła potem błąd i porzuciwszy dymiące zgliszcza swej niewinności, poszła na studia politologiczne. Ja pojechałem w tym czasie do Wietnamu (wcale nie jako ochotnik) i też zająłem się swoim. Głównie trupami.

Po studiach mieszkała w Bostonie, San Diego i na Manhattanie. Pewnego weekendu wróciła odwiedzić rodzinę i uznała, że nie ma jak w domu. Wysłała



za świetnie prosperującego prawnika, któremu spodobało się zamieszkać w małym miasteczku nad Hudsonem. Kupili sobie dom na Villard Hill, a rok później Susan otworzyła kancelarię.

Co najciekawsze, jej mąż, Frederick Morgan, jest czarny. Crane's View to konserwatywne miasteczko pełne przedstawicieli środkowego i niższego przedziału klasy średniej, rodzin głównie włoskiego i irlandzkiego pochodzenia. Ledwie parę pokoleń temu opuścili międzypokładzia liniowców i tak jak przodkowie uważają, że świat opiera się na rodzinie, ciężkiej pracy i podejrzliwości wobec wszystkiego, co wygląda odmiennie. Zanim Morgan i Ginnety sprowadzili się do miasta, nie mieliśmy tu nigdy pary mieszanej. Gdyby stało się to w latach sześćdziesiątych, gdy byłem dzieckiem, wyzywalibyśmy gościa od murzajów i rzucali im kamieniami w okna. Ale, dzięki Bogu, czasem coś się zmienia. W osiemdziesiątym wybrano czarnego burmistrza, który zrobił wiele dobrego i dodał blasku swemu urzędowi. Od samego początku ludzie uznali Morganów za miłe stadło. Byliśmy zadowoleni, że żyją wśród nas.

Gdy Susan usłyszała, że jestem szefem policji, a stało się to krótko po ich przeprowadzce do Crane's View, zakryła twarz i jęknęła. Potem spotkaliśmy się na ulicy, po raz pierwszy od piętnastu lat. Podeszła prosto do mnie.

— Powinieneś siedzieć w więzieniu! — rzuciła oskarżycielskim tonem. — Ale ty poszedłeś do szkół i teraz jesteś szefem p o l i c j i?!

— Cześć, Susan — rzuciłem pogodnie. — Zmieniłaś się. A skoro ty mogłaś, to ja chyba też?

— Ale ty jesteś straszny, McCabe!

Drugi raz rozmawialiśmy, gdy wybrano ją na burmistrza.

— Będziemy musieli sporo razem pracować i pewne rzeczy muszę wiedzieć z góry. Świat nie widział gorszego nosiciela penisa od ciebie. Czy jesteś dobrym policjantem?

— No, hm, możesz zajrzeć do moich akt. Na pewno to zrobisz.

— Owszem, zrobię. Dokładnie je sobie przeczytam. Jesteś skorumpowany?

— Nie. Nie muszę. Wzbogaciłem się na pierwszym małżeństwie.

— Okradłeś ją?

— Nie. Podsunąłem jej pomysł na show telewizyjny. Była producentem. Przy-mrużyła oczy.

— Jaki show?

— *Człowiek za burtą.*

— To najdurniejsze, co puszczają w telewizji.

— I najbardziej dochodowe. Przynajmniej na razie.

— Owszem. I to był twój pomysł? Chyba powinnam być pod wrażeniem, ale jakoś nie jestem. Bierzemy się do pracy?

\* \* \*

Spotkanie w kwestii świąteł zakończyłem krótkim raportem na temat tego, co wedle wiadomości policji zaszło w miasteczku przez ostatni tydzień. Susan wysłuchała wszystkiego jak zwykle, z opuszczoną głową i z małym, srebrnym dyktafonem w dłoni. Nagrywała na wypadek, gdyby chciała coś później zanotować. Tego letniego ranka nie miałem jej nic interesującego do przekazania. Dopiero Bill Pegg przypomniał mi o zniknięciu Schiavów.

— Co robisz w tej sprawie? — Uniosła dyktafon do ust, zawahała się i opuściła dłoń.

— Rozpytuje, dzwonię tu i ówdzie, kazałem założyć nowe zamki w drzwiach ich domu. To wolny kraj, pani burmistrz, jak ktoś chce, to może sobie wyjechać.

— Ale w ich zniknięciu jest coś dziwnego.

Pomyślałem chwilę.

— Tak, lecz przecież oboje znamy Schiavów. Są niezrównoważeni emocjonalnie. Bez trudu potrafię sobie wyobrazić, jak najpierw skaczą sobie do gardeł, a potem rozlatują się w przeciwnie strony i każde myśli, że jak do rana nie wróci, to druga strona wystraszy się nie na żarty. Sęk w tym jedynie, że żadne nie zamknęło drzwi na klucz.

— Ach, ta miłość! — mruknął Bill, odwijając kanapkę na drugie śniadanie.

— Rozmawialiście z ich rodzicami?

— Tak — odezwał się Bill z pełnymi ustami. — Też nic nie wiedzą.

— Ile czasu musi upłynąć, żeby oficjalnie uznać osobę za zaginioną?

— Dwadzieścia cztery godziny.

— Jakby było trzeba, to zajmiesz się tym, Frannie? Przytaknąłem. Spojrzała na Billa i lekko załamującym się głosem spytała, czy mógłby zostawić nas na chwilę samych. Niepomierne zdumiony wstał szybko i wyszedł. Susan nigdy jeszcze tak się nie zachowywała, zawsze była otwarta i bezpośrednia. Wiedziałem, że ceni Billa za bystrość i szczerłość, on lubił ją z tych samych powodów. Skoro poprosiła go, aby wyszedł, to musiało chodzić o coś bardzo ważnego i zapewne osobistego. Gdy drzwi się zamknęły, wyprostowałem się na krześle i spojrzałem na nią. Całkiem nagle uciekła wzrokiem.

— Co się dzieje, pani burmistrz? — rzuciłem lekko, przyjacielskim tonem. W rozmowie takie pytanie jest jak mleczna pianka na cappuccino. Zanim zaczniesz pić, sprawdzasz językiem, co pływa na wierzchu.

Wciągnęła głęboko powietrze. Zwykle taki wdech zapowiada kwestię, która ma wszystko zmienić. Po jej wygłoszeniu świat będzie już inny.

— Fred i ja zdecydowaliśmy się na separację.

— To dobrze czy źle?

Roześmiała się, czy raczej prychnęła, i odrzuciła włosy do tyłu.

— Cały ty, Frannie, cały ty. Komukolwiek o tym powiem, to albo zaklnie, albo się nade mną użali, ale nie ty. Nie McCabe.

Rozłożyłem ręce w geście „A co niby miałem powiedzieć?”

— Znaczy, twój ślubny idzie na papryczki.

— C o?

— Moja pierwsza żona tak powiedziała, gdy się rozstawaliśmy. Chodzi o jakieś plemię z Boliwii. Tam, jak ktoś umiera, to mawiają, że idzie uprawiać paprykę chili.

— Fred nie cierpi chili. W ogóle nie jada ostro. Sytuacja aż prosiła się, żeby palnąć coś niekoniecznie na temat, nawet głupiego, i dać Susan szansę przejścia do porządku dziennego nad bolesnym wyznaniem, które właśnie uczyniła. Chciałem pomóc jej tą wzmianką o papryce.

— I jak się z tym czujesz?

Zmusiła się do uśmiechu, ale niezbyt jej wyszło.

— Tak, jakbym spadała z dachu budynku i liczyła ciągle, ile jeszcze pięter mi zostało. To normalne?

— Dziwne, gdybyś czuła się inaczej. Gdy ja się rozwiodłem, to kupiłem sobie coati i potem zapomniałem go karmić. Ta separacja to na próbę czy już na dobre?

— Na dobre.

— Przez ciebie czy przez niego?

Uniosła powoli głowę i spojrzała na mnie morderczym wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

— To pytanie, Susan, a nie oskarżenie.

— A gdy tobie się posypało, to była twoja wina czy twojej żony?

— Moja. Chyba moja. Gloria znudziła się mną i zaczęła się pieprzyć wkoło.

— Więc to była jej wina!

— Zawsze wygodnie jest kogoś oskarżyć. To takie jednoznaczne. Ale w małżeństwie nic nigdy nie bywa tak proste. Ty olejesz go w jednym, on ciebie w drugim, aż końcu staniecie oboje nad kibelem tak pełnym, że żadne nie zdoła go spłukać.

Rozmowa napełniła mnie tęsknotą i raz jeszcze przypomniała, ile zawdzięczam mojej żonie. Zapragnąłem zobaczyć ją zaraz i pojechałem do domu na lunch. Magdy jednak nie było, podobnie Pauline. Chociaż całkiem różne, lubiły wychodzić razem. Towarzystwo Magdy odpowiadało każdemu. Była wesoła, twarda i bardzo uważna. Zwykle wiedziała świetnie, co dla ciebie dobre. Również wtedy, gdy ty sam tego nie wiedziałeś. Była uparta, ale dawała się przekonać. Sama nigdy nie wątpiła, co jej odpowiada. Jeśli cię polubiła, świat ukazywał ci nagle całkiem nowe oblicze.

Moja pierwsza żona, niesławna Gloria, zubożyła mój świat, aż skurczył się niczym skórzane buty po ulewnym deszczu i nijak nie mogłem się w nim znaleźć. Była piękna, bezgranicznie nielojalna i miała bulimię. Potem okazało się jeszcze,

że mogłaby królice uczyć promiskuityzmu. Pod koniec naszego związku trafiłem kiedyś na notatkę zostawioną najpewniej właśnie po to, abym ją znalazł. Przeczytałem: „Nienawidzę jego zapachu, jego spermy, jego śliny”.

Całkiem ukontentowany przysiadłem w salonie i jedząc samotny lunch, nasłuchiwałem podszeptów moich myśli i brzęczenia pracującej gdzieś daleko kosiarki. Nie zazdrościłem Susan następnego etapu w jej życiu. Jeśli jej małżeństwo naprawdę się rozpadło, oczywiście. Sam miałem swoje miejsce w życiu i w ogóle brakło mi powodów do zazdrości. Lubiłem moją partnerkę, pracę, otoczenie i to, w jaki sposób płynęły mi dni. Nad polubieniem siebie samego też pracowałem, ale ta robota nigdy nie ma końca i zawsze rodzi jakieś wątpliwości.

Poprzez przyjazną woń kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem przebijał się coraz silniej ostry zapach czegoś całkiem innego. Jedząc, nie zwracałem na niego uwagi, ale gdy skończyłem i sięgnąłem po papierosa, zrobił się bardzo przenikliwy. Zamarłem i zacząłem na serio niuchać.

Nos potrafi być czasem równie spostrzegawczy jak kret w blasku słońca. Buszując pod ziemią — czyli w nieświadomości — wie dokładnie, co robi, i potrafi cię poprowadzić: Tu śmierdzi, trzymaj się z dala. To dobre, spróbuj. Ale wynieś go na murawę i spytaj: Co to za zapach?, a będzie ruszał na oślep głową, kręcił się bezradnie, aż całkiem straci orientację. „Co TAK wonieje?” — spytałem się na głos, ale nos nie potrafił udzielić odpowiedzi, bo chodziło o niepowtarzalną mieszankę zapachów, które polubiłem w ciągu całego życia. W tym właśnie tkwi sedno sprawy, a ja nie wiem, jak to precyzyjniej wyłożyć.

Pewna kurwa, którą odwiedzałem w Wietnamie, zawsze nosiła we włosach pewien gatunek orchidei. Jej angielski pozostawiał wiele do życzenia, zatem najlepszy przekład nazwy tego kwiatu, jaki zdołała mi przekazać, brzmiał „oddech ptaka”. Gdy wróciłem do Stanów i zacząłem pytać znawców, okazało się oczywiście, że nikt nie słyszał o orchidei „oddech ptaka”. A ja nigdy więcej nie poczułem jej zapachu. Aż do tego popołudnia, gdy siedziałem w moim salonie w Crane’s View w stanie Nowy Jork, dziewięć tysięcy mil od Sajgonu. Moja pamięć już dawno temu przekazała wzór tej woni do podkatalogu danych bezużytecznych, a tu nagle jest, wróciła. Pamiętasz mnie?

Ale to była tylko jedna z nut potężnego bukietu ulubionych zapachów. Świeżo ścięta trawa, dym palonego drewna, gorący asfalt, pot kobiety, z którą właśnie się kochasz, woda kolońska „Orange Spice” Creeda, świeża kawa z fusami... Było ich jeszcze więcej, a wszystkie z mojej listy. I wszystkie u n o s i ły s i ę w p o w i e t r z u r a z e m i r ó w n o c z e ś n i e . Owszem, wiedziałem już, co czuję, ale jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Na żadnym poziomie. Ani świadomym, ani nieświadomym.

Musiałem wstać, musiałem sprawdzić, skąd to dochodzi. W przeciwnym razie chyba bym oszalał. Trop wiódł do garażu. Przypomniałem sobie, że Magdzie już wcześniej ładnie tam pachniało. Tak powiedziała. Co za eufemizm! Żaden poko-

jowy odświeżacz powietrza nie mógł się równać z tymi cudownymi miazmatami! Teraz wyczuwałem czosnek i ciepłą woń zdrowych szczeniaków. I sosny, deszcz w sosnowym lesie.

Samochód nijak nie wyglądał na uszkodzony. Może mechanik już był? Ale jeśli tak, to czemu Magda nie wzięła wozu? Pachniało nową skórą, książką świeżo z drukarni, bzem, mięsem pieczonym na grillu. W bagażniku trzymałem zestaw narzędzi. Nie próbowałem jeszcze zapalać, ale skoro stałem akurat obok, to pomyślałem, że na wszelki wypadek wyjmę jednak te narzędzia.

Otworzyłem bagażnik i sam nie wiem, czy najpierw poczułem to czy zobaczyłem. Zapach nasilił się tak z dziesięć razy, a w bagażniku leżał Old Vertue. Martwy. Znowu tu leżał. Pod czerwoną obrozą jaśniało pióro znalezione u Schiavów, obok spoczywała kość, na którą trafiłem, gdy kopałem mu grób.

# MAŁPA UTRAPIONA

George Dalemwood to najdziwniejsza osoba, jaką znam, i jeden z moich najlepszych przyjaciół. Nie, żeby mieszkał na drzewie, nosił bieliznę z futra wiewiórki ziemnej czy czerwony kask. On jest po prostu dziwny. Wolałbym nie sprawdzać, co mu się kłębi pod czaszką, ale uwielbiam słuchać tekstów zrodzonych w tym kotle. Z bezpiecznego dystansu, oczywiście. Co najciekawsze, mimo swej ekscentryczności George zarabia na życie całkiem zwyczajnie — układa rozmaite instrukcje obsługi. Chcecie wiedzieć, jak obsługiwać ten nowy, szalenie skomplikowany aparat fotograficzny, który właśnie rozpakowaliście? Poczytajcie instrukcję spisana przez George'a Dalemwooda. Zawsze będzie przejrzysta, dokładna i na temat. Załadowałeś nowy program do komputera i komputer cię opluł? Poczytaj George'a, a zaraz dojdiesz ze wszystkim do ładu.

Co ważniejsze, jako przyjaciel nie wykazywał śladu uprzedzeń na żaden temat i nie ferował osądów. Tak zatem, skoro wydarzenia mnie przerosły, wsiadłem do samochodu i bez namysłu pojechałem do George'a. Razem z martwym psem i wszystkim. Samochód zapalił od razu, jak najbardziej, ale byłem zbyt skołowany, by się nad tym zastanowić. Przede wszystkim chciałem porozmawiać z George'em.

Mieszka kilka przecznic od nas. Dom ma całkiem zwykły: parterowy, czteropokojowy, z werandą, która od dwudziestu lat nie może doprosić się remontu. Gdy podjechałem, siedział na niej jego młody dachshound imieniem Chuck. Lizał sobie jaja. Przeszedłem nad psem i zadzwoniłem. Bez skutku. Cholera! I co teraz? Wtedy przypomniałem sobie, że podobno mój samochód miał wyczerpany akumulator. A w jego bagażniku leżał pies, którego wczoraj podobno pogrzebałem. Raz jeszcze cholera!

Spojrzałem w niebo, licząc na boską pomoc. Na cokolwiek. Zobaczyłem George'a siedzącego na dachu. Przyglądał mi się.

- Co ty tam robisz? Nie widziałeś, że dzwonię?
- Widziałem.
- No to złaź! Potrzebuję pomocy!
- Wolałbym nie — odparł beznamiętnie.

Mimo wszystko uśmiechnąłem się. Przez ostatnie dwa miesiące George czytał w kółko *Bartleby*. Powiedział, że nie odłoży lektury, póki jej nie zrozumie. Wcześniej tak samo potraktował *Mount Analogue*, a jeszcze wcześniej wszystkie książki o doktorze Dolittle. Wszystkie co do sztuki. Miał nadzieję, że jeśli po śmierci trafi do nieba, będzie to niebo na kształt Puddleby nad rzeką Marsh, rodzinnego miasteczka doktora. Całkiem poważnie.

— Chcesz Marsa?

George przyswajał tylko trzy rodzaje produktów spożywczych: gotowaną wołowinę, batoniki Mars i grecką herbatę górską.

— Nie. Słuchaj, proszę cię jako twój przyjaciel. Zejdź i posłuchaj, co mam do powiedzenia.

— Tu też cię dobrze słyszę, Frannie.

— A w ogóle, to co ty tam robisz?

— Zastanawiam się, jak najlepiej opisać ustawianie talerza anteny satelitarnej.

— Znaczą siedzisz i gapisz się na dach?

— Tak jakby.

— Jezu! Dobra, skoro tak chcesz. . .

Wróciłem do samochodu, zapaliłem i podjechałem na wstecznym przez idealnie utrzymaną murawę jak najbliżej pod sam dom. Otworzyłem bagażnik i wskazałem oskarżycielsko na padlinę. George przesunął się z tyłu na skraj dachu, żeby lepiej widzieć.

— Zdechły pies w bagażniku — stwierdził, całkiem nie pod wrażeniem. — I co?

Popołudniowe słońce świeciło mi prosto w oczy, gdy oparłem ręce na biodrach i opowiedziałem wszystko, co działo się z Old Vertue przez ostatnie dwa dni. Gdy skończyłem, zainteresował się jedynie kością i piórem. Chciał je obejrzeć. Podałem mu. Przechylił się przez okap i jakoś je przejął. Omal przy tym nie spadł.

— Do diabła, George! Czemu tak utrudniasz sobie życie? Czemu po prostu nie zejdziesz na dziesięć minut? Potem mógłbyś wdrapać się z powrotem na dach i udawać antenę aż do wieczora.

Pokręcił głową. Znow usadził się wygodnie i dotknął kości językiem. Gdybym go nie znał, to bym zaprotestował, ale mój przyjaciel robił zawsze wszystko po swojemu. Jeśli chce się z nim przestawać, trzeba to zaakceptować. Liznął ją parę razy, potem nadgryzł. Lekko, żeby nie złamać zęba. Stojąc na dole, słyszałem, jak siekacz stuknął o kość. Brzmiało, jakby ktoś zamachał kastanietami. Dreszcz przebiegł mi po grzbiecie, gdy pomyślałem o pakowaniu tego obrzydlistwa do ust.

— I jak smakuje?

— Nie wiem, czy to naprawdę kość, Frannie. Jest bardzo słodka.

— O n a l e ż a ł a w z i e m i, George! Pewnie czymś nasiąkla. . . — Urwałem, gdy zauważyłem, że nie słucha. Kiedy tracił zainteresowanie i przestawał słu-

chać, to można było gadać do niego jak do obrazu. Niezmiennie. Dość poniżające, chociaż z drugiej strony uczyło uważnego doboru słów.

Potem zajął się piórem. Długo je obwąchiwał, potem przesunął po nim językiem. Z jakiegoś powodu wzbudziło to we mnie większe obrzydzenie niż w przypadku kości i odwróciłem wzrok. Zauważyłem, że Chuck przestał się zajmować swoim zwisem i przyłączył się do mnie. Gapił się na swego pana.

— Ty liżesz własne klejnoty, George liże pióra. Nic dziwnego, że jesteście razem.

Czekając na wyniki dachowej ekspertyzy, uniosłem psiaka i pocałowałem w łeb. George wycelował we mnie piórem.

— To ma wiele wspólnego z tym, o czym myślałem, nim przyjechałeś.

— A co to było, jeśli wolno spytać?

— Teorie spiskowe.

— Siedziałeś na dachu jako antena i myślałeś o teoriach spiskowych?

Zignorował mnie.

— W Internecie jest ponad dziesięć tysięcy stron poświęconych różnym spiskom, które zdaniem wielu ludzi doprowadziły do śmierci lady Diany. Zasadnicza motywacja tworzenia spiskowych teorii dziejów wiąże się z egotyzmem i przekonaniem, że „nie powiedziano mi prawdy”. To samo stosuje się i tutaj, Frannie. Jesteś policjantem, z zasady myślisz logicznie. Ale tutaj brak logiki, przynajmniej na razie. Nie powiedziałeś mi prawdy. Co bardziej cię zaniepokoiło? To, że pies pojawił się znowu, czy to, że pojawił się w bagażniku właśnie twojego samochodu?

— Nie myślałem o tym.

— Do tej sprawy podejść można na dwa sposoby. Albo to oszustwo, albo metafizyka. W pierwszym przypadku wszystko jest proste. Ktoś zobaczył, jak zakopujesz psa, i postanowił zrobić ci kawał. Gdy wyjechałeś z lasu, ten ktoś wykopał psa i znalazł jakiś sposób, żeby podrzucić go do bagażnika twojego samochodu na tyle sprytnie, że ani ty, ani twoja rodzina niczego nie zauważyliście.

— A kość? Była w kieszeni kurtki. Jak ten ktoś ją wyciągnął?

George uniósł palec. Wskazujący.

— Poczekaj. Na razie tylko teoretyzuję. Ktoś wykorzystał ciało, żeby zrobić ci makabryczny żart. Który zadziałał, bo wyglądasz na nieszczęśliwego. Ale jest jeszcze druga możliwość. Że to wszystko jest znakiem od siły wyższej. Zdarzyło się tobie, bo z jakiegoś powodu zostałeś wybrany. Pies wraca, kość i pióro razem z nim, a twój samochód zapala, chociaż miał być zepsuty. Można przypuścić, że Magda nie mogła go uruchomić, bo pies był już z powrotem w bagażniku i czekał, aż go znajdziesz. To tylko domniemanie, a logiki w nich nie będzie, ponieważ logika nie stosuje się do metafizyki. Poczekaj chwilę.

Przemieścił się na drugi koniec dachu i zszedł po drewnianej drabinie przystawionej do ściany domu.



Zbliżył się i połaskotał piórem nos psiaka. Chuck spróbował od niechcenia złapać je zębami.

— Chcę ci pokazać coś w środku. Ale wcześniej. . . Coś przyszło mi do głowy. Co byś powiedział na pomysł, żeby tym razem pochować Old Vertue u mnie za domem?

— Czemu?

— Ponieważ jestem ciekaw, co się stanie. Jeśli pies znów powróci, to nie będę musiał czekać na sygnał od ciebie, żeby się o tym dowiedzieć.

Wziął od mnie Chucka i psiak zaczął mu lizać twarz jak szalony.

— A według ciebie, co to było?

— Zapewne oszustwo, ale mam nadzieję, że cud.

— Tylko tego mi trzeba, żeby Bóg wypchał mi bagażnik zdechłymi psami.

— Może to nie Bóg. Może coś innego.

— Przy takich cudach kończy mi się osobista skala Richtera, chłopie. Dość mam kłopotów z tą nastolatką, co mieszka ze mną pod jednym dachem. Pamiętasz, jak mnie postrzelili? Przez parę godzin byłem jedną nogą po drugiej stronie. Magda powiedziała, że chcieli już nawet wezwać księdza z ostatnim namaszczeniem. Ale czy opuściłem ciało, żeby polecieć w wielki blask? Nie. Czy widziałem Boga? Nie. — Przetarłem dłonią twarz. — A co z zapachem?

Wbił wzrok w ziemię.

— Nie czuję żadnego zapachu.

— Co? Nie czujesz? Nawet teraz prawie zbija mnie z nóg!

— Nie, Frannie. Niczego nie czuję.

\* \* \*

W odróżnieniu od gospodarza dom George'a był normalny. Uporządkowany i ze szczerem nieinteresujący. Kiedyś zajrzeliśmy tu z Magdą na obiad z gotowanej wołowiny. Na deser były Marsy. Magda powiedziała potem: „Mieszka tak zwyczajnie, że aż strach. Dopiero potem wychodzi, że nic się za tym nie kryje”. Wszędzie wkoło leżały wszelakie nowe gadżety, które czekały na pana Dalemwooda, aż ten przedstawi je przyszłym konsumentom.

— Co to jest? — Podniosłem coś, co wyglądało jak skrzyżowanie odtwarzacza kompaktów z plastikowym talerzem Frisbee.

— Nie dotykaj tego, Frannie. To bardzo delikatne. — Przetrzasał półkę zastawioną wielkoformatowymi albumami. — Po prostu usiądź. Zaraz pogadamy.

— Jak to się dzieje, że ile razy do ciebie zajrzę, zawsze mnie za coś besztasz?

— Mam. — Wyciągnął księgę wielką jak drzwi. Spojrzał na swoją dłoń, skrzywił się i wytarł ją o spodnie. Potem otworzył książkę i zaczął przerzucać kartki. — Kim wolałbyś zostać? Pomazańcem czy ofiarą?

— Że jak?

Uniosłem odtwarzacz Frisbee i położyłem go z powrotem.

— Pytam, czy spotkanie z metafizyką kusi cię bardziej niż perspektywa wyśledzenia tego dowcipnisa, który próbuje przerobić cię na szaro?

— Nie kusi. Gdy idzie *Z archiwum X* albo *Po tamtej stronie*, to rodzina wygania mnie z pokoju, bo chichoczę, ile razy na ekranie dzieje się coś dziwnego.

Sądząc po wyrazie twarzy, George wyłączył mnie, ledwie to powiedziałem. Chwilę potem, całkiem nagle, przestał kartkować książkę i na jego obliczu wykwitł uśmiech. Pojawiał się stopniowo, z wolna, jak wzbijający się w przestwór balon na ogrzane powietrze. Nie dość na tym. Po raz drugi w ciągu dwóch dni ujrzałem na czyjejś twarzy wyraz sugerujący, że najlepiej zrobię, jeśli zaraz zapnę pasy. Pierwszy raz to było wtedy, gdy Susan obwieściła o swojej separacji. Z George'em było gorzej, bo on nie ujawniał emocji. Jeśli się go nie znało, można go było wziąć za autystyka. Jego reakcje zasadniczo nie przewidywały użycia wykrzykników. Skąpił też komentarzy.

— Obawiać się należy tylko Boga i tych, którzy nie boją się Boga. To z Koranu, Frannie.

Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, ale zaraz podszedł do mnie z otwartą książką rozłożoną na dłoniach. Położył mi ją na kolanach i odsunął się. Spojrzałem na niego w oczekiwaniu, że doda coś jeszcze, ale on tylko wskazał na księgę. Wciąż dziwnie się uśmiechał.

Opuściłem wzrok i oczy rozszerzyły mi się do rozmiarów planet.

— Niemożliwe! — Nie uniosłem głowy. Długo błądziłem spojrzeniem po ilustracji i za nic nie mogłem unieść głowy. — Niemożliwe, do kurwy nędzy!

— Widzisz tytuł?

— T a k , G e o r g e . W i d z ę t y t u ł ! I co niby mam teraz zrobić? Co? Co ja mam z tym zrobić? Czy widzę tytuł? A co, głupi jestem? Potrafię czytać, do...

— Spokojnie, Frannie.

Nadal się uśmiechał. Ten skurwiel nadal się uśmiechał.

Leżąca na moich kolanach książka została otwarta na reprodukcji obrazu powstałego około 1750 roku. Zapamiętajcie tę datę: tysiąc siedemset pięćdziesiąty. Autor nieznan. Jest to portret psa. Pies ma trzy i pół nogi, jedno oko, marmurkowy wzór na sierści i jest pitbulem. Siedzi naprzeciwko oglądającego i patrzy spokojnie gdzieś w prawo. Za nim widać dolinę z zamkiem, a dalej ciągnie się bukoliczny krajobraz: grzbiety wzgórz, wijąca się rzeka, winnice pełne pracujących wieśniaków. Łatwo byłoby zastąpić tego psa jakimś możnowładcą albo bogatym właścicielem ziemskim, który stanął sobie na szczycie wzgórza ponad wszystkim, co posiadał, co w życiu osiągnął, swym niebem na ziemi, stanął tak sobie, byśmy mogli mu pozazdrościć. Tyle że to nie lord ani żadna inna istota ludzka, lecz pitbul. Do tego całkiem znajomy. Tytuł malowidła brzmiał *Old Vertue*.

— Skąd wiedziałeś, George?

— Przypomniałem sobie obraz.

Zamknąłem album i przeczytałem tytuł. *Great Animal Portraits*.

— Czy autor wspomina coś o tym obrazie we wstępie?

— Nie.

— Czemu nie powiedziałeś mi o nim od razu, gdy tylko zobaczyłeś psa i dowiedziałeś się, jak miał na imię?

— Bo wpieryw chciałem posłuchać, co ty masz do powiedzenia.

Byłem tak zły, że najchętniej trzasnąłbym go tą książką w ciemność. A potem schował się w tej drugiej dziurze, którą miałem wykopać dla psa. Ciężko skonsternowany upuściłem album na podłogę. George zaraz chciał go podnieść, ale zamarł, widząc, że siedzę cały napięty.

— I co ja mam z tym z r o b i ć?

Pochylił się, jakby miał piłkę łapać. Żeby nie stracić równowagi, oparł dłoń na podłokietniku mojego fotela. Przez chwilę obaj milczeliśmy. Chuck przetoczył się na grzbiet i zaczął robić to, co psy zwykle robią, gdy są szczęśliwe lub im szajba odbije: tam i z powrotem. . . flip, flop.

— George, a co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Pochowałbym psa raz jeszcze. I zobaczył, co się stanie.

— Wiele więcej chyba nie mogę zrobić, co? — Mógłbyś poddać go kremacji w schronisku w Amerling, ale nie sądzę, żeby to rozwiązało problem.

— Bo i tak wróci?

— Zapewne. . . Tak, wróci.

— Żaden dobry uczynek nie ujdzie kary. Oto, co mnie spotyka za to, że byłem dla niego miły: cholernik wraca, żeby mnie prześladować. Straszyc mnie będzie. To czysty absurd. . . Co mi na język siadło?

— Bo nadprzyrodzone cię osaczyło. Bo nad tym nie panujesz. Jakaś obca siła zaczęła nagle ustanawiać reguły.

Coś przyszło mi do głowy. Było na tyle dziwne i niepokojące, że nie mogłem powstrzymać się, by nie zadać tego pytania.

— Czy to ty, George? Ty to wszystko zrobiłeś? Czy to d l a t e g o przyjechałem dzisiaj właśnie do ciebie? Bo tak zaplanowałeś? Jesteś dziwny. Może nawet dziwniejszy, niż mogę sobie wyobrazić.

— Dziękuję, pochlebiasz mi, ale widzę, że wciąż szukasz logicznych wyjaśnień. Nawet, gdybym to ja wszystko wymyślił, jak wytłumaczysz reprodukcję w albumie?

— Znalazłeś psa, który wygląda jak ten na obrazie. Podrzuciłeś go na parking, wiedząc, że ktoś go tam w końcu znajdzie. . . Nie, to wydumane. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, masa drobiazgów, które mogły nie wyjść.

— Właśnie. Szukasz jasnych odpowiedzi, a tu takich nie ma. Tak naprawdę, to musisz dopiero postawić właściwe pytanie. Potem musisz wejrzeć w swoje serce

i wtedy, nie wcześniej, przyjdzie pora na szukanie odpowiedzi. J a n i e m a m z tym nic wspólnego, ale cieszę się, że do mnie przyjechałeś. Po raz pierwszy zetknąłem się osobiście z cudem. Bo sędzę, że to właśnie cud.

Na tyłach domu George'a rosła wyjątkowo piękna jabłoń, którą zasadził wiele lat temu, gdy się wprowadzał. Był z niej niesamowicie dumny. Przez cały rok stosował opryski, nawadnianie, oglądał drzewo ze wszystkich stron. Jeśli tylko dostrzegał cokolwiek podejrzanego, zaraz wzywał lekarzy od drzew. Jesienią spędzał długie godziny, zbierając ostrożnie owoce. Składał je w wielkich, plecionych koszach, które kupił specjalnie do tego celu. Sam jednak owoców nie jadał, przekazywał je szpitalowi miejskiemu. Ja, owszem, próbowałem jego jabłek. Były koszarne, ale słowa mu nie powiedziałem.

Siedząc pod drzewem, patrzył, jak odrzucam kolejne łopaty ziemi. Zapropo- nowałem mi pomoc, ale odmówiłem, uważałem, że to moja robota. Jeśli Old Vertue przyszedł właśnie do mnie, to ja powinienem go pochować.

— Ile masz lat, Frannie?

— Czterdzieści siedem.

— Zauważyłeś, jak słowa zmieniają swoje znaczenie, w miarę jak się starze- jemy? Gdy byłem młody, to starość lokowałem w okolicach pięćdziesiątki. Teraz mam prawie pięćdziesiąt i starość to osiemdziesiąt lat. Gdy miałem dwadzieścia, miłość kojarzyła mi się z seksowną babką i dobrym małżeństwem. Teraz kocham tylko moją pracę, Chucka i to drzewo. I tyle mi starcza.

Wbiłem łopatę w ziemię i westchnąłem.

— Chcesz powiedzieć, że wszystko jest względne?

— Nie, coś wręcz przeciwnego. W ciągu całego życia znaczenia różnych rze- czy zmieniają się radykalnie, ale ponieważ dzieje się to stopniowo, niczego nie zauważamy. W miarę upływu lat niektóre określenia przestają pasować do tego, co opisują, ale dalej ich używamy.

— Bo to wygodne, a my jesteśmy leniwi.

Wyrzuciłem kolejną pełną łopatę.

— Czy wiesz, że w farsji jest pięćdziesiąt różnych terminów na określenie miłości?

— O czym my właściwie rozmawiamy, George? Oho! Znów jest.

— Co?

— Coś w dole. W tym też. Tak jak poprzednio kość.

— Co to jest?

Pochyliłem się i podniosłem niezwykle kolorowy przedmiot, który dopiero co odsłoniłem łopatą.

— O mój Boże!

— Co, Frannie? Co?

— To... to jest...

— Co?! — dopytywał się natarczywie George.

— Myszka Mickey! — Podrzuciłem właśnie wykopaną gumową zabawkę. — Musiała leżeć w ziemi z dziesięć tysięcy lat.

Nawet on się roześmiał, gdy laleczka zapiszczała mu w dłoni. Dwadzieścia lat temu jakiś dzieciak płakał pewnie całe popołudnie, że ją zgubił.

Więcej odkryć archeologicznych już nie było, toteż gdy skończyłem kopać, złożyłem Old Vertue w kolejnej mogile i raz jeszcze sięgnąłem po łopatę, żeby go zasypać. Zaraz potem Chuck ochrzcił nowy grób, czyli po prostu nań nalał, co było z jego strony najwłaściwszym zachowaniem. Takie psie błogosławieństwo. George i ja postaliśmy tam chwilę ze wzrokiem wbitym w świeżo poruszoną ziemię.

— I co teraz mam zrobić?

— Nic. Poczekaj.

— Może już jest w bagażniku.

— Nie sądzę, Frannie.

— Ale myślisz, że wróci? Że to nie był tylko głupi kawał?

— Właśnie. I dość mnie to wciąga.

— Znałem pewnego gościa, którego żona zaszała, gdy oboje byli po czterdziestce. Spytałem go, jak się z tym czuje, a on powiedział: „Okay, ale prawdę mówiąc, to za stary już jestem na Małą Ligę”. Ja czuję się dość podobnie: za stary już jestem na cuda.

\* \* \*

— Pauline zrobiła sobie tatuaż. — Głos Magdy dopadł mnie tego wieczoru niczym płomień z miotacza ognia ledwie minutę po tym, gdy przekroczyłem próg naszego domu. Niemniej to była sensacja na pierwszą stronę. Omal nie klasnąłem w dłonie, usłyszawszy, że Pleksi porwała się na coś tak nietypowego i sugerującego znaczący wzrost pewności siebie. Tyle że gdybym wyrwał się z podobnym stwierdzeniem, to jej matka dałaby mi popalić. Udałem zatem głęboki namysł.

— No... to jej ciało.

Magda zgromiła mnie spojrzeniem.

— Nie wtedy, gdy robi coś równie głupiego. Co będzie następne? Kolczyk w języku? Masa młodych nakłuwana się różnymi ćwiekami, a ona jest nastolatką i nagle zamarzyło się jej, że będzie modna. Dziś ja będę zrzedzić, a ty nie waż się brać jej strony, Frannie, bo wytatuuję ci głowę.

— On jest duży czy mały?

— Co niby?

— Ten tatuaż.

— Nie wiem. Nie chciała mi pokazać! Obwieściła tylko, co zrobiła, i poszła, nie czekając, aż pozbięram szczękę z podłogi. Moja córka ma tatuaż. Wstyd i hańba.

- Myślałem, że chodziliście dziś razem.
- Owszem! Wybrałyśmy się na deptak w Amerling. Ale po lunchu rozdzieliliśmy się na parę godzin. Gdy się później spotkałyśmy, powiedziała mi, co zrobiła. Ona jest takim spokojnym dzieckiem, Frannie. Co jej strzeliło do głowy?
- Może nie chce już być spokojnym dzieckiem.
- Magda założyła ręce na piersi i postukała stopą.
- No?
- Co no?
- Co zamierzasz z tym zrobić?
- Myślę, kochanie, że najpierw powinniśmy zobaczyć, co to jest. Może zupełnie drobiazg, mrówka czy motylek...
- Mrówka? Kto chciałby chodzić cały w mrówki?
- Zdziwiłabyś się, co ludzie sobie tatuują. Szczególnie w więzieniach...
- Nie zmieniaj tematu. Jesteś jej ojczymem i policjantem.
- Mam ją aresztować?

Podeszła blisko i nagle objęła mnie swymi chudymi rękami. Przysunęła usta na cal do mojego ucha i warknęła złowroźnie:

- C h c ę , ż e b y ś z n i ą p o r o z m a w i a ł .

Tego wieczoru kolacja upłynęła w atmosferze powagi. Szczęśliwie wypadła akurat moja kolejka gotowania, dzięki czemu nie musiałem wysłuchiwać lunatycznej ciszy, która emanowała z salonu. Zwykle bywało całkiem inaczej i nawet przyjemnie. Całą trójką zbieraliśmy się w kuchni i rozmawialiśmy, jak komu dzień minął. Nastawialiśmy przy tym radio na stare przeboje, a gdy trafiał się jakiś szczególnie dobry, to odkładaliśmy na bok, co kto akurat robił, i tańczyliśmy przy Dixi Cups, Fontanie czy Mindbenders.

Tym razem jednak obie kobiety usiadły z jakiegoś powodu w salonie, pięć stóp od siebie, i zaczęły udawać, że pilnie coś czytają. Przypuszczam, że Magda chciała zasugerować córce, jakoby cały ten tatuaż ani trochę jej nie obchodził. Normalka. Tyle że widać było, jak porusza ustami i szuka kwestii, która naprowadziłaby jej zbłąkane dziecko na właściwą drogę. Co do Pauline zaś, to moim zdaniem albo badała grunt, albo chciała nienachalnie dać do zrozumienia, że od teraz będzie robić, co wola i ochota, a nam pozostaje się z tym pogodzić.

Do samego tatuażu nic nie miałem, jeśli nie było to nic głupiego czy obscenicznego, oczywiście. Ciekawiło mnie tylko, czym właściwie ta młoda kobieta postanowiła trwale się naznaczyć, no i gdzie to kazała umieścić. Mieszając zupełnie mulligatawny, zastanawiałem się głośno: „Smok? Nie. Serce?” I tak dalej. Wiedziałem jednak, że jeśli nie zadoścuczynię życzeniu Magdy, to moja kobieta przygotowuje się jak ta bulgocząca na piecyku zupa.

W porę przypomniałem sobie starą zasadę: dziel i rządź. To było to. Otworzyłem kuchenne drzwi i poprosiłem Pauline, żeby zajrzała do mnie na minutkę.

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na matkę, jakby podejrzewała, że to element wcześniej uknutego spisku, ale Magda nawet nie podniosła głowy.

Magda w razie potrzeby potrafiła zmieniać się w posąg. Lodowy i milczący. I z taką miną, że wszystkim w ułamku sekundy mowę odbierało.

Pauline zarzuciła głową jak klacz i pomaszzerowała przez pokój do kuchni.

— Co? — warknęła po kaprałsku, całkiem nie swoim głosem.

Uśmiechnąłem się.

— CO?

— Twoja mama naprawdę da nam popalić, jeśli nie powiesz mi przynajmniej, gdzie i co to jest.

Skrzyżowała ramiona i zacisnęła usta. Dokładnie tak samo jak Magda.

— To moje ciało. Robię z nim, co chcę.

— Niewątpliwie. Ale jeśli na tym poprzestaniemy, to twojej matce bezpieczniki wysiądą. Upór nie poprawi sytuacji.

— No to czego chcesz?

— Gdzie to jest?

Zmierzyła mnie spojrzeniem, wysunęła dolną wargę.

— Nie powiem ci. Próbujesz mną manipulować. Nie cierpię tego.

— Więc co to jest? Tyle chyba możesz mi powiedzieć. Daj mi cokolwiek, bo z pustymi rękami nie uspokoję Magdy. Bądź indywidualnością, bądź sobą, ale pamiętaj, że jesteś też córką. Twoja matka martwi się o ciebie. Nie bądź nierozsądna. Jesteśmy po twojej stronie.

— Żadne takie, Frannie. Nie interesuje mnie, co kto sobie o mnie pomyśli. Chciałam mieć tatuaż i mam. Gdy zechcę przekłuć sobie język, to przekłuję go i już.

Uniosłem oczy do nieba i złączyłem dłonie jak Włoch przy modlitwie.

— Tylko nie mów tego matce, Pauline! Boże! W ogóle nie wspominaj przy niej o przekłuwaniu czegokolwiek.

— Wcale nie planuję się przekłuwać. Mówię tylko, że jak zechcę, to się nie zawaham!

Wspomniałem już, że kiedyś było ze mnie niezłe ziółko. W zasadzie zdołałem sobie z tym poradzić, ale niekiedy coś wraca, wyskakuje jak diabeł z pudełka. Zwykle w mocno niestosownej chwili. Pauline zachowywała się tak arogancko i obłudnie, że młody Fran obudził się i skoczył jej do gardła. Nie dość, że powtórzyłem jej słowa tonem szyderstwa, tak żeby dokuczyć, ale jeszcze zakołysałem przy tym głową niczym niedorozwinięta laleczka z przedstawienia *Punch i Judy*.

— ... jak zechcę, to się nie zawaham!

Trzeba przyznać, że moja pasierbica znalazła w sobie dość zimnej krwi, aby nie skomentować zdarzenia. Spojrzała na mnie tylko przeciągle. I z obrzydzeniem. Pełna niezachwianej godności opuściła kuchnię. Usłyszałem jeszcze, jak jej matka pyta: „Dokąd idziesz?”, a potem odgłos zamykanych frontowych drzwi.

Dwadzieścia sekund później Magda była w kuchni.

— Co jej powiedziałaś? Co zrobiłaś?

— Zawaliłem sprawę. Zacząłem się z niej naśmiewać.

Moja żona stuknęła się w czoło.

— Wiesz co, to wszystko jest śmiechu warte. Zaczynam się zachowywać jak moja matka wobec mojej siostry!

Starsza siostra Magdy została zamordowana, gdy była jeszcze nastolatką. Trzydzieści lat temu. Nieobliczalna dziewczyna, znana powszechnie w Crane's View z tego, że zawsze robiła, co chciała. Magda pamiętała dzieciństwo jako ciąg prawie nieustających pyskówek pomiędzy nimi.

Nagle odezwał się dzwonek przy drzwiach. Spojrzeliśmy po sobie. Pauline? Czemu miałyby dzwonić do własnego domu? Może zapomniała kluczy. Odłożyłem chochlę i poszedłem otworzyć.

Nikogo nie było. Wyszedłem trochę dalej, poza zasięg blasku padającego z werandy, żeby się lepiej rozejrzeć. Wciąż nic. Dzieciaki? Zadzwończyły do drzwi szefa policji i uciekły? Gdy wracałem, coś mnie zatrzymało. Dokładnie rzecz biorąc, zatrzymał mnie mój nos. W powietrzu znów unosił się ten wspaniały zapach. Znacznie słabszy, ale jednak. Ostatnim razem czułem go, gdy Old Vertue pojawił się w garażu. Czyżby to była jego wizytówka? Wolałem nie czekać i załatwić rzecz od razu.

Mimo zostawionej na ogniu zupy przeszedłem przez trawnik do garażu i zająłem do środka. Ktoś siedział w naszym samochodzie na miejscu pasażera. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i zorientowałem się, że to Pauline. Jednak nie od razu mogłem z nią porozmawiać, najpierw musiałem coś sprawdzić. Kluczyki miałem już w dłoni; otworzyłem bagażnik, oczekując sam nie wiem czego. Był pusty. Wypuściłem powietrze. Powoli, z ulgą. Gdyby pies znów się tam pojawił, w chwili gdy Pauline była w samochodzie, to wtedy chyba bym... Sam nie wiem, co bym zrobił. Jednak zapach czuło się w garażu znacznie mocniej, to na pewno.

— Pauline?

— Chcę pełni życia. — Nie poruszyła się. Patrzyła przed siebie i przemawiała do ściany garażu.

— Nie ma w tym nic złego. Pełnia życia należy się każdemu.

— W zeszłym półroczu czytaliśmy pewien wiersz. Przestraszył mnie. Nie mogę przestać myśleć o jednym wersie: „Jak skryć się przed czymś, co nie znika”. I stąd tatuaż. Mama myśli, że chcę być taka jak wszyscy, ale to wręcz odwrotnie. Chcę, żeby w szkole o tym usłyszeli i spytali: „O n a, Pauline Ostrova? Ten głupi mól książkowy ma t a t u a ż?” Nie chcę być tym, kim jestem, gdy będę starsza, Frannie. Nadusiłam dzwonek, aby nie być sama. Miałam nadzieję, że mnie znajdziesz.



— I dobrze. Może jednak wróciłabyś do domu? Zupa już gotowa. I zapamiętaj jedno: głębokie lęki mobilizują bardziej niż cokolwiek innego. Żaden sprawdzian z matmy nie doda ci nigdy takich skrzydeł jak byle duch.

Nadal tkwiła w bezruchu.

— Nie żałuję, że to zrobiłam. Że zrobiłam sobie ten tatuaż.

— Nie musisz. A swoją drogą, co to jest?

— Nie twoja sprawa.

\* \* \*

Życie popłynęło dalej. Zjedliśmy zupę, poszliśmy spać i wstaliśmy następnego ranka, by stawić czoło tej przyszłości, która tak niepokoiła Pauline. Old Vertue nie pojawił się ponownie. Schiavowie też nie wrócili. Powietrze zaczęło pachnieć jak zwykle, samochód zapalił. Johnny Petangles wpadł do jednego z rowów, które kopali nad rzeką, i zwichnął sobie nogę w kostce. Susan Ginnety wyjechała na konferencję burmistrzów małych miast, a po powrocie nie zastała już męża w domu. Wyprowadził się. Pechowo dla pani burmistrz, Frederick wynajął dom ledwie cztery przecznice dalej. Gdy wpadłem na niego na rynku, powiedział, że Susan może wyrzucić go ze swego życia, ale nie zmusi do porzucenia miasta, które tak bardzo polubił.

Zdziwiłem się. Prawdę mówiąc, Crane's View nie jest przesadnie urokliwe. Większość ludzi mieszka tu przez pomyłkę lub w oczekiwaniu na przeprowadzkę do innego, bardziej malowniczego miasteczka w Dolinie Hudsonu. Przejedni zatrzymują się jedynie po to, by zjeść coś w kafejce u Scrappy'ego lub pizzerii Charliego. Niektórzy obejdą jeszcze potem kwartał ulic dla lepszego trawienia.

Ja mieszkam tu, bo lubię znajome, dawno oswojone kąty. Idąc spać, zawsze stawiam kapcie w tym samym miejscu, na śniadanie jadam niemal zawsze to samo. Gdy byłem młodszy, obejrzałem dość świata, żeby przestały kusić mnie kraje, które umieszczają na znaczkach pocztowych słonie, pingwiny czy węże *coluber de rusi*. Wielkie dzięki. Podobnie jak inni z mojego pokolenia, które przeszło przez piekło Wietnamu, sporo podróżowałem przed powrotem do domu. Potrafię spać spokojnie nawet wtedy, gdy charczący wielbłąd wtyka mi łeb do sypialni (tak było w Kabulu). Wiem, jak smakują owoce mango kupione na targu w Port Louis na Mauritiusie. Crane's View kojarzy mi się z kanapką z masłem orzechowym: bardzo sycące, bardzo amerykańskie, słodkie i całkiem nieinteresujące. I takim je, Boże, pobłogosław.

\* \* \*

Kilka nocy później stuknięty krasnoludek, który zagnieździł się w moim pęcherzu około czterdziestki, zażądał, bym udał się do kibla: teraz i zaraz! Witaj,

wieku średni. To czas, kiedy przekonujesz się, że twoje ciało nie jest monolitem, ale składa się z rozmaitych części, przy czym nie wszystkie działają, jak należy.

Magda owinęła się wkoło mnie w miły i dobrze znajomy sposób. Wymamrotała coś zmysłowo, gdy się wyplątywałem. Moja pierwsza żona spała zawsze tak daleko, że bez megafonu nawet o zwrot koca nie mogłem się doprosić. Był środek nocy, ale wstając, myślałem przede wszystkim, jak bardzo kocham tę kobietę obok mnie. Ucałowałem jej ciepły od snu policzek i poszedłem. Boso, więc od razu poczułem, jak zimne są deski podłogi. Drobnym, ale widocznym znakiem nadciągającej jesieni.

Nocą twój dom zawsze nabiera tajemniczości. Słyszysz to, co zwykle tonie w zgiełku dnia. Podłoga skrzypi na wiele tonów, plaskanie stóp odbija się szorstkim echem. Na szybie drzemie tłusta mucha, czarny punkt na tle niebieskawego blasku z ulicy. Wyczuwasz woń kurzu i wypełzający z kątów chłód.

Ruszyłem korytarzem do łazienki. I zdumiałem się. W łazience paliło się światło, cicho grała muzyka. Gdy podszedłem bliżej, poznałem głos Boba Marleya śpiewającego *No Woman, No Cry*. O drugiej w nocy. Drzwi były uchylone na jakieś dwa cale. Pochyliłem się i zajrzałem.

Pauline stała plecami do mnie i podziwiała się w lustrze. Naniosiła już na powieki i okolice dość czarnego makijażu, by wrony wzięły ją za swoją. Była też całkiem naga. Moja pierwsza reakcja była odruchowa. O-o! I szybko się cofnąłem, coś jednak utkwilo mi w pamięci i nie chciało dać spokoju. Nie chodziło o widok nagiego ciała mojej pasierbicy. Nie pragnąłem wcale oglądać Pauline nagiej, ani teraz, ani potem, ani nigdy, ale musiałem zerknąć raz jeszcze. Szczęśliwie ona wciąż zajęta była wyłącznie swoim odbiciem i nie zauważyła wuja Frana w roli podglądacza.

Był! Dokładnie na linii kręgosłupa, w miejscu, gdzie plecy przechodzą w pośladki. Tam był ten fatalny tatuaż. Z powodu położenia mało kto miał szansę kiedykolwiek go ujrzeć, prócz samej Pauline i jej kochanków, oczywiście. Mógłby być dla nich całkiem miłym prezentem, gdyby nie to, co przedstawiał. Długie na jakieś siedem cali pióro, które znalazłem w domu Schiavów i pogrzebałem (dwa razy) z Old Vertue. Te same dzikie kolory, wzór nie do pomylenia. Wszystko zostało pięknie odrobione tuż nad zgrabnym tyłeczkiem.

Cofnąłem się i poszedłem sobie. Znowu ten sam widok. I w takim miejscu! Byłem na tyle wstrząśnięty, że omal nie zapomniałem, jak bardzo muszę się wysikać. Pozostało mi skorzystać z toalety na dole. I dobrze, że mnie potrzeba przypiliła, bo w przeciwnym razie pewnie stałbym tam osłupiały przez najbliższą godzinę. Nagle przestało mi być zimno, znikło gdzieś miłe, senne odrętwienie. Gdziekolwiek bym się obrócił, zewsząd wyzierało coś paskudnego. Osaczało mnie, szukało wciąż nowych sposobów, żeby zakrzyknąć: JUHUU! ZNOWU JESTEM!

Wyobraziłem sobie Pauline wchodzącą do stylowej pracowni tatuaży na deptaku w Amerling i przeglądającą katalogi rozmaitych wzorów. Otwiera czwarty,

widzi osiemnaście zdjęć i myśli: „Ale ładne to pióro. Niech będzie”. A może jakaś siła magiczna wtrąciła swoje trzy grosze, wmówiła jej ten wybór? Czy to był jej własny pomysł, czy może wszyscy jesteśmy już pod wpływem owego czegoś?

Na dole czekał na mnie Smith. Świetny facet, sam potrafi się sobą zająć, znika gdzieś na większość dnia, nocą krąży po domu. Towarzyszył mi do kibla, wywijając ogonem. Zanim się ożeniłem z Magdą, przegadywałem z nim długie godziny. Z nim jedynym, ale tylko on wyszedł ze mną cało z poprzedniego związku. Sporo o mnie wiedział. Byłem mu zobowiązany, że tak cierpliwie słuchał, i nie kryłem mej wdzięczności.

Pozbywając się balastu, myślałem o kobietach na górze. O nagiej Pauline, która o drugiej w nocy malowała się na czarno, aby wydobyć swe prawdziwe ja. Czarne oczy i tatuaż na kręgosłupie. Jedno i drugie pasowało jej nie bardziej niż męskie chodaki numer trzynaście. I o Magdzie, która spała spokojnie, całkiem nieświadoma zajść ze wstającymi z grobu psami i tego, że jej córka postanowiła wyruszyć sama jedna do ciemnego lasu na obrzeżach swego życia.

Lżejszy o dziesięć funtów umyłem ręce. Wycierając je różowym ręcznikiem, zadumałem się nad kolejami losu, które nauczyły mnie znosić ten kolor. Nie cierpię różowego. Nigdy nie myślałem, że będzie mi się pchał codziennie w pole widzenia. Ale Magda uwielbiała różowy, toteż w całym domu było go pełno, aż oczy bolały. Zgasilem światło i skierowałem się ku schodom.

— A od kiedy to myjemy ręce po sikaniu?

Światło z ulicy kładło się półcieniami na części podłogi w salonie, wypełniając go chromowymi błękitami i duchami sprzętów. Na moim ulubionym fotelu na prawo od okna ktoś siedział. Nogi wyciągnął aż do płamy światła. Dojrzałem też poruszający się koci ogon. Smith stał na kolanach tego kogoś.

— Kim jesteś? Co robisz w moim domu?

Wszedłem do pokoju i stanąłem pod ścianą, obok włącznika lampy. Ale go nie przekręciłem. Najpierw chciałem usłyszeć coś więcej.

— Spójrz na swego kota. Nic ci to nie mówi?

Czy ten głos był znajomy? I tak, i nie. Powinienem go poznać? Czy to możliwe?

Patrzyłem na Smitha. Był wyraźnie zadowolony, na pewno był, skoro nie schodził i tylko powoli zamiatał ogonem. Smith nie znosił, żeby go chwytać. Nie cierpiał nawet dotykania. Lubił panować nad sytuacją. Jeśli ktoś go podniósł i spróbował pogłaskać, kocur wyrywał się natychmiast, a przytrzymany naprężał się i warczał. Był tylko jeden wyjątek. Ponieważ wiedział, że go szanuję i poważam, u mnie zachowywał się spokojnie. Zwykle mościł się wygodnie na moich rękach czy kolanach na parę chwil, czasem nawet pomruczał.

Jednak więcej niż kot wyjaśniły mi buty. Póki nie skupiłem na nich spojrzenia, za nic nie mogłem, a zapewne i nie chciałem, odgadnąć, kto właściwie siedzi na

moim fotelu, z moim kotem na kolanach. Dopiero lśniące w tym zmysłowym blasku obuwie odpowiedziało to, co chyba już i tak wiedziałem.

Gdy byłem dzieciakiem, chłopaki w naszym miasteczku nosiły tylko jeden rodzaj butów: wysokie trampki. Czarne. Do wyboru były dwie marki: „Chuck Taylor” z Converse albo PF Flyers, ale tylko te dwie. Jeśli ich nie miałeś, to cię nie było. Dzieciaki lubią się uważać za indywidualistów, ale nikt poza armią nie przestrzega przepisów ubiorczych tak dokładnie, jak bandy nastolatków.

Gdy zatem mój ojciec wrócił z podróży służbowej do Dallas i wręczył mi parę pomarańczowych butów kowbojskich (pomarańczowych!), o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Buty kowbojskie? Za kogo on mnie ma? Za Samotnego Strażnika? Kochałem mojego starego, kochałem go nawet jako największy łajdak, ale czasem wysiadałem. Wziąłem buty do pokoju i cisnąłem je w czarną dziurę szafy. *Adios, companiero.*

Jednak następnego ranka, gdy sięgałem do szafy po koszulę, znowu weszły mi w oczy. Wciąż lśniące i jaskrawopomarańczowe. Spojrzałem na nie, potem na moje znoszone ze szczeniem czarne trampki, które stały obok na podłodze. I uśmiechnąłem się. Wziąłem te buty, włożyłem je i zacząłem w nich nowy dzień. Byłem najgorszym chłopakiem w mieście. Najbardziej zepsutym. Mało kto w Crane’s View nie darzył mnie nienawiścią, a i ta grupka miłosiernych popełniała po prostu błąd. Wiedziałem, że nawet gdybym pokazał się w futrach jak Roy Rogers, nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie spróbowałby otwarcie śmiać się ze mnie czy mnie zaczepiać. Zjadłbym takiego gnojka żywcem. Nosilem potem te kowbojskie buty, aż prawie nic z nich nie zostało, i pewnego dnia z wielkim żalem musiałem je wyrzucić.

Tej nocy wpadająca przez okno poświata oświetliła właśnie pomarańczowe, kowbojskie buty. Z daleka wyglądały na nowe. Przesunąłem spojrzenie wyżej, na nogę, na tułów, a ostatecznie, po chwili potrzebnej do zaczerpnięcia oddechu, zerknąłem na twarz.

— Sukinsyn!

— Nie, małpa utrapiona!

To byłem ja. Siedemnastoletni.

— Umarłem, prawda? Umarłem, tylko o tym nie wiem. Wszystkie te dziwa zdarzają się, bo umarłem, tak?

— Żadne takie.

Łagodnie zdjął Smitha z kolan i postawił go na podłodze. Gdy się zbliżył, światło padło na jego koszulę. Serce zabiło mi mocniej, bo pamiętałem tę koszulę w szeroką, granatowo-czarną kratę. Ukradłem ją w sklepie przy Czterdziestej Piątej Ulicy w Nowym Jorku. Schowany w kabinie oddarłem z niej wszystkie metki, włożyłem ją i wyszedłem. Na wieszaku została moja stara koszula.

— Nie, nie umarłeś. Ja zresztą też nie. Nie wiem, gdzie, do cholery, byłem, ale pieprzyć. Wróciłem do domciu! Nie cieszy cię widok starej małpy?

Małpa utrapiona. Od lat nie słyszałem tego zwrotu. Kiedyś ojciec przyszedł odebrać mnie z posterunku. Gdy byliśmy już na ulicy, złapał mnie za ramiona i potrząsnął. Nie był ani wysoki, ani silny, jednak czasem go nosiło, a wtedy bałem się mojego starego jak cholera. Może dlatego, że naprawdę go kochałem, ale wciąż go rozczarowywałem i nic nie potrafiłem na to poradzić. W głębi serca bardzo chciałem, żeby mógł być ze mnie dumny. Zwykle jednak górę brał łajdak i mój stary lądował w gównie. Dlaczego mimo to ciągle mnie kochał, pozostaje niezgłębioną zagadką.

— Jesteś pieprzoną małpą, Frannie. Popierdolonym małpiszonem. I ranisz mnie, małpo utrapiona. Niech cię cholera.

Jego słownictwo wstrząsnęło mną bardziej niż cokolwiek innego. Mój ojciec rzadko przeklinał, a TYCH słów nigdy nie używał. Miał na to za dużo rozumu; uwielbiał metafory i grę słów: „Dotrzeć do ciebie, synu, jest równie trudno, jak pensa podnieść z podłogi”. Jego hobby były krzyżówki, rebusy i palindromy. Znał na pamięć masę wierszy, jego ulubieńcem był Theodore Roethke. Zwroty typu „pieprzyć” czy „pierdolić” żadną miarą nie mieściły się w jego słowniku mowy potocznej. A teraz użył ich wobec mnie, i to dwukrotnie w ciągu pięciu sekund.

— Przykro mi, tato. Naprawdę mi przykro.

Złapał mnie za kark i przyciągnął bliżej do siebie. Czułem wręcz promieniującą od niego złość.

— Wcale nie jest ci przykro, małpiszonie. Gdyby ci było przykro, to mógłbym jeszcze mieć nadzieję. Jesteś młody i sprytny, ale już po tobie. Przegrałeś. Nigdy nie myślałem, że będę musiał ci to powiedzieć, Frannie. Wstyd mi za ciebie.

Ta krótka konfrontacja nie odmieniła mojego życia, ale zadana jego słowami głęboka rana długo nie chciała się zagoić. Wcześniej byłem dobrze opancerzony, żaden pocisk się mnie nie miał. Do tamtego dnia. Potem zwrot „małpa utrapiona” stał się dla mnie symbolem tej chwili, gdy coś skończyło się w moim życiu.

— No?

— Co no?

— Stoję tu po tylu latach, pieprzony przykład cudu, a ty tylko gały na mnie wybałuszasz.

— A co mam zrobić?

— Pocałować mnie.

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął paczkę marlboro. Ukochany czerwono-biały pakuneczek wonnej śmierci. Palilem je przez całe życie i zawsze mi smakowały. Wszystkie, co do jednego. Magda chciała, żebym przestał, ale odmówiłem stanowczo.

— Chcesz jednego?

Przytaknąłem i przeszedłem do niego przez pokój. Potrząsnął paczką, kilka papierosów się wysunęło. Wręczył mi poobijaną zapalniczkę Zippo. Zaraz ją poznałem i uśmiechnąłem się. Na boku miała wygrawerowany napis: „Frannie i Su-

san — wieczni kochankowie”. Susan Ginnety, obecnie pani burmistrz Crane’s View, wtedy zakochana we mnie bez reszty niewolnica.

— Zapomniałem o tej zapalniczce. Wiesz, co teraz robi Susan?

Zapalił swojego i sztachnął się potężnie.

— Nie, i nie mów mi. Słuchaj, musimy pogadać o tym wszystkim. Gdzie chcesz, tutaj czy na zewnątrz? Mnie wszystko jedno. — Zachowywał zwykły chłód i opanowanie, ale widać było, że wolałby wyjść. Znalazłem szybko dres, potrzebowałem jeszcze butów i kurtki.

Gdy byłem gotowy, otworzyłem jak najciszej tylne drzwi i pokazałem gestem, żeby szedł za mną.

— Nie martw się, nikt nas nie usłyszy. W moim towarzystwie giniesz dla świata.

— Jak to działa?

Zetknął oba palce wskazujące. Samymi koniuszkami.

— Gdy ty i ja jesteśmy razem, wszystko inne się zatrzymuje, rozumiesz? Ludzie, przedmioty, wszystko, co działa, zamiera.

Spojrzałem pod nogi. Kot wychodził z nami.

— Wszystko, tylko nie Smith.

— No i dobrze. Będzie nam potrzebny.

Spojrzałem na oddalonego ode mnie o stopę młodzieńca, potem na Smitha.

— Czemu mnie to już nie rusza?

— Bo od dawna wiedziałeś, że do tego dojdzie.

— Co niby wiedziałem? Nabijasz się?

— Skręca mnie ze śmiechu. Chodźmy.

# RÓŻ CHOWANIE

Plwocina wylądowała parę cali od mojego buta. Zerknąłem na nią i odwróciłem się powoli, by spojrzeć mu w oczy. Wiedziałem dokładnie, co robi. I dlaczego.

— Jak palnę cię w łeb, to też to poczuję?

Prawa ręka, ta z papierosem, zastygła w pół drogi do ust.

— Spróbuj, dupku. Tylko spróbuj.

W jego głosie brzmiało coś więcej niż ponura groźba. To była raczej obietnica. W swoim czasie pół hrabstwa bało się mojego głosu, ale tego wieczoru miałem ochotę tylko pogłaskać chłopaka po głowie i powiedzieć: Hola, spokojnie, wszystko będzie dobrze, mój mały. Nie musisz pluć na mnie, żeby nabrać ważności.

— Nie zapominaj, junior, że mam nad tobą przewagę. Znam i ciebie, i siebie. Ty znasz tylko siebie, nie wiesz, jaki będziesz za trzydzieści lat.

Strzelił papierosem, który poleciał aż na ulicę i rozsypał się rozbłyskiem złoty i czerwonych iskier. Gdy mój gość znów się odezwał, miejsce złości zajęło całkiem szczerze przygnębienie.

— Jak mogłeś tak skończyć? Siedziałem sobie w tym domu i myślałem: To jest to? To mnie czeka? Żółte krzesła w kwiatki i TIME z zeszłego tygodnia? Bill Gates. Kto to jest, do kurwy nędzy? Co się z tobą stało? Co się stało z e m n ą?

— Wyrosłeś. Tylko krowa na pastwisku się nie zmienia.

A ty jak sobie wyobrażasz swoje przyszłe życie?

Skinął w kierunku domu.

— Nie tak! Nie jak ty! Żadnego „Ojciec wie lepiej” czy „Andy Griffith Show”. Wszystko, tylko nie to.

— Co zatem?

Przycichł, wyraźnie się rozmarzył.

— Nie wiem, pewnie jakiś sympatyczne mieszkanko w Nowym Jorku. Albo w LA. Kudłate dywany, białe, skórzane meble, porządne stereo. I kobiety... masa kobiet. A ty jesteś żonaty! Z Magdą Ostrową, na rany Boga! Z pokręconą Magdą z dziesiątej klasy!

— Nie sądzisz, że jest ładna?

— Jest... jest w porządku. Jest kobietą. Ale... ona ma ze czterdzieści lat!

— I ja też, braciszku. Jestem nawet starszy.

— Wiem. Ciągłe mi się to we łbie nie mieści. — Przytaknął ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Ejże, żebyśmy się źle nie zrozumieli. . .

— Wszystko gra.

Idąc ulicą, próbowałem spojrzeć na mój świat jego oczami. Na ile różnił się od tego sprzed trzydziestu lat? Co się zmieniło? Kiedykolwiek myślałem o Crane's View, zawsze pojawiała się uspokajająca refleksja, że tutaj prawie nic się nigdy nie zmienia. No, co najwyżej sklepy na przedmieściach. I czasem stanie nowy dom. Ale z jego perspektywy to mogło być coś kompletnie obcego.

Dom jest tam, gdzie jest ci najwygodniej. Ale nastolatek czuje to inaczej niż dorosły. Gdy byłem dzieckiem, miałem Crane's View za trampolinę, która wystrzelił mnie do wielkiego basenu. Podskoczyłem na niej, sprawdziłem sprężystość i pomyślałem, w jakim stylu skoczyć. Gdy byłem już gotowy, wziąłem rozbieg i zebrawszy całą odwagę, wyleciałem w powietrze. Na ślepo, ale pełen wiary. W młodości czułem się dobrze w tym miasteczku, bo wiedziałem, że pewnego dnia je opuścę i wezmę się do czegoś wielkiego. Ani przez chwilę w to nie wątpiłem. Mimo iż ledwo radziłem sobie w szkole, byłem notowany na policji i nikogo i niczego nie szanowałem, oczekiwałem, że woda, która mnie przyjmie, będzie przyjazna i ciepła.

— Gdzie tata?

— Zmarł cztery lata temu. Możesz odwiedzić go na cmentarzu.

— Podobało mu się, jak żyjesz?

— Tak. Bardzo się cieszył.

— A miał mnie za dupę wołową — powiedział niby tonem żartu, ale wyczułem w tym bardzo wiele żalu.

Chwilę szliśmy w ciszy. Noc była zimna. Chłód chodnika przenikał przez cienkie podeszwy butów.

— Jaka jest ta córka Magdy?

— Pauline? Bardzo bystra, dobrze idzie jej w szkole. Trochę odludek.

— No to co robiła w środku nocy naga przed lustrem w łazience?

— Przypuszczam, że szukała sobie nowego ja.

— Niezła jest. Tylko wyprzedzenie mogłaby jeszcze podhodować.

Aż mnie skreśliło od tego tekstu. Nie miałem ochoty rozprawiać w podobny sposób o Pauline, szczególnie po tym krępującym dość zdarzeniu, gdy sam ujrzałem ją nagą. Chwilę potem uśmiechnąłem się krzywo: przecież to ja sam mówiłem. Siedemnastoletni ja. Jednak zaraz usłyszałem coś, co skierowało moje myśli w zupełnie inną stronę.

— Musisz mi pomóc, bo ja nic nie wiem.

— Że jak?

Zatrzymał się i dotknął mej ręki. Lekko, jakby wcale nie chciał, ale uznał, że to konieczne.



— Wiem trochę, ale nie tyle, ile zapewne oczekujesz. Nie wiem nic o tym, co tu się działo, gdy mnie nie było. Pamiętam świetnie wszystko z przedtem, gdy dorastałem i tak dalej, ale nic z potem.

— No to czemu tu jesteś?

— Popatrz na swojego kota. On ci powie.

Smith towarzyszył nam, ale po swojemu: kręcił się nieustannie pod nogami, jakby chciał oplatać nas razem niewidzialną nicią. Ogólnie trudna sprawa, chyba że jest się kotem, oczywiście.

— Jestem tu, bo mnie potrzebujesz. Potrzebujesz mojej pomocy. Teraz w lewo. Idziemy do domu Schiavów.

— Właśnie powiedziałeś, że nie masz pojęcia, co tu się dzieje. Skąd wiesz o Schiavach?

— Słuchaj no, nie próbuję cię oszukać. Powiem ci, co wiem. Jeśli myślisz, że bujam, to twój problem. Oto, co wiem o Schiavach: pobrali się, a wczoraj zniknęli. Musimy iść do ich domu, bo masz tam coś zobaczyć.

— Czemu?

— Nie wiem.

— Kto cię przysłał?

Pokręcił głową.

— Nie wiem.

— Skąd przybyłeś?

— Nie wiem. Z ciebie. Skądś w tobie.

— Pomocny jak guz odbytu, kurczę.

Obrócił się i idąc tyłem, spojrzał mi w twarz.

— Co się dzieje z Vince'em Ettrichem?

— Został biznesmenem. Mieszka w Seattle.

— Sugar Glider?

— Wyszła za Edwina Loosa. Mieszkają w Tuckahoe.

— Jezu, n a p r a w d ę się pobrali! Zdumiewające. A co z Alem Salvato?

— Nie żyje. Zginął z całą rodziną w wypadku samochodowym. Tuż pod miastem.

— Ile masz teraz lat?

— Czterdzieści siedem. Nie wiedziałeś? Nie powiedzieli ci?

Wydał dolną wargę.

— Gównu mi powiedzieli. Myślisz, że Bóg pokazał mnie palcem i powiedział: IDŹ! To nie było jak w *Dziesięciu przykazaniach*. Żadnego pieprzonego Charltona Hestona rozdzielającego wody laską. Po prostu w jednej minucie byłem gdzie indziej, a w następnej tutaj.

— Wiele wyjaśniasz. — Już miałem pociągnąć wątek, gdy nagle dobiegł mnie odgłos uderzeń, jakby ktoś młotkiem pracował. O trzeciej nad ranem? — Słyszałeś?

Przytaknął.

— Dochodzi skądś przed nami.

Szybko strzelił oczami na lewo i na prawo, potem znów spojrzał na mnie. Wyraźnie nie mówił wszystkiego, co wiedział.

— Wiesz, co to jest?

— Po prostu chodźmy, dobra? Poczekaj, aż będziemy na miejscu. — Dalej szedł tyłem, ale teraz już na mnie nie patrzył.

Było jasne, że nie zamierza wyjawić mi niczego więcej, zacząłem zatem z innej beczki.

— Wciąż nie pojmuję, gdzie byłeś. Powiedziałaś, że gdzie indziej, a potem tutaj. Gdzie jest to gdzie indziej?

— A gdzie się podziewasz, gdy się zdrzemniesz? Albo gdy śpisz w nocy? Gdzieś tam właśnie. Naprawdę nie wiem. Gdzieś niezupełnie tutaj, ale i niezbyt daleko. To, kim i gdzie byłeś, zawsze zostaje blisko. Już nie w tym samym pokoju, ale jednak. Nie ten pokój, ale ten sam dom.

Zanim zdążyłem sobie to przetrawić, znaleźliśmy się już o przecnicę od domu Schiavów. Nawet z pewnej odległości widać było, że dzieje się tam coś dziwnego.

Dom pławił się w blasku. Wyspa pośród ciemności. Ze wszystkich stron otaczały go skierowane na ściany jupitery. Jak podczas katastrofy kopalnianej, tak pomyślałem. Wiecie, jak na tych zdjęciach w telewizji i magazynach. Zdjęciach z Anglii, Rosji, Wirginii Zachodniej czy jeszcze skądś. Głęboko pod ziemią zdarzyło się coś złego, jakieś tąpnięcie czy eksplozja, i ratownicy próbują się dokopać do zasypanych. Pracują nieustannie przez trzydzieści godzin, a wszędzie jest jasno jak w dzień, tak z dziesięć milionów świec.

Tak właśnie wyglądał na tle czarnej jak smoła nocy dom Schiavów. Widok był tak osobliwy i surrealistyczny, że niezależnie od tego, co tutaj robiono, musiał budzić podejrzenia.

Wkoło kręcili się ludzie. Robotnicy. Gdy podeszliśmy bliżej, przyjrzałem się im ciekaw, czy może kogoś rozpoznam. Nosili pomarańczowe i żółte kaski, ale poza tym każdy ubrany był po swojemu. Wznosili rusztowanie. Szybko i sprawnie oplatali dom siecią krzyżujących się rur, podpórek i łączników. Gdy skończyli, budynek przypominał owada uwięzionego w gigantycznej metalowej pajęczynie. Zatrzymaliśmy się na chodniku naprzeciwko i patrzyliśmy na pracujących. Starczyło pięć minut, aby pojąć, że ci chłopcy świetnie znają się na swojej robocie. Żadnego zbędnego wysiłku czy ganiań wkoło, brak stojącej z boku grupki obiboków obżerających się kolejnym śniadaniem. Ekipa podchodziła do sprawy poważnie: chcieli załatwić swoje i zniknąć.

Ale najbardziej niezwykle było to, jak mało robili hałasu. Aż się prosiło, żeby cała ta niezwykła scena rozgrywała się w ciszy, ale nie. Słyszałem, jak czasem metal uderzył o metal, jak skrzypnęło coś dopasowywanego, jak wbijali bolce,

ustawiali wynoszone coraz wyżej elementy. Jednak przy takiej krzątaninie grupa ludzi powinna wywoływać nie lada harmider. A nie wywoływała. Coś było słychać, ale nie dość, aby uwierzyć, że to dzieje się naprawdę: jak oni mogą pracować tak cicho?

— Nie hałasują.

Chłopak potarł nos.

— Też mi się rzuciło w uszy. Jakby kto tłumik na nich nałożył.

— Co oni robią z tym domem? Po co to rusztowanie? Czemu stawiają je w środku nocy?

— Cholera wie. — Ani trochę mu nie wierzyłem, ale nie było sensu się kłócić. Powie mi tyle tylko, ile sam zechce, a reszty muszę się domyślić.

Podszedłem do domu i zapytałem jednego z robotników o majstra. Wskazał na ciemnego i wysokiego mężczyznę, na oko Indianina, który przechodził akurat w odległości paru stóp. Starczyło kilka szybkich kroków, żeby się z nim zrównać.

— Przepraszam, czy mogę zabrać panu minutkę? Spojrzał na mnie z góry, jakbym był oberżyną albo kurwą, a on namyślającym się klientem.

— Nazywam się McCabe. Jestem szefem policji w Crane's View.

Majster obojętnie założył ręce na piersi i nic nie powiedział.

— Kto was tu przysłał? Czy macie pozwolenie na roboty? Co robicie? Gdzie są Schiawowie?

Pozostał niemy, ale po chwili kąciki ust zaczęły mu dziwnie drżeć, jakbym powiedział coś śmiesznego. Odtworzyłem sobie w myślach całą moją kwestię, ale niczego zabawnego w niej nie znalazłem.

— Zadałem pytanie.

— Czo ne żnaczy, że ja musze odpowiedzecz. — Mówił z trudnym do pomylenia, chropawym indiańskim akcentem, przy którym język sterczy w gębie nie używany, niby byk na środku drogi, i każde słowo musi go omijać, żeby wydostać się u ust.

— Wyjaśnisz czy nie? — Chłopak podszedł do majstra na zasięg ręki. W jego głosie brzmiała czysta zaczepka, werbalny cios prosto w dołek.

— Niczego nie wyjaśnię! Pracuję! Nie widzicie, że jestem zajęty?

— Jak cię w dupę kopnę, to ci pracowitość przejdzie, Gunga Din.

Oczy Indianina rozszerzyły się z niedowierzania i wściekłości.

— Ty mały popierdo. . .

ŁUP! Dzieciak kopnął go w jaja tak szybko i mocno, że aż echo poszło. Mężczyzna złapał się za klejnoty i upadł, ciężko łapiąc powietrze. Ledwie wylądował na ziemi, chłopak kopnął go jeszcze w twarz — trzask trzask trzask — z takim zamachem, jakby drzwi chciał wyważyć. Z rękami bardzo zajętymi w okolicy krocza majster nie miał żadnych szans, żeby osłonić głowę przed ciosami.

Chłopak uśmiechnął się i rozpostarł po ptasiemu ramiona, jakby szykował się do greckiego tańca *sirtaki*. Grek Zorba w klasycznym tara tam tam tam. . . Jego

atak był niewiarygodnie szybki i złośliwy. Z całkowitego bezruchu w mgnieniu oka rozpedził do setki. I ten dzieciak to byłem ja.

Kiedy widziałem, jak atakuje, coś krzyknęło we mnie: TAK!

Z latami tracimy to. Ulatuje gdzieś porywczość, odwaga, mroczne szaleństwo. Wraz z nimi odchodzi młodość, umiejętność przeżywania każdej minuty w pełni, do końca. Znika, wycieka z nas jak woda przez szpary w wiadrze. Szczeliny tym większe, im jesteś starszy. Zaczyna się, gdy wykupujesz pierwszą polisę na życie. Albo obciążasz sobie hipotekę. Lub słyszysz, że ostatnie badania kontrolne nie wyszły najlepiej. Ciepła kąpiel? To konieczność już tylko, a nie przyjemność. Bezpieczeństwo bierze górę nad spontanicznością, wygoda staje się ważniejsza od głodu nowości. W głębi ducha nie cierpiałem tego. Nie starzenia się, ale tych zmian, gdy stajesz się łagodniejszy, uczciwszy, przewidywalny, bardziej na dystans i jeszcze sceptyczny jak diabli. Taki chłopak musiał mi się w gruncie rzeczy spodobać. Szczególnie, gdy rzucił się na mężczyznę i skopał go bez powodu; za to tylko, że tamten miał nas gdzieś i spojrzął na nas pogardliwie. Najchętniej bym się przyłączył. Czy wstydzę się tego wyznania? Ani trochę.

Złapałem chłopaka i odciągnąłem go od Indianina. Był cały napięty, stalowe mięśnie pod prądem. Jestem bardzo silny, ale nie wiedziałem, czy dam mu radę.

— Przestań! Starczy. Leży, wygrałeś.

— Odwal się, dupku! — Znów spróbował kopnąć, ale był już za daleko.

— Starczy!

— Nie pierdol. . . — Obrócił się i chciał uderzyć mnie w twarz, ale zablokowałem cios, złapałem rękę i wykręciłem mu ją do tyłu. Dodatkowo założyłem mu jeszcze nelsona.

I źle zrobiłem. Obcas kowbojskiego buta wylądował na mojej prawej stopie. Zabolało jak cholera. Puściłem go. Odskoczył i zaczął tańczyć wkoło niczym bokser. Uchyłał się, wywijał rękami, wyprowadzał ciosy w powietrze. Z kim walczył? Ze mną, z Indianinem, z całym światem. Z życiem.

— Za kogo się masz, kurwa? Myślisz, że mnie pokonasz? Że mnie załatwisz? Dalej, spróbuj!

Stałem jak flaming na jednej nodze, masowałem pulsującą bólem stopę, a nastolatek kusił i groził, i obtańcowywał mnie wciąż niczym Muhammad Ali. Indianin leżał na brzuchu z dłońmi pod sobą i jęczał, a obok zebrała się już grupka robotników. Patrzyli, jak się bawimy. W końcu jeden z nich wysunął się i rąbnął czymś dzieciaka w głowę. Potem stanął ogłupiały z deską 2x4 w dłoni, jakby czekał, aż ktoś powie mu, co teraz zrobić.

Chłopak opadł nagle na czworaki i zwiesił głowę. Ktoś pomagał Indianinowi wstać. Spróbowałem podeprzeć się przydepniętą stopą. Wciąż bolała, ale poważniejszych szkód nie odniosła.

— Dobra, dość tego. Kto tu rządzi, co to za firma, gdzie macie pozwolenie? Chcę je zobaczyć. Natychmiast.

— Frannie? — rozległ się znajomy głos. Chłopak uniósł powoli głowę znad chodnika, bo to było także jego imię. Obok stał Johnny Petangles z wielką butlą wody sodowej. Patrzył na mnie obojętnie. — Co tu robisz, Frannie?

Spojrzałem na niego, na dom, robotników, na małego Frana na ziemi. Poczuję, że jestem w centrum powszechnego zainteresowania. Tyle że wszyscy widzowie zamilkli. Nagle coś przyszło mi do głowy.

— Co widzisz, Johnny? Co tam widzisz?

Przechylił butlę i pociągnął spory łyk. Niezdarnie otarł usta wierzchem dłoni i czknał bąbelkami.

— Nic. Dom, Frannie. Chcesz wody sodowej?

Przekuśtykałem pomiędzy robotnikami pod sam budynek. Pachniało świeżym drewnem, gorącym metalem i benzyną. Świeżo wbitymi gwoździami, dopiero co wyłączonymi maszynami, przepoconą flanelową koszulą, rozlaną na kamiennych płytach kawą. Mężczyznami przy ciężkiej, fizycznej pracy. Chwyciłem jedną z rur i potrząsałem rusztowaniem, aż zadzwoniło.

— Co to jest, Johnny? Widzisz to?

— Powiedziałem ci, to jest dom.

— Nie widzisz rusztowania?

— Co to jest?

— Metalowa konstrukcja z rur ustawiona dookoła domu. Używa się jej podczas remontów i budowy.

— Nie widzę. Żadnego róż chowania. Tylko dom. — Powiedział tych kilka słów, jakby śpiewał. Da di da. I uśmiechnął się, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

Wskazałem chłopaka na ziemi.

— A jego widzisz?

— Kogo?

— Johnny mnie nie widzi, mówiłem ci. Tylko ty możesz zobaczyć mnie i resztę. Tylko ty, nikt więcej.

— Czemu?

Chłopak zamigotał. Jest, nie ma, jest. Zupełnie jak obraz w telewizorze przy zakłóceniach. Potem zaczął blednąć. Robotnicy też, podobnie jak metalowa pajęczyna wkoło domu. Robili się półprzeźrocyści, z wolna zanikali.

— Czemu tylko ja?

— Odszukaj psa, Frannie. Odszukaj psa, to znowu pogadamy.

Chciałem podejść do chłopaka, ale ruszyłem złą nogę. Ból omal mnie nie powalił.

— Jakiego psa? Tego, którego pogrzebałem? Old Vertue?

— Z kim rozmawiasz, Frannie? — Johnny przysunął otwartą butelkę do ust i dmuchnął w otwór. Zahuczał jak wpływający do zatoki statek.

Wszystko zniknęło. Dom Schiavów stał nagi, ani śladu nie zostało po rusztowaniu i robotnikach. Żadnych pogiętych gwoździ, strużyn, narzędzi, kabli, pu-

stych puszek po coca-coli. Zrobiło się całkiem zwyczajnie. Ot, pusty budynek na dobrze utrzymanym placu przy cichej uliczce o trzeciej nad ranem.

Petangles znów dmuchnął w butelkę.

— Skąd się tu wzięłeś w nocy, Frannie? Nigdy dotąd nie spotkałem cię podczas moich spacerów.

Raz jeszcze zahuczał.

— Daj mi tę głupią butelkę!

Złapałem ją i rzuciłem jak najdalej. Też jakby zniknęła, bo gdziekolwiek spadła, uczyniła to całkiem bezgłośnie. Ruszyłem do domu. Johnny za mną.

— Wracaj do domu, Johnny. Idź spać. Nie łaź za mną. Odczep się ode mnie. Lubię cię, ale dzisiaj lepiej zjedź mi z oczu, dobra? Nie tej nocy.

\* \* \*

Bill Pegg skręcił na szkolny parking. Ja cały czas patrzyłem przez okno. Gdy zatrzymał wóz, sięgnąłem do tablicy i wyłączyłem dyskotekę. Silnik ucichł, ale przez chwilę siedzieliśmy jeszcze, zbierając siły przed tym, co nas czekało.

— Co to za dzieciak?

— Piętnastoletnia dziewczyna. Antonya Coronado. Nowa uczennica, od tego roku. Jedenasta klasa.

— Piętnaście lat i jedenasta klasa? Taka bystra?

— Widać jednak nie dość.

Billy pokręcił głową i sięgnął pod swoją podkładkę. Wysiadłem z wozu i sprawdziłem kieszenie, czy mam wszystko, co trzeba: notatnik, pióro były. Przygnębienie też. Tego ranka ledwie dziesięć minut po przyjeździe na posterunek miałem telefon od dyrektora liceum w Crane's View, że znaleźli ciało w damskiej toalecie. Dziewczyna siedziała na kiblu, odkryli ją tylko dlatego, że strzykawka wytoczyła się na podłogę przed kabiną. Jakaś uczennica ją zauważyła, zerknęła pod drzwiami i pobiegła po pomoc.

Weszliśmy do szkoły i dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Zawsze tak było, gdy odwiedzałem to miejsce, przez sześć lat najgorsze dla mnie miejsce na ziemi. Chociaż pół życia minęło, chociaż pokonałem Himalaje młodości i zszedłem na równiny wieku średniego, wciąż czułem się tutaj nieswojo.

Dyrektor, pan Redmond Mills, czekał na nas zaraz za drzwiami. Lubiłem Redmonda i żałowałem, że w moich czasach zabrakło podobnego dyrektora. Najwspanialsze chwile swego życia spędził na festiwalu w Woodstock i wciąż nosił tę wrażliwość rodem z lat sześćdziesiątych. Otaczała go niczym woń olejku paczułowego, ale i tak był o wiele lepszy niż ci zatwardziali faszyści, którzy rządzą w szkole za moich dni. Redmond dbał zarówno o uczniów, jak i o nauczycieli. I o całe Crane's View. Często trafiałem na niego w barze naprzeciwko szkoły.

O dziesiątej wieczorem, gdy wychodził z pracy i wpadał przekąsić coś przed powrotem do domu. Dziś wyglądał na wstrząśniętego.

— Złe wieści, Redmond?

— Straszne! Naprawdę straszne! Pierwszy raz zdarzyło nam się coś takiego, Frannie. Całe szkoła już wie. Dzieciaki o niczym innym nie gadają.

— Z pewnością.

— Znałeś ją? — spytał Bill tak łagodnym tonem, jakby chodziło o córkę dyrektora.

Redmond rozejrzał się na boki, jakby zamierzał wyjawić nam niebezpieczny sekret, którego nikt nie powinien podsłuchać.

— To była s z a r a m y s z, Billy! Świata nie widziała poza zadaniami domowymi. Jej wypracowania były zawsze o dziesięć stron za długie. Gdyby nie poczucie obowiązku, dawno pewnie wpadłaby w katalepsję. Rozumiesz? Dlatego właśnie niczego nie pojmuję. Książki nosiła zawsze przyciśnięte do piersi, jak na filmach z lat pięćdziesiątych. Przy rozmowach z nauczycielami opuszczała wzrok.

Spojrzał na mnie i skrzywił się cynicznie.

— Mam tu dzieciaki, które są czcicielami szatana, Frannie — powiedział głośno, z wyczuwalną urazą. — Noszą swastyki wytatuowane na karkach, a ich dziewczyny nie kapały się od wypisania z porodówki. Do n i c h by mi to pasowało. Ale żeby o n a, żeby Antonya?

Natychmiast stanął mi przed oczami obraz Pauline okupującej po nocy łazienkę. Pauline odzianej tylko w czarny makijaż i urok osobisty. Kto wie, co Antonya Coronado robiła za zamkniętymi drzwiami w czasie, gdy zdaniem wszystkich wołała miała podobno starannie odrabiać lekcje? Kto wie, o czym marzyła, co skrywała, w jakiej roli się widziała? I co, u diabła, chciała osiągnąć, wbijając sobie igłę z heroiną w szkolnej toalecie?

— Nie ruszałeś jej?

— M i a ł e m j ą r u s z a ć? Po co, Frannie? Ona nie żyje! Gdzie bym ją położył, w moim gabinecie?

Poklepałem go po ramieniu.

— W porządku, uspokój się, Redmond.

Po chwili ochłonął i znów był opanowanym dyrektorem szkoły. Dość dziś zobaczył, żeby popaść w lekki obłąd.

Ruszyliśmy korytarzami, cichymi i pustymi w przeciwieństwie do tego, co widać było przez okienka w drzwiach kolejnych klas. Nauczyciele pisali na tablicach, dzieciaki w białych kitlach i plastikowych goglach pracowały przy palnikach Bunsena. W laboratorium językowym dwóch chłopców ganiało między ławkami; zniknęli szybko, ledwie nas zauważyli. W innej klasie piękna i wysoka dziewczyna, cała na czarno, stała pod tablicą i czytała coś z wielkiej, czerwonej książki. Gdy odgarnęła włosy z twarzy pomyślałem, że tak, ten Frannie, którego spotkałem zeszłej nocy, na pewno by ją pokochał. Zajrzałem przez następne

okienko i zobaczyłem mojego dawnego nauczyciela angielskiego. Sukinsyn zmusił mnie kiedyś, bym nauczył się jednego wiersza Christiny Rossetti. Do dziś go pamiętam:

Gdy umrę, kochanie,  
nie śpiewaj mi pieśni. . .

Pasował do tego, co mieliśmy za chwilę zobaczyć. Redmond podszedł do właściwych drzwi i wyciągnął klucz z kieszeni.

— Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić, no to zamknąłem łazienkę.

— Dobry pomysł. Rozejrzyjmy się.

Pchnął drzwi i przytrzymał je, wpuszczając nas przodem. Światło, ten fałszywy i straszny blask publicznej toalety, czynił scenę jeszcze bardziej ponurą. Nic nie mogło się tutaj ukryć, wszystko na widoku. Było sześć kabin, ale tylko jedna miała otwarte drzwi.

Ostatniego dnia na ziemi Antonya Coronado włożyła szarą bluzę dresową „Skodmore College”, taką z krótkimi rękawami, czarną spódniczkę i martensy. Zobaczywszy je, aż się skrzywiłem, bo wiedziałem, że takie buty były ostatnio na topie wśród dzieciaków. Pauline prychała, że każdy, kto nosi martensy, udaje tylko porządnego gościa. Biedna, niemodna Antonya, która zawsze odrabiała lekcje. Kupno tych butów musiało być dla niej wielkim wydarzeniem. Pewnie długo zbierała się na odwagę, by je włożyć. Musiała przecież wiedzieć, jak dokładnie uczniowie sprawdzają, co kto nosi. Pierwszy raz włożyła je pewnie potajemnie w swoim pokoju, przeszła się i sprawdziła zaraz w lustrze, jak wygląda. Jak wygląda w roli dziewczyny pod styl Doca Martensa.

Jednak najgorsze były jej skarpetki. Czerwone jak wóz straży pożarnej, z masą małych, białych serduszek. Skóra nad ściągaczami była kontrastowo biała. Tak biała, że prawie przezroczysta, ukazująca skrytą pod spodem płataninę żyłek.

Jestem tylko policjantem z małego miasteczka, ale przez lata napatrzyłem się dość krwi i śmierci; tutaj i w Wietnamie, gdzie byłem za sanitariusza. Zwykle to nie zmarły robi największe wrażenie. Jego już przecież nie ma. Najtrudniej jest z drobiazgami, takimi nieistotnymi detalami z jego otoczenia, przedmiotami towarzyszącymi mu w ostatnich chwilach. Nastoletnia dziewczyna przedawkowała heroinę, a po oczach bije nie jej trup, ale czerwone skarpetki z serduszkami. Facet owija się srebrną limuzyną dookoła pnia drzewa, zabija siebie i całą rodzinę, a ty nie możesz zapomnieć piosenki *Sally Go Round the Roses*, która leciała z radia we wraku, gdy dotarłeś na miejsce. Zakrwawiona błękitna czapeczka New York Mets na podłodze w salonie, zwęglony rodzinny kot na podwórku spalonego domu. Biblia otwarta na *Pieśni nad Pieśniami* i ułożona na łóżku obok samobójcy. To właśnie zapamiętujesz, bo to są świadectwa ostatniego dnia tych ludzi, znaki ostatnich chwil. I one pozostają, gdy ludzi już nie ma, jak zdjęcia do doklejenia



na samym końcu albumów. Antonya sięgnęła tego ranka do szuflady i wybrała właśnie czerwone skarpetki w białe serduszka. Jak to może cię nie ruszyć, jeśli wiesz już, co stało się z nią trzy godziny później?

Redmond zaczął płakać. Bill i ja spojrzeliśmy po sobie. Pokazałem mu, żeby wyprowadził dyrektora. Nie musiał tu dłużej przebywać.

— Przepraszam. Wciąż nie mogę uwierzyć. . .

Mój asystent Bill Pegg to dobry człowiek. Kilka lat temu stracił córkę, która chorowała na stwardnienie włókniste, i ta ciężka próba zmieniła go bez reszty. Teraz, gdy miał do czynienia z kimś wstrząśniętym lub załamany strata, zawsze zachowywał się w szczególny sposób: starał się podtrzymać poszkodowanych na duchu w tych pierwszych minutach po spotkaniu z nieodwracalnym, kiedy nie umie się jeszcze wyrazić całego dławiącego żalu i nie wiadomo, jak poradzić sobie z nagłą nieważkością, która zawsze towarzyszy wielkiemu cierpieniu. Raz spytałem Billa, jak to robi, a on powiedział: „Po prostu jestem z nimi i mówię, co sam czuję. Nic więcej nie można zrobić”.

Gdy wyszli i drzwi zamknęły się z sykiem, wróciłem do Antonyi. Przykląknę przed nią. Gdyby zjrzał tu nagle ktoś nie zorientowany, pomyślałby pewnie, że całkiem bez sensu oświadczam się dziewczynie śpiącej na sedesie.

Jedna ręka zwieszała się z boku, druga leżała na podołku. Założyłem, że dziewczyna była praworęczna, spojrzałem więc na lewe przedramię w poszukiwaniu śladu po igle. Głowa opierała się o białą ścianę, oczy były zamknięte. Drobnym śladem czerwieniał tuż pod liniami zgięcia po wewnętrznej stronie łokcia. Bezwiednie poszukałem pulsu. Nie znalazłem go, oczywiście. Potem dotknąłem szkarłatnego punktu.

— I przez to umarłaś, głupia. — Trzymając łokieć w dłoni, przesunąłem kciukiem po rance i wyszeptałem: — Właśnie przez to.

— Nie jestem głupia.

Z wielką pustką w głowie, całkiem zdezorientowany, uniosłem odruchowo oczy.

Głowa Antonyi przetoczyła się powoli z lewa na prawo, aż znalazła się na wprost mnie. Oczy otworzyły się i znów usłyszałem ten miękki, jakby nie do końca obecny głos:

— Nie miałam umrzeć.

— Ty żyjesz!

— Nie. Ale ciągle czuję twoją rękę. Czuję twoje ciepło. — Nie tyle mówiła, ile szeptała. Słowa sączyły się strumyczkiem. Jak z kranu, który chociaż zakręcony, wypuszcza jeszcze trochę pozostałej w rurach wody. — Powiedz mojej mamie, że ja tego nie zrobiłam. Powiedz, że to oni.

— Kto? Jacy oni?

— Odszukaj psa. — Jej oczy pozostały otwarte, ale teraz były już całkiem puste. Ostatni ślad życia uleciał, opuścił obszar śmierci. Na moich oczach. Nie zdarzyło się nic spektakularnego, ale ja wiedziałem: dopiero teraz umarła naprawdę.

Kłęczałem wciąż przed nią i bardzo chciałem, by powróciła i pomogła mi to wszystko zrozumieć.

— Frannie? — Bill stał w progu, jedną ręką podtrzymywał drzwi. — Ambulans już przyjechał. Powiadomiłem matkę dziewczyny. Wyjdę przed szkołę, dobrze?

— Dobra.

— Dobrze się czujesz, Fran ?

— Tak. Słuchaj, powiedz Redmondowi, że chcę zajrzeć do jej szafki. Jeśli miała drugą szafkę przy sali gimnastycznej, to tam też.

Poczekalem chwilę, aż przygotowują ciało do transportu. Nie spieszyli się. Robiłem właśnie notatki, gdy jeden z sanitariuszy powiedział:

— Proszę! A to co?

Uniosłem głowę i ujrzałem, że trzyma pióro. To samo, które widziałem już aż nazbyt wiele razy. Wziąłem je od niego, by obejrzeć dokładniej.

— Skąd wypadło?

Zachichotał oblesnie i uniósł brwi.

— Spod jej spódnicy! Nie do wiary! Ciekawe, co ona robiła tym piórem pod spódnicą?

— Zatrzymam je. — Schowałem pióro pomiędzy kartki i zamknąłem notatnik.

Myślała chyba, że żartuję, bo skrzywił się kwaśno.

— Wolnego, szefie. Chciałem je sobie wziąć.

— Przestańcie się opierdalać i zróbcie wreszcie swoje!

Uśmieški znikły z ich twarzy i w pięć minut byli gotowi. Gdy wytoczyli nosze na korytarz, poszedłem za nimi. Szczęśliwie uczniowie nie wyszli jeszcze z klas, nie musieliśmy zatem przedzierać się przez tłumy gapiów.

Przy gabinecie dyrektora odbiłem i wszedłem do środka. Sekretarka zaraz wręczyła mi kartkę z numerem szafki Antony i kombinacją do otwarcia zamka. Powiedziała też, że nie przydzielają już osobnych szafek przy sali gimnastycznej, bo szkoła jest przepełniona i ledwo starcza miejsca dla wszystkich.

Na samej górze kartki, jasnoróżowej karteczki z bloczka, widniał numer 622. Wstrzymałem oddech jak kopnięty w dołek: to była moja szafka z ostatniego okresu nauki w liceum Crane's View. Ten sam numer. Wypisane poniżej cyfry kombinacji też się zgadzały.

— To jest to? Dokładnie to? — spytałem, aż zadudniło.

Sekretarka przytaknęła zdumiona.

— Tak. Dziesięć minut temu przepisałam te numery z jej akt.

— Sukinsyn! — Zamierzałem wypytać jeszcze Redmonda o parę rzeczy, ale to mogło poczekać. Najpierw musiałem zajrzeć do szafki. Nie czułem się już zdezo-

rientowany, wrażenie zagubienia przeszło jak ręką odjął. Moja żona mawia, że gdy rozpoznam już wroga, robię się niebezpieczny. Antonya stwierdziła, że została zamordowana. Gdy wybiegałem z biura, wpadła mi do głowy przerażająca myśl, iż zabito ją jedynie dlatego, że miała tę samą szafkę, co kiedyś ja. Old Vertue, nastoletni ja, dom Schiavów, Antonya. Kto był za to wszystko odpowiedzialny i czego chciał ode mnie?

Odezwał się dzwonek na koniec lekcji. Bum! Bam! Bum! Drzwi klas otworzyły się, uderzając z rozpędu o ściany. Dzieciaki wylały się na korytarze z energią typową dla osób uwięzionych i nie szkodzi, że była to tylko czterdziestopięciminutowa odsiadka na lekcji algebry. Jak ściągane magnesem metalowe opiłki zebrały się zaraz stałe bandy, co chwilę ktoś na kogoś wpadał, ktoś gdzieś pędził. Zewsząd dobiegały krzyki, gwizdy i szalone śmiechy. Trzy minuty wolności. Kochankowie spotykali się na krótkie twarzą w twarz, nim następna lekcja, jak cofająca się fala, znów ich rozdzieli i na kolejne czterdzieści pięć minut pograży w nudziarstwie.

Pamiętałem, jak to jest. Jak można zapomnieć swoje szesnaście lat? Czas prostego spojrzenia na świat, nadziei i beznadziei zarazem.

— Cześć, szefie!

— Dzień dobry, panie McCabe!

Niektórych uczniów rozpoznawałem. Paru złych chłopców odwróciło się ode mnie, ledwie nasze spojrzenia się spotkały. Przywitałem się skromnym „cześć” z kilkoma innymi. Wiedziałem, że nie oczekują niczego więcej. Dobrze pamiętałem, na czym opiera się licealna etykieta. Nieważne, jak dobrze się znacie poza szkołą, tutaj jest ich teren, ich prawa są najważniejsze. Byłem dorosłym i gliną. Znaczy: „outsiderem”, kimś kompletnie spoza ich świata.

Zwolniłem trochę, bo gnałem jak ci dziwacy, których można obejrzyć podczas letniej olimpiady. Przez chwilę, nim przełączysz się na jakikolwiek inny kanał, masz wówczas niekiedy okazję podziwiać sforę dorosłych podobno ludzi, którzy maszerują po kaczemu w butach Nike. Do szafki Antonyi nie było co się spieszyć, i tak nie mogłem otworzyć jej przed końcem przerwy. Nie wiedziałem, co znajdę w środku, i nie chciałem narażać nikogo na niemiłe zaskoczenia.

Dwadzieścia stóp dalej dostrzegłem Pauline. Stała pod ścianą korytarza i rozmawiała z jakimiś dziewczynami. Nie zauważyła mnie, aż byłem prawie przy niej.

— Frannie! Czy to prawda z Antonyą Coronado?

Zatrzymałem się i pozdrowiłem skinieniem jej koleżanki, które wpatrywały się we mnie z mieszaniną zainteresowania i nieufności.

— Co słyszałaś?

— Że nie żyje.

— Prawda.

Dziewczyny spojrzwały po sobie. Jedna z nich zakryła dłonią usta i zacisnęła powieki.

— Znałaś ją, Pauline?  
— Trochę. Poniekąd. Czasem spotykałyśmy się w pracowni komputerowej. Niekiedy rozmawiałyśmy.

— Jaka ona była?

— Wrażliwa. Słyszałam, że miała artystyczne zacięcie i bardzo dobrze rysowała. Ale rzadko ją widywałam, bo prawie cały czas się uczyła.

— Brzmi znajomo! — odezwała się oskarżycielskim głosem jedna z dziewczyn obok, jakby Pauline była winna tej samej zbrodni.

Zabrzmiał dzwonek na lekcję. Gdy już odchodziły, któraś rzuciła, trochę nabyt głośno:

— Przystójniutki ten twój ojczym.

— Zboczek jesteś! — warknęła wyraźnie wściekła Pauline.

Stanąłem przy oknie i poczekałem, aż korytarz znów opustoszeje. Na dole ambulans wyjeżdżał z parkingu na ulicę. Wyobraziłem sobie ciało dziewczyny na noszach: martensy rozchylone w V, ręce skrzyżowane nas piersi. I mały, czerwony ślad w zgięciu lewego łokcia. „Powiedz mojej mamie, że ja tego nie zrobiłam. Powiedz, że to oni”.

Całe lata wcześniej, gdy Magda i ja po raz pierwszy zostaliśmy kochankami, spędziliśmy całe szalone popołudnie w łóżku. Potem, po wszystkim, padliśmy mokrzy, nasyceni i zmęczeni. Jej twarz była cztery cale od mojej. Spojrzała mi głęboko na dziesięć mil w oczy i powiedziała: „Z a p a m i ę t a j m n i e t a k ą, Frannie. Cokolwiek się stanie, jakkolwiek długo będziemy razem, zapamiętaj mnie właśnie taką, jak teraz”.

A Antonya? Zapamiętam jej głowę na tle białych kafelków, martwe oczy otwierające się powoli, by ujawnić to ostatnie, dla niej najważniejsze: „J a t e g o n i e z r o b i ł a m”.

Szafka numer 622. Raz trzymałem w niej przez dwa tygodnie naładowany pistolet. Najpierw pistolet, potem śmiertelnie groźnego pajaka, „Brunatnego pułstelnika”. Siedział w słoiku po maśle orzechowym Jif. I jeszcze koktajl Mołotowa domowej roboty. Ukręciłem go w szkolnym laboratorium chemicznym i spuściłem z okna na samochód jednego nauczyciela. Był też dzienniczek skradziony nauczycielowi historii amerykańskiej i pierwsze wydanie *Siedmiu niesamowitych opowieści* Karen Blixen, egzemplarz z autografem, który nauczyciel angielskiego przyniósł do szkoły, żeby nam pokazać. Jako nastolatek kradłem praktycznie wszystko, bo uważałem, że cokolwiek mi się spodoba, powinno zaraz być moje.

Odruchowo położyłem dłoń na zamku i zacząłem obracać kciukiem kółka z cyframi. W końcu ustawiłem znaną mi kombinację. Gdy ostatnia cyfra znalazła się na miejscu, zamek szczęknął z cicha. Poruszyłem uchwytem i otworzyłem drzwiczki.

Szafka szkolna to prawdziwie święte miejsce. Dzieciaki zmieniają je w kapliczki swoich marzeń, codzienności i upragnionych obrazów samych siebie. An-

tonya Coronado nie była wyjątkiem. Na wewnętrznej stronie drzwiczek nakleiła biało-czarną reklamę Calvina Kleina wydartą z jakiegoś magazynu. Przedstawiał przystojnego chłopaka w nieskazitelnie białych gatkach. Osobnik stał zapatrzony w horyzont, może szukał reszty ubrania. Na ściankach w środku było jeszcze wiele innych obrazków: szczeniaki, modelki, kiepskie polaroidowe zdjęcia rodziny i przyjaciół. Wszyscy mieli głupie lub zadowolone miny. Nic szczególnego, ale w świetle tego, co właśnie się stało, widok był ogólnie przygnębiający. Kto zlikwiduje tę wystawkę, jej matka? Wyobraziłem sobie biedaczkę otwierającą szafkę, spoglądającą na ten mały, kochany świeatek i chwiejącą się na nogach, słabnącą po raz setny od czasu, gdy dowiedziała się o śmierci córki. Czy wiedziała, czemu każde z tych zdjęć było tak ważne dla dziewczyny? Czyje schowa, czy wyrzuci, by nie siały radioaktywnymi wspomnieniami o dziecku? To samo zdarzyło się trzydzieści lat temu matce Magdy, gdy jej córka została zamordowana. Tamta kobieta zachowała wszystko. Dopiero po jej śmierci zdołałem przekonać Magdę, by wpakowała pamiątki po siostrze do pudeł i schowała je możliwe daleko od naszego domu i życia.

Podręcznik geometrii, *Historia świata*, jaskrawobłękitny kalkulator, komiks zatytułowany *Sandman*, strój gimnastyczny (nic wyzywającego czy kosztownego), aż za wiele piór i mazaków. Dwa kompakty: Willy DeVille i Randy Newman. Ciekawy gust muzyczny.

— Co to jest? — Całkiem w głębi leżał duży, czarny kołonoatnik. Sięgając po niego, myślałem, że to tylko zeszyt, chociaż czy nie powinna go raczej mieć ze sobą? Czemu został tutaj? Otworzyłem go. Pierwsze dziesięć stron rzeczywiście wypełniały notatki z lekcji. Staranne, lekko pochyłe pismo z ważniejszymi kwestiami zaznaczonymi na żółto. Platon, Sofokles, imperium helleńskie i tak dalej. Dla mnie zupełna greka. Omal nie przerwałem przeglądania, bo kogo może to obchodzić?

Na dole następnej strony trafiłem jednak na rysunek, taki skreślony jakby od niechcienia, w trakcie myślenia o czymś zupełnie innym lub zgoła dwuminutowej drzemki umysłu. Był to całkowicie porażający, ołówkowy szkic przedstawiający Old Vertue. Co więcej, pies siedział dokładnie tak samo, jak na reprodukcji obrazu w albumie George'a Dalemwooda. A na ziemi przed nim leżało to pióro.

Odwróciłem stronę.

# CIENÍ STRYCZKA

— To absolutnie zdumiewające.

— Miło, że ci się podobają, George. Ale co o nich sądzisz?

Stary przyjaciel jak zwykle mnie zignorował, nie podniósł nawet oczu znad notatnika Antonyi. Do czytania nosił prostokątne okulary a la Clark Kent z oprawkami tak grubymi i czarnymi, że wyglądały jak dwa miniaturowe telewizorki osadzone tuż nad nosem.

— I powiedziała, że to o n i ją zabili? — Zapatrzył się na kolorowy szkic przedstawiający ze szczegółami Franniego juniora i mnie obok otulonego metalowym rusztowaniem domu Schiavów. Wszystko było na miejscu, nawet Smith u naszych stóp.

Koło notatnik Antonyi Coronado zawierał sześć stron skrupulatnie prowadzonych notatek na temat powstania imperium greckiego. Następne dwadzieścia stron to były jej rysunki przedstawiające wydarzenia, które zaszły całkiem niedawno w moim życiu. Mimo pilnych poszukiwań więcej szkiców nie znalazłem, te musiały być jedyne.

Do dziś nie potrafię powiedzieć, czy to były dobre rysunki. George uważał, że były cudowne, przypominały mu prace wielkich prymitywistów, jak Henry Darger czy A. G. Rizzoli. Nie wiem. Dla mnie był to krzyk. Patrząc na nie, wiedziałeś, że ktokolwiek je narysował, z całą pewnością miał zaburzenia, a może nawet był szalony.

Old Vertue pełnił rolę strażnika skrzywionego świata Antonyi. Na pierwszej ilustracji, tej wciśniętej pod notatki o Grecji, pies siedział w znajomej pozie, przed nim widniało pióro.

— Co ty tu robisz? — mruknąłem zdumiony i odwróciłem kartkę.

Drugi rysunek przedstawiał psa leżącego na parkingu marketu Grand Union. Odtworzenie w pamięci, że tam właśnie go znaleziono, zabrało mi chwilę. Co charakterystyczne, centralna część wszystkich rysunków zawsze była czytelna i łatwo rozpoznawalna: Vertue na parkingu, Frannie junior i ja patrzący na dom Schiavów. Jednak cała reszta pochodziła z nieznanymi obszarów jaźni Antonyi Coronado.

Obrazek, „Vertue na parkingu” był idealnym przykładem. Kartka została otoczona ramą w stylu „Hieronim Bosch spotyka R. Crumba”. Dłonie jak brzytwy

z kawałkami popcornu o kształcie srających jaszczurek z ludzkimi głowami. Tuż poniżej była druga, wewnętrzna rama: uśmiechnięte główki kapusty z jaskrawo-czerwonymi krwawymi zaciekami od toporów i noży powbijanych w czoła. Nad nimi latały androginiczne anioły i szczały równo na wszystko. Przez rysunki biegly nakreślone węglem słowa w rodzaju „smegma”, „wrzód”, „Cześć, mamol”, a także ponure zwroty, jak „zupa z Jezusa” czy „manus maleficiens”. To ostatnie, jak mi George wyjaśnił, było po łacinie i znaczyło „ręka, która nie zna dobra”.

George zsunął okulary na czubek nosa, aż zwisły niebezpiecznie tylko na lewym zauszniku. Prawy wysunął się zza ucha.

— Kiedy to się zaczęło, Frannie?

— W dniu, w którym pogrzebałem Old Vertue.

Przytaknął i przerzucił kilka kartek, aż trafił na rysunek przedstawiający mnie składającego psa do grobu.

— Zauważyłeś? — Wskazał na jakiś detal na ilustracji.

Nie widziałem dokładnie, o co chodzi, więc pochyliłem się w jego stronę.

— Co?

— Ta czarna łopata. Na każdym rysunku trzy rzeczy są niezmiennie. Ta łopata, jaszczurki...

— I ja.

— Właśnie, i ty.

— Ale co niby mam z tym zrobić, George? Z tymi łopatami, jaszczurkami i sobą? Nie, chwila... tą samą łopatą pochowałem mojego ojca. Myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

— Przypuśćmy, że ma. A jaszczurki?

— Co jaszczurki?

— Lubisz jaszczurki? Są dla ciebie ważne?

— Odbiło ci? — Dla lepszego efektu stuknąłem się palcem w czoło. — Zostaw te jaszczurki, dobra? I bez nich jestem dość skołowany.

— W porządku. No to sprawdźmy, co z psem.

— Właśnie o tym myślałem. Zaglądałeś tam od wczoraj?

— Tak. Nic się nie zmieniło.

— To nic nie znaczy. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zmartwychwstał i siedział już u mnie na werandzie.

George odłożył notatnik Antonyi, zdjął powoli okulary i położył je na wierzchu. Zamarł na chwilę, westchnął i przeczesał dłonią rzednące włosy.

— Zaczyna mnie to niepokoić, Frannie. Chyba boję się sprawdzać.

— To nic złego, że ktoś się boi.

Spojrzał na swoje kolana.

— Ty nigdy się nie boisz?

Ugryzłem się w język. George znał mnie aż za dobrze. Nie było sensu kłamać.

— Bardzo rzadko.

Przytaknął, jakby i tak wiedział swoje.

— Nigdy się nie boisz. Odkąd się znamy, nigdy nie widziałem, żebyś się czegoś bał.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem mój nóż.

— Strach jest jak to ostrze, George. Służy tylko do jednego: do cięcia różnych rzeczy. Trzymaj je złożone w kieszeni, a na pewno cię nie zrani.

— Jak ty to robisz?

— Strach nie jest jak choroba zakaźna, nie przychodzi skądś, ale sam go tworzysz. Głównie przez miłość. Im bardziej coś kochasz, tym bardziej dręczy cię myśl, że mógłbyś to stracić. Wtedy strach jest zawsze gdzieś tuż obok. Ja nigdy nie kochałem dość, żeby zacząć się obawiać. Taki już jestem popierdolony. Magda mówi, że to moja najżałośniejsza cecha, i pewnie ma rację.

— Nie kochasz swojej ż o n y dość, aby bać się jej utraty?

Pokręciłem głową.

— Naprawdę, Frannie?

Wolałem na niego nie patrzeć.

— Tak. Chodźmy.

Chuck pobiegł przodem jak mały, głupiutki dzieciak, który myśli, że jest królem świata. Ledwo wyszliśmy na zewnątrz, zaraz zniknął. Było to tak zaskakujące i niewytłumaczalne, że zamarliśmy w miejscu. Szedł trzy stopy przed nami, pewny siebie i nieco wężowaty, jak zwykle dachshoundy, a tu nagle: zip!

George wysunął się do przodu.

— Chuck? — powiedział niepewnie.

Podwórko było małe i dobrze utrzymane. Nie było tam żadnych zakamarków, w których mógłby się schować pies. Jednak George obszedł wszystkie kąty i nisko pochylony obejrzał całą murawę.

Moja komórka zadzwoniła. Od razu wiedziałem, że coś jeszcze się posypało.

— Szefie? — rozległ się zniekształcony głos Billa Pegga.

— Tak?

— Dom Schiavów się fajczy. Ktoś musiał podłożyć ogień. Buzuje jak beczka z benzyną.

— Już jadę. — George wciąż krążył wkoło i bezskutecznie szukał psa. Wyłączyłem telefon i zawołałem go. — Daj spokój. Cokolwiek go porwało, dobrze się nami bawi. Teraz go nie znajdziesz.

Spojrzał na mnie ostro.

— Nie mów tak!

— Zniknął. Jedź ze mną. Ktoś podpalił dom Schiavów. To wszystko się łączy, George. Może i twój pies tam jest.

Zamknął oczy i pokręcił głową.

— Nie. Muszę zostać. A jeśli jest gdzieś tutaj?

Podszedłem i wziąłem go pod rękę.



— Dokładnie w chwili, gdy zamierzaliśmy wykopać Old Vertue, dowiaduję się nagle, że dom Schiavów się pali. Czy to zbieg okoliczności? Nie sądzisz, że ktoś miesza nam szyki? Nie mamy teraz kopać.

— A może właśnie powinniśmy? Może właśnie to trzeba zrobić, Frannie? Odkopać psa właśnie teraz.

Dotarło do mnie, że może mieć rację. Ale co mi zostało? Jak gdzieś zaczynają się kłopoty, to szef policji musi tam być i kropka. To, co działo się pięć przecznic dalej, na pewno było kłopotem.

— Słuchaj, pojedę tam, ale wrócę, jak szybko będę mógł.

Rozejrzał się błędnie wkoło.

— Co się dzieje, Frannie? Co jest grane?

— Zamierzam się tego dowiedzieć.

\* \* \*

— Tym razem masz już przejebane, kochany! — Chłopaka aż nosiło. Stał przed płonącym domem Schiavów, plecami do ognia, ręce trzymał w kieszeniach. Obok spostrzegłem czarnego mężczyznę w nieokreślonym wieku. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na pożar. O wiele bardziej interesowali się mną. Patrzyli wyczekująco, aż podejdem.

— Co tu robicie?

Za nimi ochotnicza straż pożarna Crane's View robiła, co mogła, żeby opanować ryczący ogień. Nasi chłopcy dobrze znali swój fach, ale płomienie pozostawały obojętne na ich wysiłki.

Czarny gość uśmiechnął się i wyszedł mi naprzeciwko z wyciągniętą ręką.

— Przybyłem, żeby się z panem spotkać, panie McCabe. Nazywam się Astopel.

Ostrożnie przywitałem się z nim. Dzieciak stał z rękami założonymi na piersi i dziwnie wściekłym wyrazem twarzy. O co chodziło?

— Znalazł się pan ledwie o włos od stryczka, panie McCabe. Dlatego właśnie musiałem się zjawić.

Jakby dla podkreślenia wagi jego słów dach płonącego domu wybrał tę właśnie chwilę, by runąć z trzaskiem. Sypnęło dookoła iskrami i wszelkim śmieciem.

— To pana sprawka? — spytałem możliwie lodowatym głosem i pokazałem na pożar.

— Nie! — Junior aż się przygarbił. Przerażony?

— Czy nie dość widział pan ostatnio cudów, aby pojąć, że pańskie życie się odmieniło? — Mężczyzna kaszlnął i zaraz odchrząknął. — Nie, to nie moja sprawka, ale jeśli pan chce, mogę zaraz zamienić pana w stonogę. Albo w jeryka z fraczym ogonem, najszybszego ptaka na świecie. A może wolałby pan

pocierpieć przez pięć minut na jakąś rzadką a paskudną chorobę? Syndrom Lescha-Ny-hana? Schorzenie Opitza? Lubo zespół obcej ręki?

— Zawsze chciałem być Elvisem. . .

Mały Frannie zamachał z oburzeniem rękami.

— Ty tępaku! Nie wiesz, kto to jest?

— Apostoł.

— Astopel, panie McCabe, Astopel. Moje imię nie jest anagramem<sup>1</sup>. Nie jestem apostołem. — Po raz pierwszy coś drgnęło mu w twarzy. Wyglądał na rozba-  
wionego całą kwestią. — A ten ogień to naprawdę nie ja. Po prawdzie to pańska  
wina. Gdyby trochę bardziej się pan pospieszył, to dom mógłby ocaleć.

Czekałem. On też. Mały Fran patrzył na nas, to na jednego, to na drugiego,  
jakby mecz tenisa oglądał. Albo dwóch rewolwerowców próbujących się nawza-  
jem upolować.

W końcu poczułem, że mam dość tego sterczenia.

— Słuchaj pan, jestem tylko zwykłym Ziemianinem. Nie wiem, jak działa  
telewizja, a o prawach rządzących tym porąbanym wszechświatem to już w ogó-  
le nie mam pojęcia. Dajmy zatem spokój rękom obcych i przejdźmy do sedna  
sprawy. Coś musiałem przegapić. Powiedzmy, że jestem głupi. Słucham: co po-  
winienem wiedzieć? Nie musi mi pan pokazywać więcej zmarłych dziewczyn,  
sztywnych psów, straszących po nocy ekip budowlanych. . . A spał pan sobie ten  
dom, złego słowa nie powiem. Tylko niech usłyszę, co mam zrobić!

Przytaknął.

— Dobrze. Dam panu nawet wybór. Może pan szukać w przód albo w tył. Tak  
i tak będzie dobrze.

— Konkrety poproszę.

— Naprzód, to znaczy, że może pan kontynuować poszukiwania odpowiedzi  
w ten sam sposób, jak teraz. Owszem, na razie wiele pan nie zdziałał, ale to nie  
znaczy, że z czasem nie może pan do czegoś dojść. Problem tylko w tym, że nie ma  
pan już wiele czasu. Dokładnie mówiąc, został panu tydzień. Tylko jeden tydzień,  
by ustalić, co właściwie dzieje się w Crane's View i jaką pan w tym odgrywa rolę.  
Druga możliwość, to spróbować tego samego od tyłu. Odeślę pana do ostatniego  
tygodnia pana życia. Z obecną wiedzą. Żeby rozwikłać zagadkę ostatnich zdarzeń  
w pana mieście, będzie pan musiał z tego dogodnego miejsca spojrzeć wstecz.

— A kiedy będzie ten ostatni tydzień?

— Tego panu nie powiem. Musi pan zaryzykować. Może umrze pan w przy-  
szłym tygodniu, może za czterdzieści lat. To, co pan odkryje, może podbudować  
pana albo wręcz przeciwnie. Proszę wybierać.

— Gdy powiedział pan o jednym tygodniu, to chodziło o czas na rozwikłanie  
zagadki czy ogólny czas życia? Bo jeśli i tak mam jutro umrzeć. . .

---

<sup>1</sup>W języku angielskim apostoł to „apostle” (przyp.tłum.)

Spojrzał na zegarek. Podążyłem za jego spojrzeniem, ale nie od razu zrozumiałem, co widzę. Nosił białozłoty IWC „Da Vinci”. Zegarek rzadki, drogi jak nieszczęście i taki sam jak mój. Odruchowo sprawdziłem nadgarstek. Zegarka nie było. Ja zawsze noszę zegarek, tego dnia też go nałożyłem. Nie musiałem sprawdzać, czy na werku zegarka jest długa, cienka rysa; z jakiegoś powodu byłem tego pewien.

— To mój zegarek.

— I jaki ładny do tego. — Mężczyzna uniosł rękę i obrócił powoli nadgarstek, jakby demonstrował moją własność.

Fran junior dostrzegł, na co się zanoszą, znacznie wcześniej niż ja.

— Nie! — krzyknął, ale było już za późno.

Gdy wpadnę w złość, nic nie może mnie powstrzymać. Dosłownie nic.

— Nie! Nie! Nie!

Ale ja już podniosłem rękę na Astopela, który wciąż podziwiał mój zegarek. Zacząłem wysoko, potem opuściłem ją i wyrzuciłem go z całej siły w ciemność. W cel. Padł, gdzie stał.

Mały Fran zamarł. Zacisnął mocno powieki i zasłonił uszy dłońmi, aż klaśnęło. Oczekiwał, że grom strzeli z nieba? Zapatrzony na niego, nie widziałem, co działo się z Astopelem. Przypuszczałem, że musiało go na chwilę zamroczyć. Ale nie. Gdy zerknąłem na gościa, uśmiechał się do mnie tak samo ciepło, jak na początku.

— Oddaj mi mój zegarek.

— Wspaniały wybór! — Odpiął go i wręczył mi, ale cały czas patrzył na małego Frana, nie na mnie.

Wziąłem zegarek i obróciłem, żeby sprawdzić werk. Szrama była, ale była też jakaś data wygrawerowana wielkimi, złotymi cyframi. Jej wcześniej nie widziałem.

— Co to jest?

— Małe memento, panie McCabe. Dla przypomnienia, że ma pan tylko tydzień. Jeden tydzień od tej daty, którą widzi pan na zegarku. Tak się składa, że zamierzałem go panu oddać, ale pańska reakcja wiele ułatwiła. Że spytam jeszcze: jak pański niemiecki?

Nie zapamiętałem tej daty, spojrzałem więc znów na zegarek. Zobaczyłem datę, a chwilę później również moją rękę. Całą w łatki. Moją rękę pokrywały melonowej barwy plamy wątrobowe. Przy prawej dłoni brakowało połowy małego palca. Skóra była pomarszczona i jakby za duża dla kości. Dziecięcych kości w dłoni dorosłego. Wstrząśnięty uniosłem drugą rękę. Identyczne, starcze szpony.

I jeszcze ten ból! Jakby mi kto wszystkie palce żywym ogniem przypalał. Ledwo mogłem utrzymać zegarek.

— No to, Frannie, spytałem tego dentystę, czemu mam płacić za drogą koronkę, jeśli ostatnimi czasy używam zębów tylko przy jedzeniu hamburgerów, bo spijania zupek nie ma co liczyć.

Obok stał starzec w parodii golfowej czapeczki, która wyglądała, jakby szkociemu krawcowi nie zdołała uciec spod igły. Poniżej tego kraciastego koszmaru było jeszcze gorzej, a to za sprawą lśniącej, zielonej koszuli z krótkimi rękawami i (Boże, dopomóż!) kraciastych spodni, które nie dość, że nie pasowały do czapeczki, ale wręcz się z nią gryzły. Wielkie okulary w złotych oprawkach powiększały mu oczy do rozmiarów kul bilardowych, a rozciągnięte w uśmiechu wargi ukazywały zęby żółte niczym dobrze wyrośnięty bambus.

Obrzuciłem go spojrzeniem i wróciłem do moich dłoni. Coś jeszcze mi nie pasowało. Zerknąłem niżej, na koszulę, spodnie. Jedno i drugie było... czerwone. Od kiedy to ubieram się na czerwono? Mam na myśli prawdziwą czerwień, taką jak na nosie kłowna czy puszcze coca-coli. Koszula i spodnie były workowate, na nogach zaś miałem zamszowe pantofle typu Hush Puppy. Zmieniłem się w staroego golfiarza? Pomarszczone dłonie, osobliwe kapcie i czerwone portki? Żeby to wszyscy święci! Nie dość, że na starość rosną ci włosy w nosie i uszach, to jeszcze gust ci parszywieje.

— Co o tym myślisz, Fran ? Powinienem wziąć porcelanową czy złotą?

Gdy udało mi się w końcu oderwać wzrok od moich dłoni, portek i tego dziadki w kraciastej czapeczce, rozejrzałem się wkoło. Staliśmy na środku szerokiego deptaku. Wszystkie napisy były po niemiecku. Przypomniałem sobie ostatnie pytanie Astopela o mój niemiecki. Dopiero teraz je zrozumiałem.

Ulica była przepiękna, ale jeden rzut oka pozwalał stwierdzić, że to raczej nie Ameryka, a z całą pewnością nie prowincjonalne Crane's View.

— Jak się nazywasz? — spytałem pana Kraciastego i aż mną zatrzęsło. Odzywałem się głosem nienaturalnie wysokim, bardziej piszczałem, niż mówiłem.

Spojrzał na mnie dziwnie. Gdy parę minut wcześniej szlag dziki mnie trafił, musiałem również stracić poniekąd kontakt z rzeczywistością, bo teraz zaczął wracać, i to w przykry sposób. Starcze ciało zaczęło dawać znać o sobie. Przede wszystkim poczułem, że za wszelką cenę muszę się wysikać. Potem pojawiły się rozrzucone tu i ówdzie drobne ogniska bólu. Przy pierwszym kroku dało się słyszeć skrzypienie kolan, gdy zaś spróbowałem się obrócić, żeby spojrzeć za siebie, coś jęknęło mi w grzbiecie. Odkryłem, że niezależnie od chęci, nie mogę się szybko poruszać. Wprawdzie ciało było jakby lżejsze, jednak brakło energii, by je ożywiać.

— Co jest, Fran , za dużo było tych sznapsów wczoraj w restauracji?

— Gdzie jesteśmy? Gdzie to jest? — Spróbowałem obrócić głowę, ale coś trzasnęło mi w karku i przez chwilę stałem jak sparaliżowany.

— Chyba jednak rzeczywiście za wiele wypiliśmy! Wien, chłopie, dasz wiarę? Tam trochę dalej płynie stary, modry Dunaj. Pamiętasz, jak szliśmy tędy wczoraj, żeby wsiąść na statek?

— Jaki statek?

Uśmiechnął się, jakby uważał, że żartuję.

— Wycieczkowy, taki, co płynie przez miasto. Pamiętasz, jak mówiłeś, że jest za głośno? Ale większość czasu spędziłeś z Susan w barze, to pewnie za bardzo nie słuchałeś. — Zaśmiał się niczym ryczący osioł: i-ooo, i-ooo.

— Jaką Susan?

— On pyta, jaką Susan. Własnej żony nie pamiętasz?

— O kurwa. — Rozejrzałem się ponownie i z wolna zaczęło do mnie docierać, co zaszło. Astopel przerzucił mnie do ostatniego tygodnia mego życia. Daleko się odsądziłem na sam koniec. Pan Kraciasty powiedział, że to Wien. Gdzie do cholery może być Wien?

Spojrzałem na niego ponownie, żeby dopytać, ale zamknąłem się, zobaczywszy jego twarz. Był wściekły.

— O co chodzi?

— Mówiłem ci, żebyś uważał na swój język, Fran. Nie lubię, jak ktokolwiek go profanuje. Rozmawialiśmy już o tym. . .

Podszedłem blisko i złapałem go obolałą ręką za gardło.

— Nie wciskaj mi kitu, zdechlaku. Kim jesteś, gdzie jesteśmy, słucham, i proszę odpowiadać na wszystkie pytania, teraz i zaraz, bo jak ci gębę skopię, to będziesz musiał sobie szczoteczkę do dupy wtykać, żeby zęby wyczyścić.

Zdechlak złapał moją rękę i wykręcił ją jakimś chwytem karate. Nagle miałem ją za plecami, a ten stary dyszał mi nad karkiem.

— Nie rób z siebie idioty, Fran — powiedział i szarpnął moją rękę, aż jeszcze bardziej zaboląło. Myślałem, że zemdleję.

— Niech pan go puści! Czasem ma starcze napady i wtedy się zapomina!

Poznałem ten głos, ale nie mogłem się ruszyć, aby sprawdzić, czy to faktycznie ta osoba.

— Znasz go, mały? — spytał stojący za mną zdechlak.

— Tak, proszę pana, to mój dziadek. Dziadunio McCabe.

Tamten puścił moją rękę, ale ta została za plecami. Przez chwilę myślałem, że nigdy już jej nie wyprostuję i zostanie mi nosić ją w tym dziwnym miejscu niczym wywichnięte skrzydło.

— To powiedz lepiej swojemu dziadkowi, że jak będzie się tak wyrażał, to w końcu napyta sobie biedy.

— Tak, proszę pana, będę miał na niego oko. Dziękuję, proszę pana. — Fran nie junior mówił głosem ociekającym wręcz od słodyczy, płaszczył się jak najgorszy lizus i włazidupa. Wszedł w pole widzenia i ujął łagodnie moją drugą rękę.

Wyrwałem ją.

— Co tu się, u diabła, dzieje?  
 Spojrzał na zdechlaka i wznosił oczy do nieba.  
 — Nie pamiętasz, dziadziu? Przyjechałem rano, żeby zrobić ci niespodziankę.  
 — Tak? Ładna niespodzianka. — Chciałem odejść stanowczym krokiem, ale nogi miałem jak z gumy. — Jestem stary! Czemu, kurde?  
 — Powinieneś się cieszyć! Wiesz już, że dane ci będzie długie życie. A jesteś tu, bo uderzyłeś Astopela.  
 — Ukradł mi zegarek!  
 — Tak, ale tobie nie starczyło wyobraźni, żeby odebrać go jakoś bardziej dyplomatycznie.  
 Pokręciłem głową.  
 — Ty zrobiłbyś to samo! A jak było z tym gościem, którego pobiłeś przed domem Schiavów?  
 — To było co innego. — Założył ręce na piersi, dając znak, że zakończył rozmowę na ten temat.  
 — Mój wnuk! Gdybym miał takiego wnuka, przeprowadziłbym się na Sumatę.  
 — Gdybym był twoim wnukiem, kupiłbym ci bilet.  
 — Dochodźcie do ładu ze sprawami rodzinnymi? — Zdechlak podszedł do nas, znów cały uśmiechnięty.  
 — Jak się nazywasz? — Musiałem od czegoś zacząć, a wiedza, kim jest ten gość, mogła być pomocna.  
 — August Gould, Gus dla przyjaciół. Miło cię poznać. P o n o w n i e. Chcesz się przywitać, żeby było oficjalnie?  
 — Gus Gould.  
 — Tak, sir. — Szczerzył zęby niczym wycięta na Halloween dynia.  
 — Gus, pamięć mi coś dzisiaj nie dopisuje. Powiedz mi dokładnie, gdzie jesteśmy i co tu robimy.  
 — Jesteśmy w Wiedniu, w Austrii, Fran . Odbywamy dwutygodniową wycieczkę po Europie i został nam tydzień. Potem pojedziemy jeszcze do Wenecji, Florencji, Rzymu i Aten, a potem do domu.  
 — Gdzie jest ten dom? — spytałem z duszą na ramieniu. A jeśli mieszkałem w Yanbu w Arabii Saudyjskiej?  
 — Twój w Nowym Jorku, mój w St. Louis.  
 — W Crane's View w stanie Nowy Jork?  
 — Nie, w samym mieście. Na Manhattanie.  
 Chłopak spojrział na mnie.  
 — Fajnie. Chętnie bym tam zamieszkał. Ale co stało się z Crane's View?  
 Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się do Gusa. — I mówisz, że moja żona nazywa się Susan? Nie Magda?

— Słuchaj Fran , nie strugaj ze mnie wariata! Nie mogłeś zapomnieć, jak ma na imię twoja żona. Gdyby pamięć aż tak cię zawodziła, to od dawna musiałyby cię prowadzić na smyczy. — Westchnął, jakby miał to wszystko za przeciągającą się ponad miarę, niesmaczną zabawę. — Susan Ginnety. O ile wiem, to tak się nazywa, chociaż osobiście niezbyt to rozumiem. Co to za żona, która nie chce przyjąć nazwiska męża po ślubie?

Ledwie usłyszeliśmy pełne miano mojej żony, obaj z chłopakiem jęknęliśmy. Susan Ginnety? Poślubiłem Susan Ginnety? Mój rzekomy wnuk, wyraźnie zdruzgotany, odskoczył ode mnie, złapał się za głowę i odtańczył taniec bóleści.

— Susan Ginnety? Żeby to! Ożeniłeś się z tą cipą? Najpierw Magda Ostrova z dziesiątej, a teraz Susan Ginnety? Na mózg ci padło? Nie, co mi odbiło? Uziemiasz mnie!

— Przestań! Wiem o tym wszystkim tyle samo, co ty. Susan już jest zamężna! Ona. . . Cholera. — Nagle przypomniałem sobie, że tuż przed początkiem całej historii Susan rozeszła się z mężem. — Musimy ją znaleźć. Musimy z nią porozmawiać. Gus, gdzie ona jest? Wiesz, gdzie jest teraz Susan?

Spojrzał na zegarek, który wszakże wyglądał jakoś dziwnie. Bardziej przypominał czarną, gumową bransoletę. Z miejsca, gdzie stałem, dostrzegłem na niej jakieś cyfry, całkiem bez sensu, ułożone zupełnie nie jak w zegarku. Przysunął to coś do ust.

— Dzwon do Susan Ginnety — powiedział.

Dzieciak gwizdnął z cicha.

— To jest t e l e f o n?

Gus uniósł brwi, ale nic nie powiedział, czekał najwyraźniej na odpowiedź z tego swojego telefonu. Nagle zaczął mówić.

— Susan? Cześć, tu Gus Gould. Tak, mam na niego oko. Na niego i tego waszego wnuka. Co? Tak, wnuka. Nie, czekaj, chwilę. Frannie stoi obok i twierdzi, że musi z tobą o czymś porozmawiać. — Uśmiechnął się do mnie. Zmarszczyłem czoło. — Dalej, Fran , pogadaj z nią.

— Że jak?

Wskazał na mój nadgarstek i dopiero teraz dostrzegłem, że sam noszę podobną bransoletę. Dzieciak też. Z wahaniem uniosłem ją do ust, ale nie wiedziałem, jak blisko powinienem trzymać ją podczas rozmowy. Z boku musiało to chyba wyglądać, jakbym obawiał się, że urządzenie mnie ugryzie.

— Susan?

— Cześć, Frannie. O co chodzi?

Jej głos brzmiał idealnie czysto, ale jak ja ją, u licha, słyszałem? Nie czułem, by cokolwiek tkwiło mi w uszach.

— Jak to działa, że słyszę?

— Sieć przesyłowa oparta na macierzy liniowej.

— Słucham?

— Wykorzystanie macierzy liniowej. Specjalne włókna optyczne podłączone do miejskiej sieci informatycznej sterowanej. . .

— Dość! Susan, gdzie jesteś? Musimy zaraz porozmawiać.

— W kawiarni, Frannie. Nie pamiętasz? Ty i Gus mówiliście, że chcecie iść. . .

— Tak, tak, zapomniałem. Muszę n a t y c h m i a s t porozmawiać z tobą.

Dłuższą chwilę milczała, a potem westchnęła jak oddający ducha męczennik.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz znów narzekać na tę wycieczkę. Nie mam ochoty jeszcze raz się kłócić.

— Nie zamierzam, Susan. Wcale nie o wycieczce chcę z tobą rozmawiać. Muszę spytać o parę rzeczy. — Mój głos brzmiał nienaturalnie, desperacko. Jeszcze trochę nerwów, a zacznę gwizdać jak czajnik, pomyślałem.

— Jesteśmy w kawiarni. Wiesz przecież.

— Nie, Suze, niczego nie wiem. Jeszcze pięć minut temu nie wiedziałem nawet, gdzie jestem, ale mniejsza z tym. Której kawiarni?

— Sperl.

— Sperry? Jesteś w kawiarni, która nazywa się Sperry?

— Sperl, Frannie, Sperl. Podkręć swój aparat słuchowy, kochanie.

— Dobra, znajdę. Jak teraz wyglądasz?

Zachichotała w charakterystyczny dla niej sposób. Słyszałem to tyle razy, gdy rozmawialiśmy podczas naszych cotygodniowych spotkań o wydarzeniach w Crane's View.

— Jak teraz wyglądam? No, tak jak rano, gdybyś zapomniał. Cześć!

Gus Gould uznał to za najprzedniejszy żart i znów usłyszałem jego śmiech prosto z obory. Zapomniałem, że mógł słyszeć nas oboje.

— Zaprowadzę cię do niej, Fran .

— Dobra, wielkie dzięki. Gdzie jest ta kawiarnia Sperl, Sperry, czy jak jej tam?

— Tuż obok naszego hotelu. — Gus pokazał, bym szedł za nim, i ruszył dziarsko.

Obejrzałem się na chłopaka.

— Naszego hotelu? Jakiego hotelu? Nie mam najmniejszego pojęcia, co tu się, u diabła, dzieje. Co się popieprzyło? — Ruszyłem śladem Gusa.

— To wcale nie musiało tak wyglądać. To twoja wina! Gdybyś nie był tak głupi, żeby bić Astopela. . .

— Zmień kanał, dobra, synku? Słyszałem to już z dziewiętnaście razy. Jeśli oczekujesz przeprosin, to się rozczarujesz. A swoją drogą, nie powiedziałeś mi jeszcze, co ty tutaj robisz.

— Nie wiem. W jednej chwili zajmowałem się własnymi sprawami, a tu nagle coś świsnęło i proszę, jestem w twoim życiu. Teraz dla odmiany tutaj.

— Nie wierzę. Poza tym, skoro jesteśmy tak daleko w przyszłości, to czemu nic się nie zmieniło?



Wcale nie przesadzałem. Jeśli miałem około siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat, to musiało minąć lat ze trzydzieści, a z tego, co widziałem wokoło, świat był wciąż prawie taki sam. Sklepy jak sklepy, zwykłe samochody na ulicy, takie jeżdżące, a nie latające w przestworzach, jak w *Powrocie do przyszłości*. Owszem, smuklejsze jakby, z bardziej aerodynamicznymi karoseriami, ale nadal samochody.

Junior wtrącił mi się w myśli.

— Ze mną było tak samo. Gdy przybyłem do twoich czasów, też nie widziałem różnic. Zwykłe ubrania, telewizja bez rewelacji. . .

— Kto cię wysłał do moich czasów?

Posłał mi szybkie, ukradkowe spojrzenie i zaraz odwrócił głowę. Potem przyspieszył do naprawdę szybkiego marszu. Mały drań próbował zwiać. Pokuśtykałem za nim i w końcu zdołałem dojść łobuza. Położyłem mu dłoń na ramieniu. Strząsnął ją.

— Astopel! To Astopel, prawda? — W imieniu tego gościa musiała tkwić jakaś magiczna moc, bo junior odsunął się ode mnie tak gwałtownie, że gdyby był samochodem, to zostawiłby za sobą długi na jakieś trzydzieści stóp ślad spalanej gumy. Gdy tak patrzyłem na niego i na Gusa, nagle coś zaświtało mi w głowie. — Bo i ty go uderzyłeś! Ty też przywaliłeś Astopelowi, t a k?

Chłopak nie odpowiedział, ale wiedziałem, że to celny strzał. Dlatego właśnie tak obawiał się mojej reakcji na czarnego faceta. I dlatego zaczął cholerować, gdy powaliłem Astopela. Wiedział, co się stanie! Wcześniej zrobił d o k ł a d n i e t o s a m o i wyleciał w przyszłość jak ja.

— Czemu mi nie powiedziałaś?

Szedł dalej.

— Słucham, dupku, czemu mi nie powiedziałaś, co się stanie, gdy mu przyłożę? — Ludzie stawali wkoło i gapili się na tego starego pierdziela w czerwieni, który wrzeszczał na całą ulicę, rugając najwyraźniej obojętnego dzieciaka. — Mówię do ciebie!

Gus też na mnie patrzył, podobnie jak połowa ludzi na chodniku. Niemal wszyscy, tylko nie junior. Gdybym miał prawdziwe nogi, tobym go dogonił. W końcu się zatrzymał, wsparł dłonie na biodrach i powoli się odwrócił. Z wyrazem oburzenia na twarzy.

— Jeszcze nie kojarzysz? Nic nie mogę dla ciebie zrobić! Myślisz, że nie powiedziałbym, gdybym mógł? Myślisz, że chętnie tu się plączę? Naprawdę jesteś tak głupi?

— Ale czemu mi n i e p o w i e d z i a ł e ś?

— Bo NIE MOGŁEM!

Krzyczeliśmy do siebie przez spory kawał chodnika. Zawsze w takich sytuacjach wcześniej czy później zjawia się w okolicy jakiś glina. Tym razem zdarzyło się to wcześniej. Policja wiedeńska nosi zielone mundury z białymi czapkami

i bardziej przypomina straż graniczną niż policję. Ten goguś był rośli, ze stosownym, bardzo męskim wąsem i jednoznaczną postawą zrozumiałą bez tłumaczenia w co najmniej pięciu językach. Wybrał mnie, kutafon jeden. Musiał być kutafonem, skoro odruchowo wystartował do starego, słabego człowieka. W czerwonym wdzianku.

— *Na, was ist?*

— O co chodzi, panie władzo? — Odpowiedziałem mu po angielsku i bez wahania spojrzałem prosto w oczy, i zapewne dlatego powietrze uleciało zeń błyskawicznie. Poczul się zmieszany i niedoceniony: paskudna kombinacja, gdy masz do czynienia z gliną.

Odpowiedział kulejącym, podręcznikowym angielskim.

— Czemu pan krzyczy? Nie wolno krzyczeć w Wiedniu.

— Nie krzyczę. Wołam mojego wnuka. — Wskazałem na juniora. Miałem nadzieję, że gliniarz dojrzy jakieś rodzinne podobieństwo.

Dzieciak wzruszył ramionami. Policjant wydał wargi, aż włoski z wąsów wlaży mu do nosa. Kątem oka dostrzegłem Gusa Goulda zbliżającego się do nas zwawym krokiem. Musiał chyba uznać, że kompletnie mi szajba odbiła.

Sądząc po plakietce, gliniarz nazywał się Lumplecker. Zamilkłem na chwilę, żeby to przetrawić, i jakimś cudem udało mi się nie roześmiać.

— Funkcjonariuszu Lumplecker?

— *Ja?*

— Który mamy rok?

— *Bitte?*

— Rok. Który rok jest teraz. Jaka jest dzisiejsza data?

Lumplecker spojrzał na mnie jak na lumpa, który próbuje naciągnąć go na jednego.

— Nie rozumiem. Nie mówię dobrze po angielsku. Ma pan przyjaciela. Niech pan jego pyta.

— Chodźmy, Frannie, musimy dotrzeć do kawiarni. — Gus trącił mnie biodrem i uśmiechnął się żółciście do patrolowego L.

Jakiś chłopak spośród gapiów, taki w skórzanych szortach i zielonych podkolanówkach, spytał: *Was ist mit ihm?* Gliniarz obrócił się zirytowany, spojrzał słuźbiście na nieświadomego niebezpieczeństwa Fryca i zaczął wrzeszczeć nań niczym naładowany niemieckimi głoskami karabin maszynowy. Gus i ja odplynęliśmy nawet bez skromnego *auf Wiedersehen*.

— Co się z tobą dzieje dziś od rana, Frannie? Brałeś coś? Chyba się nie narkotyzujesz?

Mój ojciec tak samo mnie pytał, gdy w młodości ładowałem się nieustannie w kłopoty. „B r a ł e ś c o ś?” znaczyło wszystko. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś racjonalne wytłumaczenie dla moich wyskoków. Wtedy wiedziałby, co mi od

ust odjąć, żebym znowu wyszedł na prostą. Daremny trud. W owych czasach sam produkowałem dokrewnie swoje narkotyki.

— Czekał no! Jak to się dzieje, że go widzisz? — Wskazałem na odległego o dziesięć stóp juniora.

Gus odwinął pasek gumy do żucia i wpakował go do ust.

— A czemu nie miałbym go widzieć?

Podszedłem do chłopaka.

— Czemu on cię widzi? W Crane's View mówiłeś, że nikt nie może cię dojrzeć prócz mnie i kota.

— Bo teraz jesteśmy w jeszcze innym strumieniu czasu. Tutaj obaj jesteśmy obcy.

Była wiosna. Co rusz mijały nas dziewczęta w sorbetowych, letnich sukniach, ich perfumy drażniły łagodnie nasze nosy. Mogłem być stary, ale mój zmysł powonienia działał ciągle bez zarzutu. Tu i ówdzie kręciły się bez celu korzystające z ciepłej pogody pary. Uliczni grajkowie muzykowali, jak komu było po drodze, jeden na klasycznej gitarze, inny na pile.

Wiedeń. Austria. Mozart. Freud. Wienerwald. Sacher Torte. Nawet gdybym złapał bakcyła podróżniczego, tutaj i tak nigdy bym nie przyjechał. Nigdy nie ciekawiło mnie to miasto. Spędziłem trochę czasu w Londynie, byłem w Paryżu i Madrycie i jeszcze paru innych, egzotycznych miejscach, ale Wiedeń oznaczał operę, a tej nie cierpiałem. Stające na tylnych nogach konie z Lippizy po prostu mnie przygnębiały. Poza tym to tutaj, w Wiedniu, Hitler został Hitlerem. Całkiem niepotrzebnie. Na dodatek George Dalemwood był tu kiedyś i po powrocie powiedział, że w życiu nie spotkał równie niemiłych i zamkniętych ludzi jak wiedeńczycy. Co mnie pokręciło, by przyjeżdżać w jesieni życia do Wiednia? Ani chybi, to skutek małżeństwa z Susan Ginnety, nie inaczej.

— A to opera. Myślałem, że jest większa. Na zdjęciach wyglądała na większą.

Gdy podeszliśmy, ujrzałem okazałą budowlę, ale jakoś mnie nie wzięło, chociaż serce powinno przecież wyrywać się z piersi na widok sławnych miejsc, jak Wielki Kanion, Big Ben czy opera wiedeńska. Tyle że moje serce zwykle reaguje odwrotnie. Szczególnie w uroczystych chwilach. Widać nie lubi, jak ktoś próbuje mu mówić, co ma robić.

— Nie zapomnij, Frannie, że wieczorem mamy ją odwiedzić.

— Aha. Daleko jeszcze do tej kawiarni?

— Jakieś dziesięć minut.

— Jezu, aż tyle?

Ciało miałem jak z ołowiu, jak z ciasta, kamienia, drewna, i to przy podwójnym ciężeniu. Gówniany interes. Więc t o t a k jest na starość? Do diabła! Chętnie wymieniłbym swoją powłokę na nowszy model. Natychmiast. Jak ci starzy sobie z tym radzą? Jak unoszą te nogi o sztywnych kolanach, z których każda

waży ze sto funtów, jak stawiają je jedną za drugą przez całe dni? Ręce miałem rozpalone od artretyzmu, nogi zimne, nie wiadomo od czego. Wydawało mi się, że wszyscy mijają mnie pędem, jakby na wrotkach jeździli, ale nie: oni szli na własnych nogach związanych z młodymi ciałami, które traktowali jak coś całkiem normalnego. Chciałem poruszać się szybciej i stanąć, i zapłakać z frustracji. Jedno i drugie w tym samym czasie.

— Poczekajcie, chłopaki. Chwila, muszę odpocząć.

Gus i dzieciak wymienili spojrzenia, ale przystanęli.

Chętnie zabiłbym ich obu. Jak oni mogli tak poganiać, widzieli przecież, że zmagam się z brzemieniem wieku.

— Dobrze się czujesz, Frannie?

— Nie. Nie czuję się dobrze! Poczekajcie chwilę, dobra?

— Nie ma sprawy, kolego.

— Czy to budka z hot-dogami? Co to znaczy *wurstel*? — Dzieciak wskazał na mały kiosk z obrazkami kanapek i kiełbasek przyczepionymi do szyby. — Jestem głodny. Wziąłbym jednego.

Pomiędzy jednym i drugim świszczącym oddechem spytałem go, czy ma pieniądze.

— Nie. A ty?

Ręka sama znalazła w kieszeni plik kart. Nawet się nie zdziwiłem. Wyjąłem wszystkie, żeby je obejrzeć.

— Zapłać VISA — podsunął Gus.

— Przyjmą kartę kredytową w budce z hot-dogami? Skrzywił się. Widać chciał powiedzieć, że przecież aż t a k głupi być nie mogę.

— A co, dasz mu banknot pięciodolarowy? Kiedy ostatni raz widziałeś papierowe pieniądze?

— Ja też mam kartę. Też mam. Cały czas ją miałem. — Junior pomachał lśniącem, różowym kawałkiem plastiku i ruszył w kierunku kiosku.

Wciąż nie mogłem złapać tchu. Całe ciało buntowało się, że kazałem mu maszerować tak szybko. Wiedziałem, że wcale daleko nie zaszliśmy. Jakby nie dość było wszystkich niespodzianek, to jeszcze i to... Wciąż nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę ja: uwięziony w tym obolałym, niezdarnym, zmęczonym i starym ciele. Zwykły pierdziel.

— Opowiedz mi o swoim wnuku. Wygląda na dobrego chłopca.

Patrzyliśmy, jak rzekomo dobry chłopiec kupuje sobie hot-doga. Machał rękami i kiwał głową, aż w końcu sprzedawca zrozumiał, o co chodzi. Dawno już nie byłem w kraju, w którym nie mówiono po angielsku. A teraz nagle dwa obce miejsca: Austria i starość.

Wymyślałem właśnie dla Gusa jakieś nonsensy o moim „wnuku”, gdy usłyszałem wysoki, świdrujący dźwięk. Od razu wiedziałem, co to jest. Sam wiele razy powodowałem podobny jazgot na moim ducatom: to był przechodzący na niższy

bieg motocykl. Odwróciłem się od Gusa, żeby spojrzeć na ulicę, i na wprost siebie ujrzałem ostatni obraz w życiu: przepiękną, smukłą i srebrzystą maszynę lecącą przez powietrze wprost na mnie.

Koniec.

## DZIURY W DESZCZU

Następne, co zobaczyłem, to były moje ręce. Trzymałem w nich koktajl truskawkowy w staromodnej, wysokiej szklance. To były znowu „moje” ręce: żadnych plam wątrobowych, kłykci jak orzechy czy skóry udającej z powodzeniem papier ścierny. Skóra miała zdrowy kolor, bez tej mozaiki upiornych odcieni, którą nosiłem w Wiedniu.

Z wolna zwinąłem jedną dłoń w pięść i ucieszyłem się jak dziecko, gdy nie poczułem ataku bólu. Na wszelki wypadek rozprostowałem ją jeszcze, by sprawdzić, czy w drugą stronę będzie tak samo. Było. Znaczą wróciłem? Znowu byłem sobą? Położyłem dłoń płasko na czerwonym blacie, poczułem, jak chłodzi miło odrodzone ciało. Przesunąłem ręką po gładkiej powierzchni. Potem uniosłem dłoń o parę cali, a palce odtańczyły kilka łamańców dla uczczenia naszego powrotu.

— Pijesz ten koktajl czy hipnotyzujesz?

Wiedziałem, że coś musi się spieprzyć. Za dobrze by było. Znałem ten głos i wcale nie pragnąłem rzeczonyj osoby oglądać. A jednak obróciłem się wraz ze stołkiem i spojrzałem.

Byłem u Scrappy’ego. W Crane’s View Ten lokal nigdy nie jest pusty, zawsze ktoś tu siedzi, od otwarcia o szóstej rano do zamknięcia o północy. Tyle że teraz nie było w nim żadnych gości prócz mnie i mojego starego kumpla Astopela, który siedział na drugim końcu kontuaru. Patrzył na mnie i uśmiechał się, sukinsyn jeden.

— Czy nawet trzydziestu sekund szczęścia bez ciebie nie mogę zaznać? Naprawdę nie ma żadnego prawa, które zakazywałoby nadmiaru twego towarzystwa?

— Możesz mieć tego czasu, ile zechcesz, McCabe, ale uprzedzam, że twój zegar tyka.

W gardle mi zaschło, łyknąłem zatem koktajlu, który dostarczył mi w tym momencie nie mniej rozkoszy niż porządny seks. Jakoś nie mogłem przestać pić, wygulgotałem więc całą szklankę. Nawet gardło miałem młodsze, całe chętne i gotowe, by przełknąć słodki napój.

Otarłem usta wierzchem dłoni.

— Dobra, co za zegar mi tak tyka?

— Jak ci się podobała własna śmierć? Bez wątpienia dramatyczna.

— Naprawdę tak umrę?

— Tak. Motocyklem przez łeb.

— Zginę staranowany przez motocykl w Wiedniu, gdy będę miał sto lat i zrobi się ze mnie upierdliwy dziadek, który tylko cudem nie zszedł wcześniej własnym przemysłem. Fajnie. Mam na co czekać.

— Obawiam się, że niezupełnie sto.

— A ile?

— Nie mogę powiedzieć. Sam musisz do tego dojść. Ale w tym tempie nie zdążysz, bo czas ci się skończy.

— Po literkach poproszę.

Zsunął się ze stołka i poszedł za kontuar. Zbliżył się do mnie, wziął moją szklankę i napełnił ją z metalowego szejkera. Ustawił mi napój przed nosem.

— Truskawkowy to twój ulubiony, tak?

— Sam go zrobiłeś? Dobry.

— Dziękuję. „Przemyśl coś dokładnie, a przestaniesz o tym śnić”. Znasz te słowa? To z Koranu. — Wyciągnął z maszyny szklankę coli i, ku mojemu zdumieniu, wstawił ją do kuchenki mikrofalowej. Nastawił licznik na najwyższą temperaturę i poczekał, aż urządzenie piknie chwilę później. Wyjął szklankę i upił trochę, chociaż coca-cola musiała mieć chyba z sześćset stopni. I jeszcze oblizał ze smakiem usta.

— Astopel, przekonaj mnie, że tego nie zrobiłeś. Chyba że masz język z azbestu. A może jesteś diabłem? Po co to wszystko?

— Szukasz łatwych odpowiedzi, McCabe. Niestety, takich tu nie ma. Może powinieneś zmienić metodę dochodzenia.

— Tak? Wyobraź sobie, że ostatnio byłem zbyt zajęty odrabianiem starca nad grobem. I miałem motocykl zamiast kapelusza.

— Wielka szkoda, bo zostały ci jeszcze tylko cztery okazje, by wrócić do przyszłości przed końcem tego tygodnia. K i e d y to zrobisz, to już twoja sprawa, ale masz na to sześć dni. . .

— Co znaczy sześć? Powiedziałeś, że siedem. Że mam tydzień.

— Spójrz za okno.

Na ulicy było całkiem ciemno.

— Dziś już się skończyło?

— Właśnie.

— Dziś jest wtorek.

— Był wtorek.

— Czyli do przyszłego wtorku muszę wszystko rozwikłać? Tutaj albo w przyszłości?

— Zgadza się.

Postukałem szklanką w kontuar.

— A w przeciwnym razie?

— Pamiętasz chyba, co powiedziała ci Antonya Coronado?

— Że się nie zabiła. Że ktoś inny ją załatwił.

Astopel przytaknął.

— Stawką jest nie tylko twoje życie. Życie wielu innych również. Masz siedem dni, bo tak musi być. Możesz wykorzystać pozostały ci czas, by spróbować zrozumieć, czemu tak jest, ale to chyba byłoby marnotrawstwo. Może pocieszy cię trochę fakt, że nie ty jeden znalazłeś się w podobnej sytuacji.

— Są jeszcze inni, którzy muszą uporać się z tym samym, co ja?

— Tak.

— Tutaj, w Crane's View?

— Nie, w różnych miejscach na całym świecie.

Dopiłem resztę koktajlu. Teraz nie smakował już tak dobrze.

— Dwie uwagi na koniec, McCabe. Możesz wrócić do przyszłości w każdym momencie tego tygodnia. Starczy, że powiesz zdanie „dziury w deszczu”, i już. Ale jak już tam trafisz, nie będziesz mógł decydować o wyborze chwili powrotu do terażniejszości. To się po prostu stanie. Po drugie: przy każdej wizycie będziesz trafiał o jeden dzień wcześniej wobec tego, który poznałeś ostatnio. Tak zatem, za drugim razem znajdziesz się tam w przeddzień swojej śmierci.

— Czyste wariactwo.

— Mam nadzieję, że w końcu pojdziesz, jaki w tym sens. — Dokończył swoją colę i obszedł kontuar. Nie oglądając się, ruszył ku drzwiom.

— Poczekaj! Jeszcze jedno... Czemu ożeniłem się z Susan Ginnety? Czy coś stało się Magdzie? Co się z nią stało?

Uniósł głowę i spojrzał na sufit.

— Z każdym coś się dzieje, panie McCabe.

I wyszedł.

Ulice Crane's View były puste i ciche, gdy szedłem nimi z knajpki do domu. Noc strzeże zawsze swoich odgłosów, gdyż większość z nich wywodzi się z drugiej strony ciszy. Po północy robi się tak pusto, że mimowolnie nastawiasz uszy, za wszelką cenę chcesz złowić jakieś dźwięki. Przywykły do dziennego jazgotu nie możesz się odprężyć w tych warunkach. Nasze uszy nie lubią ciszy, to nie ich domena, przez co reagują wtedy silnie na każdy szmer; czy będzie to jednosilnikowy samolot lecący gdzieś na wysokim pułapie, czy samochód przejeżdżający pięć przecznic dalej. A gdy dojdzie do tego jeszcze wrzask rozzłoszczonego czymś kota, to czujesz, jakby ktoś nożyczki wbił ci w ucho. Cokolwiek jednak słyszałem, były to świadectwa chwili terażniejszej, świata istniejącego tutaj i teraz, a nie w przyszłości. Chłonałem je i żałowałem, że to tylko tyle, że nie pojawia się nic więcej, co potwierdzałoby mój powrót do miejsca i czasu, w których chciałem przebywać.



Jak często w chwilach zagubienia, zacząłem mówić sam do siebie. To ogólnie pomocny zwyczaj, nabyłem go w Wietnamie, gdy szukałem sposobu, żeby przetrwać jakoś tamto obłąkane piekło.

Ze szczerą troską spytałem sam siebie:

— Czy dobrze się czujesz?

Chwila ciszy. Skrzywiłem się ponuro.

— Czy dobrze? No, żyję. To owszem. Żyję i nie wiem, kurna, co robić. Co, do kurwy nędzy, powinienem niby zrobić? Nic mi nie świta, ale w ciągu tygodnia mam się dowiedzieć. Albo i nie. Powodzenia, tatuńciu.

Widok tych cichych, znajomych zakątków, oszołomienie ostatnimi wypadkami i rozpaczliwe uwielbienie dla mojego teraz sprawiały, że w głowie zaczynało mi się kręcić.

— Dostaję już przez to wszystko zawrotów głowy!

Dla odzyskania równowagi potrzebowałem możliwie sporo kontaktu z Crane's View, zapomniałem więc o późnej godzinie i poszedłem do domu dłuższą drogą. Celowo przemaszerowałem obok domu Schiavów; chciałem sprawdzić, czy coś jeszcze tam się nie zdarzyło. Wypalone resztki trwały ciemne i martwe. Kilka chwil później stanąłem przed parcelą George'a Dalemwooda. Na dole było jasno od lamp, jak zwykle zresztą, bo George nie lubił nocy. Powiadał, że żarówki dostrzymują mu towarzystwa. Najchętniej zapukałbym do niego i wdał się w długą rozmowę o tym wszystkim, ale nie zapukałem. Wiedziałem, że wcześniej sam muszę sobie to i owo uważnie przemyśleć. Dopiero potem przyjdzie pora na kolejną rozmowę. Nie wątpiłem też, że za jakiś czas będę jeszcze potrzebował jego pomocy, należało więc wprowadzić go w sprawę spokojnie, z sensem i po kolei. George był cierpliwy i otwarty na idee, ale gdybym w obecnym stanie ducha próbował zdać mu sprawę z dzisiejszych wydarzeń, to mimo przyjaźni mógłby poszukać jakiegoś kaftana z bardzo długimi rękawami.

— Idź do domu, Fran — ni to westchnąłem, ni powiedziałem. — Wracaj do rodziny.

Smith siedział na szczycie schodów werandy. Nieruchomy niczym posązek. Zupełnie, jakby czekał, aż wrócę. Byłem tak zmęczony, że nie przywitałem się z nim głośno, pogłaskałem go tylko kilka razy po łebku i otworzyłem drzwi.

Słodki zapach domu. Holendrzy mają takie powiedzenie, że zegar zawsze tyka najmilej w domu. Takie lub podobne. Ale jeszcze lepiej jest z zapachami. Jeden niuch, i dusza już wie, gdzie jest. Wcześniej niż umysł. Stanąłem za progiem, zamknąłem oczy i przez chwilę tylko oddychałem domem. Po wszystkim, co przeszedłem, ta woń dorastała do miana boskich perfum. Było w niej moje życie. Ludzie, z którymi mieszkalem, nasz dobytek, kot, zrobiony przez kogoś wcześniej popcorn, woda „CK one” używana przez Pauline; nawet kurz pachniał znajomo.

Na górze spały dwie kobiety: Magda zapewne w spodniach od dressu i moim T-shircie z Macalester College, rozciągnięta maksymalnie w poprzek łóżka. Pauline

w koszuli nocnej, skulona na brzeżku, jakby obawiała się zabierać zbyt wiele miejsca. W odróżnieniu od matki miała lekki sen i jakieś koszmary musiały ją dręczyć, bo pod zamkniętymi powiekami ciągle się kotłowało.

Byłem wyczerpany, pusty niczym skrzynka na listy przed domem starego człowieka. Sama myśl o wśliznięciu się do ciepłego łóżka obok mojej żony była niemal równie rozkoszna jak owa czynność. Jednak ledwo pomyślałem o żonie, zaraz przypomniałem sobie Susan Ginnety, która za n-lat w przyszłości zostanie panią McCabe. Na tak obłąkaną perspektywę z miejsca otrzeźwiałem.

Kot mruczał u moich stóp, ale nagle, całkiem bez ostrzeżenia, rzucił się przez pokój i skoczył z rozpędu na okno. Coś zaskrzeczało i z zewnętrznej ramy poderwał się do lotu jakiś ptak. Dwa wielkie, białe pióra spłynęły z wolna ku ziemi i znikły poza polem widzenia. Patrzyłem na to i coś zaczynało mi świtać... Pióra. Znowu pióra. Jedno wytatuowane na plecach Pauline, drugie pochowane wraz z Old Vertue i jeszcze... Raptem błysnęło mi pod czaszką i przypomniałem sobie coś z przyszłości. Mojej przyszłości. Skrajnie poruszony bez zastanowienia powiedziałem: „Dziury w deszczu!” Musiałem wrócić i odszukać kolejne pióro. Jedno konkretne pióro, które tam widziałem i które mogło dostarczyć odpowiedzi na wszystkie pytania.

Byłem nagi. Leżałem nagi w łóżku. Nagi, w łóżku i obok kobiety. Która też była naga. I stara. I nie była to moja żona, Magda. Manipulowała dłonią, próbując pobudzić palcami mego starego wiarusa. Bardzo się starała.

Stałem wprost na łóżku i zasłoniłem się, ale wcześniej odnotowałem, że pewien sukces udało się owej kobiecie osiągnąć.

Stara Susan Ginnety uśmiechnęła się do mnie szyderczo.

— Mówiłam, że postawię cię na nogi, Frannie! Kładź mi się tu zaraz. Nie bądź głupi.

Sześćdziesiąt lat wcześniej uprawiałem z tą kobietą seks we wszystkich pozycjach, które były dostępne dla młodych, nastoletnich ciał. Radośnie wykorzystaliśmy wszelkie nasze otwory i wypustki. Teraz jednak, gdy stałem nad nią na starczych nogach, poczułem się jak zakonnica w męskiej szatni.

— Daj spokój, Susan! Odbiło ci?

To ją poderwało. Stała przy łóżku z dłońmi na kościstych biodrach, ukazując mi pełnię swej nagości, której wcale nie chciałem oglądać.

— Aż do dziś byłem bardzo cierpliwy, Frannie. Ale jestem kobietą i mam swoje potrzeby!

Jeśli rozegram to źle, pomyślałem, nigdy nie wycisnę z niej pożądaną odpowiedzi.

— Spójrz na mnie, Susan. Chcesz mnie z takim ciałem? Skruszałym jak zwój znad Morza Martwego?

Jakoś jej to nie poruszyło.

— No to czemu się ze mną ożeniłeś, jeśli wiedziałeś, że tak będzie?

— To dobre pytanie — palnąłem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

Rąbnęła mnie w kolano. Bogu dzięki, że stałem na łóżku, bo upadłem na bok, a moja głowa podskoczyła na materacu niczym piłeczka pingpongowa.

— Skurwiel! Sam mi to zaproponowałeś! Czemu się zgodziłam? Skąd mi do głowy przyszło, że to może się udać?

Jazgotała dalej, ale moją uwagę przykuła całkowicie katastrofa kolanowa. Nawet gdy ból zmalał poniżej niebezpiecznego poziomu, wciąż przetaczałem się po pościeli i jęczałem, jakby to mafia mnie załatwiła, a nie mocno zaawansowana w latach kobieta.

Dwa silne stuknięcia do drzwi sprawiły, że zamarliśmy. Spojrzeliśmy po sobie, jakby przyłapano na nas czymś niestosownym. Po chwili ktoś zastukał jeszcze trzy razy. Podciągnąłem koc pod brodę. Susan owinęła się bez pośpiechu w zielony i mechaty szlafrok, który wisiał na oparciu krzesła.

Po raz pierwszy od „przebudzenia” w tych dekoracjach rozejrzałem się wkoło. Byłem w jednym z najpiękniejszych pokoi hotelowych, jakie zdarzyło mi się widzieć. Normalnie przydziela się takie chyba tylko głowom stanu lub innym bardzo ważnym osobom, z rodzaju tych, co zawsze trzymają zatankowanego Gulfstreama na lotnisku. Bez wątplenia nie był to pokój dla szefa policji z Crane’s View. Moja pierwsza żona (Pierwsza? Teraz miałem najwyraźniej trzecią!) uwielbiała dostatnie życie, przez co zaznałem przy niej nieco hotelowego komfortu, ale w porównaniu z tym pałacem wszystko to były przybytki na poziomie poczekalni dworcowej w Górnej Wolcie. Jak, u diabła, trafiłem tu z tą geriatryczną nimfomanką? I co ważniejsze, kto za to płacił?

— Cześć, Gus — mruknęła ponuro Susan.

To nie był ten sam Gus Gould, którego widziałem ostatnio. Ten dżentelmen pasował dokładnie do owego wykwintnego apartamentu: nosił ciemny garnitur, tak idealnie skrojony i dopasowany, że musiał pochodzić od krawca żądającego co najmniej czterech przymiarek. Do tego śnieżnobiała koszula, mankiety ze spinkami i cienki czarny krawat z jedwabnym połyskiem. Uniosłem się na łokciu, by spojrzeć na jego buty. Bezwarunkowo psuły obraz. Chociaż ładne, były to jednak kowbojskie buty z wężowej skóry.

— Czemu tak się wylegujecie? Dzień się zaczął, robota czeka!

— Mój mąż i ja nieco się posprzeczailiśmy. — Susan spojrzała na mnie w sposób, który zmroziłby węże na głowie Meduzy.

— Trudno, ale lepiej już wstańcie. Wiecie, że Floon nie lubi, żeby się spóźniać na śniadanie.

— A kto to jest?

— Nie wygłupiaj się, Frannie. — Susan przemknęła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. O wiele za mocno.

— To wciąż piękna kobieta, Frannie. Ty to masz szczęście.

— Aha. Chętnie oddam ci ją w zamian za kilka odpowiedzi.

— Co masz na myśli?

— Nic.

Gus podszedł do jednej z wielkich szaf i otworzywszy ją, wyciągnął garnitur. Dokładnie taki sam, jak jego własny: ciemny, zbytkowny i piękny. Majątek na wieszaku.

— Pomogę ci się ubrać. Musimy ruszać. Gdzie masz koszulę i buty?

— Nosimy się tak samo?

Spojrzał na ubranie, sprawnie otrzepał klapy i okolice.

— Wiesz, Frannie, nigdy nie myślałem, że męski garnitur może kosztować dziesięć tysięcy dolarów. Nigdy, to znaczy do czasu naszej wycieczki, gdy dostałem mój. — Uniósł stopę. — John Wayne też nosił takie buty. Lucche. Skoro Floon chce, żebyśmy to wszystko dziś na siebie włożyli, to czemu nie. Z przyjemnością. Zapłacił za nasze stroje i pozwolił nam je zatrzymać, gdy wycieczka się skończy.

Wstałem nagi z łóżka. Co innego miałem zrobić? Zasłonić klejnoty poduszką?

— Pamięć mi chyba niezbyt dziś dopisuje, zatem wybac, Gus, że zadam ci parę mało inteligentnych pytań.

— Wybaczę. Oto twoja bielizna.

— Podał mi brązowe pudełko.

Otworzyłem je, odsunąłem śliczny kolorowy papier i zatchnęło mnie.

— Nie noszę bokserek.

— Dziś nosisz, chłopie. Floon już taki jest. Wszystko dopięte, do najmniejszego detalu. Te gatki kosztowały pewnie więcej niż mój pierwszy samochód.

Mocno nieszczęśliwy włożyłem bokserki. Potem pojawiła się biała koszula, czarne kaszmirowe skarpetki i g a r n i t u r. Taki właśnie: Luciano Barbera. Zawsze chciałem mieć garnitur od niego. Owszem, byłem stary, ale i tak świetnie czułem na skórze jakoś gładkiego materiału.

— Naprawdę kosztuje dziesięć tysięcy dolców?

— Tak, a Floon kupił ich cały tuzin. Boję się wręcz zgadywać, ile dał za toalety pań. I wiesz, co mi powiedział? Ze zapłacił za nie w ngultrumach.

— Co to jest?

— Pieniądze używane w Bhutanie. — Wrócił do szafy i wyciągnął moje kowbojskie buty. Ostatni raz widziałem takie na nogach juniora. Tyle że pomarańczowe. Te chociaż były czarne. Wziąłem jeden do ręki i obejrzałem ze wszystkich stron. Musiałem przyznać, że jeśli trzeba już włożyć parę butów ze skóry jaszczurki, to najlepiej właśnie takie.

Całkowicie ubrany przyjrzałem się sobie w wielkim lustrze.

— Wyglądamy jak Strażnicy Teksasu.

— Nie wiem, co Caz planuje na dzisiaj, ale założę się, że będzie to interesujące.

— Caz? Caz Floon? Co to za imię?

— Caz de Floon. Jest Holendrem. Frannie, jeśli nie pamiętasz jego imienia, to naprawdę musisz mieć kłopoty z pamięcią. Susan, jesteś już gotowa?

— Za minutę!

Minuta zmieniła się w kilka minut, ale gdy moja trzecia żona wyszła, wyglądała naprawdę wspaniale. Nosiła błękitną letnią suknię bez rękawów, która odmładzała ją o całe lata i dodawała nawet seksapilu. Takiego stosownego dla seniorek, oczywiście.

— Coś ty włożyła, Susan? — spytał Gus mało życzliwym tonem.

— Nie nudź. Nie podoba mi się suknia, którą przysłał Floon. Wyglądam w niej jak jarmarczna wróżka podczas karnawału dla ubogich. Madame Zuzu. Ale torebkę wezmę. Jest całkiem ładna.

Gus najpierw zacisnął mocno usta, potem zaczerpnął głęboko powietrza i dopiero przemówił.

— Proszę, nie rób tego, Suzan. Wiesz, co będzie.

Popatrzyli sobie głęboko w oczy. Żadne nie chciało pierwsze odwracać głowy. Niemal słychać było, jak jedna stalowa machina wolnej woli wpada na drugą. Czołowo i z impetem.

— Wybij to sobie z głowy. Podoba mi się ta suknia. Caz de Floon brzydko się bawi. Mianował się dyrektorem objazdowego cyrku. Musi nad wszystkim panować. Zaprasza tak zwanych przyjaciół na wycieczkę, a potem ubiera ich jak wola i ochota i przesuwa, i ustawia wkoło siebie jak lalki w stylu Barbie i Kena. Wcale mi się to nie podoba. Z początku myślałam, że będzie dobrze, ale nie. To perwersja, a on jest zboczony.

— Owszem, ale wiesz, co zrobi Floon, gdy zobaczy, że nie nosisz tego, co on chce. Czemu psuć atmosferę? W końcu to nic wielkiego.

— Może dla ciebie. Ja nie jestem zabawką. Dość mam jego humorów, fanaberii i dąsów. Wszystko musi być, jak on chce. Gdy nie jest, to nadyma się jak dwunastolatek. Boże, to jeden z najpotężniejszych ludzi na świecie i mógłby w końcu choć trochę wydorosnąć. Gdybym wiedziała, że będzie się tak zachowywał, nigdy bym nie przyjechała.

— Ale, Susan, to Floon za wszystko płaci. Dał wam wszystkim takie same suknie, żeby żadna nie zazdrościła drugiej. To chyba ma sens, prawda? Przecież żyjemy na tej wycieczce jak bogowie.

— Jak bożki raczej. — Poprawiła ramiączko sukni. — Bożki Floona, który rządzi nami niczym Zeus. Cała ta wycieczka jest jak podpisanie cyrografu. Owszem, można wiele zobaczyć i pojeść za wszystkie czasy, ale pod warunkiem, że spełnia się pilnie każde życzenie Floona, bo inaczej nasz patron dostaje piany na pysku. Nie do wiary, że jego „przyjaciele” idą za nim jak kaczkę do wody i tak samo wariują. Pieprzyć jego wycieczkę, dość mam udawania. Frannie miał rację, nie powinniśmy jechać. Namówiłam go, ale teraz wiem, że niepotrzebnie.

Z poprzedniego pobytu w przyszłości pamiętałem, jak Susan warczała na mnie przez telefon, abym nie jęczał na tę wycieczkę. Dziś żałuje, że pojechała, a jutro upomni mnie, bym nie narzekał. Co takiego zdarzyło się między dzisiaj a jutro, że zmieniła zdanie? A ważniejsze nawet, skąd to dzisiejsze zachowanie Susan? Okres?

Kim był Caz de Floon, poza tym że uchodził za jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie? Jak pasował do mojego równania? I gdzie było to pióro, które znałem aż za dobrze? Bo widziałem je tutaj. Na pewno widziałem.

W holu na dole zebrali się już „uszcześliwacze” Floona. Świat pełen jest ludzi, którzy gdzieś na coś czekają. Każdemu się zdarza, to i przywyknąć można. Z rzadka trafia się jednak zgromadzenie tak cudaczne, że mózg z miejsca daje po hamulcach, włącza syrenę i w ogóle odmawia współpracy.

Ci na dole byli, po pierwsze, ubrani identycznie, po drugie zaś reprezentowali wszelkie możliwe ludzkie typy i parametry, przez co zostaną mi w pamięci na zawsze. Znaczący do chwili, gdy motocykl strąci mi łeb z karku.

Oczywiście był wśród nich i karzeł, czy jak się w owych czasach podobne osoby nazywało. Gość wyraźnie niewyrośnięty. Garnitur leżał na nim idealnie, ale kowbojskie buty sprawiały, że chodził jakoś dziwnie. Gdy ujrzał, jak wysiadam z windy, zamachał do mnie niby najlepszy kumpel.

Sukienka wróżbitki, obiekt odrazy Suzan, plątała się po całym holu w sporej liczbie egzemplarzy. W większości przypadków zdobiła mocno starsze panie. Była to sukienka, która pasowałaby zapewne do dwudziestoletniej dziewczyny o nie-nagannej sylwetce i wzorowo czystej skórze, dziewczyny o oczach tak pełnych sypialnianych obietnic, że spodnie zaraz stają się za małe. Jednak na tych posiwiałych, grubych i chudych kurczaczkach wręcz zniesmaczała. W najlepszym razie, bo w najgorszym kojarzyła się po prostu z okrutnym żartem. Powiedziałem później Susan, że wszystkie te kobiety wyglądały jak chór do opery *Carmen* wystawianej siłami domu złotej jesieni. Boże!

— Jak się miewasz od rana, Frannie?

Oderwałem oczy od żywych skamielin w stylu cygańskim i spojrzałem na mężczyznę stojącego parę kroków ode mnie. Nosił oczywiście ten sam garnitur, przebój dnia.

— Ty j e s t e ś Floon?

Spodobało mu się. Otworzył usta i roześmiał się... chyba. Wyglądało, jakby się śmiał, ale nic nie było słychać.

— Nie, jestem Jerry Jutts. Pamiętasz, rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Jutts Desserts? Caza masz tam, gaworzy z tą dużą blondyną.

Kobieta, którą mi wskazał, wyglądała jak zapaśnik sumo. Sto siedemdziesiąt funtów jak obszył, nie licząc trwałej Grand Ole Opry, która wyrastała jej na czubku głowy niczym zamarznęty, żółty cyklon.

Gwizdnąłem nisko i przeciągle.

— Takiej bez spychacza nie ruszysz! To gorylica Floona? Przypomina żeńską wersję faceta do wszystkiego.

— To moja żona — warknął Jerry Jutts i odmaszerował.

Chętnie sprawdziłbym tego Floona przed powrotem, ale Astopel uprzedzał, że nie będę miał wpływu na wybór chwili cofnięcia do własnych czasów. Co znaczyło, że nie powinienem marnować ani minuty na gościa, bo przecież mogło zabrać mnie nawet w trakcie pogawędki.

Wyglądał dość normalnie. Około sześćdziesiątki, pod każdym względem przeciętny: średniego wzrostu, średniej tuszy, o twarzy, która nie zapadała w pamięć. W pierwszej chwili kojarzył się z należycie zadbanym biznesmenem. Mówił z pomocą rąk: unosił je, zataczał nimi koła i co tylko się dało. Palce łączone razem i nagle rozprostowania dłoni. Jak przy włoskiej argumentacji.

Jerry dołączył do swojej gigantycznej żony. Teraz oboje słuchali pilnie, co im tam Floon mówił. Potem zdarzyło się coś, co stanowczo zniechęciło mnie do tego gościa. Zupełny drobiazg, gdybym pilnie ich nie obserwował, niczego bym nie zauważył. Gdy mówił, ani pan, ani pani Jutts nie próbowali nawet otwierać ust. Mimikę miał równie bogatą jak gestykulację, przy czym często się uśmiechał: serdecznie i szczerze, aż całe uzębienie było widać. Niemniej wrażenie było powierzchowne i szybko przyskało. Prawdziwego ciepła w tym nie było. Ale słuchacze i tak pochylali się do przodu, łowiąc każde słowo.

Gdy skończył, rozluźnił mięśnie ramion i lekko się przygarbił. Przez kilka sekund żadne z nich nic nie mówiło, aż w końcu pani Jutts odezwała się z miną, jaką widać niekiedy u osób przeświadczonych, że mają coś bardzo mądrego do przekazania. Obaj mężczyźni wysłuchali jej z uwagą. Mogła wypowiedzieć góra trzy zdania, nie trwało to dłużej niż kilka sekund. Skończyła i wyprostowała się jak ktoś pewien swoich racji. Jerry uśmiechnął się, sugerując, że myśli tak samo. Był dumny ze swej pani.

Nie potrafię czytać z ruchu warg, ale tym razem widziałem wyraźnie, że Floon odparł: „To wyjątkowa głupota”. Mówił powoli, szczególny nacisk położył na „wyjątkowa”. Oblicze pani Jutts straciło nagle cały wyraz, prawie że obwisło jak namiot bez głównej podpory. Jej mąż szybko odwrócił głowę. Floon nie dodał już niczego więcej, wyrazu twarzy też nie zmienił, a tylko poklepał wielką kobietę po ramieniu i tym sposobem ostatecznie zdruzgotał jej samoocenę. Zaraz potem odszedł. Oni patrzyli za nim wstrząśnięci i przerażeni, jakby to z ich winy się oddalił.

— Co za kutas.

Już miałem za nim iść, gdy z tłumu wyłonił się jakiś mężczyzna w garniturze takim jak mój i podał mi folder.

— Oto plan na dzisiaj.

Wziąłem, uśmiechnąłem się przelotnie tytułem podziękowania i nawet nie spojrzałem na treść, tylko ponownie poszukałem spojrzeniem Floona. Idealnie:

stał sam pod rośliną o nakrapianych liściach i spoglądał na zgromadzenie. Pamięć podsunęła obraz Jaya Gatsby'ego sterczącego na szczycie wielkich schodów w posiadłości na Long Island i lustrującego gości na przyjęciu. Tyle że tamci ludzie z własnej woli ubrali się tak, żeby należycie uhonorować gospodarza, a pod starannie wypracowaną fasadą Gatsby'ego krył się całkiem miły człowiek. Po tym, co Caz de Floon zrobił właśnie pani Jutts, wiedziałem już, że cokolwiek o nim mówią, miły nie jest na pewno.

Z wyraźnym zadowoleniem stał sobie na osobności i patrzył na ludzi. Co chwilę uśmiechał się lub machał komuś ręką, ale całą postawą dawał do zrozumienia, by trzymać się z dala od niego. Zacząłem rozglądać się wkoło, chciałem zobaczyć, jak inni odbierają go na dystans. Łatwo było odróżnić naszą grupę od pozostałych gości po strojach: wszyscy byliśmy ubrani tak samo. Teraz, gdy widziałem, jak upokorzył tę grubszą panią, byłem skłonny uznać to za pomysł nie tyle głupi, ile ponury. Jeśli nie podejrzany. Większość ludzi szukała go spojrzeniem. Niektórzy otwarcie i gorliwie, inni tylko z ciekawości, gdzie to się podziewa. Gdy witał kogoś, ten ktoś zaczynał wręcz świecić własnym blaskiem, jakby niezwykle błogosławieństwo na niego spłynęło. Jeśli omijał kogoś spojrzeniem i ten ktoś to dostrzegł, był to prawie policzek, klęska i chwilowa porażka. Każdy chciał zostać zauważony: Tu jestem! Pozdrawiani nabierali godności, którą zaraz zaczynali ostantacyjnie obnosić.

Było tylko kwestią czasu, kiedy i nasze oczy się spotkają. Gdy do tego doszło, poczułem, jak serce zamiera mi w piersi. Nie znałem faceta, ale samo spojrzenie wystarczało, żeby poczuć się mocno nieswojo. Zmusiłem się do uśmiechu i uniosłem dłoń z folderem, że niby pozdrawiam swego dobroczyńcę. I jeszcze bardziej mnie ścięło. Na lśniącym, białym tle dojrzałem wydrukowane wielkimi, czarnymi literami nazwisko FLOON. Pod spodem widniał malunek pióra. Tego pióra.

W głowie zaskoczyły mi błyskawicznie jakieś zapadki i przypomniałem sobie, gdzie widziałem to poprzednio: w drodze do kawiarni, gdzie wedle Gusa miałem spotkać Susan, mijałem duży plakat tej samej treści. Wielki napis „FLOON” i pióro. Bez żadnego dodanego na wabia tekstu w rodzaju: „Gdzie chciałbyś dzisiaj jechać?” albo, Wyjątkowa okazja!” Tylko to dziwne nazwisko i tęcze pióro na pustym tle. Wtedy nie rozpoznałem obrazu, gdyż zbyt wiele działało się naraz i w głowie mi zamąciło.

— *Terrytoon Circus* — powiedział nagle Caz de Floon.

Właśnie dochodziłem do siebie po odkryciu, akurat w porę, by stwierdzić, że facet stoi tuż obok mnie.

— Słucham?

— *Terrytoon Circus*. Kto był mistrzem ceremonii? — Teraz uśmiechał się naprawdę, chociaż pojęcia nie miałem, o czym mówi.

— Przepraszam, Caz, ale chyba nie łapię wątku.

Uśmiech zniknął na rzecz grymasu tłumionej złości.



— Graj czysto, Frannie. Przyznaję, że wczoraj wieczorem wygrałeś z *Cocoa Marsh* i *Wspaniałym Manfredem, cudownym psem*, ale należy mi się rewanż. Myślę, że *Terrytoon Circus* był szalenie udany. Słucham zatem: kto był mistrzem ceremonii? — Mówił z lekkim akcentem typowym dla Europejczyka, który długo mieszkał w Stanach. „Terrytoon” brzmiał w jego ustach jak „terror ton”.

— Mówimy o starych programach telewizyjnych, Caz?

— Programach, reklamach i wszystkim z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wiesz, że to moja pasja, słucham zatem odpowiedzi.

Rzucił wyzwanie niewłaściwej osobie. Jako dzieciak pochłonałem ze czterysta lat czasu antenowego. Zacząłem w epoce, gdy nie było jeszcze koloru ani pilota, a na odbiorniku stała antena w kształcie króliczych uszu. Gdy obraz się psuł, należało pokręcić anteną albo przyłożyć telewizorowi z pięści w boczną ściankę. Było tylko siedem kanałów, wszystkie czarno-białe. Program zaczynał się codziennie armijną propagandą pod tytułem *Big Picture* i kończył się religijnym kawałkiem *Lamp Unto My Feet*. Byłem w domu, na znajomym gruncie.

— Mówisz poważnie, Caz? Naprawdę chcesz bawić się ze mną w zgadywanke na temat niegdysiejszej telewizji? Przegrasz.

— Grasz na czas. Odpowiedz. — Potrafił nadać głosowi ton jednocześnie pogardliwy i żartobliwy.

— Okay. Claude Kirschner. — Poczuję się pewnie. W to akurat mogłem się bawić choćby przez sen, a i tak dałbym mu popalić. — To było za łatwe. A co powiesz na to: kto śpiewał tytułową piosenkę w *Wyatt Earp*?

Uniósł gwałtownie rękę nad głowę.

— Ken Darby Singers. Kto był partnerem Yancy’ego Derringera? — Ludzie na nas patrzyli. Floon grał dla nich.

— Pahoo. Jaki aktor go grał?

— X Brands. Kto grał partnera Cisco Kida?

Założyłem ręce. Naprawdę wyzwiał niewłaściwą osobę.

— Leo Carrillo.

Uśmiechnął się zadowolony jak cholera. Chętnie wyrznąłbym go w tę radosną gębę. Temu facetowi własne ego mogło zastąpić wszystkie góry świata. Zgodnie z jego sugestią przeszliśmy z telewizji na detale ze świata sportu. Był cholernie dobry. Gdy na tapecie pojawił się baseball, a po nim jeszcze piłka nożna i koszykówka, postanowiłem podnieść stawkę.

— A co z wrestlingiem, Caz? Z tych czasów, gdy Ray Morgan zapowiadał w Uline Arena?

Floon rozłożył ręce w dramatycznym geście, że niby mam zaczynać. Czysty teatr.

— Skład Fabulous Kangaroos.

— Roy Heffernan i Al Costello.

— Kto był partnerem Moose’a Cholaka?

- Mighty Atlas. Naprawdę cenisz mnie tak nisko, Frannie?
- Skulla Murphy'ego?
- Brute Bernard.
- Skąd był Skull?
- Z Irlandii.

Pytania i odpowiedzi padały coraz szybciej, z każdą chwilą obaj mówili-śmy głośniejsze. Z boku musieliśmy wyglądać dość cudacznie: dwóch starych gości w identycznych garniturach za dziesięć tysięcy dolców sztuka licytuje się wrzaskiem, że Skull Murphy, że Haystacks Calhoun, Rizzy Cupid... I tak rozwijała się nasza mała paranoja, aż Caz wspomniał o Cornie Bobie.

Uśmiechnąłem się. Tak raczej mało inteligentnie.

— K t o?

Pan de Floon nie przywykł, żeby ktokolwiek wystawiał go na pośmiewisko. Pokrzywił trochę zaciśnięte usta i całkiem nagle przestał machać rękami.

— Corn Bob. Wypracował chwyt zwany „kaczan”.

Zwykle hołubię łgarzy, bo ożywiają miłe szarą rzeczywistość. Jednak Floon dość już mnie wkurzył tym głaskaniem pod włos, bym uznał go za zwykłego oszusta.

— Pieprzysz.

W naszym wycinku wszechświata zapadła nagle głucha cisza. Floon zgromił mnie spod przymrużonych powiek, ale nic nie powiedział. Ja zaś pomyślałem poniewczasie, że jak niby mam tu cokolwiek załatwić, jeśli nic, tylko co rusz kogoś wkurwiam?

Potał nos.

— Nie wierzysz, że był taki zapaśnik?

— Nie.

Cisza.

— Wiesz, za co cię lubię, Frannie?

— Za co?

— Bo tylko ty potrafisz mi się odgryźć. Tobie jednemu starcza na to odwagi.

Głos mu się uspokoił i napięcie wkoło zaraz wyraźnie zmaleło. Ci z naszej grupy, którzy to słyszeli, spojrzeli na mnie z podziwem. Lub zawiścią.

— Jak nazywał się pies Bustera Browna w reklamie butów?

Jeszcze nie miał dość. Ja wręcz przeciwnie.

— Tyge. A teraz pozwól, że zmienię temat: skąd wzięło się to pióro w twoim logo? Wszędzie je widzę.

— Cha, cha. Poważnie, mam na to odpowiedzieć?

— Tak, chciałbym wiedzieć.

— Chciałbyś wiedzieć, skąd wzięło się pióro Floona? — Odczekał chwilę, by upewnić się co do moich intencji. — Żartujesz, Frannie, prawda?

— Nie.

Ku memu zdumieniu nie odpowiedział, tylko strzelił kilka razy palcami, jakby kogoś przywoływał. Zaraz pojawiła się przy nas piękna, młoda dziewczyna w cygańskiej sukni.

— Noro, mam wrażenie, że pan McCabe jest dziś od rana trochę nieswój. Ma drobne kłopoty z pamięcią. Może potrzebować pomocy. Frannie, poznałeś już Norę Putnam? Jest naszą rezydentką i lekarzem w tej podróży.

— Czy odczuwa pan zawroty głowy lub nudności, sir?

— Odpowiedz na moje pytanie, Floon. Skąd wzięło się to pióro?

— Przecież w i e s z.

— Przypomnij mi.

Doktor Putnam chciała mnie ująć pod ramię, ale zaraz się rozmyśliła i opuściła rękę.

— Możemy przejść trochę dalej i przysiąść, panie McCabe. Dziś wieje wie-deński *fohn*, a ten wiatr powoduje czasem dziwne sensacje.

— Proszę zostawić mnie w spokoju. Floon. . .

Nagle ujrzał coś ponad moim ramieniem i aż zesztyniał. W zdumiewający sposób w dwie sekundy przeszedł od troskliwej opiekuńczości do dzikiej furii.

— Co ona wyrabia?

Pani doktor i ja odwróciliśmy się jednocześnie, żeby zobaczyć, co tak podkręciło Floona, że bliski był wyjścia z siebie. Ujrzałem ten sam tłumek, co przed chwilą. Kręcił się po holu i konwersował. W czym rzecz? Już miałem spytać, co, u diabła, gdy dostrzegłem idącą ku nam Susan. Była w tej ładnej, niebieskiej sukni.

— Gdzie jest jej strój? Czemu go nie nosi?

— Bo nie chce.

— Nie chce? Ciekawe. Susan nie chciała włożyć mojej sukni? — Floon prawie że splunął tymi słowami w kierunku doktor Putnam, która wyglądała, jakby miała ochotę uciec. Gdziekolwiek, byle daleko. Potem spojrzął na mnie oczami, które prawie że wysyłały promienie rentgena. — Wiele ci zawdzięczam, Frannie. Bez ciebie moje życie byłoby całkiem inne. Ale przyjąłeś moje zaproszenie i jesteś tutaj, twoja żona także. W zamian prosiłem was tylko o parę drobiazgów dla zbudowania dobrego nastroju. To na pewno n i e s ł u ż y poprawie nastroju.

— Dzień dobry. — Susan podeszła z uśmiechem, który nie zniknął nawet wtedy, gdy ujrzała płonąca oburzeniem twarz Floona. Poczulem zapach jej perfum. Na tyle miły, że mój nastrój wyraźnie się poprawił.

— Gdzie twoja suknia, Susan? Coś z nią nie tak?

— Nie, Caz, po prostu nie wyglądam w niej dobrze. Pomyślałam, że nie zrobi ci różnicy.

— Robi, i to wielką.

— Przykro mi.

— Możesz jeszcze ją włożyć. Mamy czas.

— Nie chcę jej wkładać, Caz.

— Jasne, że chcesz. No dalej. Poczekam na ciebie ze śniadaniem.

— Ale ona n i e c h c e jej wkładać. Czemu nie zostawisz sprawy, Floon?

— Dziękuję ci, Frannie. — Po raz pierwszy Susan uśmiechnęła się do mnie.

— Po zastanowieniu muszę przyznać, że ja mojego ubrania też nie chcę. — Zdjąłem marynarkę, rzuciłem ją na podłogę i zacząłem poluzniać węzeł krawata.

— Co robisz?

— Zdejmuję ubranie. Zdejmuję to twoje ubranie. — Węzeł nie chciał się rozwiązać. Pociągnąłem silniej. Gdy nie puścił, machnąłem na niego ręką i sięgnąłem do sprzączki paska. Spodobał mi się pomysł, żeby stanąć nago przed Cazem i jego gośćmi. A potem... Susan w zakazanej niebieskiej sukni, ja w wygniecionym świątecznym garniturze.

— Gus! — zawył Caz i pan Gould pojawił się jakby spod ziemi.

— W czym mogę pomóc?

— Zabierz go stąd. Niech mi zejdzie z oczu! Nie pozwolę, by cokolwiek popsuli. To moja wycieczka! Od zbyt dawna się na nią cieszyłem.

— Słuchaj, Caz...

Floon poruszył raz głową na „nie” i odszedł.

— Pa! — zacząłem do jego pleców.

Susan roześmiała się.

— Myślisz, że naskarzy moim rodzicom?

Gus nie widział w tym nic śmiesznego.

— Niedobrze się stało, Susan. Popełniłaś naprawdę wielki błąd.

— Nie sądzę. Chodź, mężu. Wygląda, że trafił nam się wolny dzień w Wiedniu.

— Chodźmy na spacer. — Podniosłem marynarkę z podłogi.

Gus próbował nas zatrzymać.

— Proszę, zostańcie. Może jeśli z nim porozmawiam, to jakoś wszystko załagodzimy...

Susan ujęła moją dłoń.

— Nie chcę żadnego łągodzenia, Gus. Nie czuję się niczemu winna. Kolaćka będzie na statku pływającym po Dunaju, tak? W strojach dowolnych? No to tam się spotkamy. Myślę, że potrzebujemy z Franiem trochę oddechu od Floona i całej tej wycieczki. — Pociągnęła mnie ku wyjściu z obrotowymi drzwiami.

— Ależ, panie McCabe... Myślałam, że źle się pan czuje?...

— Przeżyję. Akurat tego jednego jestem dziś pewien...

Ruszyliśmy piękną, szeroką ulicą ze szpalerami drzew. Dość długo w ogóle nie rozmawialiśmy. Dzień był wspaniały, drzewa kwitły jak szalone i nawet sznury przejeżdżających samochodów hałasowały jakby mniej niż zwykle. Susan trzymała mnie pod ramię. Uznałem, że lepiej będzie poczekać, aż ona odezwie się pierwsza.

Rozglądałem się pilnie, szukając znaków, jakie będzie to życie za trzydzieści (?) lat. Ubrania noszono mniej więcej takie same, chociaż czasem mignął ktoś w stroju rodem z futurystycznych kawałków muzycznych, które Pauline oglądała w MTV. Samochody miały opływowe kształty i ogólnie były mniejsze, rzadko miały nas grzmot w rodzaju mercedesa czy bmw. Dopiero po jakimś czasie pojąłem, że naprawdę są ciche, bo nic nie wylatuje im z rur wydechowych. W ogóle nie miały z tyłu żadnych rur.

— Elektryczne — mruknąłem bezwiednie sam do siebie.

— Hmm?

— Nic.

— Frannie, o co chodziło tej kobiecie, gdy pytała, jak się czujesz?

Obok przeszedł mężczyzna w czarnym, plastikowym hełmie zakrywającym całą głowę. Z przodu nie było żadnego okienka, przez które mógłby cokolwiek widzieć, a jednak szedł pewnie i na nic nie wpadał.

— Co to za gość?

Susan tylko na niego zerknęła.

— Student. Uczy się.

— U c z y s i ę? Z tą banią na głowie?

— Nie zmieniaj tematu, Frannie. Nie czujesz się dobrze?

DZYN DZYN! Cały plan zajaśniał mi w jednej chwili przed oczami. Wiedziałem już, co i jak muszę wytropić.

— Możemy przysiąść na minutkę?

Ulica obfitowała w parkowe ławki. Podeszliśmy do najbliższej. Usiadłem, pozwoli i ciężko, a dla większego efektu jeszcze jęknąłem. Po paru chwilach ująłem dłoń mojej żony.

— Susan, muszę ci coś powiedzieć. To, co zdarzyło się rano, nie wzięło się z powietrza. . .

— To w łóżku?

— To też, jedno ma związek z drugim. Nie chciałem ci mówić, bo sam się boję i wolałbym cię nie straszyć. Szczególnie podczas tej wycieczki.

— O co chodzi, Frannie?

— Niczego nie pamiętam. Ani drobiazgów, ani spraw ważnych. W głowie mam tylko pustkę. Obawiam się, że mogę mieć Alzheimera. Boję się jak diabli.

— No i? — spytała spokojnie, a jej twarz dopowiedziała: i co z tego?

— Tyle tylko powiesz? Tracę pamięć, wspomnienia uciekają mi jak powietrze z przekłutego balonu, a ty reagujesz, jakby nic się nie działo?

— Bo nie widzę problemu. Pójdziemy do najbliższej apteki, kupimy tapsodil i po krzyku.

— Co to jest tapsodil?

— Lekarstwo na chorobę Alzheimera. Będziesz je brał przez trzy dni i wszystko przejdzie.

— Cholera. — Skrzywiłem się kwaśno.

— Co?

— To teraz l e c z y s i ę Alzheimera?

— Oczywiście. Sama przechodziłam go dwa lata temu. To nic wielkiego, Frannie. Nie potrzeba nawet recepty od lekarza.

— Ale...

— Ale co? Coś jeszcze cię niepokoi?

Nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Cały misterny plan, aby podstępem wyciągnąć od Susan nieco wiadomości, z miejsca spalił na panewce. Ogłuszony rozejrzałem się wkoło. Właśnie mijał nas kolejny osobnik w baniastym hełmie, tym razem żółtym.

— Co to jest, kurde? Inwazja nurków z kosmosu? Słuchaj, Susan, zanim wezmę ten espadril...

— Tapsodil.

— Dobrze, tapsodil. Niemniej musisz mi pomóc. Nie chcę wpadać co rusz na jakąś zagadkę. Naprawdę niczego nie pamiętam, zatem czy mogłabyś odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Okay.

— Kim jest Floon? Co to za pióro w jego logo?

— Jest właścicielem największej kompanii farmaceutycznej na świecie. To oni produkują tapsodil i jeszcze setki innych leków. Pióro jest znakiem tej kompanii. Naprawdę nie pamiętasz?

— Nie. Ale czemu pióro?

— Sam mu je dałeś. Razem z George'em.

— Georgem Dalemwoodem?

— Tak.

— Gdzie on jest?

— Boże, Frannie, tego też nie pamiętasz?

— Niczego nie pamiętam. Gdzie jest George?

Spojrzała na swoje dłonie.

— Zniknął trzydzieści lat temu.

— Jak to zniknął?

— Po prostu. Zniknął z Crane's View i nikt nie wie, co się z nim stało. Całe lata stawiłeś, żeby go znaleźć, ale bez skutku.

— Zniknął? G e o r g e?

— Tak.

Dałem Floonowi pióro Old Vertue? A George, odpowiedzialny domator, nagle zniknął bez śladu i nikt o nim więcej nie słyszał? To ma być moja przyszłość? Próbowałem przetrwać jakoś ten nabój, gdy usłyszałem kogoś śpiewającego *Respect* Arethy Franklin. Na dwa głosy, z czego jeden brzmiał jakoś osobliwe. I nic dziwnego, ten drugi bowiem głos należał do psa.

Obok przechodził mężczyzna w spranych džinsach i koszulce z napisem „Drop Kick Murphys”. Obok niego maszerował rottweiler. Mężczyzna szedł szybko, przez co pies musiał zdrowo przebierać łapami. Co pewien czas spoglądał na pana, jakby oczekiwał, że dostanie ciasteczko. I obaj śpiewali *Respect* i to nawet niezłe. Pies chrypiał lekko, głos miał raczej głęboki, chociaż... nie wiem, jak go nazwać. Jak, u diabła, opisać zdolności śpiewacze psa?

Obróciłem się do Susan. Patrzyła całkiem gdzie indziej. Trąciłem ją łokciem, aż krzyknęła.

— Susan! Susan!

— Co jest? To boli!

— Patrz! Patrz!

— Na co? Czemu mnie bijesz?

Duet już nas minął. Dalej melodyjnie ciągnął *Respect*...

— Ten pies śpiewa!

— I co z tego?

— Od kiedy psy śpiewają? Rozmasowała ramię.

— Od lat. Nie wiem dokładnie. Spytaj Floona. On wynalazł ten środek.

— Jaki środek? Żeby psy mówiły?

Musiała sobie przypomnieć, że mam Alzheimera, bo nagle jakby przestała się złościć.

— Nie. Ten środek pozwala im uczyć się różnych rzeczy. Na przykład śpiewu lub powtarzania niektórych zdań.

— Jezu! Po co?

— Dla zabawy. Nie wiem. Nie cierpię psów.

W dzieciństwie zwykłem jeść, jak tylko mogłem najszybciej. Rodzice wiecznie powtarzali mi, żebym zwolnił, bo się porzygam. Ale mi zawsze się gdzieś spieszyło, chciałem iść tu czy tam albo z kimś się spotkać, więc traktowałem jedzenie tylko jak paliwo. Skutkiem tego często zalegało mi potem w żołądku przez długie godziny. Gdy tak siedziałem z Susan na tej ławce w Wiedniu, nagle poczułem się tak samo. Co to za świat, gdzie rottweilery śpiewają *Arethę Franklin*, a ludzie łążą z baniami na głowie? Tyle że tym razem coś rozpychało mi czaszkę, a nie flaki.

— Chcę do domu.

Susan przytaknęła i westchnęła. Z pewnością pomyślała o innym domu niż ja.

— Kiedy się pobraliśmy?

To nie było dobre pytanie. Nie odpowiedziała, a gdy na nią spojrzałem, zobaczyłem, że płacze.

W końcu się odezwała. Z olbrzymią dozą gorzkości w głosie.

— Myślałam, że teraz w końcu jakoś się ułoży. Ale ja byłam głupia! Czy dociera do ciebie, że przez całe życie cię kochałam? Jak kawałek mięsa między zębami, taki, co nie chce wyjść, zapadłeś i zostało. Na całe moje przekłęte życie.

Wydawało mi się, że teraz jednak zaznam spokoju i wolności. Całe życie na ciebie czekałam. Walczyłam, jak umiałam, i byłam cierpliwa, nigdy się nie poddawałam, nie traciłam nadziei, bo wiedziałam, że kiedyś się w końcu uda. Ja naprawdę wierzę, że cierpliwość to sposób na życie. I tak było, Frannie! Wszystkie te lata czekałam na ciebie, jak dziewczyna, która stoi pod ścianą na potańcówce i czeka, aż ktoś ją poprosi. Gdy spytałeś, czy za ciebie wyjdę...

— Ja spytałem?

— Tak, do cholery, ty! Tylko nie mów mi, że i tego nie pamiętasz. Dość już zaznałam poniżeń jak na jeden ranek. Gdy mnie spytałeś, pomyślałam... o pięćdziesiąt lat za późno, ale czemu nie, u diabła? Kochałam tego idiotę przez cały czas, więc czemu nie skończyć tego balu razem z nim? Ostatni *grande valse*, zanim... Zamierzam wrócić do hotelu i położyć się na trochę. Idź do apteki, czy jak to tutaj nazywają, i poproś o tapsodil. Na pewno będą mieli. — Wstała i znów rozmasowała ramię.

— Nie odchodź, Susan. Spędźmy razem ten dzień. Będzie dobrze. To wszystko moja wina i przepraszam. Zwiedzimy miasto. — Chciałem się zerwać, ale dolna połowa mojego ciała przypomniła mi wyraźnie, że jestem stary przyk. Nogi odmawiały współpracy. Zakląłem cicho, odchyliłem się do tyłu, potem do przodu, znów do tyłu i dopiero tak rozpędziwszy nieco własne truchło, zdołałem się jakoś podnieść. — Nie wychodzi mi ta starość.

— Dla mnie wciąż jesteś uroczy, mężu. I jeszcze jedną tajemnicę chciałam ci wyznać. Wiesz, co najbardziej zaważyło na tym, że cię tak pokochałam? Owszem, zawsze byłeś dla mnie tym jedynym, ale wiesz, co naprawdę mnie przekonało?

— Powiedz.

— To, jak troskliwie opiekowałeś się Magdą, gdy umierała. Nigdy nie znałam cię od tej strony, Frannie. Nigdy nie myślałam, że tak potrafiysz.

Gdy usłyszałem, że Magda umarła, to poczułem się tak paskudnie, jakby to już się stało. Zaraz przypomniałem sobie, co całkiem niedawno powiedziałem George'owi, że nigdy nie kochałem nikogo dość, aby bać się utraty tej osoby. Jednak teraz, w tym dziwnym czasie niczym, pojąłem, że nigdy w życiu bardziej się nie pomyliłem. Świadomość, że Magda umrze przede mną, zaciążyła brzemieniem nie do zniesienia.

— Kiedy, Susan? Kiedy ona umarła?

Przez jej twarz przebiegł wyraz niepokoju i pociągnęła mnie chodnikiem.

— Musimy kupić tabletki dla ciebie.

Zastąpiłem jej drogę.

— Kiedy?

— W moje czterdzieste ósme urodziny. Nigdy tego nie zapomnę.

Magda miała umrzeć za niecałe dwa lata.



\* \* \*

To, co zdarzyło się później, oszczędziło mi wielu kłopotów. I w zasadzie mnie uratowało. Prawie. Znaleźliśmy *Apotheke* i Susan kupiła dla mnie to lekarstwo na chorobę Alzheimera. Nie patrzyłem, jak to robiła, bo zbyt byłem zajęty rozglądaniem się wkoło. Chciałem jakoś oswoić się ze światem starszym o trzydzieści lat. Apteka wyglądała prawie normalnie, jeśli nie liczyć paru wystawionych na ladzie futurystycznych gadżetów, które Bóg jeden wie, co miały leczyć. Gdyby mówili tu po angielsku, to pewnie bym spytał, ale mój zasób niemieckich słów ograniczał się do *ja* i *nein*. Wychodząc, omal nie wpadliśmy na kolejnego nurka. Tym razem w białym.

— Dobra, ale czego oni się uczą z tymi baniami na głowach?

— Białe służą przywracaniu pamięci. Pozwala odtworzyć z detalami dowolnie wybrany fragment życia. Zwykle stosuje się je przy terapii. Pod opieką psychologa. Policja używa ich przy dochodzeniach w sprawach kryminalnych.

Prawie że wrzasnąłem z wielkiej radości. Starczyło jedno pytanie i byłem w domu!

— Nakładasz to coś na głowę i możesz sobie przypomnieć całe życie? — spytałem, siląc się na spokój. — Całe caluteńkie? Wszystko, co się zdarzyło?

— Tak. Ale ja bym tak nie chciała.

— A ja owszem! I to zaraz? Gdzie można to kupić?

— Jeśli zaczniesz brać te tabletki, to za parę dni będzie dobrze, Frannie. Pamięć ci wróci, przysięgam.

— Na co mi taka starcza pamięć? Chcę całego życia! Gdzie się kupuje te banie? — Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście, że starczy ów kosmiczny rekwizyt, by uzyskać wszystkie potrzebne odpowiedzi. Gdy wrócę z nim do moich czasów, nareszcie będę wiedział, co się dzieje i co trzeba robić.

— Białe sprzedają w sklepach Giorgia Armaniego.

— U Armaniego? Tego projektanta mody?

— Tak.

— Maszyny do przywracania pamięci sprzedają w sklepach z odzieżą? A czemu tam?

Susan zastanowiła się chwilę i wzruszyła ramionami.

— Nie wiem.

— Ale pokręcone czasy! Może pamięć to teraz kwestia mody. Zresztą, mniejsza z tym. Chodźmy.

Wkrótce ręce zaczęły nas boleć od mówienia, ale ostatecznie znaleźliśmy kogoś, kto znał i angielski, i drogę do najbliższego sklepu Armaniego. Skierował nas na małą uliczkę odbiegającą od głównej arterii. Tam ujrzeliśmy drzwi ze znajomym znakiem i jeszcze dwóch ludzi w kamizelkach. Na oko kevlarowych.

— To gliny czy prywatna ochrona? Czemu ubrali się jak na wojnę?

— To przez napady i zamachy bombowe. Tyle ich było. Nie sądziłam, że tutaj jest równie paskudnie jak w Ameryce. Każde wyjście na zakupy to teraz czysty hazard. A poczta to już w ogóle strefa wojenna. Strach zaglądać. Pamiętasz, co się stało w Crane's View?

Zobaczywszy, że podchodzimy, strażnicy stali się bardziej czujni. Susan uniosła ręce niczym skrzydła i pokazała mi, żebym zrobił to samo. Jeden uzbrojony omiółł nas wykrywaczem, tak jak robi to lotniskowa służba bezpieczeństwa, gdy ktoś zapomni o drobnych w kieszeni i zadzwoni na bramce. Własnym oczom nie wierzyłem. Taki teatr, żeby zrobić zakupy? Gdy elektroniczne obszukanie dobiegło końca, Susan wyjęła z kieszeni coś, co wyglądało jak karta kredytowa, i podała ochroniarzowi. Wsunął ją do małego, czarnego pudełeczka, które nosił przy pasie. Pisnęło z cicha, gość odsunął się i wpuścił nas do środka.

Spojrzałem jeszcze na nich przez szybę. Nie wyglądali na typowych pracowników firmy ochroniarskiej. Każdy mógłby gołymi rękami aligatora załatwić.

Już chciałem zasypać Susan kolejnymi pytaniami, gdy obok pojawiła się ekspedientka. Mówiła płynną angielszczyzną i nawet skłoniła się lekko, gdy Susan spytała, czy mają „białego Bica”.

Odczekałem, aż odejdzie, i dopiero się zdziwiłem.

— Biały Bic? To się tak nazywa?

— Czerwony, biały, zawsze prosisz o kolor.

— Ale to naprawdę Bic? Ta firma od tanich piór, jednorazowych gołarek i zapalniczek?

— Tak, ta sama.

— Te banie też są jednorazowego użytku?

— Nie. Kosztują około stu dolarów.

Susan odeszła obejrzeć ubrania, a ja zagapiłem się przez szybę na strażników. Nowy, wspaniały świat. Wspaniały i jakże tani. Możesz odzyskać wspomnienia całego życia za cenę dobrego stojącego wentylatora z moich czasów. Gdy tak dumiałem, coś stuknęło mnie w stopę. Najpierw odkopnąłem to coś, dopiero potem spojrzałem. Brązowa maszynka odjechała bez słowa skargi. Nie była duża, coś jak okrągły klęcznik. Dopiero po chwili pojąłem, że patrzę na automatyczny odkurzacz. Zaiste, cudowny wynalazek. Chętnie zabrałbym go dla Magdy, która alergicznie nie cierpiała sprzątania. Zaraz też dreszcz mnie przeszedł: przypomniałem sobie, co ją czeka. Czy miałem szansę jakoś temu zapobiec? Może jeśli zaraz po powrocie zabiorę ją do szpitala, żeby zrobiła wszystkie badania. . .

Zresztą, zobaczymy. Za chwilę dostanę moją maszynkę do odkurzania pamięci i dowiem się dokładnie, co to było. Może znając szczegóły, wpadnę na jakiś pomysł.

Patrzyłem zadumany na samobieżny klęcznik, który z poświęceniem omiatał kąty, gdy ekspedientka wreszcie wróciła.

— Używał już pan kiedyś Bica, sir?

— Co? O nie, nie.

— To nic trudnego, ale musi go pan wypróbować. To duży model. Zechce pan usiąść?

Przysiadłem na pobliskim fotelu. Podała mi hełm. Był dziwnie lekki. — I co mam zrobić?

— Proszę nałożyć go na głowę i powiedzieć: dostrojenie. Komputer wprowadzi wówczas stosowne poprawki, jeśli będą konieczne.

— To ma w środku komputer?

— Tak, sir. Proszę go tylko nałożyć. . .

— Słyszę, kochana. — Nadeszła chwila prawdy. Trochę ścierpłem. Co zobaczę za kilka minut? Wprawdzie nie tonąłem, ale i tak całe życie miało mi się przesunąć przed oczami. Nie zawahałem się jednak, stawka była zbyt wysoka.

Nasunąłem hełm na głowę i z przyjemnością odnotowałem, że ma mięciutką wyściółkę, jak z najlepszej skórki. Niczego nie widziałem, czerń zaległa mi przed oczami. Trochę jakby wpakować łeb do wielkiej, skórzanej rękawicy. Jak oni w tym chodzą? Chociaż, może gdy włączyć maszynkę, to coś się pokaże. . .

— I co teraz?

— Proszę powiedzieć: dostro. . . — Głos ekspedientki dochodził wyraźnie i czysto, co było pewną pociechą.

— A tak. Jasne, racja. Dostrojenie! — Poczułem, jak ciepły podmuch oddechu rozszedł się po wnętrzu hełmu.

Urządzenie kliknęło szybko dwa razy, zaburczało i ucichło, a po chwili przed oczami mignęła mi zielona błyskawica i coś eksplodowało w hełmie na tyle silnie, że straciło mnie z fotela na podłogę. Prosto na odkurzacz. Mała dzielna maszynka próbowała jechać dalej, wierciła się i popiskiwała, ale przygnieciona masą ponad stu pięćdziesięciu funtów żywej wagi nie miała szans. Uniosłem ręce, żeby zerwać hełm, który wypełnił się tymczasem smrodem palonych obwodów.

— Pomocy!

— Sir, sir, proszę się nie ruszać, sir. . .

— Zdejmijcie to ze mnie!

Ktoś mnie pchnął i przetoczył, szybko rozpiął mocowanie hełmu i ściągnął go jednym, silnym szarpnięciem. Pierwsze, co ujrzałem, to leżący na boku odkurzacz. Jeden z ochroniarzy trzymał hełm i patrzył na mnie. Z poważną miną, chociaż oczy mu się śmiały. Obok stała ekspedientka i załamywała ręce.

— To się jeszcze nigdy nie zdarzyło! Nigdy!

— No to mam szczęście. Co się stało?

— Nie wiem, sir.

— Nie wie pani. Sprzedaje pani towar, który zmienia się nagle w kuchenkę mikrofalową, a pani nie wie, czemu? Dostrojenie, kurde. Moja dupa!

— Nic ci nie jest, Frannie?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zegarek Susan pisnął nachalnie. Przygryzła wargi.

— To sygnał alarmowy. Odbiorę, musi chodzić o coś ważnego.

— No. I jeszcze moja głowa!

Uniosła zegarek do ust i coś wymamrotała. Podczas gdy rozmawiała, ekspedientka spytała mnie nieśmiało, czy zechcę wypróbować jeszcze jednego Bica. Zgromiłem ją wzrokiem. Potem dopiero zrozumiałem, że to była moja wina. Hełm zaczął się fajczyć, bo komputer ześwirował, próbując odtworzyć wspomnienia z czasu, którego jeszcze nie przeżyłem.

— Frannie, to Gus Gould. Mówi, że Floon oszalał. Chciał cię zaskoczyć czymś przy śniadaniu i dostał ataku furii, że sobie poszliśmy.

Dotknąłem ostrożnie moich brwi. Zabolało.

— Poszliśmy sobie, bo to dupek. Dość mam niespodzianek.

— Ale to G e o r g e. Czaz znalazł George'a Dalemwooda i sprowadził go tutaj. Czeka na ciebie w hotelu.

Spojrzałem na moje palce: były brudne od szczątków przypalonych brwi. Ale co tam, jutro zginę pod motocyklem, furda brwi. Kto zwróci na nie uwagę?

— Ile mam lat, Susan?

— Siedemdziesiąt cztery.

— Jej oblicze wyrażało jedynie miłość i troskę.

— Na co umarła Magda?

— Na guz mózgu.

— Jezu słodki!

— Frannie, George kazał ci przekazać, że znalazł Vertue. Ma go ze sobą, cokolwiek to znaczy.

— Wiem, co to znaczy. Chodźmy.

Nie mogłem się doczekać powrotu do hotelu, ale w okolicy nie było akurat żadnej taksówki, a moje nogi nie chciały nieść mnie zbyt szybko. Trzydzieści lat po tajemniczym zniknięciu mój dawny przyjaciel pojawia się nagle w Wiedniu, i to ze wskrzeszonym psem sprzed wieków? Ale określenie, że „znalazł Vertue”, sugerowało, iż może chodzić o coś więcej niż tylko o samego psa.

Gdy ujrzałem hotel, zaraz sił mi przybyło. Jeszcze chwila. I wreszcie... Musiałem tylko spławić jakoś Floona i dopaść George'a sam na sam. On odpowie na moje pytania. Jemu będę mógł nawet zrelacjonować wszystko, skąd się tu wziąłem i tak dalej, bo George zrozumie. Gdzie on się podziewał przez trzydzieści lat? Co porabiał? Czemu opuścił Crane's View i zniknął na jedenaście tysięcy dni? I czy naprawdę znalazł psa?

Wszystkie te (i jeszcze inne) pytania tłoczyły się w mojej głowie niczym pasażerowie w porcie lotniczym przed świętami. Nie wiedziałem, od czego zacząć, wszystko chciałbym wiedzieć od razu. Co się tak grzebiesz, stary? Tam w środku czeka na ciebie George Dalemwood, który wie wszystko. Już niedługo!

Ulica była pełna ludzi, zatem nic dziwnego, że nie widziałem go, jak podchodził. Susan już dwa razy poprosiła mnie, abym zwolnił, ale nie posłuchałem. Być może George będzie wiedział nawet, jak uratować Magdę. . .

— Przepraszam, panie McCabe, ale nie może pan wejść do hotelu.

— Astopel! A ty czemu tutaj? — Rozejrzałem się, czy i Franniego juniora gdzieś nie widać. Ale nie, Astopel był sam, a po chwili obaj zaznaliśmy szczególnej samotności. Wszystko wkoło zamarło nagle, niczym na fotografii. Susan też. Stała obok, wyraźnie zaniepokojna, z wyciągniętą ku mnie ręką.

— Nie możesz się spotkać z George'em.

— C z e m u n i e?

— Bo sam musisz znaleźć odpowiedzi. Już ci to mówiłem. Nie możesz wypytywać innych. To musi być twoja własna robota, panie McCabe.

— Gdy parę chwil temu mało się nie upiekłem, całkiem bez sensu zresztą, to nie protestowałeś, a teraz mówisz, że nie mogę zadać kilku pytań przyjacielowi?

— Nie możesz.

— A jeśli i tak spróbuję?

— To napotkasz to. — Wskazał szerokim gestem na zastygły świat wkoło.

— Wiesz co, Astopel? Jeszcze chwila, a wyjdę z siebie, a wtedy rozpieprzę ten twój fotoplastikon! Jak dotąd co rusz ląduję w ślepej uliczce. Powiedziałeś, żebym poszukał odpowiedzi w przyszłości. Teraz chcę to zrobić, a ty mnie powstrzymujesz. No to co niby mi zostało? Mam tylko tydzień!

— Pięć dni.

— Dobra, pięć dni. Mam pięć dni. Zatem powiedz mi, z łaski swojej, co mam robić?

— Może lepiej będzie, jeśli wrócisz do swojego czasu. Może tam na coś wpadniesz.

— Ale wyświadczyć mi jedną uprzejmość. Musisz się zgodzić. To jedyne, co mi przychodzi do głowy, cholera. . .

— Co takiego?

— Pozwól mi zobaczyć teraz George'a. Tylko zobaczyć, jak wygląda. Fizycznie jak wygląda. Wiem, że to mi pomoże. Mogę? Zgodzisz się?

— Tak.

Zdumiała mnie trochę jego szybka odpowiedź, ale triumfalnym gestem uniosłem zwiniętą w pięść dłoń do góry.

— Ha! Zatem chodźmy! — I ruszyłem w kierunku hotelu.

— Nie musisz tam wchodzić, McCabe. Chyba że chcesz. . .

— Żartujesz? Im mniej używam tych kulasów, tym lepiej.

— Dobrze. — Spojrzał na niebo. Ja też. I nagle miast błękitu wiedeńskiego nieba ujrzałem sufit i biały kinkiet. Opuściłem wzrok w poszukiwaniu George'a. Byłem pewien, że zaraz go zobaczę. . .

Na wielkim łożu, przykrytym złotą i białą materia, tkwił Old Vertue. Niewątpliwie żywy, chociaż zastygły w pół gestu, jak wszystko dokoła. Siedział z otwartymi szeroko ślepiami, jakby zaniepokojony. Mimowolnie uśmiechnąłem się na widok tego sukinsyna. Zdążyłem go polubić, w końcu trochę razem przeszliśmy. A teraz znów był, choć tym razem wrócił do mojego przyjaciela. Gdzie się podziawał przez te wszystkie lata? Gdzie George go znalazł? Bardzo chciałem podejść do niego i pogłaskać go po żywym łbie, ale najpierw najważniejsze. Gdzie George?

Pokój był duży i wytworny, podobny do tego, który zajmowaliśmy z Susan, ale jeszcze droższy. Obszedłem go, szukając śladów obecności: książki na stoliczku przy łóżku, otwartej walizki, portfela lub paszportu na komódce. Ale niczego nie było, żadnego świadectwa, że ktoś tu mieszka. A George'a Dalemwooda to nie było już szczególnie. Poza Old Vertue na łóżku wszystko zdawało się sugerować, że od dłuższego czasu nikt tu nie przebywał. Wyczuwałem woń starych walizek i prześcieradeł prosto z pralni. I jeszcze nutę właściwą odświeżaczom powietrza.

Poszedłem do łazienki, ale tam było jeszcze gorzej. Żadnej torby obok wanny, czyste jak nieszczęście szklanki na wodę stały odwrócone na półeczce nad umywalką. Nie było szczoteczki do zębów, pasty i rzędu przyborów do golenia. Sprawdziłem ręczniki. Wszystkie były suche. Porządnie złożone wisały równo na prętach suszarki z nierdzewnej stali.

Opuściłem klapę sedesu i usiadłem. Łokcie wsparłem na kolanach, a brodę na dłoniach. Z jakiegoś powodu zaczęły mnie nagle boleć dżiąsła, przypominając, jak starym i sfatygowanym ciałem dysponuję. Patrząc przez otwarte drzwi na psa na łóżku, spróbowałem do czegoś dojść. Najpierw pomyślałem, że skoro pokój jest pusty, to George musi być najpewniej z Floonem. Razem czekają, aż wrócę. Ale jeśli tak, to czemu Astopel przyniósł mnie właśnie do pokoju? O co może mu chodzić? W polu mojego widzenia znajdowała się również stopa Astopela ślizgająca się tam i z powrotem po dywanie. Łobuz milczał przez cały czas od chwili naszej materializacji, jednak dopiero teraz wydało mi się to dziwne. Znowu przesunąłem palcami po popalonych brwiach. Stopa zamarła.

— Gotowy do drogi?

Moja dłoń też zamarła.

— Że jak?

— Masz tu jeszcze coś do roboty?

— Tak. Chcę zobaczyć George'a Dalemwooda — rzuciłem tak głośno, aż echo poszło. Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

— Możesz pozwolić tu na moment, McCabe? — odezwał się Astopel głosem ciepłym i ciepłym. Głosem ojca, który tłumaczy coś mało pojętnemu dziecku.

— O mój Boże! — mruknąłem do siebie, do ścian, umywalki i łazienkowej cizy. I do lśniącej podłogi wyłożonej mozaiką białych i czarnych kafelków. Mozai-

ka była z tych paskudnych, które mącą spojrzenie, jak się zapatrzeć. Zacisnąłem powieki i uderzyłem pięściami o uda.

Wiedziałem już, co się dzieje. Wyjaśnienie pojawiło się tak nagle, że potrzebowałem chwili, aby przyjąć je do wiadomości. Zacisnąłem pięści jeszcze mocniej, aż ramiona mi zadrżały. Pozostało mi wrócić do pokoju i potwierdzić to, czego byłem już pewien. Od tej chwili świat miał się zmienić dla mnie nieodwracalnie. Matka Magdy mawiała, że życie jest krótkie, ale szerokie. Moje rozpostarło się właśnie do granic ludzkiego pojmowania. Wstałem jednak i wyszedłem z łazienki. Musiałem osobiście stawić temu czoło.

Astopel stał tyłem do mnie. Odchylił trochę zasłonę i patrzył przez okno. Ponad jego ramieniem przemykał promień światła słonecznego odbitego od fasady budynku po drugiej stronie ulicy. Odwróciłem się od tego blasku. Spojrzałem z niedowierzaniem na psa. Wydało mi się, że widzę uśmiech na jego pysku. Cemu miałby się śmiać? Bo ucieszył się na mój widok? Z rozwoju wydarzeń? Bo wreszcie rozjaśniło mi się we łbie?

— To twoja sprawka? — rzuciłem w kierunku pleców Astopela.

Miałem nadzieję, że obróci się i potwierdzi. Nie zrobił tego.

— Nie, panie McCabe. Ja jestem tu tylko za przewodnika. Nic nie robię.

— To George, prawda? Ten pies to George.

— Zgadza się.

— Mogę się dowiedzieć, jak do tego doszło?

— George i pan Floon pracowali ostatnio razem. Eksperymentowali z środkiem wynalezionym w jednym z laboratoriów Floona. Z widowym rezultatem. — Puścił zasłonę, ale nie odwrócił się. — Czy to cokolwiek ci wyjaśnia?

# DREWNIANE MORZE

Obudziłem się w łóżku obok Magdy. Słońce wlewało się przez okno, co znaczyło, że musi być wcześnie rano. Nasza sypialnia wychodziła na wschód i Magda, która była nader rannym ptaszkiem, z lubością powtarzała, że w tym domu słońce zastępuje budzik. Leżała z głową zwróconą ku mnie i opartą na mojej wyciągniętej ręce. Uśmiechała się. Moja żona często uśmiechała się przez sen. Potrafiła też całować mnie przez sen, chociaż po obudzeniu mówiła, że niczego nie pamięta. Byłem w domu. Byłem z moją żoną, żywą i uśmiechniętą. Minął kolejny dzień. Zostało mi ich jeszcze pięć.

Ostatnie wspomnienie tego innego miejsca (gdy spróbowałem je odtworzyć) wiązało się z wyciągnięciem ręki. Chciałem dotknąć Old Vertue alias George'a Dalemwooda. Pogłaskać go po nieruchomej głowie. W ostatniej chwili zawahałem się. Ze strachu. Tak, ja, pan Sama odwaga, bałem się pogłaskać psa. Spytałem Astopela, czy to właściwe. Nawet nie odwrócił się od okna. „Czemu nie?” — rzucił takim tonem, jakby mówił: „A kogo to obchodzi?”

Znów wyciągnąłem rękę, ale zamarłem. Poczułem coś na ramieniu. A zaraz potem leżałem w łóżku z żoną. Z żoną i wielkim, ogólnozyciowym zamętem we łbie.

Normalnie uwielbiałem wylegiwać się rano. Na wpół dobudzony śledziłem myśli, które wypasały się od niechcienia na półkulach zaspanego mózgu, patrzyłem na moją uśmiechniętą żonę, wdychałem jej zapach. Była najmilej pachnącą istotą ludzką, jaka kiedykolwiek gościła na tym padole. Nigdy nie miałem dość jej woni. Nawet gdy była zgrzana i spocona po dziesięciomilowej przejażdżce rowerowej w środku sierpnia i tak pachniała cudownie. Co może być bardziej satysfakcjonującego, niż poleżeć rankiem we własnym łóżku obok tej drugiej osoby? Myśli jeszcze niewyraźne, ostre słońce wlewa się przez okno i ogrzewa ten fragment podłogi, na którym leżą od wieczora, jeden na drugim, wasze kapcie... Co może napełniać większym zadowoleniem niż takie przebudzenie, powrót do pełni dobrego życia z kimś najdroższym u boku? Czego więcej można oczekiwać, nie popadając w zachłanność?

Jednak tego ranka wyrzuciło mnie z wyrka niczym z katapulty. Miałem masę do zrobienia i najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Ani od czego zacząć.



I na dodatek jeszcze byłem upiornie głodny. Głodny na poziomie wręcz molekularnym, głodny jak pożerający wszystko przyływ. Nigdy w życiu nie czułem jeszcze takiej pustki w żołądku. Czy to przez ostatnie zdarzenia? Może podczas podróży w czasie spala się więcej kalorii niż w normalnym bytowaniu?

Ruszyłem do kuchni. W samych bokserkach, ale uznałem, że moja pasierbica nie wstanie jeszcze przez pary godzin. Nigdy nie zrywała się tak wcześnie. Zamyśliłem sobie przygotować jajecznicę z dużą ilością bekonu, do tego zimny sok pomarańczowy, taki, żeby język zdrętwiał, i jezioro mocnej, gorącej kawy, zabójczej kawy, od której bierze wytrzeszcz i oczy wypływają. . . Doszedłem właśnie do ciepłych, cynamonowych bułeczek, gdy zadzwonił dzwonek. Spojrzałem na zegarek. Znaczy, chciałem nań spojrzeć, bo okazało się, że go nie założyłem. O wszystkim pomyśleli ci enigmatyczni oni. Zawsze zdejmowałem zegarek przed snem. Byłem pewien, że gdybym wrócił do sypialni, znalazłbym go na nocnej szafce, len sam, który Astopel mi podwędził i który niewiele już znaczył, przynajmniej od chwili, gdy czas przestał płynąć normalnie od punktu A do punktu B, a zamiast tego wybrał się na przejażdżkę kolejką, taką z wesołego miasteczka. Wymiotną kolejką.

Dzwonek znów się odezwał. Domyślałem się, że musi być około szóstej. Nawet w normalnych czasach zmyłbym głowę każdemu, kto dobijałby się o tej porze. Nie zastanawiając się, co może wyniknąć z pojawienia się w progu w samych gatkach, otworzyłem drzwi. I jęknąłem.

— Nie, tylko nie ty! Starczy tego dobrego!

— Z drogi! — odezwał się niczym Moe Howard w *The Three Stooges*. Odepchnął mnie łokciem i znowu wszedł nieproszony do mojego domu. Ponownie w pomarańczowych, kowbojskich butach. Stanął w holu i rozejrzał się uważnie. Patrzył na wszystko, tylko nie ma mnie. Zupełnie, jakby szukał czegoś lub starał się zapamiętać otoczenie.

— Czego? Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

— Jak chcesz, pokój twym szczątkom. Niemniej tutaj wszystko wygląda normalnie. Muszę ci wyznać, że to, kurwa, wielka ulga!

— Posłuchaj, czy zanim znów zapuścimy się w jakąś króliczą norę, nie dałoby się zrobić tak, żebym zjadł śniadanie? Nie jadłem od czasów późnej starości.

— Dobry pomysł. Też jestem głodny. — Skrzywił się jak zły wilk z kreskówki: groźna paszczyka i te rzeczy.

Zabrakło mi sił, aby nadmienić, że wcale go do stołu nie zapraszałem.

— Zrobisz jajecznicę z sosem Worcestershire i curry?

Aż mnie zatchnęło. Skąd drań wiedział?

— Siadaj i zamknij się. Zjesz, co zrobię.

— Łaskawco. . .

Sięgnąłem do szafek.

— Jeszcze słowo, a zatruję żarcie. Nie potrafisz siedzieć cicho?

Siedzieć potrafił, milczeć nie za bardzo.

— Gdzie byłeś?

— Zgadnij. — Wziąłem moją ulubioną patelnię.

— Gdzieś w przyszłości?

Przytaknąłem, wyjmując z lodówki wszystko, czego potrzebowałem do przygotowania śniadania.

— Więc jeszcze nie wiesz?

Zacząłem rozbijać jajka do miski.

— Czego nie wiem?

— Myślałem, że najpierw zjemy, żebyś miał się czym zesrać w gacie.

— To zapowiedź kolejnych niespodzianek?

— Mało powiedziane. To jeden wielki koszmar, stary. Poczekaj, aż wyjdiesz z domu, sam się przekonasz, co cię dzisiaj czeka. A przy okazji, kto to jest Mary J. Blige? Poprzednim razem oglądałem MTV i akurat była. To laska na sto dwa!

Już miałem skomentować ten zwrot z lamusa, gdy przypomniałem sobie, z jakich lat przybył Frannie junior. Frank Sinatra i Rat Pack byli na topie, papierosy i pieczona wołowina uchodziły za zdrowe, a James Bond miał ciągle twarz Seana Connery'ego. Powiedzenie, że cokolwiek jest na sto dwa, oznaczało wówczas najwyższą aprobatę.

— Tylko nie syp za wiele curry. Zawsze dodajesz za dużo. . .

— Cicho.

— A może by jakąś kawę w międzyczasie?

— A może byś raczył zauważyć, że jestem zajęty, i sam ruszył dupę?

— Jasne. Gdzie dzbanek?

— Nie używamy dzbanka do kawy. Tam stoi maszynka.

— Jaka maszynka?

— Ta srebrna na blacie. Ekspres do kawy. To coś z długą rączką. Z przodu jest napisane Gaggia.

Wsunął dłonie do kieszeni spodni i prychnął z pogardą typową dla wszechwiedzącego nastolatka.

— Ekspres? Nie pijam tego włoskiego błota. Zalatuje palonymi oponami. Gdzie jest dzbanek i Maxwell House? Obejdę się bez maszyny.

— Nie ma dzbanka. Pijesz to błoto albo nic. Jak nie chcesz kawy, możesz sobie nalać wody.

Założył ręce na piersiach i słowa nie powiedział, aż postawiłem przed nim pełny talerz. Nie mogłem się powstrzymać od małej prowokacji.

— Do twojego dodałem trochę funtagigi. Zesztywniał.

— Funtaco?

— Funtagigi. To marokańska przyprawa. Jest bardzo. . . — oparłem wytwornie jedną dłoń na biodrze, dwa palce drugiej wsunąłem do ust — i n t e n s y w - n a. — Głoskę „s” przeciągnąłem, jak tylko było można.

Odsunął talerz od siebie i aż wytarł dłonie o spodnie.

— Mogłem się tego spodziewać! Funtagigi! Nie jem. Marokańskie gówno.

— Jedz, do cholery! To był żart. Żartowałem. Dostałeś jajecznicę na bekonie, taką, jaką zawsze robię.

Nie dowierzając, wziął widelec i zaczął nakłuwać jajecznicę, jakby szukał min. Potem pochylił nisko głowę, obwąchał danie i dopiero wtedy spróbował. Zaczął zajadać w ciszy i z łapczywością świadczącą o tym, że funtagigi nie popsuło mu apetytu. Usta trzymał tuż nad talerzem, bo tak mógł jeść szybciej. Już chciałem go zganić, ale przypomniałem sobie, że tak właśnie jadłem w jego wieku. Groza!

— Cześć, Frannie. Kto to jest? — W drzwiach kuchni stała Pauline. Miała na sobie zieloną koszulkę nocną, która niewiele zakrywała. W rękę trzymała poranną gazetę, widać wyszła już po nią na werandę. Patrzyła na juniora z wyraźnym zainteresowaniem.

Miał odpowiedzieć na jej pytanie, złapałem chłopaka za łokieć i przyciągnąłem do siebie.

— Ona cię widzi? Mówiłeś, że tutaj tylko ja mogę cię widzieć.

— Puszczaj, facet. Nie widzisz, że jem? Mówiłem ci, wszystko się dzisiaj pokręciło. Poczekaj, aż wyjdiesz na dwór, a sam zobaczysz. Dlatego wróciłem. Ktoś musi osłaniać ci dupę.

— Czyste szaleństwo! Jak niby mam coś zdziałać, jeśli nie ma stałych reguł gry?

— Tu w ogóle nie ma żadnych reguł, facet. Lepiej do tego przywyknij. A myślisz, że czemu ja tu jestem, nad tą jajecznicą?

— Frannie? — Nieśmiała zwykle Pauline odezwała się głosem ostrym, prawie żądającym. Wciąż patrzyła na juniora.

— A tak, Pauline, to syn mojego dalekiego kuzyna, hm, Gi Gi. Dokładnie to Gary, znaczy Graham, ale zawsze nazywaliśmy go Gi Gi. — Wstrząśnięty tym, że ona też go widzi, nie potrafiłem wymyślić nic lepszego, prócz tej fatalnej funta... gigi, no i tak go też ochrzciłem. Spojrzał na mnie, jakbym właśnie nasikał mu na głowę.

— Cześć, Gi Gi. Jestem Pauline.

Posłał jej swój sprawdzony wielokrotnie uśmiech, taki za milion dolarów. Sam pamiętałem, jak to działa. Gdy onieśmielona Pauline odwróciła głowę, syknął na mnie z cicha.

— Gi Gi?

— Frannie nigdy nam o tobie nie wspominał. Nie wiedzieliśmy nawet, że ma dalekiego kuzyna.

Nowo narodzony Gi Gi nonszalanckim gestem zakręcił widelcem wkoło palców. To malownicza sztuczka. Gdy miałem trzynaście lat, nauczyłem się jej od przyjaciela, Sama Bayera.

— Sama wiesz, jaki jest stryj Frannie.

— Stryj? Tak go nazywasz? Skąd jesteś?

— LA. Kalifornia.

— Wiem, gdzie leży LA — prychnęła, ale uśmiechnęła się przy tym na tyle kokieteryjnie, że o żadnej urazie nie mogło być mowy.

I to była ta sama dziewczyna, którą przezwalałem Pleksi, bo wedle mojej wiedzy zajmowała się dotąd sztuką unikania życia. Nigdy nie słyszałem jeszcze, by mówiła do kogoś takim głosem, jak teraz do juniora. Nie myślałem nawet, że potrafi się tak odzywać: nieśmiało i zmysłowo zarazem. Co więcej, świetnie wiedziała, co robi, i to już przekraczało moje granice pojmowania. Nieśmiała jak nieszczerście, konkretna i rzeczowa dziewczyna zabrała się nagle do flirtowania niczym kiepska aktoreczka w telenoweli. Nie interesowało jej nawet, z kim flirtuje. Zastanowiłem się przelotnie, czy spodobałaby mi się taka dziewczyna, gdybym miał tyle lat, co junior. Uznałem, że nie.

Niemniej Gi Gi chyba ją polubił. Poklepał krzesło obok siebie, by dodać jej odwagi.

— Siądziesz i zjesz z nami śniadanie, Pauline?

— Nie jadam śniadań, ale kawę to chętnie.

— Co robisz tak wcześnie, Pauline? Nigdy nie wstajesz o tej porze.

— Wiem, ale usłyszałam wasze głosy, więc zesłam. A wcześniej tatuaż zaczął mnie boleć i pewnie dlatego się obudziłam.

Dogłębnie poruszony Gi Gi gwizdnął przeciągle.

— Proszę, masz tatuaż? Chyba nigdy nie znałem dziewczyny z tatuażem.

— Pia Hammer miała tatuaż — poprawiłem go.

Pokręcił głową.

— Tak, ale ona była szurnięta. Nawet oddechy sobie liczyła. Myślałem o zdrowej na umyśle jednostce żeńskiej.

Pauline przesunęła spojrzenie ze mnie na Gi Gi. Powoli i uwodzicielsko. Odczekała, ile trzeba dla pełnego efektu, i dorzuciła ostatni, kluczowy szczegół. Całkiem normalnym tonem, jakby chodziło o rzecz powszednią.

— Zrobiłam sobie tatuaż na pupie. No, prawie, tuż powyżej. Dokładnie na kręgosłupie. — Zamilkła i sprawdziła, jak to przyjmuje. Szczęśliwie widziałem już jej tyłkodzielo i twarz nawet mi nie drgnęła. Gdy doszła do wniosku, że nie rzucę się na nią i nie dostanie lania, pociągnęła wątek: — Czasem jeszcze boli. Zrobisz mi kawę, Gi Gi? Pójdę się tylko ubrać i zaraz wracam.

— Jasne. — Wstał natychmiast i podszedł do maszynki. — Macie Gaggię! To najlepszy ekspres.

Pauline wskazała na mnie i zatoczyła oczami.

— Przez Franniego. To snob kawowy jakich mało. Mi wystarczyłaby zwykła kawa, ale on dopieszcza swoje obsesje.

— Ale jak się zasmakuje w dobrej kawie z ekspresu, to trudno później wrócić do tego puszkowego gówna — powiedział Gi Gi, majstrując przy maszynce. Z poświęceniem udawał, że potrafi ją obsługiwać.

Musiałem tłumić śmiech, widząc, jak stara się zrobić wrażenie na mojej myszowatej zazwyczaj pasierbicy.

— Jak uważasz — rzuciła Pauline i opuściła kuchnię, a wcześniej spojrzała przeciągle przez ramię. Wiadomo, na kogo.

Gdy już poszła, założyłem ręce na karku, skrzyżowałem nogi i zachrypiałem: — Weź się Gi Gi do tej Gag-gii.

— Pierdolony Gi Gi! Co to niby za imię?

— Skrót od funtagigi.

Nawet on musiał się roześmiać.

— Nieźle to wykombinowałeś na gorąco. Tyle że mogę się kojarzyć z tym filmem *Gigi*. Z Maurice'em Chevalierem.

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek pomylił cię z Leslie Caron. Pokazać ci, jak to działa?

— Dobrze by było. Nie chciałbym, żeby Pauline wzięła mnie za wsioka.

— Naprawdę ci się podoba? — spytałem, może trochę zbyt wątpięcym tonem. Nie zdołałem się opanować. Aby ukryć zakłopotanie, pospieszyłem wyjąć z szafki torebkę z kawą i młynek. Otworzyłem opakowanie i powąchałem zawartość. Cudo.

— Tak, naprawdę. Rzeczywiście ma tatuaż na tyłku? No, no. Ja nigdy bym tego nie zrobił. Bo co będzie, jak za parę lat jej się odmieni? Albo obrazek przestanie się jej podobać? Musi być charakterna, że się zdecydowała. I nieźle wygląda, nie sądzisz?

Do zakłopotania doszło jeszcze pragnienie zmiany tematu. Jak miałem powiedzieć mojej nastoletniej wersji, że osobiście uważam Pauline za dziewczynę banalną i nigdy bym się nią nie zainteresował, z tatuażem czy bez. Niemniej on był mną i vice versa, czemu więc nie podzielałem jego zauroczenia?

— Pokaż mi, jak się parzy kawę w tym wynalazku. I pospiesz się, ona może zaraz wrócić.

Podszedł do sprawy z rezerwą, ale był chyba pod wrażeniem tego, ile trzeba się namachać, żeby przygotować jedną filiżankę czarnej kawy. W trakcie przyspieszonego kursu zdążyliśmy wymienić poglądy na trzy różne tematy. Czemu nie kupuję kawy już zmielonej, żeby oszczędzić sobie roboty? Czemu kupiłem maszynkę, która daje tylko jedną filiżankę na raz? Kiedy całkiem rozmyślnie powiedziałem mu, ile ona kosztowała, omal nie dostał konwulsji. Trzeba jednak pamiętać, że przywykł do cen z lat sześćdziesiątych. Ostatnia runda zaczęła się, gdy zadał pytanie, co mnie napadło z tym upierdliwie drobiazgowym perfekcjonizmem. Zacząłem mu odpowiadać, całkiem poważnie zresztą, bo myślałem, że to go interesuje, ale gdzie tam. Nie słuchał, chciał tylko podbudować swoje mnie-

manie o głupocie całego mojego postępowania. Gdy stanowczo się z nim nie zgodziłem, zaczęło go ponosić. Również werbalnie. Dobrze pamiętałem, do czego byliśmy kiedyś zdolni na tym polu. I na polach pokrewnych. Jak moi rodzice mogli ze mną wytrzymać? Ojciec nazwał mnie przez to „małą utrapioną”. Ja przyrównywałem moje chamstwo do nieopanowanej gangreny.

Gdy skończyłem, z małej, białej filiżanki uniosła się święta woń świeżo zaparzonej kawy. Gi Gi upił łyk.

— Dobrze, ale kłopotliwe. Następną ja zaparzę.

Wziął się do mielenia, a ja ruszyłem do łazienki. Wychodząc, rzuciłem na niego okiem i zrobiło mi się tak jakoś miło. Przysunął pełną garść ziarenek do nosa, przymknął oczy i uśmiechnął się. Dobrze to pamiętałem! Pamiętałem, jak w jego wieku nie przyznawałem się nigdy, bym cokolwiek szczególnie lubił, bo otwarte wyrażanie emocji nie przystawało do równego gościa. W tamtych czasach pierwszym przykazaniem samca było: Rób wszystko na zimno. Aprobata okazuj jedynie wzruszeniem ramion lub lekkim uśmiechem, takim góra na dwa cale. Niczego nie okazuj po sobie, a szczególnie emocji. Niech dziewczyny się starają i dowodzą swej miłości, ty udawaj, że ciebie nie rusza. Jeśli zachowasz się kiedyś wobec którejś uprzejmie, zdarzy ci się gest sympatii, udaj, że nic takiego się nie stało albo postaraj się zbyć sprawę, że to drobiazg. Drugie przykazanie głosiło, by nigdy nie zdradzić się przed nikim, że na czymkolwiek może ci naprawdę zależeć.

Jednak widząc ten przelotny uśmiech na twarzy juniora myślącego, że nikt go nie widzi, przypomniałem sobie też, co go uratowało. A raczej, co mnie uratowało. Przez całe lata starałem się za wszelką cenę być równym gościem i tylko to się liczyło. Aż pewnego dnia, bardzo ważnego dla mnie dnia, pojąłem, że o wiele lepiej być sobą. Odmiennym i dziwacznym może, ale sobą.

Myśląc o tym, skręciłem za róg korytarza i raz jeszcze ujrzałem gołe pośladki Pauline. Tym razem w lustrze łazienki i nie całe. Jedną ręką unosiła koszulkę, majtki miała częściowo opuszczone i stojąc na palcach, wyginała szyję, by spojrzeć w lustrze na swoje tyły.

Mnie też w tym lustrze dostrzegła.

— Frannie, chodź tu! Chodź, chodź!

Spojrzałem na moje buty.

— Opuść koszulkę, Pauline.

— Nie, musisz spojrzeć. Musisz sam zobaczyć. Zobaczyć i powiedzieć mi, że też to widzisz i nie oszalałam.

Podszedłem bliżej, ale oczy kierowałem wciąż w bok.

— Co zobaczyć?

— Mój tatuaż. Zniknął. Wszystko zniknęło, nawet ten bandaż, który go zakrywał. Jak to możliwe? Niczego nie dotykałam. Wcześniej zdjęłam tylko ten bandaż na trochę, żeby zerknąć, ale zaraz porządnie nałożyłam go z powrotem. A teraz zniknęło. Wszystko.

— Niech zobaczę.

I rzeczywiście. Zeszłej nocy sam widziałem ją nagą i pamiętałem to niesamowicie kolorowe pióro na opuchniętej nieco skórze u podstawy kręgosłupa. Teraz nie było tam nic — tylko idealnie gładka skóra nastolatki.

— Był dokładnie tutaj. — Dotknęła tego miejsca, aż skóra lekko poczerwieniała. — Dokładnie tutaj, a teraz nie ma. Jak to możliwe, Frannie?

Też dotknąłem, żeby sprawdzić, czy nie znajdę żadnego dowodu lub wskazówki, co też się mogło stać. Przesunąłem palcami po skórze, szukając choć śladów abrazyj czy innego zabiegu, szorstkości albo blizn tłumaczących, jakim sposobem wielka ilość kolorowego tuszu wprowadzonego pod skórę ledwo trzy dni temu mogła zniknąć.

Niczego nie znalazłem. Zamiast próbować wyjaśniać Pauline rzeczy, których sam nie rozumiałem, wypchnąłem ją z łazienki, załatwiłem, co miałem do zrobienia, i wróciłem do kuchni. Już wcześniej Gi Gi wspominał, że sprawy na zewnątrz miały się dziś inaczej. Zaczynałem chwytać, o co mu chodziło, ale musiałem wyjaśnić jeszcze kilka spraw, a on był jedyną osobą zdolną dostarczyć odpowiedzi.

W kuchni Pauline wskazywała właśnie przez koszulkę miejsce, gdzie znajdował się ten zdradziecki tatuaż.

— No to pokaż — rzucił Gi Gi całkiem niewinnym tonem.

Trzepnąłem go w potylicę.

— Żadne takie. Chodź ze mną, mądralo. Wracamy za pięć minut, Pauline.

Wychodząc, ujął ją jeszcze przelotnie za ramię.

— Nie ruszaj się nigdzie. Zaraz wrócę i będę chciał zobaczyć, gdzie był ten tatuaż.

— Okay, Gi Gi — odparła skwapliwie dziewczyna. — Jeśli ośmielisz się dotknąć Pauline...

— Spoko. Za przyzwoitkę teraz robisz? I czemu uderzyłeś mnie przy niej? Nic nie zrobiłem!

— Nie, ale zamierzałeś. „Będę chciał zobaczyć, gdzie był ten tatuaż”. Chyba Szkołę Uwodzenia imienia Freda Flinstone’a kończyłeś, Gi Gi. Subtelne. Naprawdę subtelne.

Popchnął mnie.

— Gdzie idziemy?

— Mówiłeś, że na zewnątrz jest dzisiaj jakoś inaczej. W czym rzecz?

— Otwórz drzwi, a sam się przekonasz, geniuszu bolesciwy.

Facet mieszkający pod drugiej stronie ulicy jeździ białym saturnem. Zawsze parkuje dokładnie naprzeciwko naszego domu i cholery dostaje, jeśli ktokolwiek zajmie mu miejsce. Gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem stojącego tam czarnego i lśniącego jaguara siódemkę. Rzadki i drogi samochód produkowany w latach sześćdziesiątych, obecnie prawie nie spotykany. Wiem, co mówię, bo ojciec miał

właśnie taki wóz. W tym jednym sobie pofolgował: kupił używanego jaguara, o jakim marzył, chociaż taniej z kozą by mu wyszło. Od chwili, gdy przyprowadził go pod dom, aż do czasu sprzedaży z gigantyczną stratą, samochód co rusz nawalał. Stary wpakował w niego majątek, nieustannie jeździł do sąsiedniego miasteczka, gdzie był drogi mechanik od zagranicznych wozów. Ojciec pozostał osamotniony w swym uwielbieniu, ale nawet połączone siły całej rodziny nie zdołały go przekonać, że poprzedni właściciel był zwykłym oszustem.

Niemniej tego ranka po drugiej stronie ulicy parkował właśnie czarny jaguar, taki sam, jak wóz mego ojca. Zaraz wywołał całą rzekę wspomnień, jednak miałem coś do zrobienia. Wskazałem go juniorowi.

— Wygląda jak jaguar taty, nie?

— Bo to j e s t jego wóz, stary. Widziałem, jak parę chwil temu z niego wysiadał.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, ulicą nadjechał powoli liściastozielony studebaker avanti. Za kierownicą siedziała jakaś kobieta. Chociaż w środku było ciemno, wydała mi się znajoma. Od dwudziestu lat nie widziałem żadnego avanti, a ten wyglądał, jakby dopiero co wyjechał z salonu.

Chodnikiem wlokło się dwóch młodych ludzi. Około szesnastu lat, z włosami długimi do ramion. Stroje mieli niedbałe i całe w barwne plamy. Wynik farbowania z wiązaniem materii w pęczek. Spóźnieni o trzydzieści lat hippisi. Przechodząc przed domem, podnieśli dłonie i przesłali nam znak pokoju.

— Cześć, McCabe!

Obaj odpowiedzieliśmy, a potem spojrzeliśmy jeden na drugiego. Hippisi też spojrzeli po sobie, ale poszli dalej niewzruszeni, niczym postaci z komiksu R. Crumba. Ucieszony widokiem podobnego anachronizmu dopiero po chwili skojarzyłem, kim byli.

— Czy to Eldritch i Benson?

— Nie inaczej, bracie.

— Jak to możliwe?

— Pomyśl chwilę — rzucił Gi Gi z sarkazmem. — Jaguar taty stoi przy krawężniku. Eldritch i Benson gdzieś sobie leżą, Andrea Schnitzler przejechała swoim avantim. . .

— To była Andrea?

— Nie inaczej, bracie.

Mój ojciec nie żył. Andy Eldritch zginął trzydzieści lat temu w Wietnamie. Andrea Schnitzler wyniosła się z Crane's View zaraz po szkole i słuch o niej zaginął. Avanti należał do jej ojca. Czasem zastanawialiśmy się, co bardziej nas pociągało: Andrea czy ten wóz.

— To są lata sześćdziesiąte? Jesteśmy z powrotem w latach sześćdziesiątych?

— No.

Wskazałem kciukiem na dom.



— Ale tam, w środku, są Pauline i Magda. . .

— Zgadza się, ale w domu. Na zewnątrz są lata sześćdziesiąte. Witaj w moim świecie. — Podskoczył i przysiadł na drewnianej poręczy biegnącej wkoło werandy.

Zanim się odezwałem, po drugiej stronie ulicy strzeliły drzwi. Mój ojciec ruszył chodnikiem do samochodu. Znów miał około czterdziestu lat i zostało mu nawet jeszcze trochę włosów. Miał na sobie beżowy letni garnitur, który sam kiedyś z nim kupowałem. Zawsze jeździł do pracy w garniturze. I zawsze w krawacie. Zwykle w jakimś jednolitym kolorze, czarnym albo kasztanowym. Paski czy zwariowane wzorki nie wchodziły w grę. Kiedyś dałem mu na urodziny krawat zaprojektowany przez Petera Maxa z nadrukowanymi fluorescencyjną farbą kolorowymi słoniami i statkami kosmicznymi. Nosił go potem, żeby mi nie było przykro, ale robił to tylko z poczucia obowiązku, wręcz cierpiętniczo. Ten człowiek ubierał się tak, jakby nie chciał zostać zauważony. Im mniej świat zwracał nań uwagę, tym lepiej. Gdy byłem w wieku juniora, kochałem tatę, lecz niezbyt go szanowałem. Mieszkaliśmy w tym samym domu, ale jakby na różnych planetach.

I to były lata sześćdziesiąte. Nosiliśmy przy dżinsowych kurtkach guziki ostrzegające (idiotycznie), by nie ufać nikomu powyżej trzydziestki. Ani nikomu ze stałą pracą, w garniturze, z hipoteką, wierzącemu w System. . . Nigdy nie byłem hippisem, bo uwielbiałem przemoc i samolubne zastraszanie innych. Postawa pacyfistyczna pozbawiłaby mnie sposobności do praktykowania tego i sporej dozy zabawy, chociaż narkotyki i wolny seks bardzo mi się spodobały, co jeszcze bardziej oddaliło mnie od taty. Dopiero później, po Wietnamie, gdzie widziałem ludzi w rodzaju Andy’ego Eldritch’a rozwalanych na kawałki, pojąłem, jak wiele ze słów i postawy mojego ojca miało głęboki sens.

— Cześć, tato, tutaj jestem! — krzyknął Gi Gi, gdy jaguar nas mijął.

Kierowca, mężczyzna, którego własnymi rękami pochowałem, nie spojrział nawet na nas, chociaż to niewątpliwie był on. . . Tata. Znów żywy.

Patrzyłem za samochodem, aż zniknął nam z oczu. Potem obróciłem się do chłopaka.

— Co tu się, u diabła, dzieje?

— Podejrzewam, że ktoś coś spieprzył. Astopel albo jeden z jego ludzi.

— Czyli?

Wyjął paczkę papierosów i zapalił.

— Czyli ktoś chce, żeby Frannie McCabe coś dla nich zrobił. Masz na to tydzień, ale z jakiegoś powodu nie mogą powiedzieć, co to jest. Zaczęli zatem od podsuwania ci sugestii. . . powrót pogrzebanego psa, pióro, pusty dom Schiavóów. . .

— I jeszcze tatuaż Pauline: pióro które teraz zniknęło. Poczekaj chwilę. . . przecież ona miała w ręce gazetę. Musiała wyjść po nią, gdy wszystko się zmieniło!

Wydmuchnął kółko i przytaknął.

— Co pasuje dokładnie do moich domysłów. Żadna z sugestii nie zadziałała, nie zrobiłeś, czego chcieli. Założę się, że wpadli wtedy w desperację i sprowadzili mnie na pomoc. Jeśli dorosły Frannie zawodzi, trzeba mu dodać Franniego dzieciaka. Ale i to zawiodło, więc obu nas pchnęli w przyszłość.

Wziąłem od niego papierosa, sztachnąłem się i oddałem.

— Kim są oni?

— Nie mam pojęcia. Oto pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Ale to prawie nieważne. Wiemy, jacy są potężni. Potrafią bawić się czasem, naszymi żywotami i czym tam jeszcze. Ale dotychczas nie zdołali cię skłonić, byś zatańczył wedle ich życzenia. Zatem coś jest nie tak z ich potęgą. Bóg powiedziałby po prostu: ZRÓB TO! Ale oni nie potrafią tego powiedzieć.

— Może to pomniejsi bogowie — mruknąłem, myśląc głośno.

Junior zgasił papierosa o podeszwę buta i pstryknął nim w chryzantemy Magdy.

— Pomniejsi bogowie, właśnie. Ale rozejrzyj się wokoło, facet... Tym razem naprawdę spieprzyli sprawę. Byłeś w przyszłości i miałeś wrócić do swoich czasów, a zamiast tego obaj wylądowaliśmy w czymś, co jest równocześnie twoim i moim światem.

— Gi Gi! Gdzie jesteś? — dobiegł nas z domu głos Pauline.

Junior zsunął się z poręczy i skierował ku drzwiom.

Złapałem go za ramię i spytałem:

— Jak na to wpadłeś?

Rozgiął moje palce i uwolnił się od nich.

— To najlepsze, co wykombinowałem — powiedział głosem po raz pierwszy łagodnym i ciepłym. — Myślisz, że mogę mieć rację?

— Chyba tak.

Pojaśniał i przybyło mu odwagi. Pochylił się ku mnie, by przekazać kolejny wytwór swego geniuszu.

— I wiesz co? Myślę, że sprowadzili mnie, bo cokolwiek masz zrobić, nie zdołasz wykonać tego sam. Potrzebujesz mnie obok, żeby nie spieprzyć sprawy.

— A to czemu?

Zaraz obudził się w nim zły chłopak i wszystko wróciło do normy.

— Bo zostałeś oswojony, funkcjonariuszu McCabe. Wycierasz się pięknymi różowymi ręcznikami i nawet cię to nie razi, bo przywykłeś. Ale ja? Wciąż jestem jaskiniową wersją Franniego McCabe'a. Kopię w dupę i szczam za okno. Kołyszę się na lianach w dżungli. I poluję z maczugą na sawannie.

Musiałem się rozejrzeć. Niezależnie od tego, jak mało czasu zostało na docieczenie, czego „oni” chcieli, musiałem pozwolić sobie na chwilę oddechu i zobaczyć Crane's View sprzed trzydziestu lat. Wróciłem do domu po spodnie i buty. Gi Gi i Pauline siedzieli w kuchni, rozmawiali i śmiali się. Zignorowali starszego

gościa, który przesunął się korytarzem w samych bokserkach. Miło było widzieć Pauline tak szczęśliwą, nawet jeśli był to skutek nieczystych sztuczek tego napaieżca.

W dzinsach i bawełnianej koszulce pokonałem próg i zszedłem po schodach werandy. Ruszyłem ku miastu, ale zatrzymałem się jeszcze i spojrzałem przez ulicę. Czemu ojciec wychodził z tamtego domu tak wcześnie rano? Spróbowałem przypomnieć sobie, kto właściwie mieszkał w nim trzydzieści lat temu, ale poddałem się. Pomyślałem, że spytam potem juniora.

Pamiętałem natomiast, że w miarę upływu lat tatę nękała postępująca bezsenność i chodził lub jeździł wówczas po mieście. Przywykliśmy z mamą, że wychodził i wracał o najdziwniejszych porach. Mama powiedziała nawet kiedyś, że bezsenność i jaguar to dwie rzeczy, które odróżniają go od każdego innego Toma, Dicka czy Harry'ego. Mój ojciec miał na imię Tom.

Idąc do centrum, przypominałem sobie upiorną historyjkę, którą kiedyś mi opowiadała. Tuż przed ślubem zdarzyło im się umówić pewnego dnia w Nowym Jorku, pod wielkim zegarem na stacji Grand Central. Mama przysłała kilka minut za wcześnie i czekała niecierpliwie, aż narzeczony się pojawi. Po jakimś czasie ujrzała, że idzie ku niej, więc ruszyła mu naprzeciw. Dopiero po „wielu krokach” (to jej określenie), gdy spojrzała na gościa z bliska, pojęła, że to nie Tom McCabe, ale jakiś kompletnie obcy człowiek. Wstrząsnęło nią, że mogła się tak pomylić, ale zaraz ulżyło jej, że nie zdążyła zrobić z siebie idiotki. Szybko wróciła na miejsce pod zegarem.

Kilka minut później była pewna, że zobaczyła Toma. Znowu wyszła naprzeciwko, żeby się przywitać. Ale, Boże miłosierny, znów wyszło tak samo, tyle że teraz starczyło znacznie mniej kroków, aby poznać, że i ten drugi facet, który wyglądał prawie jak miłość jej życia, nie był jednak właściwą osobą. Śmiała się, gdy mi to opowiadała, ale nigdy nie wspominała zdarzenia przy ojcu. Oboje wiedzieliśmy, że choć zabawne, było też diabelnie smutne. Smutne, bo prawdziwe; idź o siódmej rano na dowolny z dworców kolejowych hrabstwa Westchester, weź porządny kij i rzuć go w tłum przechodniów, a za jednym zamachem trafisz z sześciu gości do złudzenia przypominających mojego tatę. Dlatego właśnie ten szpanerski wóz i bezsenność tak cieszyły mamę. Były cechami szczególnymi. Jedynymi cechami szczególnymi.

Po drodze radowałem oczy widokiem samochodów, które w moich czasach były niczym wymarłe gatunki zwierząt: po przeciwnych stronach ulicy parkowały corvair i MG-A, a przed starym domem Ala Salvato stał sraczkowaty ford edsel jego ojca. Wóz z przyciskami automatycznej skrzyni biegów zamontowanymi pośrodku kierownicy. Ojciec Ala pozwalał wsiadać do edsela, gdy parkował na podjeździe. Salvato zawsze nakłaniał mnie, bym zajmował miejsce kierowcy, ale robił to tylko dlatego, że się bał. Wszyscy moi kumple bali się mnie i mieli po temu powody. Uwielbiałem wdawać się w bijatyki, kraść, kłamać i dokuczać

innym. Szczególnie upodobałem sobie ogłuszanie wybranych jednostek żelaznym drągiem lub czymś twardym. Wyrastałem na takiego właśnie chłopaka, przed którym zawsze ostrzegali was rodzice. Przystępcę, chama, robaczywe jabłko i kryminalistę, który pewnego dnia trafi do piekła lub więzienia — w każdym razie na pewno nie skończy dobrze. I byłem z tego dumny. Przeszedłem obok niebieskiego domu, w którym mieszkał zastępca dyrektora szkoły. Gdy zawiesił mnie za to, że ukradłem książkę pewnego nauczyciela, podпалиłem mu samochód. Dalej na wysokim parterze mieszkał prezes naszego miasteczkowego oddziału Weteranów Wojen Zamorskich. Pewnej nocy włamałem się do ich sali zebrania i zwinąłem całą broń palną z ekspozycji. I tak dalej.

Ale czy Gi Gi miał rację? Czy różowe ręczniki Magdy i udane życie pozbawiły mnie pazurów? Co ważniejsze, czy mi ich brakowało? Czy było to takie ważne, że oddaliłem się niezmiernie od t a m t e g o Franniego sprzed lat? Co widzicie, spoglądając na swe dawne zdjęcia? Tragiczną fryzurę i niegustowne ubrania, które już dwadzieścia lat temu oddaliście Armii Zbawienia? To na pewno, ale co poza tym? Czy ten śmieć w kuchni to naprawdę byłem ja, czy może tylko ktoś przemieszkujący w innym czasie w tym samym ciele? Przemieszkujący tak, jak obejmuje się lokal.

Obok przetruchtał wyraźnie zajęty swoimi sprawami psiak.

— Jack! — zawołałem. Usłyszawszy swoje imię, zatrzymał się i spojrzał na mnie badawczo. Podsunąłem mu rękę, którą obwąchał, ale nie zamerdał ogonem. To był pies mojego przyjaciela, Sama Bayera, kundel, którego kiedyś bardzo lubiłem. Co nie powstrzymało mnie wszakże, by nasikać na niego, gdy lata temu siedział Johnny'emu Petanglesowi na kolanach, ale to już całkiem inna historia.

Ponieważ byłem tylko obcym z pustymi rękami, Jack poszedł dalej. Pomyślałem, że najpewniej wraca do mojego domu, w którym w tamtych czasach mieszkali właśnie Bayerowie. Zawsze podobała mi się ich chata i gdy parę lat temu wystawiono ją na sprzedaż, zaraz skorzystałem. Co pies znajdzie, gdy tam dotrze? Bayerów z roku 1965 czy parę nastolatków, Gi Gi i Pauline, flirtujących w najlepsze nad filiżankami kawy po włosku? A jeśli trafi na B a y e r ó w? A gdybym poszedł w ślad za psem i ujrzał, że wszystko, co znałem jako dorosły, zniknęło w otchłani trzydziestu lat? A jeśli zostałem na zawsze zesłany do świata, który zamieszkiwałem jako ponury i podły, niemal psychotyczny nastolatek?

— Zamknij się i idź dalej — powiedziałem sobie głośno, czując, że jeśli zaraz się nie ruszę, to zostanę tu i będę czekał na Godota czy innego geniusza, który powie mi, jak wydostać się z tego bagna.

Ratunek przyszedł ze strony całkiem niespodziewanej, bo z żołądka. Mój organ trawienny odezwał się tak gromko, jakby zaryczał pomniejszy lew. Mimo ambitnych zamiarów nic jeszcze dzisiaj nie jadłem. Głód, który czułem od chwili przebudzenia, urósł do siły żywiołu. No i dobrze, bo znajdowałem się w pobliżu kafejki Scrappy'ego. Wpadnę tam sobie na śniadanie, uznałem, a przy okazji po-

myśle, co dalej. Wynajdę jakiś plan. Miałem już co robić i w ten sposób reszta drogi do centrum upłynęła całkiem miło.

Wchodząc na schody kafejki, spojrzałem na ostatni stopień. Sam odłamałem wielki jego kawał, gdy pewnej nocy rzuciłem młotem kowalskim w moją ówczesną dziewczynę. Szczęśliwie chybiłem o milę, ale odbiłem spory kęs płyty. Scrappy Kricheli, który był takim sknerą, że nawet swoje pierdnięcia by sprzedawał, gdyby płacili, dwa lata jej nie wymieniał. Szczęśliwie nigdy nie wykrył, kto ją uszkodził. Niezliczone rzesze klientów potykały się o ten stopień i groziły, że podadzą właściciela do sądu. Myśle, że ich wywrotki pysznie złamasza bawiły. W końcu ktoś naprawdę go zaskarżył i kutwa stracił majątek.

A teraz znów stanąłem na tym wyszczerbionym miejscu moją dorosłą stopą. Znaczący, że „oni”, kimkolwiek byli, wiedzieli również o tym. Wchodząc do lokalu, zastanawiałem się, kiedy wreszcie ci „ktosie” jakoś się dla mnie ukonkretnią.

Wewnątrz najpierw ujrzałem Scrappy’ego Kricheli: siedział za kasą, dłubał wykałaczką w zębach i czytał „The National Enquirer”. Wyglądał na czterdzieści parę lat. Miał umrzeć w swoje sześćdziesiąte urodziny. Na zawał i to właśnie w tym miejscu.

Za kontuarem kręciła się ubrana w czerwony fartuch jego córka, Alice. Ledwie się tam mieściła. Oboje spojrzeli na mnie obojętnie. Usiadłem tam, gdzie zawsze, na dziewiątym od wejścia stołku przy kontuarze. Aż się uśmiechnąłem. Gdy uniosłem wzrok, Alice stała przede mną i patrzyła, jakby chciała spytać: „Co cię gnębi?”

Chciałem coś powiedzieć, ale co niby? Ostatecznie sięgnąłem tylko po menu. Trzy wykazy, turkusowe ze złotymi literami, tkwiły za tablicą szafy grającej, jak zawsze zresztą. Po zamówieniu śniadania chciałem sprawdzić, jakie to przeboje Scrappy załadował dziś do maszyny.

— Kawy? — Rodzina Scrappy’ego mieszkała w Bronksie i wszyscy mówili z ciężkim akcentem. Dawał się wysłyszeć nawet w tak krótkim słowie.

— Tak, poproszę. I jeszcze jajecznicę, ziemniaczki z patelni i bekon.

Kiwnęła głową i nalała mi filiżankę parującej, brunatnej kawy. Tak, brunatnej. Pachniała jak woda po zmywaniu talerzy i wiedziałem, że tak samo będzie smakować, bo tu kawa zawsze była taka. Knajpka u Scrappy’ego robiła za zwykłą garkuchnię dla gliniarzy, kierowców ciężarówek i uczniów, którzy gotowi byli zjeść wszystko, byle był to hamburger z frytkami. Gdybym zaś poprosił tu o kawę z ekspresu, podobnie jak Gi Gi mieliby mnie za odchylonego od pionu.

Podziwiałem właśnie tylne połacie Alice, gdy wyczułem jego obecność. Najpierw wyczułem, dopiero potem usłyszałem uprzejmy głos tuż nad uchem.

— Przepraszam? Nie chcę panu przeszkadzać, ale muszę z panem porozmawiać. Można?

Obróciłem się. W odległości dwóch stóp stał mój tata i patrzył wprost na mnie. Okręciłem stołek, żeby mieć go naprzeciwko.

— Tak? — Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Obaj mieliśmy akurat pod pięćdziesiątkę. Ciarki przebiegły mi po grzbiecie tak ostro, że niemal straciłem czucie w plecach.

— Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale... Czy mogę się dosiąść?

— Proszę... — Wskazałem na stołek obok.

Ten garnitur. Dobrze go pamiętałem. Granatowy, w odcieniu munduru marynarki.

— Wszedłem właśnie, a gdy pana zobaczyłem, to własnym oczom nie mogłem uwierzyć. Wie pan, mam syna, siedemnastoletniego, a pan wygląda... no, wygląda pan dokładnie tak, jak on pewnie będzie wyglądał, gdy się zestarzeje. Niesamowicie.

Nasypałem cukru do kawy.

— To musi być przystojny chłopak.

Ojciec był bardzo zasadniczym facetem i organicznie nie potrafił żartować. Umiał jednak wspaniale i uważnie słuchać. Ledwo wypowiedziałem te słowa, zaniósł się śmiechem tak gwałtownym, że aż się rozkaszał.

— Może lepiej będzie usiąść, niż upaść. — Omal nie dodałem na końcu zdania: „Tato”.

Usiadł. Podałem mu moją szklanę wody. Łyknął potężnie i pokręcił głową.

— Zaskoczył mnie pan. Jestem Tom McCabe.

— Bill Clinton — odparłem, gdy wyciągnął dłoń do uściśnięcia.

— Miło cię poznać, Bill. Ale mimo wszystko powinienem chyba mówić ci Frannie. Tak ma na imię mój syn.

Przytaknąłem i upiłem kawy. Prawie się nią udławiłem.

— Przykro mi, Tom, ale muszę cię rozczarować. Jestem Bill, mam żonę imieniem Hillary, a razem mamy córkę Chelsea.

Łyknął jeszcze wody.

— Ale podobieństwo jest wprost uderzające. Czy mogę cię spytać, czym się zajmujesz?

Spojrzałem na kontuar i pokiwałem tajemniczo głową. Odpowiedziałem dopiero po chwili.

— Polityką.

— N a p r a w d ę? — Był pod wrażeniem. Mój ojciec uwielbiał politykę. Często czytał mamie kawałki z „New York Timesa”, głównie te opisujące zepsucie panujące w Waszyngtonie. Niezmiennie komentował je zwrotem „zdumiewające”. Zachichotał i przetaił mocno twarz obiema dłońmi. — Mój syn będzie miał szczęście, jeśli nie trafi do więzienia. Frannie to jeden wielki kłopot.

Poczułem, jakby wbił mi sztylet w serce. Chociaż czemu? Przecież zarządzałem więzieniem! Przez wszystkie te lata wiedziałem, że mi się uda, i Tom McCabe zdążył się o tym przekonać, nim umarł. Był ze mnie bardzo dumny, bo odrodziłem się w osobie porządnego obywatela, dokładnie tak, jak miał nadzieję, że się stanie.

Czemu zatem jego uwaga mnie zabolęła? To proste: nieważne, ile masz lat, twój związek z rodzicami jest jak smycz. Dla nich jesteś ciągle psem prowadzonym na jednej z tych rozciągalnych smyczy. Im starszy jesteś, tym dalej odchodzisz. Po latach jesteś już tak daleko, że zapominasz o istnieniu smyczy. Niemniej, jak można przewidzieć, prędzej czy później albo linka się kończy, albo rodzice z jakichś powodów naciskają guzik zwijania i już jesteśmy przy nich i obrywamy rzemieniem. I znowu merdamy ogonem, by zyskać ich aprobatę. Nieważne, jak daleko się odejdzie, mama i tata mają wciąż nad nami swoistą władzę i nigdy jej nie tracą.

— Może jesteś zbyt surowy dla swojego chłopaka, Tom. — Nie mogłem spojrzeć mu w oczy.

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś znał mojego Franniego.

— Możliwe, że jako dzieciak byłem właśnie kimś w jego stylu i dlatego wiem, co mówię.

— Bill. . .

— Proszę. — Alice stuknęła moim talerzem o blat. — Coś jeszcze?

Bladożółte jajka kontrastowały mocno z kawałkami brunatnego bekonu. *Haute cuisine a la Scrappy*.

Spojrzałem na dziewczynę i uśmiechnąłem się. Nie odpowiedziała tym samym.

— Coś się nie zgadza?

— Tak. Prosiłem jeszcze o ziemniaczki z patelni do jajecznicy.

— Nie, nie prosił pan.

— Owszem, prosił — odezwał się mój ojciec. — Sam słyszałem, jak je zamawiał.

Alice zmarszczyła brwi i wsparła rękę na biodrze, co jednoznacznie ostrzeżało, byśmy nie prosili się o kłopoty. Gdy byłem młody, nazywaliśmy ją „cycatą dziwką” i wszyscy jej wtedy pożąдалиśmy. Oczywiście to było dawno, dawno temu, zanim jeszcze świat postawił na polityczną poprawność. Pamiętałem jednak coś jeszcze a propos Alice i ta druga sprawa była o wiele ważniejsza.

Zbyłem kwestię ziemniaczków machnięciem ręki.

— Nieważne. Tylko od nich tyję. Ale czy mógłbym zadać ci pytanie?

Nie zdjęła ręki z biodra. — To zależy. Jakie?

— Znasz syna tego pana? Znasz Franniego McCabe’a?

Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Jasne, że znam Franniego. Miły chłopak.

— Miły? W jakim sensie?

— Nie znasz go? Jesteś do niego bardzo podobny.

— Spojrzała na tatę, sprawdzając, czy się z nią zgadza.

— Właśnie o nim rozmawialiśmy i byliśmy ciekawi, co też inni ludzie mogą sądzić na jego temat.

— Powiedziałam wam, Frannie jest całkiem miły. — W jej głosie ponownie pojawiła się rezerwa. Najchętniej wrzuciłbym jej moją jajecznicę za dekolt, ale przecież nie mogłem! Chciałem, żeby coś powiedziała, i nie mogłem spieprzyć sprawy.

— I to wszystko, tylko miły?

Dziewczyna zerknęła przez salę na swego starego. Siedział wciąż z nosem w makulaturze, co dawało Alice zielone światło, by z nami pogadać.

— Gdy Frannie przychodzi ze swoimi przyjaciółmi, to jest dość szorstki i gra wielkiego gościa, ale sam jest uprzejmy, a czasem nawet zrobi coś miłego.

Trafiony! Dalej, Alice. . . opowiedz Tomowi, jak to było.

Zrobiła minę, jakby uznała kwestię za zamkniętą, i znów musiałem ją zachęcić.

— Miłego? Na przykład?

— Jak wtedy, gdy pożarłam się z moim chłopakiem. Nie przypominamy za bardzo Ozziego i Harriet. No i tamtej nocy poszło na ostro. . . — Znów spojrzała, co robi jej pryncypał. — I miałam dosyć. Szczęśliwie było pusto i gdy dostałam napadu histerycznego płaczu, nikt tego nie zauważył. Znaczący nikt oprócz Franniego. I to było bardzo miłe. Był sam, jak mówiłam, i przez całe dwie godziny o tym rozmawialiśmy. Nie musiał tego robić. Nie udawał twardziela ani nikogo, był całkiem normalny. I powiedział mi kilka mądrych rzeczy. Takich o ludziach, ogólnie, rzeczy, o których wiele wcześniej myślałam. A potem przyszedł jeszcze następnego dnia i dał mi płytę z nagraniami, które lubię. *Concrete and Clay*. Wyszło, że oboje to lubimy. Tego też nie musiał robić. Frannie jest w porządku. — Mówiąc to, spojrzała wprost na tatę.

Chrząknąłem z satysfakcją.

— Dobra opowieść, Alice. A teraz czy mógłbym dostać moje ziemniaczki?

Ciepło pierzchnęło z jej oczu niczym mysz przed kotem.

— Co pan powiedział?

Pochyliłem się ku niej i odezwałem na tyle głośno, że nawet gdyby Scrapy'ego trafił przedwczesny szlag, też musiałby mnie usłyszeć.

— Powiedziałem, że chcę te ziemniaczki z patelni, których mi jeszcze nie podałaś, kochanie.

— W czym problem? — huknęło zza kasy niczym z bazooki.

Dziewczynę wymiotło. Ze zdwojoną szybkością zajęła się moimi kartofelkami.

Tymczasem zacząłem wreszcie pałaszować jajecznicę. Smakowała wspaniale. Po kilku potężnych kęsach wycelowałem widelec w mojego ojca i powiedziałem:

— Nawet bandyty nie ma co oceniać tylko po pozorach, Tom. Gdybyś kiedyś zajrzał do jego pokoju w nocy, przyłapałbyś go pewnie, że czyta z latarką pod kocem.



Uśmiechnął się krzywo na tę sugestię. Wróg Publiczny Numer Jeden miałby czytać pod kocem? Coś jednak musiało do niego dotrzeć, bo po chwili wyglądał na niemal przekonanego, że to mimo wszystko prawdopodobne.

Potem siedzieliśmy cicho, ale to mi nie wadziło, bo starczało, że znów jestem z moim staruszką, że razem pijemy słabą kawę u Scrappy'ego. I chociaż brzmi to ponuro, ceniłem go tym bardziej, że wiedziałem już, jak było po jego odejściu. Jakkolwiek długo trwała ta chwila, czymkolwiek ona była, snem rozmarzonym czy koszmarem, żadne inne miejsce na ziemi nie pasowałoby mi bardziej od tej knajpki, w której przekonywałem mojego sceptycznego ojca, że w jego synu jest też trochę dobra i że pewnego dnia weźmie ono górę.

Coraz więcej ludzi wchodziło i wychodziło, ale w środku nadal było względnie cicho. Nie rozmawialiśmy wiele przy jedzeniu. Alice przyniosła moje ziemniaczki, ale pchnęła talerz ku mnie po kontuarze, jakby to była miska z psim żarciem. Tata zamówił u drugiej kelnerki bułkę z borówkami i szklankę soku pomarańczowego. Gdy przyniosła, zjadł wszystko bardzo szybko. Wycierałem właśnie talerz grzanką, by zebrać ostatki sosu, gdy ujrzałem, że zbliża się ku nam pewna kobieta.

Nazywała się Victoria Garretson. Panna Garretson. Uczyła muzyki w naszej podstawówce. Zawsze trochę przyciężka, z rumianymi policzkami, okazywała niezmienny i niereformowalny entuzjazm wobec swojego przedmiotu. Wynik był odwrotny do zamierzonego: większość wystawionych na jej wpływy uczniów nabierała odrazy do muzyki. Nienawidzić się jej nie dało, bo to uczucie dzieciaki zawsze rezerwują dla tych belfrów, którzy je krzywdzą lub w jakiś paskudny sposób niszczą. Po prostu trudno było nam wytrzymać jej nieustanne machania rękami i wydymanie policzków, gdy z pasją wiodła nas przez pieśni Stephena Fostera, gdy uczyła nas grać na trójkątach czy marakasach. Za jej sprawą marakasów miałem dość na resztę życia, i to kompletnie. Jak wyglądała? Jak młoda kobieta, która sprzedaje kiepskie prześcieradła w domu towarowym i truje o nich każdemu, kto chce słuchać. Jak sekretarka w biurze lichy zarządzanego majątku. Czyjaś ciotunia jak z obrazka.

— Tom! Cóż tu robisz tak wcześnie?

Tom? Panna Garretson знаła mojego ojca? Znała go na tyle dobrze, by mówić mu po imieniu?

— Vicki! Witaj! Mógłbym cię spytać o to samo.

V i c k i?

Stała z lekko uniesionymi rękami i wpatrzyła się we mnie. Miała duże wargi pokryte zbyt wielką ilością ciemnej szminki. Dopiero po chwili pojąłem, że czeka, aż zostanie przedstawiona. Lub aż obaj wstaniemy, dowodząc, że jesteśmy dżentelmenami. Tata wstał w końcu, ale ja nie.

— Vicki Garretson, a to jest Bill Clinton.

Skinałem i posłałem jej ostrożny uśmiech. W odpowiedzi omiotła mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nachalnie i otwarcie. Z miejsca poczułem się, jakby mi ubyło czterdzieści lat. Wtedy też mnie tak lustrowała. Człowiek odruchowo sprawdzał potem, czy ma zapięty rozporek i czy na koszulce ze znakiem Klubu Myszki Mickey nie zostało trochę dżemu ze śniadania.

— Vicki uczy w naszej szkole.

— Zajmuję się teorią muzyki i chórem — stwierdziła z dumą i całkiem nie-szczerze.

Za całą teorię, jaką wykladała, robił zwrot „wyjmij palec z nosa, dziecko, i przeczytaj, co zanotowałeś”. Ale spodobało mi się: panna Garretson kłamała, żeby zrobić na mnie dobre wrażenie.

— A czym się pan zajmuje, panie Clinton?

— Bill jest politykiem — wtrącił tata głosem pełnym podziwu.

— To ciekawe. Mogę się przysiąc?

— Jasne, oczywiście, Vicki. — Pokazał na stołek obok.

Panna Garretson usadziła swój wcale nie najmniejszy odwłok.

Przez chwilę rozmawialiśmy o niczym. Panna Vicki była nudna i miała się za pępek świata. Bez wątpienia uwielbiała dźwięk własnego głosu i opowiadała o zwykłych sprawach jej życia. Ja słuchałem jednak tylko jednym uchem, bo z fascynacją obserwowałem komunikaty, które przekazywali sobie z pomocą mowy ciała. Nie musiałem się długo wysilać, żeby wyczytać między wierszami, o co chodzi. Gdy zaś wyczytałem, wyszczerzyłem radośnie zęby i musiałem chyba wyglądać jak ktoś odrobinę stuknięty, ale cóż: nie było wątpiwości, że Tom McCabe parkował swojego deresza w garażu Vicki. Cała ich rozmowa była pełna żartów, aluzji, ukradkowych, zmysłowych spojrzeń i niewinnych wzmianek o rzeczach, które wspólnie robili, napięcie zaś panowało między nimi takie, że jeszcze trochę, a zaczęłyby przeskakiwać błyskawice. Tata pieprzył moją nauczycielkę muzyki! Nie kryli się za bardzo w rozmowie, no bo kim niby byłem? Obcym, którego spotkali w restauracji i którego więcej już nie zobaczą. Kimś, kto siedzi obok, całkiem jak w samolocie czy na dworcu, gdy pogawędka skraca czas oczekiwania na opóźniony pociąg. Wyróżniało mnie jedynie podobieństwo do syna Toma, zarazem niegdysiejszego ucznia Vicki.

Po TYM jajeczku umysł prawie mi się przegrzał, bo zrozumiałem coś jeszcze. Czemu ojciec wychodził wczesnym rankiem z tamtego domu po drugiej stronie ulicy? Czyżby miał tam jeszcze jedną kochankę, którą odwiedzał podczas bezsennych przejażdżek? Oto była tajemnica życia Thomasa McCabe'a... Mój ojciec, osobnik fabrycznie non-iron, w półbutach marki Florsheim, garniturze od Roberta Halla, porządny obywatel, który pił tylko jedną whisky przed obiadem i ani kropelki więcej, płacący zawsze na czas i podatki, i długi, i wszystko... Moja matka nie mogła wyłowić go z tłumy. A tutaj proszę, uprawia dzikie łamańce z moją nauczycielką muzyki z podstawówki i pewnie nie tylko z nią. Juhu! Czy życie

nie jest wspaniałe? Najchętniej wziąłbym go w ramiona i odtańczył z nim coś dzikiego. Słyszałem, że podobno dla niektórych jednym z najgorszych przeżyć bywa odkrycie, że rodzice zdradzali się nawzajem. Mi owa wieść dodała skrzydeł. Chciałbym poznać wszystko, ze szczegółami, najlepiej w wersji panoramicznej i z dźwiękiem w systemie dolby surround. Jak w najnowocześniejszym kinie. Crane's View było małe, ściany miały tu oczy i uszy. Czy ta dziwna para wymykała się do zajazdu w Amerling? Brali może ze sobą taniego szampana, zbiorówkę poezji miłosnej Roda McEwana i trzystopki grający *Bolero* Ravela?

Pragnąłem uściskać tatę albo przynajmniej poklepać go po plecach, ale w tych okolicznościach nie było o tym mowy. Spodobało mi się, co odkryłem. Kochałem go za to. Co dziwniejsze, jeszcze bardziej kochałem matkę. Głównie za to, że tak kompletnie, stuprocentowo pomyliła się co do swego partnera. Mamo, to drapieżnik!

— Muszę ruszać dalej, Tom. Ale miło było was poznać.

Wstałem i pożegnałem się. Pamiętałem, że nigdy nie ścisnął mocno dłoni i tak było też teraz. Łzy napłynęły mi do oczu. Tak żegnać się z własnym ojcem. Jeśli go kochasz, nie ma niczego wspanialszego. A ja go kochałem. W duchu pobłogosławiłem go i podziękowałem mu za tyle miłości i cierpliwości. Za wychowanie straszego, frustrującego syna, który przez dwadzieścia lat przyprawiał niemal tylko o troski i ból głowy. Chciałem powiedzieć Tomowi McCabe'owi: jestem twoim synem, tym złodziejem i wyrzutkiem, którego powinieneś znienawidzić, ale nie uczyniłeś tego, bo jesteś dobrym człowiekiem. Ale teraz już wszystko ze mną w porządku, tato. Przetrwalem i jest dobrze.

Jednak uśmiechnąłem się tylko do Victorii Garretson (Vicki — nigdy w życiu nie zwróciłbym się tej kobiety per Vicki) i odwróciłem się. Po raz ostatni.

— Bill? Przepraszam cię Bill... — Szedłem już do kasy, gdy usłyszałem, że jeszcze mnie woła.

— Tak, Tom?

— Czy mogę zapłacić za twoje śniadanie? Chciałbym to zrobić.

— Czemu? — Znów poczułem napływające łzy i czym prędzej spojrzałem na Scrapy'ego.

— Przez to, co powiedziałaś o moim synu. Może masz rację i tylko za bardzo się martwię. Bo... nie wiem... bo mamy miły poranek i ucieszyło mnie to niespodziewane spotkanie.

Wręczyłem mu rachunek.

— Ty tu rządzisz.

Coś dziwnego przebiegło mu przez twarz. Spytałem, w czym rzecz.

— Frannie czasem tak mówi. Ty tu rządzisz, Tom. Tyle że zwykle z sarkazmem.

Spróbowałem zachować spokój.

— Sam powiedziałeś, że jesteśmy podobni. Zresztą, wyobraź sobie przez chwilę, że ja to naprawdę on. To ty tu rządzisz, Tom. Powodzenia w życiu.

— I tobie też, Bill.

Nie mogłem się powstrzymać od jeszcze jednego.

— Głosuj na mnie, gdy wystartuję na prezydenta.

Roześmiał się i wrócił do swojej kochanki.

Jak dziwne może się zmienić w jeszcze dziwniejsze? Powiem wam. Szczęśliwy i podbudowany na duchu tym, co właśnie się zdarzyło, wyszedłem uśmiechnięty od Scrapy'ego i radośnie ruszyłem dalej. Trwało to może z pięć minut. Za drzwiami skręciłem w lewo, ku centrum Crane's View. Wielkie mi centrum... praktycznie jeden kwartał. Ciekaw, co tam znajdę, starałem się przypomnieć sobie, jak wyglądała Main Street i całe miasto trzydzieści lat temu. Ile drobnych kosztował wtedy bilet do kina Embassy? Ile chcieli w bufecie za pudełko orzechów w czekoladzie Goobers? Jak nazywały się pozostałe słodycze, które sprzedawali? Charleston Chew, Zagnut, Raisinets, Good and Plenty, 5th Avenue... Opóźniony Johnny Petangles znał je wszystkie z telewizyjnych reklam, których treść potrafił recytować aż do obrzydzenia. Kino zostało zburzone dwa lata temu, a na jego miejscu powstał sklep Blockbustera ze sprzętem wideo. Uznałem to za ironię losu. Mały ekran wyparł duży. Ścieżki pamięci wiodły mnie dalej. Za kinem stał lokal Dana Pope'a z napisem „Bar & Grill” na szyldzie. Tam właśnie w osiemnaste urodziny wypijaliśmy wszyscy pierwsze oficjalne drinki. Wciąż pamiętałem woń tego miejsca: gotowana kapusta i dym papierosów. Dalej zaś był...

Gość w takim samym hełmie, jaki omal nie przerobił mi głowy na kebab. „Naukowym” hełmie z moich ostatnich dni w Wiedniu. Naprawdę... Szedł Main Street w Crane's View w stanie Nowy Jork w roku sześćdziesiątym którymś. W czarnym hełmie. Zakryłem usta dłonią i wybełkotałem coś, jakbym się dusił. Miałem wrażenie, że kręgosłup zmienił mi się w sople lodu. Co więcej, wkoło było pełno ludzi, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Przed miejską biblioteką stał Brian Lipson w kurtce naszej miejscowej filii uniwerku i rozmawiał z Monicą Richardson. Hełmowiec przeszedł tuż przed nimi. Oboje spojrzeli nań całkiem obojętnie i powrócili do rozmowy. Crane's View jest konserwatywne i prawie niezmiennie. Zawsze tak było. Cokolwiek pojawi się tu nowego, zaraz zostanie zauważone i potem wszyscy dyskutują o tym bez końca. Czy dzisiaj, czy trzydzieści lat temu, ktoś w podobnym hełmie wywołałby zbiegowisko. Skoro tych dwoje małych ludzi po prostu odwróciło głowy, znaczy, że przywykli do takiego widoku. Poczuję się nieswojo. Porządek rzeczy zaczynał się sypać i znowu niczego nie byłem pewien. W tamtych czasach, gdy siadywałem z Lipsonem w jednej ławce na lekcjach geometrii i ściągałem z jego prac, żadne hełmy na pewno nie plątały się po mieście. Gdyby choć jeden się pojawił, bez wątpienia powiadomiłbym o tym cały świat.

Postanowiłem pójść za gościem. Zobaczyć, jak inni mieszkańcy miasteczka na niego zareagują, i sprawdzić, czy...

— Cześć, Frannie! — rzucił Brian Lipson, patrząc prosto na moją czterdziestosiedmioletnią osobę.

— Witaj nam, Frannie McCabe — powtórzyła Monica Richardson, wystraszona dziewczyna, na dodatek z takim uśmiechem, że przeciętnemu gościowi zrobiłoby się mokro w gaciach.

Gdybym był postacią z komiksu, w tejże chwili rozległby się pisk hamulców, a ja zatrzymałbym się z dymem idącym spod butów.

Komiks nie komiks, i tak wmurowało mnie w chodnik. Trwało chwilę, nim odzyskałem równowagę.

— Znacie mnie?

Spojrzeli po sobie. Lipson parsknął.

— A czemu nie mielibyśmy cię znać, Frannie? Przecież siedzimy razem na geometrii.

— Tak, ale...

Hełmowiec zniknął właśnie za rogiem. Nic nie mogłem na to poradzić, chwilowo byłem uziemiony.

— Znacie mnie właśnie takim?

Monica przekrzywiła wdzięcznie głowę. Trochę jak pies, który po raz pierwszy słyszy harmonijkę.

— Znaczą jakim?

— Takim, jaki jestem teraz! Takim właśnie! — Wskazałem na moją pierś, twarz. Twarz gościa w wieku prawie pięćdziesięciu lat.

— Jasne, czemu nie?

— Muszę iść.

— Nie zapomnij, Frannie. Jutro wieczorem. Z Dionne Warwick — zaćwierkała Monica, istna syrena wabiąca żeglarza ku skałom.

I nagle zajaśniało mi we łbie, jakbym kamieniem dostał. W ostatniej klasie próbowałem ze wszystkich sił nakłonić Monice Richardson do grzechu, ale niezbyt mi wychodziło. Była bardziej bystra niż ja. Ile razy myślałem, że już ją mam, tyle razy wyslizgiwała mi się z rąk. W końcu postanowiłem pójść na całość i zainwestować w dziewczynę. Kapitał inwestycyjny wykradałem matce z portmonetki przez całe trzy tygodnie. Plan przewidywał koncert Dionne Warwick w White Plains i potem obiad w restauracji Dick's Cabin. Wszystko szło wspaniale, aż odprowadziłem ją do domu. Nigdy wcześniej nie byłem u Moniki. Gdy tego wieczoru wreszcie mnie zaprosiła, byłem pewien, że wygrałem. W progu rzuciła mi od niechcenia: „Moi rodzice mogą jeszcze nie spać, ale to nie szkodzi. Są w porządku. Powiemy im po prostu cześć i pójdziemy na górę, do mojego pokoju”.

Siedzieli w saloniku. Pan Richardson palił fajkę, w wolnej ręce trzymał gazetę. Pani Richardson robiła na drutach coś jakby żółty sweter. Oboje byli całkiem

nadzy. Tak mnie ogłuszyło, że z miejsca uciekłem z powrotem w bezpieczne objęcia nocy. Potem zawsze, gdy widziałem Monice w szkole, peszyłem się. Do tego stopnia, że nigdy nikomu o tym zdarzeniu nie opowiedziałem. Dopiero lata później dowiedziałem się, że jej rodzice byli miłośnikami nudyzmu.

Patrząc na nią teraz, przypomniałem sobie epizod w jej domu z całą wyrazistością i nie usłyszałem samochodu, który zatrzymał się tuż za mną. Oboje spojrzeli mi przez ramię i twarze im jakoś stężały.

— McCabe!

Samochód był czarny i miał na dachu jedno czerwone światło. Tylko tyle: żadnego dyskotekowego zestawu nerwowo migających stroboskopów, żadnej metalowej kratki pomiędzy przednimi a tylnymi siedzeniami, żeby utrzymać jakoś przewożone ludzkie zwierzę na wodzy. Nie było też stelaża z bronią na desce, bo w tamtych czasach broń pozostawała albo w kaburze przy pasie policjanta, albo w bagażniku samochodu. W tym wypadku w bagażniku chevroleta biscayne, bo policja w Crane's View używała tylko chevroletów. Szef policji był szwagrem jedyne dealera chevroleta w mieście.

— Pee Pee!

Byłem tak szczęśliwy, że go widzę, iż na chwilę zapomniałem, kim, gdzie i w jakim czasie jestem. O wszystkim zapomniałem i po prostu podszedłem do wozu, by przywitać się z Peterem Buccim. Wiele razem przeszliśmy. Gdy byłem młody, Crane's View miało trzy pełne etaty policyjne i dwie połówki. Pee Pee włożył mundur zaraz po szkole, ale przez kilka pierwszych lat lenił się tylko i migał od roboty. Potem jednak poznał jakoś Camille, wspaniałą kobietę, która za niego wyszła i zmieniła go całkowicie, czyniąc go szczęśliwym człowiekiem. Gdy wróciłem z Wietnamu i zostałem gliną, szybko się zaprzyjaźniliśmy. Jego śmierć na zawał trzy lata temu była ciężkim ciosem dla policji i całego miasta. Ale teraz, podobnie jak mój ojciec kilka minut temu, Pee Pee stał przede mną młody, silny i, co najważniejsze, wciąż żywy.

Złapał mnie żelaznym chwytem za twarz i ścisnął policzki tak mocno, że aż otworzyłem usta.

— Zawsze mądry, co, McCabe? Ty gówniarzu! Zawsze mocny w gębie. Ale wiesz, co teraz będzie, dupku? Pójdiesz do pierdła. Pożegnaj się z kumplostwem i wsiadaj do wozu.

— Pee Pee. . .

Ścisnął mnie jeszcze bardziej. Jeszcze chwila, a moje zęby miały ujrzeć gwiazdy.

— Nie nazywaj mnie tak. Tylko przyjaciele mogą mówić mi po imieniu, a ty nie jesteś nawet moim znajomym. Jesteś gównem, co mi się przylepiło do buta, McCabe. Szczylem, którego zbieram z ulicy. Wsiadaj.

Dziwnie to musiało wyglądać: przysadzisty, dwudziestopięcioletni grubas w niedopasowanym mundurze trzyma za twarz wysokiego mężczyznę w wieku

średnim, który gdyby zechciał, jednym uderzeniem mógłby posłać funkcjonariusza Bucciego w przyszły tydzień.

Ale nie posłałem go nigdzie. Jak szanujący prawo dzieciak, którym nigdy nie byłem, wsiadłem po prostu do wozu patrolowego i zapatrzyłem się przed siebie. Peter obszedł samochód, zajął miejsce za kierownicą i powiercił się przez chwilę, żeby dobrze wpasować swoją grubą dupę w fotel.

— Zadzwoń do twojego taty, Frannie! — krzyknął Brian, trochę chyba za głośno. Byłem ledwie pięć stóp od niego. Przytaknąłem.

— A co z Dionne Warwick, Frannie? Co mam zrobić, jeśli zatrzymają cię w więzieniu?

— Powiedz ojcu, żeby się ubrał i pojechał z tobą.

— Co?

Odjechaliśmy, zanim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić.

\* \* \*

— Tym razem masz przejebane, McCabe. Dostaniesz za swoje. Hotel za kratkami już czeka na ciebie. — Pee Pee spojrział na mnie i uśmiechnął się jak pirania.

Nie odpowiedziałem. Jazda na posterunek trwała pięć minut. Moglibyśmy udać się tam pieszo, ale chyba miał ochotę dowieźć mnie zgodnie z zasadami sztuki. Gdy zaparkował przed budynkiem, wyłączył silnik, lecz ani myślał wysiadać. Sięgnąłem do rączki w drzwiach, ale warknął.

— Powiem ci, kiedy masz się ruszyć, McCabe.

Położyłem dłonie na kolanach.

— Co zrobiłem?

— Co niby z r o b i ł e ś? — Wyraźnie cieszyło go te kilka chwil przed ostatecznym doprowadzeniem. Na razie jeszcze należałem do niego. Zamierzał wycisnąć ze mnie, ile tylko się da. Taki był Pee Pee Bucci przed Camille. Pee Pee w najgorszej postaci.

Obróciłem się powoli i spojrzałem na mojego przyjaciela, który w tamtej chwili o niczym nie marzył bardziej niż o pretekście, żeby trzasnąć mnie w zęby.

— Tak. Czemu zostałem zatrzymany?

Ku memu zdumieniu Pee Pee wpadł we wściekłość.

— Czy ja jestem głupi? Powiedz, McCabe, czy wyglądam na idiotę?

Młody ja albo Gi Gi przytaknęlibyśmy skwapliwie i zarobili w szczękę. Ja obecny tylko przygryzłem wargę i pokręciłem głową.

— Nie, sir.

— Sir jest bardzo na miejscu, wypierdku. Powiem ci, co takiego zrobiłeś. Jedno słowo ci powiem: DALEMWOOD. Czy kojarzysz to jakoś w swoim chorym mózdzku? Na przykład z pomalowaniem domu Dalemwooda?

Gdy byłem w niższej klasie liceum, do Crane's View sprowadziła się nowa rodzina nazwiskiem Dalemwood. Mieli dwoje dzieci, jedno i drugie dziwne. George był na drugim roku, a jego siostra chodziła do ostatniej klasy. Dziwne dzieciaki rzucają się w oczy, czy chcą czy nie. Jednak naprawdę moją uwagę zwróciła pogłoska, że rodzina należy do Świadków Jehowy. Więcej nie było mi trzeba. O ich religii wiedziałem tylko tyle, że podobno nie wierzą w medycynę. Pozwalają swoim dzieciom umrzeć w razie choroby, zamiast zająć się leczeniem. Nagle otrzymałem nowy obiekt nienawiści, co musiało zaowocować jakimś działaniem. Wziąłem z naszego garażu puszkę srebrnej farby w spreju, wybrałem się pod świeżo odmalowany na biało dom Dalemwoodów i wielkimi na trzy stopy literami napisałem na ich ścianie: „Świadkowie Jehowy to pojebani mordercy dzieci”. George przyuważył mnie przy tym, powiedział rodzicom i policja mnie zgarnęła. Ojciec przyszedł na posterunek, ale był tak podgrzany, że dogadał się z szefem policji. Przetrzył mnie w celi przez noc, bym trochę się nad sobą zastanowił. Nie skorzystałem z szansy. Gdy wyszedłem następnego dnia, pobiegłem na ową fatalną randkę z Monicą Richardson i dopiero widok jej nagich rodziców mną wstrząsnął.

Ale w obecnej rzeczywistości to wszystko dopiero miało się zdarzyć. I bardzo niedobrze. Jeśli przesiedzę pod kluczem całą dobę, to ubędzie mi kolejny dzień z wyznaczonego tygodnia.

— Idziemy, malarzu domowy. Pora ci do piwnicy.

Tam właśnie mieściły się cele miejskiego posterunku. Była to bardzo ponura część budynku, możecie mi wierzyć. Gdy zostałem później szefem, natychmiast wynająłem architekta i firmę budowlaną, by przerobili piwnicę wedle nieco bardziej humanitarnych wzorów. Trzydzieści lat wcześniej były to jednak mroczne i obszerne podziemia z trzema celami zatrzymań. W każdej była tylko jedna żarówka, ledwie sześćdziesiątka.

Czemu przeżywałem życie siedemnastolatka pod postacią gościa w wieku lat czterdziestu siedmiu? W każdym razie dzień z tego życia. Gdy ostatnim razem wróciłem z przyszłości do własnych czasów, wszystko się zgadzało. Czemu teraz jest źle? W moim domu było normalnie (jeśli nie liczyć Gi Gi), ale jeden krok za progiem czas cofał się o trzydzieści lat. Czemu zostałem przerzucony do dnia, gdy Bucci wpakował mnie do aresztu? Mógłbym myśleć o tym całą dobę, siedząc pod kluczem, ale nie miałem tyle czasu. Zostało mi pięć dni... a może ledwie cztery. Miałem tylko jeden wybór. Paskudny, ale trudno.

Zamknąłem oczy.

— Dziury w deszczu — powiedziałem zdanie, które przenosiło mnie do przyszłości.

A w każdym razie powinno.

Gdy uniosłem powieki w oczekiwaniu na widok Wiednia w trzecim tysiącleciu, nadal siedziałem w wozie policyjnym obok Pee Pee. Różnica była taka, że nie poruszał się. Wszystko znieruchomiało, tak samo jak w Wiedniu, gdy Astopel



powiedział mi na ulicy, że nie mogę rozmawiać z George'em. George'em, który zmienił się, jak później odkryłem, z ludzkiego przyjaciela w wiekowego psa stojącego na hotelowym łóżku.

— Jak wiosłować po drewnianym morzu, panie McCabe?

Mimo nerwowego kręcenia głową nie spojrzałem dotąd na tylne siedzenie. A tam właśnie tkwiła niedawno zmarła uczennica, Antonya Coronado. Dziś wyglądała całkiem dobrze.

— Co tu się dzieje, Antonyo?

— Najpierw musisz odpowiedzieć na moje pytanie. To ważne.

Oparłem łokieć na siedzeniu i spojrzałem na nią we wstecznym lusterku.

— Nie wiem, jak wiosłować po drewnianym morzu. Prawdę mówiąc, nie widziałem dotąd zbyt wielu drewnianych mórz.

— Ja też nie. To brzmi jak zagadka z koanów zen. Lubiłam je za życia. Łaskoczą mózg tak bardzo, że masz ochotę się podrapać. Na przykład takie: „Gdzie podziewa się światło, gdy wyłączam lampę?”

Sięgnąłem do kieszeni koszuli Pee Pee, wyjąłem jego papierosy i zapaliłem jednego samochodową zapalniczką.

— Jak wiosłować po drewnianym morzu? Cóż, jeśli to morze ma drewno, zamiast wody, to w ogóle nie trzeba łodzi. Starczy wysiąść i pójść, gdzie wola i ochota.

Uśmiechnęła się do mnie. Miała przepiękne usta i duże, białe zęby.

— Nie wiem, czy to prawidłowa odpowiedź, ale do mnie trafia.

— Czemu tu jesteś, Antonyo?

— Astopel chciał przybyć, ale mu nie pozwolili, bo zbyt wiele napsuł. To on mnie zabił. Przez niego zaczęły się te rysunki z tobą. Nie wiedziałam, co robię, po prostu pojawiały się w mojej głowie, a ja rysowałam posłusznie jak niewolnik. Astopel przysłał też tego drugiego, młodszego ciebie.

— Gi Gi?

— Tak.

Zaczęła chichotać, co jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu.

— Czemu się śmiejesz?

— Przez te rymowanki płaczące się po twoim życiu. Najpierw Gi Gi, potem Pee Pee... — Zaniósła się śmiechem. Miłym i dźwięcznym. Dziewczęcym. Takim przypominającym, że życie nie zawsze musi być koszmarem.

— Wiesz co? Dodam ci jeszcze, że chce mi się jeszcze si-si. Za dużo kawy rano. Teraz masz już trzy punkty za-czepi-pi-pienia.

To ją jeszcze bardziej rozweseliło. Rozkoszowałem się jej swobodnym śmiechem niczym włoskim słońcem. Nic się nie poruszało. Pałitem pall malla Bucciego i rozglądałem się wkoło. Obok stał rumianoczerwony chevy el camino prowadzony przez grubego Russella Pratta. Czekał daremnie, aż światło zmieni się na zielone. Coś mi się przypomniało...

— Antonyo, skoro już umarłaś, to pewnie wiesz: Co jest potem? Czy jest Bóg? Roześmiała się z nową mocą. Potem otarła oczy i spojrzała na mnie w lusterku. I znowu zachichotała. Co ja takiego powiedziałem?

— Co, u diabła? Spytałem tylko, czy istnieje Bóg?

— Ale takim tonem, jakbyś pytał o g o d z i n ę. Jakby to nie było nic wielkiego.

Potarłem wierzchołek głowy.

— Dziwniejsze niż teraz to moje życie na pewno już nie będzie. Gdy pomyśleć, jak wszystko się pomieszało, to równie dobrze i ty możesz być Bogiem, który przybrał postać zmarłej dziewczyny rysującej obrazki z mojej przyszłości. Nie wiem zresztą. Wszystkie reguły szlag trafił.

Jakby w odpowiedzi na moje narzekanie drzwiczki otworzyły się nagle i ktoś złapał mnie za ramię. Nader mocno.

— Wsiadaj. Dalej, wsiadaj z tej gabloty! — To był Gi Gi. Mówił nie swoim głosem i wyglądał na mocno wystraszonego.

— Co jest grane? Czego chcesz?

— Po prostu wsiadaj i chodźmy.

— Cześć, Gi Gi! — zawołała z tylnego siedzenia Antonya.

Wciąż zdezorientowany rzuciłem na nią okiem.

— Wsiadaj, kurwa! Chodźmy.

Ruszając się z miejsca, po raz ostatni spojrzałem we wsteczne lusterko. Antonya nadal się uśmiechała. Dziwnie trochę, gdyż wyraz jej twarzy nie zmienił się od chwili, gdy śmiała się do mnie. Zupełnie, jakby taka właśnie, rozradowana, miała zostać już na zawsze.

— Cześć, Frannie!

— Biegnij, dupku! Zasuważ, kurwa!

Gi Gi wystartował niczym gepard. Z moimi podstarzałymi nogami i przepalonymi marlboro płucami nie miałem szansy dotrzymać mu kroku. Przebiegł pół drogi do kolejnej przecznicy i zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy za nim podążam. Popędził mnie zamaszystym gestem: Dalej, szybciej! Spróbowałem, ale gdzie tam. Starając się doń dołączyć, pomyślałem, że sprint to już naprawdę nie dla mnie. Poza tym czemu, u diabła, tak biegniemy? Dlaczego gnam za nim, podczas gdy mógłbym dowiedzieć się niejednego od Antonyi? Gdybym z nią został, usłyszałbym może prawdę o śmierci lub Bóg wie czym jeszcze. Ale nie, zaraz wyskoczyłem i pobiegłem na ślepo za sobą samym. Ejże, zaczekaj na mnie!

Gdy po raz trzeci o mało się nie przewróciłem, zebrałem w końcu siły, by krzyknąć na juniora.

— Dokąd biegniemy?

— Do domu! Musimy dostać się tam przed nimi.

— Jakimi n i m i?

— Po prostu biegnij. Biegnij i tyle.

Po drodze mineliśmy knajpkę Scrappy'ego, liceum, kilka domów starych przyjaciół i wrogów. Jeszcze jeden znany mi pies obwąchiwał ziemię w którymś ogrodzie. Przystając dla złapania oddechu, odniosłem wrażenie, że oglądam od tyłu swoje życie. Choć osobliwe, to jednak wspomnienia wciąż przemykały mi przez głowę i nie chciały się zatrzymać, jakby porwane tornadem.

Gi Gi jednak coś powstrzymało. Był akurat dwadzieścia stóp przede mną, gdy nagle wzleciał w powietrze i upadł na bok. Wylądował z takim hukiem, że prawie słyszałem grzechot jego kości na płytach chodnika. Podbiegłem niespokojny. Nie potłukł się? Nic mu nie jest?

— Nie przejmuj się mną, tylko wracaj do domu! — Złapał się za biodro, spojrział ze strachem za mnie, potem wokoło. Naprawdę był przerażony.

— Co jest, Gi Gi? Co się dzieje?

— Astopel wszystko spieprzył. Wtrącił się w twoje życie, chociaż nie powinien. Dopiero co się zorientowałem. Wcześniej myślałem, że jego obecność jest na temat. Że wiedział, co robi, gdy przysyłał mnie do ciebie, gdy pchał nas w przyszłość. Ale nie. Nie powinien był robić żadnej z tych rzeczy. Nie powinien zabijać Antonyi. W ogóle nie powinien się pojawiać i gadać z tobą. Ale zrobił to wszystko i teraz musisz radzić sobie z konsekwencjami jego błędów. Jak coś pójdzie nie tak, to wszystko i tak spadnie na twoją głowę. Ale tak już jest. Zatem proszę, wracaj do domu. Tam będziesz chyba bezpieczny. W każdym razie wszędzie indziej dostaniesz w dupę, to pewne.

— A co z Astopelem?

— Już po nim. Dopadli go. Więcej palanta nie zobaczysz.

— Kto go dopadł?

Spróbował wstać, ale nie mógł. Upadł i zaczął głośno przeklinać. Chciałem mu pomóc, ale odepchnął moją rękę.

— Spadaj! Wynos się, słyszysz? — I nagle się rozplakał.

Wiedziałem, skąd te łzy. Wiedziałem, gdzie szukać ich przyczyny, chociaż kryła się pod adresem utajnionym tak bardzo, że prawie niedostępnym: ulica McCabe'a, numer siedemnasty. Nikt nie wiedział nawet o istnieniu tej enklawy obudowanej murami okrucieństwa i resentmentów. Tam przemieszkiwała krucha i okulała miłość, jak i dojmujący strach przed nieziszczalnością lub śmiercią marzeń.

Wahałem się tylko chwilę. Potem narzuciłem go sobie na barki, jak strażak wynoszący ofiarę wypadku. Był bardzo lekki. Prawie się roześmiałem z jego lekkości. Krzyknął na mnie, bym go postawił, ale wiedziałem, że naprawdę wcale tego nie chce. Poza tym i tak szedłem już w kierunku domu, a on był całkiem bezradny.

Teraz nie było już mowy o biegu, mogłem tylko maszerować. Gdy potem o tym myślałem, chichot mnie ogarniał przez symbolizm tej sceny: brzemie własnej młodości...

- Postaw mnie!
  - Zamknij się i wiosłuj.
  - Co?
  - Jak można wiosłować na drewnianym morzu?
  - Zwariowałeś?
  - Nie. O to właśnie spytała mnie Antonya. Tam, w samochodzie.
  - Naprawdę? Tak powiedziała?
- Zasapałem się nieco i trwało chwilę, nim odpowiedziałem.
- Tak, tuż zanim przyszedłeś. To naprawdę była ona?
  - Nie wiem, ale chyba tak. Albo ktoś z nich. Nie jestem pewien.
- Przystanąłem. Czułem ciepło jego ciała na policzku
- Jakich n i c h? Powiedz mi tylko, kto to niby jest?
  - Obcy.
  - Żeby to...
  - Taż tak myślę, bracie.

# W DOMU NA KRZEŚLE ELEKTRYCZNYM

— Chcesz jeszcze bekonu, Gi Gi?

— Chętnie, proszę pani. Jest wspaniały.

— Nie mów do mnie proszę pani, to kwestia jak z filmu dla grzecznych dzieci. Mów mi Magda. Jesteśmy prawie spokrewnieni. Wiesz, Frannie, nie mogę się nadziwić, jacy jesteście podobni. On naprawdę mógłby być twoim synem. Nie bujasz, że się do niego nie przyznajesz? — Moja żona spojrzała na mnie z pełnym pobłażania wyrzutem, nałożyła jeszcze trzy tłuste kawałki kanadyjskiego bekonu na talerz Gi Gi i podała mu ten talerz. Zaraz wsunął jeden kawałek do ust i połknął go jak pies, prawie nie gryząc. To dawało siedem pasków wędliny zjedzonych na dwa śniadania w ciągu dwóch godzin. Gdzie się to jedzenie w nim podziewało? Niknęło w czarnej dziurze? A może junior miał dwa żołądki, jak krowa? Albo worki policzkowe jak chowająca zapasy na zimę wiewiórka ziemna? Czy naprawdę jadłem aż tyle w jego wieku?

Magda i Pauline nie mogły oczu oderwać od chłopaka, chociaż każda z odmiennych powodów. Magda była zachwycona, że może gościć przy stole kogoś tak tajemniczo podobnego do jej męża, Pauline zaś wyglądała na seksualnie pobudzoną. Albo na trzaśniętą drewnianym młotkiem w ciemię, bez różnicy. Przed domem obcy czekali, by nas pożreć, a tutaj śniadanie odchodziło na całego. Nie pojmowałem, jakim cudem Gi Gi mógł nagle tak całkiem przestać się tym przejmować.

Gdy przyszliśmy, kobiety siedziały w salonie i czekały na nas. Miałem milion pytań do juniora, ale nie chciałem niepokoić tych niewinnych istot dysputami o małych zielonych ludzikach czy samonapędliwym trupie Antonyi. Przygotowały razem śniadanie, co było w tym domu wielką rzadkością i znakiem, że to naprawdę wyjątkowa okazja. Co mi zostało, usiadłem nad pełnym talerzem i pilnie obserwowałem juniora. Gdy raz napotkałem jego spojrzenie, uśmiechnął się i pokiwał radośnie głową. Uznałem, że sugeruje mi w ten sposób, abym zachował spokój i czekał cierpliwie na chwilę sposobną do rozmowy. Niemniej dziwnie wychodziło, bo to on przecież posiał panikę, przesunął strzałkę w moim stracho-

metrze na czerwone pole (co było dla mnie całkiem nowym doświadczeniem), a teraz proszę: z wilczym apetytem pożałował bekon i naleśniki z borówkami.

— Jak to się stało, że nigdy nie wspomniałeś mi o Gi Gi, Frannie?

Magda wyglądała dziś od rana ślicznie, chociaż ogólnie nie była piękną kobietą. Podobnie Pauline. Obie prezentowały się uroczo, a ja miałem powody do dumy, że mieszkam z dwiema takimi istotami. W domu, który wedle szanownego pożeracza boczku mógł już zostać otoczony przez najeźdźców z kosmosu.

Spojrzałem na Magdę i poszukałem jakiegoś prawdopodobnego kłamstwa.

— Bo jego rodzice to para palantów. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Aż do niedawna sam go nie znałem. Właśnie, Gi Gi, pamiętasz, co mówiłeś wcześniej o tych gościach?

Nawet nie podniósł głowy znad talerza.

— No?

— Zjawia się tu czy nie?

— Nie wiem. Mogę prosić jeszcze syropu?

— Będą jeszcze jacyś goście? — zainteresowała się Magda. — Mamy dorobić naleśników?

Gi Gi zatoczył wkoło widelcem.

— Parę osób nie stąd.

— N i e s t a d? — wymamrotałem.

— Twoi przyjaciele? — wyrwało się Pauline, wyraźnie uradowanej perspektywą, że więcej takich Gi Gi zjawi się w domu. Rany, ale fajnie!

— Bardziej znajomi niż przyjaciele, wiesz.

Magda spojrzała na Pauline i obie pojaśniały takim samym uśmiechem: chłopaki przyjdą!

Byłem na tyle sfrustrowany, że nie mogłem już dłużej usiedzieć. Żeby robić cokolwiek, wstałem i podszedłem do zlewu. Spojrzałem w okno i z ulgą ujrzałem w nim tylko zardzewiałe huśtawki, żadnego ET. Latający talerz też mi na tyłach domu nie wylądował. Odkręciłem kran i patrzyłem obojętnie, jak srebrzysta struga wody szuka drogi do odpływu i znika w kanalizacji. Stałem tak trochę, aż w końcu Magda spytała, co robię.

— Liczę molekuly. — Nie oderwałem oczu od zlewu. Czułem, że jeszcze trochę, a nie wytrzymam i eksploduję.

— Frannie. . .

— Wszystko w porządku, Mag. Nie przejmuj się mną. — Popatrz w okno, stryjku Frannie.

— Właśnie patrzyłem.

— To wysił oczy. Przyjrzyj się uważnie podwórku za domem.

Zignorowałem sugestię i dalej wgapiłem się w zlew.

Zakręciłem wodę. I odkręciłem. I znów zakręciłem.

— Oni tam są, Gi Gi? — pisała Pauline. — Twój przyjaciele są na tyłach domu?

— Nie. Chcę tylko, żeby stryjek coś tam obejrzał.

Krzesełko zaszczerpało po podłodze. Chwilę później Pauline stanęła obok mnie. Położyła mi rękę na ramieniu i wsparła na niej policzek. Zwykle nie potrafiła za bardzo okazywać sympatii, na ten gest zdobyła się chyba ze względu na Gi Gi. Nie przeszkadzało mi: i tak miło było mieć ją obok siebie. Przechyliłem głowę, aż nasze włosy się zetknęły.

— Miło pachniesz.

— Naprawdę?

— Aha. Goździkami i palonymi liśćmi.

— Fajny opis, stryju Frannie. Goździki i palone liście. Podoba mi się.

Spojrzałem na Gi Gi. Dziwne, ale patrzył na mnie z prawdziwym podziwem.

— Przysięgam na Boga. . . Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś tak o kimś mówił.

— Jak będziesz starszy, to na pewno sam dojdiesz do podobnych rzeczy.

Uśmiechnął się do mnie dwuznacznie. Mały kawałek żółto-granatowego naleśnika spadł mu przy tym z widelca.

Pauline szturchnęła mnie w bok.

— To nie było ładne. On tylko wyrażał uznanie dla twojego komplementu.

— Masz rację. A teraz oprzyj mi z powrotem brodę na ramieniu. To też miłe.

Gdy to zrobiła, spojrzałem znów w okno, aby sprawdzić, czy czegoś może jednak nie przeoczyłem.

— Huśtawki zniknęły.

— Jakże huśtawki? — spytała rozmarzonym głosem Pauline.

— Patrz dalej, stryju.

Jak wspominałem, mój dom należał kiedyś do rodziny Samuela Bayera, przyjaciela z młodości. W kącie ich podwórka rdzewiały przez całe nasze dzieciństwo małe huśtawki. Ludzie, od których odkupiłem dom, usunęli je. Jednak ponieważ świat na zewnątrz należał tego ranka do lat sześćdziesiątych, widok tylnego podwórka obejmował również brunatne od rdzy, smutne ogólnie huśtawki, które kiedyś musiały dostarczać dzieciakom frajdę, wynosząc je prawie na niską orbitę. Gdy spojrzałem kilka minut wcześniej, huśtawki na pewno były na miejscu. Dobrze je zapamiętałem. Teraz zniknęły.

— Co jest grane, Gi Gi?

— Patrz dalej. Uważnie.

— Cholera!

— W czym rzecz, Frannie? — spytała Magda.

— Mogę dostać jeszcze naleśnik, ciociu Magdo?

— Jasne, kochanie. Wszystko w porządku, Frannie?

— Tak, tak.

Nie tylko huštawki zniknęły z podwórka. Gdy tak patrzyłem, całe otoczenie zaczęło się zmieniać. Nie tak szybko, jak w filmie przewijanym na podglądzie, ale wpatrując się przez kilka sekund w jedno miejsce, można było dostrzec, jak to miejsce i wszystko wkoło przeobraża się rozmaicie. Za huštawkami stał drewniany płot. Parę miesięcy wcześniej poświęciłem niedzielne popołudnie, by pomalować go z Johnnym Petanglesem na kolor ceglasczerwony. W latach sześćdziesiątych, gdy Bayerowie zajmowali dom, płot był biały. Równie biały był jeszcze kilka chwil temu, gdy i huštawki rdzewiały na swoim miejscu. Teraz huštawki wyparowały, a płot był zielony. Potem zmienił się stopniowo w granatowy, znów w biały, mignął kilkoma odcieniami zieleni i okrył się ceglastą czerwienią. Gdy kupiłem dom, płot był biały. Sam malowałem go parokrotnie na zielono, za każdym razem trochę inną farbą, czerwień wybrałem dopiero niedawno.

Wraz ze zmianą kolorów płotu zmieniało się też jego otoczenie. Najpierw zauważyłem wielką pomarańczową doniczkę umocowaną na sztachetach z pomocą czegoś czarnego, chyba wieszaka do płaszczy. Pomarańczowa donica na białym płocie, cóż. Zniknęła i tak samo zniknął biały kolor. Przez chwilę oparty o płot widniał srebrny rower bmx. Tak po prostu. Mignęła brązowa piłka do koszykówki. I jeszcze żółty trójkołowiec „Big Wheels”. Myk, myk, myk -różne rzeczy pokazywały się na kilka sekund i zniknęły.

Nie mogłem oderwać oczu od osobliwego spektaklu. Spytałem Pauline, czy też to widzi.

— Co widzę?

— Te zmiany na zewnątrz. — Wskazałem palcem. — Ten srebrny rower. Widzisz? Zniknął.

Pauline znów mnie szturchnęła.

— Jaki rower? O czym ty mówisz?

Spojrzałem na Gi Gi.

— Ona nie widzi — powiedział, kręcąc głową.

Zmieszany, spojrzałem znów w okno.

— Cholera!

— Czemu wciąż przeklinasz, Frannie?

Okrzyk wziął się stąd, że przez jakieś pięć sekund widziałem mojego starego kumpla, Sama Bayera, w wieku lat około piętnastu, jak stał całkiem nagi przed ogrodzeniem i odlewał się na trawnik. Wzięło mnie na śmiech, ale roześmiać się nie zdążyłem, bo widok znów się zmienił. Na murawie wyrósł jeden z tych tanich, nadmuchiwanym basenów kąpielowych z dwojgiem dzieciaków chlapiących się w środku. Po chwili i one przeminęły.

— To głupie — powiedziała Pauline i odsunęła się.

Moment później zadzwonił telefon. Słyszałem, jak moja pasierbica wyszła z kuchni. Gi Gi stanął mi za plecami.



— Sprowadzają świat z powrotem do dzisiaj, ale muszą to robić powoli, jak nurek wypływający z głębi. Dlatego mówiłem wcześniej, że pora nam wracać. Naprawiają wszystko, co Astopel spieprzył.

— Ale dopóki jesteśmy w domu, nic się nam nie stanie?

Pokręcił głową.

— Jednak gdybyśmy wyszli. . .

— To pewnie by nas zagarnęło. Przypuszczam, że to właśnie zdarzyło się z tatuażem Pauline.

Cała historia mego podwórka za domem przewinęła się w kilka minut. Trzydzieści lat dziejów Crane's View. Co działo się w mieście, gdy patrzyliśmy przez okno? Wszystko bym oddał, żeby stać w tej chwili na środku Main Street.

— Zatem aktualizują nasz świat? Dopasowują do dnia dzisiejszego?

— Właśnie.

— Oni, znaczy obcy?

— Właśnie.

— No to czemu ty jeszcze tu jesteś?

— Bo pewnie mnie potrzebujesz, stryжку Frannie.

— Jak guza mózgu. . .

W polu widzenia pojawił się ogromny baset. Zaległ na trawie i zaczął się drapać. I zniknął. Proszę, proszę, to był Sędzia. Należał do rodziny VanGelderów, która zajmowała dom przede mną. Całe miasto go znało, bo wpadł kiedyś najpierw pod samochód, potem pod ciężarówkę i przeżył. Śmierdział jak woda bagienna, ale to pewnie była cena, jaką psy płacą za swe dziewięć żywotów. Sędzia zmarł spokojnie jako psi staruszek i na własnym posłaniu na miesiąc przed tym, jak VanGelderowie się wyprowadzili.

Ogrodzenie znów poczerwieniało moim rocznikiem Briggsa i obok pojawiła się kosiarka do trawy marki Stratton. Magda przyniosła do kuchni telefon bezprzewodowy.

— Dzwoni George. Mówi, że to ważne.

Wziąłem słuchawkę. Gi Gi wrócił do stołu i znowu zajął się jedzeniem.

— Co jest, George?

— Pies wrócił, Frannie. Siedzi teraz obok mnie.

— Twój pies, Chuck?

— Chuck też. I Old Vertue. Siedzi obok mnie w salonie. Żywy, Frannie. Old Vertue znowu żyje. I jest tu jeszcze ktoś, kogo powinieneś spotkać. On przypro-wadził oba psy. Nazywa się. . . Floon?

— Caz de Floon — rozległo się w tle.

— Już idę. — Przerwałem połączenie naciśnięciem kciuka i opuściłem bezwładnie rękę.

— To przyjaciele Gi Gi? — spytała moja piękna żona.

— Tak. Są u George'a. Pójdziemy po nich.

\* \* \*

Staliśmy z chłopakiem po bezpiecznej stronie drzwi. Ja z dłonią na klamce, on z cyrulkową bułeczką, którą Magda odgrzała mu, żeby sobie zjadł po drodze.

— Myślisz, że bezpiecznie będzie wyjść?

Junior nadgryzł bułeczkę i odezwał się z pełnymi ustami:

— Oczekaliśmy dosyć po tym, jak twoje ogrodzenie znów poczerwieniało. Nic więcej już się nie zmieniło. Powiedziałbym, że mamy już dzisiaj. Zresztą, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić...

Przymrużywszy mocno oczy, otworzyłem drzwi. Nieświadomie oczekiwałem chyba, że za progiem zastanę albo koniec świata, albo przybyszów z kosmosu. Przymknięcie powiek miało chyba wyegzorcyzmować tę potworną alternatywę.

Wszystko wyglądało normalnie. Z wolna wypuściłem powietrze z płuc. Jak dokładnie wyglądało Crane's View wczoraj? Jak wyglądała wczoraj moja ulica? Po drugiej stronie parkował biały saturn, a nie jaguar taty. Dobra. Na werandzie u sąsiadów wisiał hamak. OK. Mój motocykl przyczał się na podjeździe jak ropucha. Zgadza się. Wszystko w normie.

Powoli i niepewnie zszedłem po schodkach z werandy. Gdy byłem na ostatnim stopniu, zaledwie krok od ziemi straszliwej, coś złapało mnie za ramię i szarpnęło do tyłu.

— Uważaj!

Z przerażenia zapomniałem nawet dostać ataku serca. Gi Gi śmiał się jak głupi. Straciłem jego dłoń z ramienia i chciałem mu przyłożyć, ale rozdarł się głośno:

— Nie! Moje kolano! Mam chore kolano!

— Po diabła się wygłupiasz? Myślisz, że to zabawne?

— Spokojnie. To był żart. Odpręż się, facet.

— Odprężyć się? Z tym gównem wkoło? Głupi jesteś?

— Nie, stryjku Frannie. Jestem tobą.

— No to zachowuj się jak ja. Znaczący... Słuchaj, chodźmy po prostu i koniec z wygłupami, dobra?

Pauline zawołała nas z okna swojej sypialni.

— Na razie, Gi Gi. Do zobaczenia wkrótce! — Wychylała się oparta o parapet i wyglądała, jakby była bez koszuli.

— Na razie, Pauline. Niebawem wracam.

— Weźmy ducatego. Będzie szybciej.

Pokręcił głową.

— To nie jest dobry pomysł, szefie. Lepiej chodźmy piechotą.

— Czemu?

— Rozejrzyj się. Popatrz na drzewa i ulicę. Nie widzisz, że oni ciągle pracują, żeby wszystko powstawić na miejsce? Nie jesteśmy jeszcze całkiem u siebie.

Po wielkiej ulewie świat zawsze jest przez chwilę trochę inny. Powietrze wypełnia bogaty bukiet zapachów, trawa łśni, ciemniejsze niż zwykle liście ociekają wodą. Gałęzie prostują się z wolna, wszystko paruje, zwierzęta wychodzą ze swoich kryjówek i otrząsają się energicznie. . . Niby drobiazgi, ale znaczące. Gdy zgodnie z poleceniem Gi Gi zwróciłem uwagę właśnie na takie detale, ujrzałem, że miał rację. Pomysł udania się do domu George'a motorem nie należał do najszcześniejszych. Świat wkoło wciąż się zmieniał. Subtelnie jak po burzy. Obcy przywrócili nas już właściwej chwili, ale roboty wyraźnie jeszcze nie skończyli.

Najpierw zauważyłem długie, czarne pęknięcie biegnące przez ścianę sąsiedniego domu. Znikało jak wciągana powoli do ust nitka spaghetti. Następnie przed domem innego sąsiada pojawiły się dwa pobielone kamienie wyznaczające początek chodniczka biegnącego do drzwi. Chwilę temu jeszcze ich nie było. Pamiętałem i te kamienie, i całą resztę, ale normalnie nie zwracałem uwagi na podobne detale codzienności. Znaczyć coś zaczęły dopiero teraz, gdy z wolna wracały do znanego mi świata, dopełniając jego obraz. Jak brzmiał ten słynny cytat? „Bóg tkwi w szczegółach”. Amen.

Gdybyśmy pojechali motocyklem, moglibyśmy łatwo wpaść do jakiejś dziury, która straszyla na ulicy trzydzieści lat temu, a którą jakiś niefrasobliwy obcy zapomniał załatać.

Chociaż zależało nam, żeby jak najszybciej dotrzeć do George'a, to jednak idąc, pilnie rozglądaliśmy się wkoło.

— Popatrz na druty telefoniczne.

— A to drzewo. . . ta biała brzoza. Jeszcze minutę temu była o połowę niższa.

— Te zasłony właśnie się przeobraziły.

Zmiany nie ustawały. Dotyczyły niemal wyłącznie powszednich drobiazgów, ale zachodziły dosłownie wszędzie.

— Dobrze o nich świadczy. Widać, że naprawdę przykładają się do roboty.

— Widziałeś ich, Gi Gi? Wiesz, jak wyglądają?

Zawahał się, jakby rozważał, ile może powiedzieć.

— Tak, widziałem. Dlatego właśnie wyciągnąłem cię z samochodu i chciałem wrócić do domu. . . oni mi kazali. Powiedzieli mi też, żebym trzymał język za zębami, gdybyś chciał brać mnie na spytki. Teraz, gdy widziałem, ile potrafią, ani myślę ich nie posłuchać.

W połowie drogi do domu George'a młodociany ja doznał kolejnego objawienia.

— Powiem ci coś. Chociaż chyba ci się nie spodoba.

Zastanawiałem się właśnie, co by się stało, gdyby tak rozkwasić obcemu pałką twarz. Twarz albo co tam obcy mieli. . . Nad chodnikiem przemknął ptak. I zniknął. W jednej chwili ćwir ćwir, nagle cisza.

— Jezu, widziałeś tego ptaka?

— Tak, słuchaj. Chyba zacznam się napalać na Pauline.

Cisza. Tylko odgłos kroków.  
— Słyszałeś, co powiedziałem?  
Cisza.  
— Dalej, powiedz coś.  
Wycelowałem w niego palec.  
— Im więcej się wie, tym częściej się milczy.  
Gwizdnął.  
— Zgrabne. Sam to wymyśliłeś?  
— Nie, Gi Gi, przeczytałem. W jakiejś chwili życia zaczynasz pojmować, że warto czytać książki, a maska twarziela to głupota. Wierz lub nie, ale w końcu się przestawiasz. To pozwala oszczędzić masę czasu.  
— Powiedz coś jeszcze. Zacytuj jeszcze jakiś kawałek z tego, co przeczytałeś. — Mówił całkiem poważnie, a na jego twarzy malowała się ciekawość i prośba. Takie „poczytaj mi, mamó”.  
— Może to, pasuje do chwili: „Wyruszam na poszukiwanie wielkiego być może”. To ostatnie słowa wielkiego pisarza, wypowiedziane tuż przed śmiercią.  
Z rękami w kieszeni, lekko kulejąc, zrównał swój krok z moim.  
— Co znaczy, że nikt nie wie, czym jest śmierć, ale zamierzam sprawdzić?  
— Albo: umieram i nic innego mi nie zostało, jak tylko sprawdzić to jedno.  
— Tak, chyba właśnie to.  
— Teraz skręć w prawo.  
— Nie mogę uwierzyć, że zaprzyjaźniłeś się z Dalemwoodem. Przecież to świr.  
— A ty byłeś kiedyś sadystycznym popierdoleńcem. Czemu o nic mnie nie pytasz, Gi Gi? Jestem twoją przyszłością, a ty nawet jednego pytania nie zadałeś, jakie będzie to twoje życie. Czemu? Nie ciekawi cię? Czy ciebie w ogóle cokolwiek interesuje?  
Teraz on zamilkł na dłuższą chwilę. Dwakroć na mnie spojrzął, ale nic nie powiedział.  
— Przekazali mi coś. Mówili, żebym ci nie powtarzał, bo mogę wpłynąć w ten sposób na twoje zachowanie, ale i tak ci powiem.  
— To słucham. Co to było?  
— Powiedzieli, że po wszystkim, jak dobrze wyjdzie i zadziała, zostaną odesłani do moich czasów i nie będą pamiętały, co się działo. Przeżyję moje życie, pewnie tak samo jak ty, i skończę ostatecznie... tak jak ty. — Skrzywił się nieprzyjemnie.  
— I wcale ci się to nie podoba?  
— Żeby zostać w Crane’s View? Ożenić się z Magdą Ostrovą? Liczyłem na więcej.  
— Na przykład na białe dywany w kawalerskim mieszkanku w LA? To j e s t więcej. Najpierw pojedziesz do Wietnamu...

— Dzięki serdeczne. . .

— Zamknij się i słuchaj swojej biografii. Szczególnie, jeśli masz ją później zapomnieć. Po Wietnamie zwiedzisz cały świat. Potem trafisz na niesamowity uniwersytet w Minnesocie.

— Minnesota! Zwariowałaś? Zimą tam jest z tysiąc stopni poniżej zera.

— Cicho. Tam spotkasz swoją pierwszą żonę. Piękną kobietę, która zrobi duże pieniądze w Hollywood jako producent. Sporo z tego pójdzie na twoje konto, bo wymyślisz nowy show telewizyjny. Straszne badziewie o wielkiej oglądalności. Zasmakujesz w życiu w Los Angeles, ale w końcu się popieprzy i będziesz miał dość, a wtedy wrócisz tutaj i po raz pierwszy w życiu będziesz szczęśliwy. W sumie nie najgorzej, tak więc porzuć troski. Masz na co czekać, uwierz mi.

— Czy to nie twój pies?

Widok żywego Old Vertue biegnącego ku nam ulicą nie wstrząsnął mną przesadnie. Dziwniej już bywało. Zdumiał mnie dopiero fakt, że pies jest o wiele większy niż ostatnim razem, gdy go widziałem. Większy niż w jakiegokolwiek wcześniejszej postaci. Na dodatek poruszał się bardzo szybko. O wiele za szybko, jak na istotę o trzech sprawnych łapach.

— Ta szpetota nie wygląda przyjaźnie i wcale nie cieszy się na twój widok, stryjkę. Chyba dobrze będzie trochę przyspieszyć kroku, kurde.

Vertue biegł wprost na nas; z opuszczonym łbem i niepokojąco ruchliwym ogonem. I jeszcze szybciej niż chwilę temu. Nie sprawdzając nawet, czy coś nie jedzie, Gi Gi wszedł na jezdnię i kulawym truchtem przebiegł na drugą stronę. Zawahałem się, ciągnęło mnie bowiem do tego psa. Ostatnim razem Old Vertue był George'em, tak przynajmniej twierdził Astopel. Czym był teraz? Czemu tak urósł? Zaczął warczeć. Brzydko i głośno.

— Zwiewaj, bo cię pogryzie.

Gi Gi zapobiegliwie wdrapał się na dach lśniącego, czarnego audi TT. Chciało mi się śmiać, bo pomyślałem, jaki szlag trafi niebawem właściciela tego samochodziku. Jednak nie roześmiałem się, bo spojrzałem znów na psa, który był już o połowę bliżej i wciąż przyspieszał.

Kiedy wejdiesz między wrony. . . Najbliżej miałem stary mikrobus Volkswagena. Bardzo wysoki, powinien być bez dwóch zdań odporny na zakusy wszystkich psów świata. Bylebym tylko zdołał wywindować dupę na samą górę, co nie było wcale łatwe. Nie miałem na czym wesprzeć stóp, nie było za co się złapać ani. . .

Pskisko leciało na mnie, kłapiąc szczękami. Cholera, czy nie uratowałem go kiedyś? Czy nie pochowałem go, i to dwa razy, chociaż stawał opór? Niewdzięczne bydło. Wstał z martwych (ponownie) i próbował mnie dopaść. A jak przy tym skakał! Wdrapywałem się na dach mikrobusu, a ten trzynogi potwór próbował sięgnąć mi do tyłka z wprawą zawodowego koszykarza.

Gi Gi stał na dachu jednego wozu, ja tkwiłem osaczony na drugim. Pies patrzył na mnie z dołu, jakbym był porcją pizzy z anchois, którą zamówił sobie w Domino's.

Pełnym frustracji gestem uniosłem obie ręce.

— No i co teraz?

Vertue warknął i kłapnął paszczą.

— Wezwijmy policję — rzucił mądrała z sąsiedniego dachu i zaniósł się śmiechem.

Old Vertue poczuł się zachęcony i znów zaczął skakać. Ponura sprawa, ale skakał coraz wyżej.

— Chce cię pogryźć, szefie. Ostrzy sobie na ciebie zęby. Lepiej wymyśl coś, i to szybko.

— Co na przykład?

— Może go zabijesz? Masz broń?

— Nie da się zabić tego psa. Odkąd go spotkałem, zszedł już dwa razy.

Gi Gi nie przestał się uśmiechać.

— Teraz może się uda. Do trzech razy sztuka.

— Może byś mi raczej pomógł, Gi Gi? Nie bądź taki kutafon. Pamiętaj, że pomagając mi, pomagasz też sobie.

— Jak on się wabi?

— Old Vertue.

— Też imię dla psa! Vertue! Chodź tu, piesku.

Nie ruszył się. Warczał tylko coś po swojemu, kłapał szczękami i pokazywał dziąsła. Lśniące niczym różowa guma.

— Musimy się stąd wydostać. Trzeba sprawdzić, co z George'em.

— Niestety, nie mamy szczudeł ani balonu. — Przesłonił oczy dłońmi, jakby szukał czegoś w oddali. — Drabiny też brak na horyzoncie. Żeby chociaż lina rozciągnięta w powietrzu...

— Dzięki za pocieszenie.

— Nie ma za co. Wiesz, co to za pies? To PIERD.

— Co to znaczy?

— A to, że większość psów to tylko psy. Nie ma w nich nic szczególnego. Ale ten jeden to popierdolony idiotycznie ekstrarąbnięty drań.

PIERD wytrwale kłapał szczękami. Spojrzałem na jego pysk i dopiero teraz zauważyłem, że zęby ma brunatne jak stary palacz. Dziąsła różowiutkie, a zęby lśniące i brunatne.

— Hej, stryжку!

— Co?

— Mam pomysł.

Wyprostowałem się i spojrzałem na niego.

— Tak?

— Polecimy.

— Wspaniale. Na czym?

— Po prostu polecimy, facet. Cały świat zwariował, prawda? No to czemu nie moglibyśmy zacząć latać? Ot tak, skoczyć z tych dachów i polecieć? Kto nam zabroni?

— Grawitacja.

— Słuchaj, Einsteinie, odkąd tu przybyłem, czuję się, jakbym siedział na krześle elektrycznym ładującym mi jak dzień długi pięć tysięcy woltów. Prosto w czachę. Pali wszystko, a zwłaszcza mózg. Co rusz napotykamy kolejne cuda, więc może zacznijmy z tego korzystać. Świat wkoło nas oszalał. Pomyśl tylko: ty i ja jesteśmy tu razem. Czy to normalne? Podróżowaliśmy w czasie, zdechły pies wstał z grobu, ptaki znikają w pół machnięcia skrzydłami... No to dlaczego nie mielibyśmy latać? Chcemy, więc spróbujmy. Jak nie podziała, to nie. No to jak?

To ja mówiłem, ale ja, którego od lat już nie znałem. No bo powiedzcie mi, kto uważa „dlaczego nie?” za dobry argument? Co innego „nie da się”, „nie zadziała”, „niemożliwe” lub zwykłe „nie i już”. Podstarzały i sceptyczny do obrzydzenia ja najchętniej wstałby w tej chwili i wyszedł z kina, jednak ten drugi rozdarł się, by usiąść i obejrzeć film do końca. Czemu nie polecieć? D l a c z e g o n i e?

— No to ruszajmy.

Gi Gi uśmiechnął się szeroko i klasnął dwa razy.

— Wspaniale. — Nie wahając się ani chwili, rozpostarł ramiona, jakby zamierzał nurkować w wodzie. Potem skoczył z dachu audi. Chwilę potem wylądował z impetem na ziemi i zaklął rozgłośnie. Old Vertue spojrział na niego, potem znów na mnie. Dokładnie w chwili, gdy odepchnąłem się od dachu mikrobusu... i poleciałem.

Czy potrafiłbym opisać wam, jakie to uczucie, gdy się lata? Bez wątplenia. Czy to zrobię? Nigdy, nawet za milion lat. Powiem tylko jedno: czy pamiętacie ten najcudowniejszy pocałunek? Pamiętacie, jak nagle zniknął dla was cały świat i jego kłopoty? Jak przez chwilę całe życie sprowadziło się do dotyku ust? Tak jakoś było mi w pierwszych sekundach, gdy pojąłem, co się dzieje i że to jest naprawdę.

Poleciałem jak selenonauta. Odbicie od dachu wyniosło mnie na dziesięć stóp w górę. Z wolna zacząłem opadać. TUŻ nad ziemią dotknąłem jedną stopą chodnika i znów wzleciałem na poprzednią wysokość. Powoli żeglowałem naprzód.

— Ty draniu, draniu sakramencki, udało ci się! Działa! Mówiłem ci. Wiedziałem, że się uda. Złaż mi z drogi, psie!

Gi Gi biegł pode mną i machał z entuzjazmem rękami. Mój cień przesunął się po nim niczym cień lecącego nisko samolotu. Nagle chłopak krzyknął i potknął się: to Old Vertue rzucił się na jego nogę. Podchodząc do kolejnego lądowania, pięćdziesiąt stóp od punktu startu, ujrzałem, jak Gi Gi kopie psa z całych sił w głowę. Pomarańczowy kowbojski but spotkał się z psią czaszką. Skutek? Właściwy.

Vertue zatrzymał się i kilka razy potrząsnął łbem. Dało mi to dość czasu, by znów się odepchnąć, a Gi Gi mógł się odsądzić od napastnika.

— Dobrze ci idzie, stryjku. Naprawdę latasz!

Obróciłem się w powietrzu, by sprawdzić, co z Vertue. Teraz trzymał dystans, ale nie zamierzał poniechać pościgu. Gdy znów się obracałem, poczułem, że zaczynam tracić wysokość. Ale miałem już wprawę i ledwie musnąłem ziemię. Tyle wystarczyło, by wrócić na pułap.

— Ale fajnie! Ty l a t a s z!

— Tylko dzięki tobie, Gi Gi. Gdybyś nie kazał mi spróbować, nigdy bym na to nie wpadł.

— Wiem, wiem. Ale czy to ważne, jak? Jest fajnie.

Rzeczywiście było, ale zacząłem się zastanawiać, jak zdołam wylądować przed domem George'a i wejść do środka. W środku czekał George, czekał Floon, a Vertue spróbuje mnie na pewno dopaść przed drzwiami.

Gi Gi jakby czytał w moich myślach.

— A co zrobimy, gdy dotrzemy do domu Dalemwooda?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ujrzałem kogoś biegnącego ku nam, chyba w ramach porannej przebieżki. Uśmiechnąłem się. Ciekawe, jak zareaguje na widok jednego gościa szybującego niczym latawiec, jednego chłopaka w staromodnym ubraniu i fryzurze stylizowanej nieudolnie na Elvisa oraz psa, który ma trzy nogi, jedno oko i pianę na pysku? Mogło być zabawnie.

Biegacz nosił jedno z tych dziwacznych wdzianek, których prawdziwy miłośnik joggingu nigdy nie włoży. Kolorowe jak pijana tęcza i beznadziejnie szpetne przez te nakładające się barwy. Kto kupuje takie rzeczy? Wprawdzie widziałem nie tak dawno podobny przykład bezguścia, ale dopiero ponieważ skojarzyłem, gdzie. Wtedy nie miałem czasu na rozmyślanie o szczegółach.

Przede wszystkim poruszyło mnie, że ten ktoś nas widzi. Czekałem zatem na jego reakcję na tak absurdalny obrazek i praktycznie to było wszystko. Co pomyśli? Co zrobi?

Najpierw zastrzelił chłopaka. Po prostu zabił Gi Gi.

Dziesięć stóp od nas sięgnął do różowo-żółtej kieszeni i wyciągnął pistolet. Zobaczyłem to, ale nie od razu zrozumiałem. Zresztą, unosząc się kilka stóp na ziemią, byłem całkiem bezsilny.

— Broń! Uważaj, on ma broń! — krzyknąłem, ale Caz de Floon obojętnie wycelował w Gi Gi i strzelił do niego trzy razy. W szyję, w pierś i w brzuch. Chłopak umarł, zanim jeszcze dotknął chodnika. Potem Floon odwrócił się do Old Vertue i strzelił mu w łeb.

Trach. Trach. Trach.



## SZCZURZY ZIEMNIAK

Jestem pewien, że spadłem z nieba w chwili, gdy serce Gi Gi przestało bić. Wraz z jego śmiercią umarło przecież owo „dlaczego nie?” i cała młodzieńcza wiara w cuda, którą na krótko ponownie mi zaszczeplił. Samego upadku nie pamiętam, nie pamiętam nawet uderzenia, gdyż byłem zbyt przerażony tym, co się stało.

Caz de Floon stał z rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż boków i wyglądał dokładnie tak samo jak w Wiedniu. Patrzył obojętnie na dwa ciała. Pozbierałem się z ziemi, ale zostałem w miejscu. Nie wiedziałem, co stanie się dalej. Być może ja też miałem umrzeć.

— Dlaczego? Czemu to zrobiłeś, Floon?

— Nie podobała mi się ta przyszłość, w której wypadło mi żyć, Frannie. Chciałem innej. Musiałem zmienić to i owo. Ty miałeś za dużo przewagi z tymi dwoma. Wiem, kim on był. — Pokazał na psa. — Teraz będzie inaczej.

— Jak tu się dostałeś?

— Nie wiem. Może dzięki boskiej interwencji. Taka *Manus e nubibus*, ręka z chmur. Pewnie ktoś potężny chciał, żebym się tu znalazł. Tak samo, jak sprowadził chłopaka na pomoc tobie.

Pamiętałem, że wedle Gi Gi Astopel zrobił poważny błąd, wtrącając się w moje życie. Obecne wydarzenia były skutkiem tamtych manipulacji. Floon z bronią w garści stanowił tego niezaprzeczalny dowód.

— Ale ty ich zabiłeś. Po co? Wiesz chociaż, kim byli?

— Tak, George mi wyjaśnił. A czemu, to już powiedziałem, McCabe. I lepiej też uważaj. Od teraz będę tak blisko ciebie, jak to tylko możliwe. Czujny jak włoski na karku.

— Albo wrzód na dupie. Odłóż broń, a będziemy mogli naprawdę się zbliżyć, Caz. Najpierw pocałuję cię czule, a potem wypatroszę. — Ponura myśl przemknęła mi przez głowę. — Gdzie jest George?

Floon zmarszczył brwi.

— W domu — odparł zdumiony. — A gdzie niby miałby być?

— Nie zrobiłeś mu krzywdy?

— Nie, potrzebuję go. Potrzebuję George’a i ciebie, chociaż nie wiem jeszcze, dlaczego. Gdy się dowiem, to zobaczymy. Ale teraz nie idź za mną, bo natychmiast cię zastrzelę. Wierzysz mi?

— Tak, Floon, w to wierzę bez zastrzeżeń.

— I nie smuć się, kiedy zniknę, bo zawsze będę w pobliżu. Będę z tobą w kontakcie po wsze czasy — dodał radośnie, pełen dobrej woli.

— Co zamierzasz zrobić?

— Na razie zmienić parę rzeczy. Tak, żeby życie było miłsze niż wcześniej.

— Miłsze dla ciebie. I dla nikogo innego.

— Oczywiście, że dla mnie, Frannie. Ja przynajmniej otwarcie się do tego przyznaję.

Pełen obrzydzenia odwróciłem się od niego, by spojrzeć raz jeszcze na Gi Gi. Nie byłem do końca przekonany, że to zdarzyło się naprawdę. Jednak jego ciało zniknęło, podobnie jak ciało psa.

Floon musiał dojrzeć, jak zmienił się wyraz mojej twarzy, bo wycelował we mnie broń i uśmiechnął się.

— A, to znaczące. Wybawili cię z kłopotów, nie będziesz musiał tłumaczyć się kolegom z policji z obecności dwóch dziwnych trupów.

— Kto to wszystko robi, Floon? Wiesz? Spotkałeś Astopela?

— Nie. Ale przypuszczam, że to sprawka Boga. A jeśli tak, to zaczynam Go lubić. Może uznał, że znowu trzeba się wtrącić. Czy to nie ciekawe? Do zobaczenia. — Machnął mi uzbrojoną dłońią i oddalił się.

Gdy już sobie poszedł, ja stałem dalej w tym samym miejscu; nie miałem pojęcia, co powinienem teraz zrobić. Oczywistym działaniem byłoby pójść do George’a i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Ja jednak patrzyłem wciąż na chodnik, gdzie jeszcze niedawno leżały zwłoki psa i chłopaka.

Zawsze myślałem o nim jako o chłopaku gangrenie lub Gi Gi. Teraz, gdy odszedł (jeśli to właściwe słowo), przypomniałem sobie z całą mocą, że był mną. I zginął. Tamten ja zginął, a przecież na pewno miał mi jeszcze wiele do powiedzenia. Już nigdy tego zrobi.

Wróciłem do swoich czasów z masą nie uporządkowanych informacji, tylko brakło mi spokojnej chwili, żeby je przetrwać. Przypuszczałem, że zostało mi już tylko parę dni, żeby uporać się z tym enigmatycznym zadaniem, jakie mi wyznaczono. Nie mogłem wrócić do przyszłości po dalsze szczegóły, bo magiczny zwrot „Dziury w deszczu” nie zadziałał, gdy próbowałem do wykorzystać. Nie mogłem spytać o nic Astopela ani Gi Gi. A jako grzybek w tym zasranym barszczu pojawił się jeszcze Floon, który już narozrabiał i bez wątpienia będzie rozrabiał dalej. Mogłem tylko mieć nadzieję, że zechce trzymać się z dala ode mnie dość długo, bym mógł zyskać niejaką orientację.

— Cześć, Frannie, czemu ten facet celował do ciebie z pistoletu?

Johnny Petangles jest wysoki i tłusty. Żyje dzięki placówkom Burger Kinga i cukierkom. Niektórzy w miasteczku mają go za uczonego idiotę. Ja ich nie rozumiem. W Johnnym osobliwa jest jedynie niezwykła zdolność do zapamiętywania wszystkiego, a w szczególności tysięcy reklam telewizyjnych. Nie jest to talent, który dawałby pracę w Białym Domu czy Microsocfie. Odkąd kilka lat temu umarła mu matka, mam na niego oko. Nie, żebym się przy tym przepracowywał, bo to samo robi większość mieszkańców Crane's View. Żywimy go, gdy na to pozwala, zlecamy mu różne dorywcze prace, by miał na hamburgery i filmy z Arnoldem Schwarzeneggerem z wypożyczalni. Naukowcem od raket nigdy nie zostanie, ale jest naszym Johnnym i to starczy. Zawsze starałem się być z nim jak najbardziej szczerzy.

— Skąd idziesz?

— Pani Darnell dała mi francuskie grzanki na śniadanie. To dobre, prawda?

— Owszem, dobre. To był zły człowiek, Johnny. Nazywa się Floon. Gdybyś zobaczył go jeszcze kiedyś, trzymaj się od niego z daleka.

— Nie powinienes go aresztować? Trzymał cię na muszce. — Johnny uwielbiał filmowe zwroty w rodzaju „trzymać na muszce”. Czasem, gdy jakiś wpadał mu w ucho podczas oglądania telewizji, zapisywał go pracowicie wielkimi literami na tabliczce, którą trzymał obok odbiornika.

— Może później. Nie teraz.

— Okay. Ale może chcesz, żebym siadł mu na ogon? Będę go śledził potajemnie i powiem ci, gdzie poszedł.

Najpierw chciałem mu zabronić, ale ugryzłem się w język. Co by to zaszkodziło? Nawet jeśli Floon go zauważy, to po dwóch minutach rozmowy pojmie, że ma przed sobą gościa bez kompletu klepek w głowie. Kto dostrzegłby jakąkolwiek groźbę w osobie grubasa recytującego reklamówki Isuzu? Floon zaś nie wiedział, że jeżeli John nastawił się na coś, potrafił być równie wytrwały jak mangusta w walce z kobrą. Dlaczego nie pozwolić mu pójść za Floonem?

— Ale musisz bardzo uważać, Johnny. Jeśli cię zobaczy, może być bardzo dokuczliwy.

Johnny nigdy się nie uśmiecha, ale tym razem odstąpił od zasady.

— Wiem, jak się kryć. Nauczyłem się chować przed mamą i nigdy nie mogła mnie znaleźć. Przed nim też się będę chował. Obserwuj mnie. Założę się z tobą o dziesięć miliardów dolarów, że gość mnie nie zauważy.

— No to idź, John, ale bądź ostrożny. Nie rób niczego głupiego.

— Jestem trochę głupi, Frannie, ale nie wtedy, gdy mam się chować. — I odszedł wciąż uśmiechnięty.

Tyle się stało przez ostatnie kilka godzin, że chyba tylko cudem doszedłem do George'a normalnie, na dwóch nogach, a nie pełznąc na czworakach. W duchu czułem się, jakby mnie przekotłowała niecnie banda naćpanych demonów, a potem porzuciła. Im bliżej byłem jego ulicy, tym bardziej przyspieszałem bez-

wiednie kroku. Chciałem zobaczyć mojego przyjaciela George'a Dalemwooda, kogoś realnego i dobrze zakotwiczonego w rzeczywistości, kto stanowił istotną część mojego jeszcze do niedawna praktycznie beztroskiego życia.

Wspiąłem się po schodkach werandy i przycisnąłem guzik dzwonka. Nikt się nie pojawił, co mnie akurat nie zdziwiło. Nawet będąc w domu, George często ignorował dzwonki do drzwi czy telefony. „To oni chcą czegoś ode mnie” — mawiał z upodobaniem — „a ja mogę nie życzyć sobie towarzystwa. Wszystko jedno, czyjego”. I dalej robił wtedy to, co akurat go pochłaniało, głuchy na wszelkie dzwony i dzwonki rozlegające się w tle.

Zanim znów spróbowałem, zszedłem kilka stopni, żeby zerknąć na dach. Tam właśnie siedział, gdy mój świat był jeszcze względnie prosty. Względnie, bo dziwiłem się jedynie wracającym z grobów psom i nie przeczuwałem, że spotkam samego siebie z przeszłości i przyszłości. A szczególnie tego dzieciaka, który zginął właśnie zastrzelony przez holenderskiego przemysłowca z dwudziestego pierwszego wieku.

Dzisiaj mój przyjaciel nie siedział na dachu, ale zerkając w górę, usłyszałem coś, co ukoiliło moje serce. George jest wyjątkowo dobrym gitarzystą. To taki oryginał, że podobny talent nie powinien zdumiewać, ale jednak. Znając jego dziwne i konserwatywne gusta, można by oczekiwać, że będzie grał jedynie muzykę klasyczną, wszelako nie. Sięga i do Mozarta, i do Beatlesów, nie gardzi też naśladowaniem Michaela Hedgesa czy Manitas de Platy. Co najmniej dwie godziny dziennie ćwiczy na najpiękniejszej gitarze, jaką w życiu widziałem. Ukochałbym ten instrument już za samą nazwę; to jakiś bardzo rzadki model zwany „Drzwi kościoła”. Gdy spytałem George'a, ile kosztowała, przełknął ciężko i mruknął jedynie, że suma była pięciocyfrowa. Ale warto było. Obchodzi się z drewnianym pudłem, jakby chodziło o akt miłosny. Zresztą, może to naprawdę głównie kwestia uczucia.

Stojąc z jedną nogą na stopniu, usłyszałem, jak gra *Bethenę*, mrocznego i pięknego walca Scotta Joplina. To był jeden z ulubionych utworów George'a. Odechnąłem cicho z ulgą. Skoro grał tego walca, to wszystko było z nim w porządku. Zawsze dobierał repertuar stosownie do nastroju. Wiedziałem, że *Bethena* pomagała mu w rozwiązywaniu co trudniejszych kwestii, które napotykał podczas pracy. Normalnie te dźwięki znaczyły: Trzymaj się z daleka, jeśli już zbłądziłeś pod mój dom. Zamyślony głęboko George nie nadawał się do życia towarzyskiego, dziś jednak sytuacja wymagała, by odłożył tę furtę kościelną i posłuchał, co mam do powiedzenia.

Muzyka płynęła nie tyle z wnętrza, co z za domu. Obszedłem budynek. George siedział na ziemi pośrodku podwórka z gitarą na kolanach. Obok leżał nie otwarty jeszcze Mars, muzyka wypełniała powietrze. Przed George'em siedział Chuck i patrzył na swego pana niczym pies gapiący na się stary gramofon na znaku RCA.

— George?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Pies podbiegł, żeby się przywitać. Pochyliłem się i wziąłem go na ręce. Zaraz zaatakował mi twarz językiem.

— Miło znów cię widzieć, Chucky.

George usłyszał to i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Widziałeś się z Cazem de Floonem? Znalazł cię?

— Tak, znalazł.

Podszedłem z psem w ramionach. Chuck nic, tylko wiercił się i czulił, ciepły futrzasty tobolek. George zagrał jeszcze dwa zamykające akordy i muzyka ucichła.

— Kiedy wrócił Chuck?

— Caz go przyniósł. Powiedział, że to prezent dla mnie. Tyle się zdarzyło, Frannie.

— Wiem.

Trwało chwilę, nim znów się odezwał.

— Rozmawiałeś z Floonem?

— Tak, w rzeczy samej.

— Co o nim sądzisz?

Własnym uszom nie wierzyłem. George nigdy, ale to przenigdy, nie pytał, co kto o kim myśli, bo po prostu go to nie obchodziło. Nie obchodzili go ludzie ani opinie o nich. Poświęcał im mniej więcej tyle samo uwagi, ile przeciętny człowiek skaleniom.

Usiadłem obok niego i postawiłem Chucka na ziemi. Podszedł do George'a, zwinął się przytulony czule do swego pana i przymknął ślepie.

— Co sądzę o Floonie? Już go kiedyś spotkałem.

George rozpakował batonik.

— Ja też.

Aż się wyprostowałem.

— Znałeś go wcześniej?

— On twierdzi, że tak. — Odgryzł kęs batonika. Cienka, karmelowa nitka zwisała mu z kciuka. Zlizał ją. — Powiedział, że spotkaliśmy się, gdy miał około trzydziestki.

— Przy jakiej okazji?

— Podobno wynajął mnie wtedy, bym napisał mu instrukcję obsługi do czegoś, co właśnie wynalazł.

Ciepły powiew wiatru porwał czerwono-brązowe opakowanie i uniósł je w powietrze. Złapałem zbiega.

— Pamiętasz go?

— Masz świetny refleks i zwinne ręce. Naprawdę powinieneś grać na jakimś instrumencie.

— To prawda z tą pracą zleconą, George?

— Nie, nigdy wcześniej go nie widziałem. Mam doskonałą pamięć, ale na wszelki wypadek sprawdziłem jeszcze zapiski. Nigdy nie pracowałem dla nikogo nazwiskiem Floon.

— Więc kłamie?

— On tak nie uważa. Poza tym wie dokładnie, kim jestem, czym się zajmuję i jak żyję. Przypomniał niektóre moje dawniejsze czy mniej znane prace.

— To akurat mógł gdzieś znaleźć.

— Tak, ale zakres jego wiedzy jest imponujący. Musiał bardzo się postarać, żeby zdobyć aż tyle. Chcesz kawałek Marsa?

— Nie. Zatem Floon pojawia się u twoich drzwi z Chuckiem jako podarunkiem, który ma pomóc mu zyskać twoje zaufanie. Mówi ci, kim jest i że kiedyś już dla niego pracowałeś. Wiesz, że nosi broń?

— Jak wszyscy dzisiaj, Frannie. Sam mi to mówiłeś. Dlatego i mnie uzbroiłeś. — Podsunął kawałek batonika psu, który obniuchał poczęstunek, ale odwrócił łeb. George wzruszył ramionami i wrzucił kasek do własnych ust.

— Muszę ci opowiedzieć, co się ze mną działo. Może wtedy spojrzysz na wszystko inaczej.

— Może, ale Floon sporo mi już powiedział.

To wytrąciło mnie z równowagi.

— Floon to nie ja, George — warknąłem. — Nie był ze mną przez cały czas. Co mówił?

Przez następne pół godziny zdawałem mu relację z moich przeżyć, on zaś opowiadał, co sam usłyszał. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i rozczarowaniu Floon przekazał George'owi samą najświętszą prawdę. Niczego nie podkoloryzował. Odpowiedział na wszystkie pytania George'a, a potem, wyobraźcie sobie, razem zaczęli rozważać, co się ze mną dzieje. I dlaczego.

— Pysznie! Porównaliście swoje wiadomości na mój temat?

— Tak.

— George, Floon to pojebany obywatel Kane ze spluwą. Dopiero co zastrzelił Gi Gi, a zanim zabił psa, musiał mu zrobić coś złego, bo Vertue rzucił się na mnie jak wściekły. Zamierzasz się liczyć z jego zdaniem?

— Tego nie powiedziałem, Frannie. Powiedziałem, że rozmawialiśmy o tobie.

Coś się we mnie zagotowało. Zacząłem wrywać garściami niewinną w tej kwestii trawę i ciskać nią w równie niewinnego Chucka. Lekkie źdźbła nie dolaływały do psa, który jednak zbudził się i na wszelki wypadek zaczął mieć mnie na oku.

— Dobra, no to powiedz, do czego doszliście w tej światłej dyskusji?

W domu zadzwonił telefon. George spojrzął podejrzliwie na drzwi, wstał i poszedł odebrać; to było dość niezwykłe, jak na niego. Miałem wrażenie, że robi to jedynie, aby zyskać na czasie. Wrócił pospiesznie z bezprzewodowym telefonem w sztywno wyciągniętej do przodu ręce.

— Frannie, to Pauline. Magda zasłabła. Jest nieprzytomna.

Kilka minut później George podwoził mnie już pod dom, a z drugiej strony zbliżała się wezwana od niego z domu karetka z wyjąca syreną. Gdy oba pojazdy zatrzymały się przed wejściem, do głowy przyszło mi słowo „oksymoron”. Bo to była właśnie taka sytuacja. Lekarz nie zbadał nawet jeszcze mojej żonie pulsu, a ja już wiedziałem, co jej jest. I wiedziałem też, o ironio, że to beznadziejna sytuacja. Spokojnie, doktorze, cokolwiek zrobisz, ta kobieta umrze za jakiś czas na paskudny, dojrzewający z wolna guz mózgu. O tym George’owi nie powiedziałem. Wspomniałem tylko, że pojawiłem się w Wiedniu jako starzec ożeniony z Susan Ginnety. Dalemwood zastygł wówczas na chwilę, w typowy dla siebie sposób ugryzł kęs batonika i mruknął: „Ciekawe”.

Całą czwórką pogoniliśmy do domu. Gdy wpadliśmy za próg, Pauline zawołała nas z kuchni. Magda leżała na podłodze obok stołu. Pauline podsunęła jej poduszkę z kanapy pod głowę i wyprostowała jej ręce i nogi, przez co widok był dość spokojny. Aż za spokojny, trącił lekko kostnicą. Od razu spojrzałem na dłonie. W przypadku guza mózgu jednym z najgorzej wróżących objawów jest skurcz mięśni powodujący zagięcie kończyn w kierunku tułowia.

Sanitariusze przyklekli obok i zaczęli odprawiać swój rytuał. Służyłem w korpusie medycznym w Wietnamie i wiedziałem dobrze, co robią. Wcale mi to nie ułatwiało kibicowania. Cały czas cisnęły mi się na usta zwroty w rodzaju: „Sprawdźcie odruch Babińskiego” czy „Jak funkcje podkorowe?”, ale nie odzywałem się, żeby nie przeszkadzać w wypełnianiu wszystkich, ściśle określonych punktów procedury. Niemniej uważnie patrzyłem obu na ręce.

Pauline przysłoniła jedną dłonią usta, drugą zaczęła gwałtownie na mnie machać. George dojrzał to i przeszedł za sanitariuszami, odsuwając się od nas najdalej, jak mógł.

— Co się stało, Pauline?

— Rozmawialiśmy i nagle oczy uciekły jej w głąb czaszki. Potem zsunęła się z krzesła. Tak, jakby chciała mnie tylko nastraszyć. Mama od paru tygodni narzekała na silne bóle głowy. Nie mówiła ci, bo nie chciała cię martwić.

Moja reakcja na pewno ją zaskoczyła. Oczekiwała raczej, że puszczę parę uszami urażony zatajeniem czegoś tak ważnego, ale wbiłem tylko spojrzenie we własne buty i pokiwałem głową.

— Nie zauważyłaś, czy nie zachowywała się ostatnio jakoś dziwnie? Nagłe i niewytłumaczalne pogorszenia nastroju, gderliwość?

Sanitariusz uniósł jedną z powiek Magdy i zaświecił małą, żółtą latarką w oko.

— Skurczu nie ma, ale źrenica reaguje słabo.

Nie mogłem milczeć dłużej. Nic by to nie dało.

— Szukajcie objawów guza mózgu. — Obaj spojrzeli na mnie. — Cierpiała ostatnio na bóle głowy i zamazane widzenie.

— O zaburzeniach widzenia nic mi nie mówiła, Frannie.

Ścisnąłem rękę Pauline, by się nie odzywała.

— Pan się na tym zna, McCabe?

— Byłem w korpusie medycznym. Zróbcie test z nakłuciem. Sprawdźcie jej reakcję na ból.

Jeden z młodzieńców spojrzał na partnera.

— Chryste, nigdy jeszcze nie miałem przypadku z guzem mózgu.

Pauline przysunęła się bliżej. Gdy się odezwała, poczułem powiew jej oddechu.

— Frannie, naprawdę myślisz, że mama ma guza mózgu?

Skłamać jej? Powiedzieć prawdę?

— Nie wiem, kochanie. Ale chcę, żeby sprawdzili i tę ewentualność. Poczekajmy, co powiedzą. Z takimi rzeczami zawsze lepiej uważać. Niech wszystko sprawdzą.

Przesunąłem Pauline tak, by stanęła na wprost mnie. Otoczyłem ją ramionami i przytuliłem. Była spięta, drżała, ja zaś w swej bezradności mogłem jej tylko współczuć. Nie chciałem, aby dowiedziała się o stanie Magdy tego, co ja wiedziałem już od jakiegoś czasu.

— Mamo... mamo... — jęknęła.

Po raz pierwszy w życiu poczułem, że serce zaczęło mi bić nierówno. Paskudne wrażenie. Całkiem nagle podeszło aż do gardła i załomotało. Mocno i nierytmicznie. Policzki mi zapłonęły. Dotknąłem jednego palcem: był lodowato zimny. Serce tłukło się o żebra. Szybko, coraz szybciej... potem jakby się zatrzymało, znów stuknęło szybko parę razy, zatrzymało się... Porzuciło rutynę i szalało we własnym tempie.

Nie puszczać Pauline, przesunąłem dłoń z policzka na lewą stronę klatki piersiowej. Miałem wrażenie, że wyczuwam szamoczące się pod żebrami zwierzę. Dziwne, fascynujące i straszne doznanie.

— Co ci, Frannie? — George przyglądał mi się uważnie.

— Nic, tylko lekka arytmia. Za duży stres.

— Co to jest, Frannie? Źle się czujesz? — Pauline przestraszyła się nie na żarty. Czyżbym i ja miał zemdleć?

— Moje serce zaczęło bić bardzo szybko. Nic wielkiego. Nie przejmuj się.

— Mam pana zbadać? — Jeden z sanitariuszy stał już gotowy z aparatem do mierzenia ciśnienia w dłoni. Pokręciłem głową.

Ułożyli Magdę na noszach i przymocowali kroplówkę. Pauline nie ustawała w pytaniach o wszystko, co robili, i miała prawo to wiedzieć. Dokładnie objaśniałem jej każdy krok. Starąłem się mówić spokojnie i rzeczowo, jak ktoś pewny siebie, i to chyba podziałało, bo dziewczyna wyprostowała się, a po chwili przestała też oblizywać nieustannie wargi.

— Zrobiliśmy, co trzeba. Chce pan jechać z nami do szpitala?



— Pauline, pojedziesz z mamą? Mnie może zawieźć George. — Pomyślałem, że bardzo mi się przyda dziesięć minut rozmowy sam na sam z George'em. Akurat tyle trwała jazda z naszego domu do szpitala.

Znów się spięła.

— Nie, nie pojedę żadną karetką. Nie chcę, Frannie. Proszę, pozwól mi pojechać z George'em. Proszę!

Jej nagły wybuch hysterii zaskoczył nas wszystkich. Porzuciwszy dyplomację, wziąłem dziewczynę za ramiona i potrząsnąłem mocno kilka razy.

— Uspokój się! Już dobrze, kochanie, wszystko w porządku. Nikt nie każe ci wsiadać do karetki. Jedź z George'em, a ja pojedę z mamą. Spotkamy się w szpitalu, i spokojnie, słyszysz? Wszystko będzie dobrze.

Słuchała mnie wpatrzona w podłogę i przez cały czas kiwała głową, jakby miała sprężynę zamiast kręgów szyjnych.

— Dobrze. W porządku. Pojadę za wami Ale, Frannie, czy jak będziemy w szpitalu, czy będę mogła spytać lekarzy o mój tatuaż? Czy sądzisz, że mogę ich spytać, dlaczego zniknął?

Co jej przyszło do głowy? W końcu sobie przypomniałem, co działo się rano.

— Nie. To innym razem. Teraz zajmijmy się tylko Magdą.

— Dobrze. Ale, Frannie, czy Gi Gi też przyjedzie do szpitala?

— Nie... nie wiem, kochanie. Pojęcia nie mam, gdzie jest teraz Gi Gi.

\* \* \*

Po drodze Magda odzyskała przytomność. Rozmawiałem z jednym z sanitariuszy, który, jak się okazało, był w szkole po ciało Antony Coronado. Wcześniej go nie rozpoznałem, nie wiem dlaczego.

— Frannie? — Głos mojej żony brzmiał słabo i zmysłowo, jakby w ramach niegroźnej perwersji zapraszała mnie do łóżka. Może nawet powtórzyła moje imię kilka razy, ale tak cicho, że można było nie dosłyszeć.

— Magda, co z tobą? Jak się czujesz? Trochę przymroczyło? — Dotknąłem jej skroni i pomasowałem lekko. Jej twarz była zimna w jednych miejscach, rozpalona w innych.

Zamrugła parę razy, nie spuszczać ze mnie lekko szklistych oczu. Otworzyła na dłuższą chwilę usta, ale niczego nie powiedziała. Język miała poszarzały i jakby wyschnięty. Poruszyła powoli głowę na boki, oglądając otoczenie. Wyraźnie chciała sprawdzić, gdzie właściwie jest.

— Zemdlałaś, Mag. Jedziemy karetką do szpitala. Chcę, żeby cię zbadali. Zadzwoń mi już do doktora Zakridesa. Będzie na nas czekał.

Delikatnie dotknęła mojej dłoni palcem. Powoli przesunęła go tam i z powrotem. Palec opadł. Powiedziała coś, czego nie dosłyszałem. Pochyliłem się nad

nią. Zostało jej jeszcze dość siły, by to powtórzyć: „Stuk-puk”. Aż mnie zatchnęło. To było nasze tajemne hasło. Ilekroć któreś nabrało ochoty na miłość, szło do tego drugiego i mówiło: „Stuk-puk”. Nie chodziło tylko o pukanie do drzwi, ale i o wstęp do wielu żartów naszego pokolenia, pokolenia amerykańskiej młodzieży tamtych czasów. Nie wiem, skąd nam się to wzięło, nie pamiętam, które pierwsze powiedziało „Stuk-puk” w tym właśnie kontekście, ale przy żadnej innej okazji tak do siebie nie mówiliśmy.

Dziwnie było usłyszeć te słowa właśnie teraz, w takich okolicznościach. Zdumiewające, że powiedziała je w chwili, gdy większość ludzi dygocze zwykle ze strachu. Każda para ma swój intymny, prywatny słownik, którego nikt z zewnątrz nie zrozumie. „Stuk-puk” kojarzyło nam się nieodparcie ze zmysłową rozkoszą. Do tej chwili tylko z tym. Nic dziwnego, że serce znów załomotało mi głośno. Moja żona odchodziła.

Kącik jej ust drgnął. Przeraziłem się, że to może być atak apopleksji, częsty skutek uboczny rozwoju guza mózgu. Jednak było gorzej. Magda się uśmiechnęła. Jak zdołała to zrobić? Prawie jej tu nie było, a jednak się uśmiechała. Nie miała sił, żeby mówić, mogła właściwie tylko poruszać ustami i tyle. Powiedziała powoli: „Lubię cię”. To też była istotna kwestia z naszej wspólnej historii, kwestia związana z pewną starą raną, która zasklepiła się tak dokładnie, że został tylko żart, a potem nawet radość i wspomnienie, które oboje hołubiliśmy.

Dziesięć lat przed ślubem mieliśmy ze sobą całkiem poważny romans, który zakończył się katastrofą i na długo napełnił nas bólem. Z mojej winy, jednak całe lata później Magda zdołała mi jakimś cudem wybaczyć ówczesny pokaz głupoty i dała jeszcze jedną szansę. Niemniej oboje nosiliśmy po różnych zakamarkach naszych dusz ślady tego, co wtedy zaszło. Gdy więc znowu zaczęliśmy się umawiać, krążyliśmy wkoło siebie niczym dwa psy, które nigdy wcześniej się nie spotkały — wolny krok, najeżony grzbiet, uniesiony ogon i tak dalej. Nawet gdy wiedzieliśmy już, że zaczyna się coś wielkiego, żadne nie śmiało wypowiedzieć tych magicznych słów czy zdań, które mogłyby przypieczętować związek. Trwało to dość długo, aż pewnego razu, zachęcony miłą atmosferą, zdobyłem się na odwagę. Patrząc jej z ukosa w oczy, powiedziałem: „Lubię cię”. Oczywiście chciałem przekazać o wiele więcej, ale bałem się, że wzmianka o miłości lub poważnych zamiarach może ją skłonić do ucieczki. Ona jednak uśmiechnęła się jak ktoś, kto wreszcie się doczekał, i powiedziała: „Szkoda, że nie jesteśmy akurat w sypialni”. Też się uśmiechnąłem. „Dlaczego?” „Bo tam mogłabym się dla ciebie rozebrać. I być naga albo rozebrana. Albo jedno i drugie, jak wolisz”.

Rzecz jasna potem zwroty „lubię cię” i „naga albo rozebrana” zajęły honorowe miejsca na naszej liście. Obu używaliśmy często dla dodania sobie ducha, dla prostego przypomnienia czy jako alternatyw dla „kocham cię”.

— Nie mów teraz, Mag. Oszczędzaj siły.

Jakie siły? Leżała bezwładnie i nic nie wskazywało na to, by miała więcej siły niż robaczek świętojański potrzebuje do świecenia. Cokolwiek zawładnęło Magdą, miało nad nią całkowitą władzę i nie było jej przyjazne. Zamknęła oczy, a ja ująłem jej rękę. Ścisnęła mnie słabo. Tylko raz.

Zacisnąłem powieki i przywołałem obraz, jaki zawsze kojarzył mi się z podobną sytuacją: zbliżenie palca wybierającego numer na tarczy czarnego telefonu w stylu lat czterdziestych. Tło tarczy jest białe. Palec w otworze. . . obrót tarczy. . . drugi raz. . . i znowu. Wszystko powoli. W końcu w słuchawce pojawia się niespieszny, przerywany sygnał. Telefon na drugim końcu dzwoni trzy, czasem cztery razy, ale w końcu ktoś podnosi słuchawkę. Nieokreślony męski głos pyta: „Tak?” Mam go. . . To Bóg. Zawsze odbiera telefony i zawsze gotów jest wysłuchać. Nie znaczy to, że zrobi to, o co Go poproszę, ale zawsze słucha, i o to chodzi.

Tym razem poprosiłem w milczeniu, by oszczędził tego Magdzie. Jeśli to właśnie jest jej pisane, to trudno, ale jeśli ja zawiniłem, jeśli wszystko przeze mnie, to niech mnie zabierze. Mnie tak, aleją proszę zostawić w spokoju. Tyle. Podziękowałem Mu i ręka z wyobraźni odłożyła słuchawkę. Nie prosiłem, nie uzasadniałem niczego, bo On i tak wie, o czym mówię. I ma wiele telefonów do odebrania.

— Dobrze.

Oczy miałem wciąż zamknięte i aż podskoczyłem, usłyszawszy ten głos. Bezwładna dłoń Magdy leżała w mojej, a Bóg powiedział właśnie, że dobrze. Otworzyłem oczy. Patrzyłem wprost na sanitariusza. Uśmiechał się.

— Dobrze, panie McCabe — powtórzył tym samym, trudnym do pomylenia głosem. — Ocalimy pańską żonę.

Magda miała wciąż opuszczone powieki i bardzo spokojną twarz. Wiedziałem, że gdziekolwiek w tej chwili „jest”, i tak nas nie słyszy.

— Możemy zrobić to, o co pan prosi, sir. Ale i pan musi coś dla nas zrobić.

— Rozmawiam z Bogiem? — spytałem nieśmiało.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i jakoś tak ciepło.

— Nie, ale jesteśmy o wiele potężniejsi niż ludzie. Potrafimy dokonywać rzeczy, które dla was są niedostępne. — Miał dużą twarz: duże oczy, szeroki nos, zęby koloru poźółkłej pianki fajkowej. Nie było w tej twarzy nic szczególnego. Nie zwracała uwagi, nie zapadała w pamięć. Może zresztą o to chodziło.

— Mała grupa nas, włącznie z Astopelem, przybyła na Ziemię. . .

— Więc naprawdę jesteście obcymi? Gi Gi miał rację?

— Tak. — Nie przestawał się uśmiechać. Wyraźnie dodawał mi odwagi, jak nauczyciel zadowolony z trafnej odpowiedzi ucznia na trudne pytanie.

— To na Ziemi są obcy, którzy wyglądają jak ludzie? Cholera, jak w filmie z lat pięćdziesiątych. . . Czemu nie jesteście czarno-biali? Wicie, nurków już mamy. . .

Mówiłem za głośno. Przytknął palec do warg, by mnie uciszyć.

— Gdyby pan zobaczył, jak naprawdę wyglądamy, mógłby się pan zaniepokoić. Nie chcemy zamieszania. Dziwności, które się panu przytrafiły, to wszystko była robota Astopela. — Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął niebiesko-białą paczuszkę gumy do żucia, opisaną cyrylicą. Czarna plakietka na kieszeni głosiła, że jej właściciel ma na imię Barry. . . Barry z ekipy obcych.

— Jak długo tu jesteście, Barry?

— Trochę ponad miesiąc. Chociaż niektórzy dłużej, jak państwo Schiavowie. Jak sam pan wie, oni żyli tu od lat. Chce pan rosyjskiej gumy? Bardzo dobra.

Tym mnie załatwił.

— Schiavowie są. . . Geraldine Schiavo to obca? O mój Boże! To dlatego zniknęli, a ich dom. . . Chryste! Dlaczego tu jesteście?

— Nate, zatrzymaj wóz — powiedział, pochyliwszy się do kierowcy. — Potrzebujemy paru chwil na rozmowę, nim dojedziemy do szpitala.

— A co z moją żoną?

— Nic się jej przez ten czas nie stanie. Spokojnie, panujemy nad sytuacją, panie McCabe. Może nie nad całą, ale w tej kwestii może nam zaufać.

Co miałem zrobić? Swoją drogą, zaciekawiło mnie, nad czym to nie panowali.

Karetka zwolniła i skręciła ostro w prawo. Spojrzałem przez okno. Wjeżdżaliśmy na parking przy marcecie Grand Union. Ten sam, gdzie pierwszego dnia znaleziono Old Vertue.

— Czy zatrzymujemy się tu z jakiegoś konkretnego powodu? Czy to miejsca ma jakieś symboliczne znaczenie?

Barry przestał się uśmiechać, wyglądał na lekko spłoszonego. Zdecydowanie zaprzeczył i stwierdził, że potrzebujemy po prostu spokojnego miejsca na rozmowę, a to się akurat nadaje. Odsunął drzwi i pokazał, bym wysiadł. Sprawdziłem jeszcze, co z Magdą, i stanąłem obok wozu. Parking był prawie pusty; o tak wczesnej porze popękana nawierzchnia nie zdążyła się jeszcze nagrzać. Nad nami szybowała samotna mewa. Dojrzała coś na ziemi i zanurkowała. Okazało się, że jej uwagę zwróciło spłaszczony oponami truchło myszy. Mewa zaczęła wydziobywać z mało kształtnej masy jakieś flaki.

Barry patrzył na to przez chwilę.

— Tam, skąd przybywamy, nie ma zwierząt. To niezwykle istoty. Macie szczęście, że wam towarzyszą. To najbardziej lubię na Ziemi: zwierzęta.

Mewa wzleciała z padliną w dziobie. Wylądowała na szczycie latarni i rozejrzała się, jakby nie pojmowała, skąd się tam wzięła.

Barry zachichotał i jeszcze bardziej przekręcił głowę, by nie tracić ptaka z pola widzenia.

— Ciekawe. Bez wysiłku potrafiłbym przywołać ptaka dodo albo stegosaurusa. Chociaż ten ostatni to chyba nietypowy zwierzak?

— Nie, to dinozaur. A dodo wyginał. — Czekałem na jego odpowiedź, ale on tylko zadzierał głowę.

Mewa uniosła się leniwie z latarni i odleciała z paskudną zdobyczą.

— Tak, oba gatunki wyginęły.

— Ale ty widziałeś je od przybycia tutaj, prawda, Barry? A może się myłę? Mój oswojony Marsjanin pokręcił głową.

— Nie myli się pan. Przede wszystkim przejrzelismy historię ludzkości. Odwiedziliśmy wszystkie epoki w dziejach Ziemi, by poznać pochodzenie człowieka.

— Hmmmm. — Stałem na parkingu przy markecie, a przybysz z kosmosu mówił mi, że zajrzał na krótko do okresu jurajskiego, żeby obejrzyć sobie dinozaury. Zupełnie, jakby mówił o klasowej wycieczce do muzeum historii naturalnej. No to co mogłem wydusić z siebie prócz „hmmm”?

— Chyba trudno w to uwierzyć. Chce pan jakiegoś dowodu, panie McCabe?

— Znow czytasz mi w myślach, Barry.

— Zgadza się. Co mam panu pokazać? Stegosaurusa?

— Nie, zdeptałby parking i musiałbym was obu aresztować za zakłócenie spokoju. Ale mówisz poważnie? Możesz sprowadzić wszystko, co zechcę zobaczyć?

— Tak, jeśli to *coś* istnieje teraz lub istniało kiedyś. Nic poza tym. Jak wspominałem, nasze możliwości są pod pewnymi względami ograniczone.

— Wiesz dokładnie, co chcę zobaczyć.

— Wiesz, stegosaurus to żaden problem. . .

— Nie zmieniaj tematu, Barry. Chcesz przekonać mnie ostatecznie, kim jesteś? Powiem ci, co chcę zobaczyć.

Powiedziałem, a on jakby trochę się przygarbił zdumiony i rozczarowany „tylko tyle?” Ale po chwili wyprostował się i powiedział, że w porządku, mam iść za nim. Ruszył przez parking w kierunku marketu.

— A Magda wyzdrowieje?

— Proszę mi zaufać.

— Ciągle to powtarzasz. Czemu miałbym ci zaufać?

— Za pięć minut sam pan pojmie, czemu. Na razie proszę mi po prostu zaufać, że pańskiej żonie nic się nie stanie.

Jego szeroka twarz skłaniała odruchowo do zaufania. Był idealny do roboty, którą mu wyznaczono. Starczyło na niego spojrzeć i już wiedziałeś, że jesteś w dobrych rękach. Chyba mam kłopoty, ale on wygląda na kogoś, kto może mi pomóc. Zaufam mu.

Pechowo wyszło, że był obcym.

Zatrzymał się, obrócił i spojrzał mi w oczy.

Poczułem nagły przypływ paranoi. Uderzyła nagle jakby mi kto w pysk dał.

— Co? O co chodzi?

— Coś. . . — Przytknął trzy palce do brody i pogładził skórę jakby sprawdzał zarost. — Coś stało się właśnie w mieście Coś istotnego. Nie wiem, co, ale to

ważna sprawa. Tyle czuję. Bardzo mocno. To będzie miało wpływ na bieg zdarzeń.

— Co?

Uniósł wyprostowaną dłoń.

— Nie wiem, co, ale przed chwilą... stało się w tym mieście coś, co będzie miało wpływ na bieg zdarzeń.

— To nie ma sensu, Barry. Podróżujecie między gwiazdami, potraficie zmieniać bieg czasu, przywoływać dinozaury, wskrzeszać zmarłych, a nie umiesz powiedzieć... A w ogóle, to skąd jesteście?

— Najlepiej byłoby wyrazić to matematycznie, ale skoro nie jest pan biegły w matematyce, to przekażę tę nazwę fonetycznie: Hratz-Potayo.

— Rat's Potato? Szczurzy Ziemiak? — Wybuchnąłem śmiechem. Przepona zareagowała szybciej niż mózg. Chichotałem niczym stuknięty ptak z tropikalnej dżungli. — Przylecieliście ze Szczurzej Pyry? — Nie mogłem opanować tego śmiechu. Nazwa wydawała mi się bezgranicznie głupia... całkiem jak z fantastycznego widowiska dla dzieci. Ponadto doszedłem chyba do granic wytrzymałości. Po wszystkim, co mi się zdarzyło, we łbie miałem nie tyle szare komórki, ile topniejący воск.

Podczas gdy mnie skręcało ze śmiechu, Barry uniósł kciuk i zaczął uważnie pisać nim w powietrzu. Po chwili zawisły pomiędzy nami nieruchomo dwa wykaligrafowane białymi literami słowa: HRATZ-POTAYO.

— Gdzie to jest?

— Z Ziemi nie widać. Za Mgławicą Kraba.

— Aha, szczury kryją się za krabem. Ładna z was kompania. — Wskazałem na oślepiające białą litery. — W każdym innym czasie przekonałbyś mnie tym do siebie tak, że bardziej nie można, Barry. Ale wiesz co? Jestem już zmęczony. Po prostu. Jestem kurewsko zmęczony. Chodźmy sprawdzić, czy mówisz prawdę. — Teraz ja ruszyłem przodem do marketu, chociaż nie wiedziałem, gdzie właściwie mamy wejść.

Zawahał się. Sięgnął do białych słów, zgarnął je z powietrza i schował do kieszeni.

— Lepiej, żeby nikt postronny ich nie zobaczył. Kto wie, co mógłby sobie pomyśleć.

— Cokolwiek. Idziemy do tego marketu?

— Tak. Tam jest to, co chcę panu pokazać.

Na długo przed tym, nim dotarliśmy na miejsce, wiedziałem, że to wszystko prawda. Wiedziałem, że Barry jest prawdziwy. Wiedziałem też, że tego, co mam zobaczyć, nie da się przeprowadzić, ale i tak miało się ukazać moim oczom. Już trochę słyszałem. Połowa zachodniego świata zabiłaby się, żeby usłyszeć to samo.

Zatrzymałem się i spojrzałem na kosmitę, ale on szedł dalej.

— Chodźmy, wewnątrz będzie lepiej słyszeć — powiedział, nawet na mnie nie patrząc.

Pchnął drzwi marketu. Z chwilą otwarcia drzwi muzyka rozbrzmiała głośniejsze i prawie zemdlałem. Nie do wiary... Kto słucha muzyki, zawsze pozna, czy idzie na żywo, czy z radia lub innego sprzętu. Żywe brzmienie ma w sobie coś surowego i podkręcającego zarazem. Tu za dużo gitar, tam coś sprzęga ogłuszająco, gdzie indziej bębny spychają wszystko w tło. To była muzyka na żywo i to oni grali. Widziałem ich. Jezu Chryste, to byli oni.

Tysiące razy zaglądałem już do tego marketu, ale tak nie wyglądał jeszcze nigdy. Tam, gdzie ciągnęły się zwykle półki z artykułami spożywczymi, dziś widniała scena. Nie, że w pełni profesjonalna, żebyście nie myśleli. Nic błyszczącego, drogiego czy w jakikolwiek inny sposób uwłaczającego osobom, które na tej scenie stały, koncertując tylko dla Barry'ego i dla mnie.

Zobaczyli, że ku nim idziemy, ale żaden nie zareagował żywiej niż tylko poruszeniem dłoni czy kiwnięciem głowy. Ich obojętność sugerowała jednoznacznie, że nie przeszkadzamy im, bo przywykli do publiczności.

John Lennon siedział na skraju małej sceny z papierosem w kąciку ust i gitarą marki Rickenbacker w dłoniach. Wyglądał na dwadzieścia pięć, może trzydzieści lat. Tak jak wszyscy oni. Paul stał po drugiej stronie sceny, obok George'a. Kiwali się razem w takt muzyki. Paul zawodził żałośnie *I Feel Fine*. W tyle sceny Ringo grał na perkusji. Miał zamknięte oczy. *I Feel Fine* w wykonaniu zespołu The Beatles. Jak grali, tak grali, ale to byli tamci chłopcy i ich niezapomniane brzmienie.

O nich właśnie poprosiłem Barry'ego i oto byli: ponad ćwierć wieku po rozpadzie grupy i dziesięć lat po tragicznej śmierci Lennona. Zapragnąłem dotknąć ramienia Lennona. Z miliona powodów... Ale pokonałem impuls. Musiał wyczuć moje podniecenie i burzę myśli, bo uniósł nagle głowę, spojrzał na mnie i poruszył brwiami tak samo jak w tym słynnym wywiadzie telewizyjnym, którego udzielił po rozwiązaniu się grupy. Miałem ten wywiad na taśmie razem z masą innych pamiątek po Beatlesach, nigdy bowiem nie było nikogo lepszego od nich.

The Beatles, żywi i nieżywi, zgaśli i wskrzeszeni, znowu razem w supermarkecie w Crane's View. Wszystko dzięki uprzejmości Szczurzego Ziemiaka, małej przyjaznej planety skrytej tuż za Mgławicą Kraba.

Skończywszy własny utwór, Wielka Czwórka z Liverpoolu zagrała piosenkę The Zombies *She's Not There*, kolejny z moich najulubieńszych przebojów wszech czasów. Wszystko pod gust pana McCabe'a... Ale czemu Wybrali właśnie ten? Żaden z nich nic nie powiedział, po prostu przeszli od jednej melodii do drugiej. Westchnąłem jak zakochany małolat. Nie musiałem już umierać, żeby zobaczyć niebo.

Gdy doszli do najlepszego fragmentu, Barry pochylił się ku mnie i spytał:

— Chce pan porozmawiać teraz, czy poczekamy, aż skończą?

— Teraz. Jeszcze trochę, a nigdy stąd nie wyjdę.  
— Dobra, to chodźmy na zewnątrz. Oni nie przestaną grać, póki tu będziemy. Beatlesi grali tylko dla nas?  
— Naprawdę? -jęknąłem.  
— Tak. Pan ich chciał, panie McCabe, więc jak długo będzie pan w pobliżu, tak długo będą wykonywać pana ulubione piosenki.  
„Na pomoc!” W głowie aż dzwoniło mi od ukochanych piosenek: *For No One*, *Concrete and Clay*, *Walk Away Renee*. . . Te też mogliby zagrać. . . Tak jak powiedziałem: istny raj.  
— Starczy, lepiej już stąd wyjdźmy.  
Po drodze nie obejrzałem się. Nie chciałem ryzykować. Przy tej okazji zacząłem rozumieć żonę Lota. To wcale nie była taka głupia kobieta.  
W blasku słońca i pośród upału parkingu znów dopadła mnie cisza. Wiedziałem, co to znaczy: zniknęli. Gdybym teraz wszedł do środka, ujrzałbym zwykły supermarket: puszki zupy Campbella i mrożone nóżki jagnięce. Wszystko na swoim miejscu i ani śladu ziszczonego na mgnienie marzenia.  
Pośrodku parkingu pojawiły się ciemnozielone krzesła ogrodowe. Na nich stały wielkie, styropianowe kubki. Gdzieś w pobliżu ktoś ciął drewno piłą łańcuchową. Powietrze pełne było dźwięków i zapachów. Pies szczekał dziko, jak szalony. Samochód wjechał na parking. Ktoś gwizdnął wysoko i przeciągle. Kobięcy głos zawołał „cześć”. Dzień zbudził się na dobre i siadał do śniadania.  
W kubkach była kawa. Idealnie posłodzona i prawie wrząca, dokładnie taka, jak lubię. Wcale mnie to nie zdziwiło. Barry okazywał się idealnym gospodarzem. Siedząc na skraju taniego, metalowego krzesła, spojrzałem przez parking na karetkę. Na kilka chwil moje serce znów powróciło do osobliwych łamańców. Dmuchałem na kubek i upiłem ostrożnie kilka łyków.  
— Dobra, zamieniam się w słuch. Powiedz mi, o co tu chodzi.  
— Pan chyba nie jest za bardzo religijny, panie McCabe?  
— Nie, ale wierzę, że On jest. Wierzę w to całym sercem.  
— Ach, On jest, ale nie tak, jak pan myśli. Czy chce pan, żebym opisał wszystko ze szczegółami, czy może woli pan skróconą wersję? — Uśmiechał się, mówiąc te słowa, ale był całkiem poważny.  
— Skróconą, Barry. Cierpię na zespół nadpobudliwości psychoruchowej z zaburzeniami koncentracji uwagi. Nie mogę siedzieć zbyt długo bez ruchu, bo zaczyna mnie nosić.  
— Dobrze. Najlepiej będzie zatem, jak zacznę od cytatu z Biblii: „Tak zostały ukończone niebo i ziemia oraz cały ich zastęp. I ukończył Bóg w siódmym dniu dzieło swoje, które uczynił, i odpoczął dnia siódmego od wszelkiego dzieła, które



uczynił”<sup>2</sup>. To fragment z pierwszej księgi waszej Biblii. Nosi ona tytuł „Genesis”, co znaczy dosłownie „powstawanie”, i opisuje stworzenie wszechświata.

— Wszechświata? Myślałem, że tam chodzi tylko o stworzenie życia na Ziemi.

— Nie! To dotyczy wszystkiego: każdej planety i wszystkich żywych istot, do ostatniej komórki; jedynie rodzaj ludzki jest na tyle próżny, że co może, zawsze odnosi wyłącznie do siebie. Ale wracając do sprawy: tutaj najważniejszy jest ten symboliczny siódmy dzień, kiedy Bóg postanowił odpocząć po zakończeniu pracy. Ten dzień dobiega końca, panie McCabe. Coraz bliższy jest czas, gdy On się obudzi, że tak powiem, i wznowi swe rządy.

— Nadejście apokalipsa? — spytałem tym samym tonem, jakim zagadnąłem kiedyś lekarza w izbie przyjęć, gdy zajmował się mną po postrzale. „Czy ja umieram?” — spytałem wówczas, czując, że zapadam się gdzieś w ciemność.

To rozbawiło Barry’ego. Usłyszawszy jedno z najgroźniej kojarzonych słów z ludzkiego słownika, zachichotał i upił spory łyk kawy.

— Nie, coś o wiele ciekawszego. Niech pan sobie przez chwilę wyobrazi, że Bóg jest niedźwiedziem.

Spojrzałem na dwa srebrzyste samoloty, które przelatywały na dużej wysokości nad Crane’s View. Sunęły w przeciwnych kierunkach po kobaltowym niebie, każdy ciągnął za sobą własną smugę kondensacyjną.

— Niedźwiedziem powiedziałeś?

— Tak. Proszę sobie wyobrazić, że jest pan niedźwiedziem, który stworzył niebo i Ziemię, a potem położył się do snu zimowego trwającego wiele miliardów lat. Niewyobrażalny szmat czasu.

Pomysł wydał mi się tak szokujący, że zdołałem powtórzyć jedynie jego słowa, i to słabym głosem.

— Miliardy lat. . .

— Właśnie, ale wcześniej, zanim poszedł spać, tak wszystko zorganizował, żeby zostać we właściwej chwili obudzony.

Tego było już za wiele.

— Do diabła z tobą! Chcesz mi wmówić, że ten misiek w roli Boga zrobił swoje, a potem poszedł spać? A wcześniej jeszcze budzenie zamówił? U kogo niby? Może w recepcji?

Barry delikatnie ścisnął kubek między nogami i otarł ręce. Jego spokojny do tej chwili głos zabarwił się drapieżnym sarkazmem.

— Może pan marnować czas na złośliwości albo wysłuchać mnie spokojnie, panie McCabe. Jak pan woli. Osobiście doradzałbym posłuchać, bo w ten sposób może pan ocalić życie żonie.

---

<sup>2</sup>W przekładzie Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1975 (przyp. tłum.)

— Słucham.

— Geniusz boskiego planu tkwi w jego prostocie. — Rozpostarł ręce, jakby chciał pokazać, że taką rybę złapał. — Stworzył to wszystko: wszechświat, pana, mnie... wszystko, i udał się na spoczynek. Wcześniej jednak tak ustawił sprawy, żebyśmy wspólnymi siłami go obudzili. Wyposażył nas w wiedzę i materiały i dał nam dość czasu, by każda cywilizacja z osobna mogła się rozwinąć. Razem mamy zbudować urządzenie, które obudzi Boga we właściwej chwili.

— Cały wszechświat współpracuje, budując maszynę do budzenia Boga?

— W olbrzymim uproszczeniu można tak powiedzieć. Wykazał przy tym ogromną dozę dobrej woli, jeśli zważyć różnice pomiędzy gatunkami. Każda cywilizacja rozwija się we własnym tempie. Niektóre wyprzedzają inne o całe epoki, ale to nie przeszkadza. W kwestii współpracy miejsce zajmowane przez daną kulturę na drabinie ewolucyjnego rozwoju nie gra roli, bo i tak wszyscy muszą się przyłożyć. Bez tego maszyna nie powstanie. I to jest najważniejsze, a właściwie: to jedyne, co się liczy.

— Taka nowa wieża Babel.

Wziął kubek i zaczął oskubywać go wokół krawędzi. Odłamane strzępki wrzucił do środka.

— Poniekąd, ale na empirejską skalę.

— Co to znaczy empirejską? Chociaż nieważne. Przejdźmy do rzeczy, Barry: wiem, że to egoizmem podyktowane pytanie, ale co to wszystko ma wspólnego ze mną? I jak to się stało, że moje życie zaczęło przypominać obraz Salvadora Dalego?

— Każda cywilizacja w kosmosie ma tu swoje do zrobienia. Niech pan pomyśli o nas jako o robotnikach w fabryce, współdziałających, żeby wytworzyć jeden konkretny produkt. Wielu wykonało już powierzone im zadania. Niektórzy uporali się z tym przed miliardami lat, inni dopiero przed chwilą. Praca wre przez cały czas i kawałek po kawałku machina świata rośnie coraz większa.

— Czemu nie nazywasz jej boską maszyną?

— Bo to świat ją buduje, panie McCabe, a nie Bóg. To jest istota całego przedsięwzięcia.

— Ale czemu ja? Co wspólnego może mieć glina z Crane's View w stanie Nowy Jork z Machiną Świata?

Nagle odwrócił spojrzenie.

— Nie wiem.

Chwilę później trzymałem w dłoni jedynie szczątki kubka, a rękę miałem mokrą i lepka od kawy.

— N i e w i e s z?

Westchnął jak starzec po zdjęciu ciasnych butów. Trwało chwilę, nim znów się odezwał.

— Nie wiemy, jaki dokładnie ma być wkład Ziemi. Potrafimy jedynie ustalić z pewnym przybliżeniem, kto stąd powinien go wnieść.

— I to ja?

— Nie. Z początku tak myśleliśmy i dlatego właśnie pozwoliliśmy Astopelowi manipulować pańskim życiem. Dlatego właśnie pojawił się pies, a potem notatnik Antonyi, dlatego pozwoliliśmy panu doświadczyć własnej przyszłości... i tak dalej. Sądziłyśmy, że to skłoni pana do podjęcia właściwych działań. Ale byliśmy w błędzie. To nie pan, panie McCabe. Teraz już wiemy. Teraz jednak czas nam się kończy i musimy szybko znaleźć właściwą osobę.

— Z powodu milenium?

Machnął lekceważąco dłonią.

— Milenium to prywatna sprawa Ziemi i nikogo więcej. Praca nad Machiną Świata trwa o wiele dłużej niż dwa tysiące lat. Niemniej każdy fragment musi trafić na swoje miejsce we właściwym czasie. Ludzkość miała miliony lat, aby ukończyć swój podzespół, ale niestety, nie uczyniła tego do tej pory i to opóźnienie zaczyna budzić niepokój. To nie powinno się zdarzyć. Wszystkich obowiązuje ten sam, dokładny grafik, chociaż wedle ziemskiej miary czasu nie wydałby się szczególnie precyzyjny.

— A co wy robicie na Szczurzym Ziemniaku?

— Na Hratz-Potayo. My jesteśmy od koordynacji i rozwiązywania trudności. Do nas należy czuwanie, by każdy element trafił na miejsce na czas i wykończony, jak należy. Krążymy po fabryce i odhaczamy na liście, co już przyszło i zostało zamontowane. W razie pojawienia się usterek lub kłopotów odpowiadamy za ich usunięcie.

— Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

— Więcej razy, niż może pan zliczyć.

— Dość mnie to przytłacza, Barry. Co mógłbym ewentualnie zrobić, żeby pomóc zbudować tę Maszynę Świata?

— Umrzeć.

## LWY NA ŚNIADANIE

W milczeniu wyjechaliśmy z parkingu z powrotem na ulicę. Barry mówił prawdę: nic się nie zmieniło przez ten czas, który spędziliśmy poza karetką. Magda była wciąż nieprzytomna, ale wyglądała na spokojniejszą, jakby coś przestało ją dręczyć. Zapewne rzeczywiście tak było. Siedziałem obok, patrzyłem na nią i rozmyślałem, ile dla mnie znaczy. Teraz, gdy wiedziałem już, że z tego wyjdzie, też mi ulżyło i, co dziwniejsze, nawet się dość uspokoiłem. Wiedziałem, że postąpiłem właściwie, chociaż znaczyło to koniec wszelkich nadziei i miłości.

Czasem szczęście jest jak dźwięk przelatującego ci nad głową samolotu. Patrzysz w górę, ale samolotu tam nie ma. Rozglądasz się, ale nie możesz go wypatrzeć, chociaż odgłos silników brzmi coraz głośniejsze. Zaczynasz kręcić głową jak szalony, chociaż wiesz, że to głupie zachowanie. Ale szukasz i gdy w końcu go zobaczysz, odczuwasz ulgę. Przez większą część mego życia szukałem szczęścia na niewłaściwych spłachetkach nieba. Zaraz po ślubie odmalowałem Magdzie tę analogię; powiedziała, że byłby z tego dobry refren do piosenki country and western. Pierdołę cię z takimi porównaniami, warknąłem, a ona stwierdziła, że chętnie, poproszę.

— Gdzie są George i Pauline?

— Tam, gdzie wcześniej, za nami.

— Co wyjdzie, gdy lekarze zbadają Magdę?

— Stwierdzą, że ma niepokojąco niskie ciśnienie i zaordynują cały zestaw leków.

— Kiedy to... zacznie na mnie działać?

— Za kilka dni poczuje pan pierwsze bóle głowy. Potem szybko się pogorszy. To nie potrwa długo.

— Potraficie przekazać mi jej guz mózgu, a nie umiecie odszukać osoby, która ma zrobić swoje na rzecz maszyny?

— Próbowaliśmy, proszę mi wierzyć. Rzecz w tym, że punktem wyjścia do naszych manewrów może być tylko obiektywnie istniejąca rzeczywistość. Na przykład Antonia Coronado: miała wielkie uzdolnienia artystyczne i zaczęła już brać heroinę. Umarłaby w ciągu sześciu miesięcy. Pokazaliśmy panu pańskie życie takie, jakie byłoby, gdyby dalej żył pan w ten sam sposób. Ale szczerze mówiąc, nie

zdołaliśmy rozpracować jeszcze bardzo wielu rzeczy na Ziemi. Sporo spraw nie rozumiemy. Wtrącając się w pańskie życie, Astopel dobitnie nam to uświadomił.

— Znaczy, że ta sprawa z przeniesieniem guza też może wam nie wyjść i ona jednak umrze?

— To teoretycznie możliwe, ale mało prawdopodobne. Daję głowę, że gdybyście przeszli teraz oboje scanning czaszki, Magda byłaby czysta, a pan wręcz przeciwnie.

— Ale całkowitej pewności co do ostatecznych skutków nie macz?

— Nie. Skłamałbym, twierdząc, że jest inaczej. Wciąż próbujemy zrozumieć porządek tej planety, ale bardzo brakuje nam czasu na spokojne przeanalizowanie materiału.

— Jakim sposobem Floon cofnął się w przeszłość?

Barry wzruszył ramionami.

— Astopel pokpił sprawę. Wysłał go, a nie powinien. Myślał, że mając go pod bokiem, zacznie pan działać szybciej.

— Floon wiedział wiele o mnie i o Gi Gi. Astopel mu powiedział?

— Tak. Teraz wie prawie tyle samo, co pan.

— Czy to nie było nieostrożne. Może narobić kłopotów.

— Może.

— Czemu go nie zabijecie?

— Myślimy o tym.

— Może ja powinienem?

— Dam panu znać, co postanowimy. Tymczasem proszę się nim nie przejmować.

— Jesteście pewni, że ten, którego szukacie, to mieszkaniec Crane's View?

— Bezwzględnie tak. I to na pewno ktoś, kogo pan zna. Barry powiedział mi coś jeszcze: za ziemski udział w budowie Machiny Świata odpowiedzialna była niejedna osoba, ale cztery. Trzy zrobiły już swoje. Gdy spytałem, co to było i czy mógłbym to zobaczyć, sięgnął do kieszeni i wydobyl pióro. To pióro.

— Cholera! To dlatego wszędzie mnie ścigało. Ale ludzie nie mają piór... Ptaki je mają. Odszukajcie właściwego ptaka i po krzyku.

— To pióro zrobił człowiek. I jest jeszcze coś.

Raz jeszcze sięgnął do tej samej kieszeni i pokazał mi srebrzysty kawałek kości, który znalazłem przy pierwszej próbie pochowania Old Vertue. Spojrzałem wyczekująco na Barry'ego w nadziei, że zaraz dopowie resztę.

Nie dopowiedział. Trzymał tylko oba przedmioty na otwartej dłoni i patrzył na nie. Nie zastanawiając się, nie kombinując i nie kojarząc niczego, wypaliłem nagle:

— Jak wiosłować po drewnianym morzu?

Strzelił palcami drugiej dłoni. W zamkniętej przestrzeni zabrzmiało to bardzo głośno. Prawie jakby konar trzasnął.

— Świetnie, panie McCabe, pamięta pan pytanie Antonyi. To jest trzeci element. Teraz musimy tylko znaleźć czwarty.

— Skąd mam wiedzieć, co to jest, Barry? Ale zaraz. . . Jak wpadłem na to, że pytanie jest trzecim?

— Bo dostroił się pan do naszej częstotliwości. Wszedł pan na naszą długość fali. — Uśmiechnął się i ponownie zajął się mierzeniem ciśnienia Magdzie. — Teraz może nas pan odbierać.

— Nie bądź taki sprytny. Co to znaczy?

— Że zaczyna pan rozumieć.

— Ale co może łączyć to pióro, tę kość i pytanie Antonyi?

— Nie wiemy. Lecz mamy nadzieję, że ten czwarty fragment wszystko wyjaśni.

\* \* \*

W szpitalu Michael i Isabelle już na nas czekali. Zaraz przejęli pacjentkę, odpuścili nawet garnące się do pomocy pielęgniarki. Zakridesowie są naszymi starymi przyjaciółmi i bardzo dobrymi lekarzami. To Mikę uratował mnie po postrzale wiele lat temu. Patrząc, jak popychają nosze z Magdą korytarzem, pomyślałem, że znów przyjdzie mu niebawem pochylić się nade mną, gdy zaczną gasnąć światła *chez moi*. Zanim zdążyłem posmutnieć z tego powodu, coś całkiem innego zwróciło moją uwagę. Upewniwszy się, że nie będę na razie potrzebny, ruszyłem zaspokoić ciekawość.

Na drugim końcu korytarza stał Bill Pegg i słuchał uważnie tego, co wykladała mu niska pani doktor o włosach przyciętych na mnicha. Zęby zaczęły mi drętwieć od jej belferskiego głosu już z odległości dziesięciu stóp. Gdy podszedłem, Bill uniósł dłoń, żeby ją uciszyć.

— Chwilę, pani doktor. To jest szef naszej policji i też chciałby wszystko usłyszeć.

— Co jest, Bill?

— Szefie, to pani doktor Schellberger. Brunhilde Schellberger. — Uniósł jedną brew o milimetr, ale niczego nie dodał.

— Witam, pani doktor. W czym rzecz?

— Pół godziny temu przywieziono do nas mężczyznę nazwiskiem John Peltangles, typ kaukaski, z ranami postrzałowymi brzucha i uda.

Spojrzałem na Billa i przypomniałem sobie wyraźnie, jak sam poleciłem Johny'emu pójść za Cazem de Floonem ledwie parę chwil po tym, jak tamten łajdak zastrzelił Gi Gi i Old Vertue.

— Sprawca to biały mężczyzna, lat około sześćdziesięciu, ubrany w wielokolorowe wdzianko do joggingu. Ma jakieś pięć stóp dziewięć cali, dużą szopę siwych włosów, waga. . . jakieś sto pięćdziesiąt funtów. Może trochę mniej.

Bill wyciągnął z kieszeni notatnik i spisał wszystko, co powiedziałem, ale zaraz potem spojrzał na mnie uważnie.

— Skąd wiesz, szefie?

— Po prostu zajmij się tym, Bill. Jak z Johnnym?

— Niedobrze. Właśnie go operują.

— Pani doktor?

Pokręciła głową.

— Więcej będziemy wiedzieli dopiero po operacji.

— Co to za facet, Frannie? Skąd wiesz, jak wygląda?

— Potem ci powiem. Teraz muszę odszukać pewnego faceta z obsady tutejszej karetki. Ma na imię Barry.

— Barry? — spytała doktor Schellberger. — W naszym szpitalu nikt taki nie pracuje.

— Wcale mnie to nie dziwi. — Odwróciłem się, żeby odejść.

George i Pauline siedzieli w poczekalni i trzymali się za ręce. Gdy ich zobaczyłem, zabolalo, jakby piorun we mnie strzelił. Dwoje ludzi, którzy tyle dla mnie znaczyli. Będę mógł cieszyć się nimi jeszcze przez kilka dni i koniec. Koniec z George'em, z Pauline, Magdą, Crane's View... całym moim życiem. Jak wytrzymać z tą myślą i nie załamać się? Jeszcze kilka dni i po życiu.

— Nic jej nie będzie, Frannie? Z mamą w porządku?

— Tak, chyba tak. Powiedzieli, że nie widzą żadnego zagrożenia, ale musimy poczekać, aż zakończą badania. Pauline, czy możesz zostawić nas na chwilę z George'em samych? Chciałbym z nim porozmawiać. Nie więcej niż pięć minut.

Złapała mnie za ramię.

— Ukrywasz coś? Coś o mamie?

— Nie, nic takiego. Uwierz mi. Chcę tylko powiedzieć coś George'owi...

— Nie kłam, Frannie. Proszę. Wiem, że masz mnie za dziecko...

— To nieprawda, Pauline. Magda jest twoją matką. Gdybym wiedział, że jest z nią źle, nie ukrywałbym tego przed tobą. Czemu miałbym to robić?

— Bo masz mnie za dziecko i...

Nie zostało mi wiele czasu i poczułem, że muszę wyjaśnić Pauline przynajmniej to jedno. Wzięłem ją za ramiona i przyciągnąłem tak blisko, że prawie dotykaliśmy się nosami.

— Wcale tak nie sędzę. Jestem z ciebie diabelnie dumny i uważam, że zostaniesz kimś, tak jak marzyłaś o tym, gdy rozmawialiśmy w garażu. — Dalej słowa nie chciały się układać, ale wiedziałem, że muszę powiedzieć więcej, bo coś zaczynało we mnie pękać. Pękało i rozpadało się w proch, wszystko jednocześnie. Niby niemożliwe, ale jednak.

Życie pełne jest sprzeczności, a my uczymy się do końca swoich dni, jak je godzić. Chciałem powiedzieć tej bystrej, ale naiwnej dziewczynie, by zamknęła się i posłuchała: przekażę ci trochę z tego, co już wiem, czego się nauczyłem,

może ci się przyda. Równocześnie najchętniej niczego bym nie mówił, by nie pozbawiać jej delikatnych niczym bańka mydlana złudzeń. Niech chronią ją jak najdłużej, bo przecież w końcu ta bańka i tak pęknie, a Pauline wyląduje twardo na ziemi. Na razie nie domyślała się nawet, jak to może boleć.

— Słuchaj. . . — Ale teraz ona musiała mnie objąć, bo zgubiłem nagle wątek, słowa utknęły mi w gardle i rozplakałem się.

— Nie chcesz mi czegoś powiedzieć, Frannie? Czy to dlatego płaczesz? Nie chcesz powiedzieć czegoś o mamie? — spytała kaszmirowo delikatnym głosem, jakby równocześnie chciała dodać mi odwagi.

Nie wyczułem w jej słowach ani śladu wyrzutu, lecz raczej sygnał, że dobrze, nawet jeśli kłamiesz na jej temat, to wszystko w porządku. Wybaczam ci i przytulę, aż poczujesz się lepiej. Aż do tego ranka nie wiedziałem, że ta dziewczyna potrafi być właśnie taka. Nagle poznałem ją od całkiem innej strony: seksowna Pauline, Pauline zalotna, wybacząca, rozumiejąca. . . Czemu wcześniej tego nie dostrzegłem? Czemu wcześniej jej nie rozpoznałem?

— Czy jestem dobry dla ciebie, Pauline? Czy byłem dobry jako ojczym?

— No, tak. Bezwarunkowo tak. Czemu pytasz? O co chodzi?

— Po prostu chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. Z twoją mamą wszystko w porządku. Przysięgam, że przekazałem ci dokładnie to, co sam usłyszałem. Ale teraz chodzi o co innego: chcę wiedzieć, czy byłem dla ciebie dobrym facetem.

Uśmiechnęła się. Ze smutkiem, ale ciepło.

— Bardzo dobrym. Tamtej nocy, gdy rozmawialiśmy w garażu, zrozumiałam, jak bardzo cię kocham. Dzięki tobie przestałam się mieć za głupią czy pomyloną. Poczułam się normalnie.

Przytuliliśmy się. Poczułem łzy na mojej twarzy i ciepło jej szczupłego ciała w moich ramionach.

— Nie bądź normalna, Pauline. Nie próbuj nawet być normalna, bo normalność .to pierwszy symptom śmiertelnie groźnej choroby. Jak tylko poczujesz, że nadchodzi normalność, zaraz poszukaj antidotum.

— A jakie jest to antidotum?

Bardzo chciałem powiedzieć coś, co błyskotliwą ripostą zapadłoby jej w pamięć na resztę życia. Ale nie zdołałem wymyślić aż tyle.

— Po prostu upewnij się wtedy, że żyjesz własnym życiem, Pauline. Nie pozwalaj, by normalność wyparła ciebie.

Isabelle Zakrides podeszła do nas z papierami do podpisania. Spytała, kto mógłby porozmawiać z nią chwilę o stanie Magdy. Spojrzałem na nią wyczekująco: coś nowego? Jej oczy odpowiedziały, że nie, to czysta formalność. Powiedziałem, by porozmawiała z Pauline, a dziewczyna rozpromieniła się z wyraźną wdzięcznością.

— Powie mi pani, co jest z moją mamą?

— Jasne, Pauline. Przysiadźmy tam sobie, a zdam ci pełną relację.



Stojąc przed szpitalem, powiedziałem George'owi, co stało się z Johnnym Pentanglesem i że według mnie to Floon go postrzelił. Opisałem też spotkanie z Barrym. Gdy skończyłem, wyraz twarzy George'a mówił sam za siebie.

— Dość to ogłuszające, Frannie. I trudne do przetrwania. Jak cały indyk połknięty w paru kęsach. Co zamierzasz teraz zrobić?

— Chciałem odszukać Barry'ego i zadać mu parę pytań, ale zniknął. Myślę jednak, że wróci, gdy będzie potrzebny. Tymczasem wolałbym, żeby ten kutas Floon nie latał po mieście z bronią. Nie ma jeszcze południa, a on załatwił już dwie osoby i psa.

— A jak go znajdziesz, to co potem? Zostało ci tylko kilka dni, Frannie.

— Najpierw niech dopadnę Floona. To niebezpieczny facet. Potem poszukam tej czwartej części, cokolwiek to jest, u diabła. Co więcej mogę zrobić, George? Nie mam wielkiego wyboru.

Jego normalnie obojętna twarz posmutniała nagle. Bał się o mnie, a na dodatek było w jego spojrzeniu wiele uczucia.

— Jak mogę ci pomóc? — spytał cicho.

— Wracaj do środka i miej oko na Pauline. Nie mogę się nią teraz zajmować. Weź komórkę, żebym mógł cię złapać w razie potrzeby. I odbieraj, jak zadzwoni, na miłość boską! Nie czekaj, aż się bateria wyładuje.

— Dobrze. Gdzie teraz idziesz?

— Do domu. Przebiorę się i wezmę broń. Potem pójdę szukać tego Latającego Holendra.

Popatrzyliśmy na siebie i te kilka sekund zastąpiło bardzo długą rozmowę.

W końcu się przemógł.

— Naprawdę widziałeś Beatlesów, Frannie? Jacy byli?

— Niżsi, niż sądziłem. Nawet Lennon. Zawsze myślałem, że miał dziesięć stóp wzrostu.

\* \* \*

Gdy wszedłem do domu, odezwał się telefon. Wyjeżdżając w pośpiechu do szpitala, zapomnieliśmy zamknąć drzwi. Kiedy przekraczałem próg, usłyszałem ostatni dzwonek, ale gdy podniosłem słuchawkę, nikt się już nie odezwał. Może Floon znowu narozrabiał? Boże broń. Idąc do sypialni, żeby się przebrać, pomyślałem, jak bezsensowny jest ten odruchowo powtarzany zwrot. Jak Bóg może bronić przed czymkolwiek, skoro śpi? Albo karać kogokolwiek, albo ratować? Chociaż, czy śpi tak jak my, że nic do niego nie dociera, czy Barry miał na myśli jakąś kosmiczną metaforę?

Z białymi spodniami w ręce i jedną nogą uniesioną nad otworem nogawki przyłapałem się, że patrzę na łóżko. Czy Bóg śpi na materacu? Czy ma poduszkę?

Jak wielkie jest jego łóżko? Czemu nagle zacząłem się uśmiechać? Zostało mi już tylko trochę życia, a musiałem jeszcze złapać Caza de Floona, zanim postrzeli kogoś następnego, i znaleźć to czwarte coś potrzebne do uratowania wszechświata. Czemu zatem się uśmiechałem?

Włożyłem spodnie i wyprostowałem się, złożąwszy ręce w odwrócone L. Typowa poza Bruce'a Lee gotowego zadawać śmiertelne ciosy. Z głośnym, zgoła filmowym okrzykiem wyprowadziłem taki cios. McCabe, Umierający Władca Wszechświata. George niestety miał rację: to umykało wyobraźni, o zrozumieniu nie mówiąc. Jedynym logicznym rozwiązaniem zdawało się zrobić swoje i zostawić resztę Barry'emu, jego ekipie i całemu towarzystwu z gwiazd.

Sprawa mnie przerastała, ale nie mogłem opanować podziwu dla jej ogromu.

Gdzie znaleźć Floona? Gdzie ja poszedłbym na jego miejscu? Hmm? Gdzie mógłbym pójść bez pieniędzy i dokumentów? Powiedzmy, że przybyłbym tutaj jedynie z tym, co na grzbiecie. I bez wiadomości o otoczeniu. Gdyby nagle przetruciło mnie trzydzieści lat wstecz, bez przygotowania, znajomości i środków utrzymania, nie wiedziałbym, co robić. Powiedział, że chce zmienić parę rzeczy. Zrozumiałem to w ten sposób, że korzystając z wiedzy o przyszłości, ten chciwy drań miał zamiar poprawić stan swoich interesów. Na przykład kupując wagon akcji Microsoftu zaraz pierwszego dnia po rzuceniu tych papierów do sprzedaży. Za co? Obrabowałby bank dla uzyskania kapitału początkowego? Miał broń i dość zimnej krwi, żeby zrobić coś w tym guście.

Stojąc przed toaletką i napełniając kieszenie wszystkim, co mogło mi być potrzebne, spojrzałem na swoje odbicie w lustrze i raz jeszcze zastanowiłem się, gdzie mógł pójść Floon. Co mógłby chcieć zrobić najpierw?

Magda zawsze uwielbiała porządek. Dom był czysty, wszystko na swoim miejscu, jej biurko puste, bez sterty zbytecznych papierów. Rachunki też zawsze płaćcia w terminie. To jedna z najcenniejszych jej cech, szczególnie dla mnie, który nigdy nie potrafiłem tak żyć. Co rano, gdy brała pocztę, układała listy do mnie w zgrabny stosik na mojej toalecie. Przeglądałem je potem, przebierając się po powrocie z pracy. Co bardziej obiecujące czytałem. Resztę zostawiałem na miejscu do chwili, aż nachodziło mnie dość motywacji, by je otworzyć. Magda i Pauline żartowały, że w ten sposób na pewno przepuściłem masę nagród w różnych konkursach, nie mówiąc już o sierotach, które zmarły przeze mnie śmiercią głodową.

Dziś na szczycie stosu leżała koperta z raportem od mojego brokera giełdowego. Gdy miałem już w kieszeniach, co trzeba: pieniądze, notes, pistolet, raz jeszcze przebiegłem w myślach całą listę dla pewności, że niczego nie zapomniałem. Wtedy właśnie spojrzałem na kopertę z wiadomościami giełdowymi, a konkretnie na adres firmy. Ten normalny i e-mailowy... Coś zaświtało mi w głowie.

— To oczywiście, drogi Watsonie! — I zaraz wybiegłem z domu. Zupełnie jak koń z płonącej stajni.

Miejska biblioteka była oczkiem w głowie Lionela Tyndalla, jedyne nie-przyzwoicie bogatego mieszkańca Crane's View. Stary i samotny ekscentryk zrobił fortunę na poszukiwaniu ropy naftowej. Zanim umarł, dał na bibliotekę tyle pieniędzy, że aż miło było tam zaglądać. Niezmiennie mieli tam zawsze nie tylko sporo najnowszych książek, ale też najnowocześniejsze wyposażenie wymieniane za każdym razem, gdy pojawiał się coś lepszego. Kierowniczką biblioteki, pani Maeve Powell, cierpliwie pokazywała mi, jak obsługiwać komputer, a gdy to pojąłem, nauczyła jeszcze surfować po Internecie.

Gdy wszedłem tam tego ranka, Maeve siedziała za biurkiem i przeglądała wielką jak płyta nagrobna księgę o zegarkach. Sala komputerowa mieści się za tym biurkiem, po prawej. Z miejsca, gdzie stałem, nie mogłem do niej zajrzeć. Nie mogłem sprawdzić od razu, czy Floon jest w środku, i trochę mnie to niepokoiło.

Pani Powell jest osobą poważną niczym urzędowa pieczęć i gdy się uśmiecha, oznacza to szczególne względy. Spojrzała na mnie znad książki i uśmiechnęła się.

— Dzień dobry, Francis.

— Cześć. Jesteś tu dziś od otwarcia biblioteki?

— Tak. Właśnie czytałam o Breguet Tourbillon...

— To miłe. Czy był tu dzisiaj gość w kolorowym stroju do joggingu, około sześćdziesiątki, z bujnymi siwymi włosami? Mówi z obcym akcentem.

— Tak. Był bardzo uprzejmy. Poprosił o kompakt z encyklopedią Encarta i słownik z podręcznej biblioteczki.

Potem poszedł z nimi do sali komputerowej.

— Wiedziałem! Wiedziałem, że poszuka komputera i dostępu do tego przekłętego Internetu. Czy ktoś jeszcze jest w bibliotece? — Rozejrzałem się. Przy stole siedziała gruba kobieta w żółtej sukni i czytała magazyn „Utnę Reader”. — Ktoś oprócz niej?

Maeve pojęła, dlaczego pytam, i odpowiedziała cicho:

— Tak, w sali komputerowej jest jeszcze kilkoro dzieci.

— Cholera. — Wciągnąłem głęboko powietrze i wypuściłem je powoli. — Dobra, jakoś sobie z tym poradzimy.

— Kim jest ten człowiek, Frannie?

Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć jej dokładnie wszystko, ale coś mnie powstrzymało.

— Nieważne. Muszę z nim porozmawiać i może się zrobić niebezpiecznie. Jest ktoś jeszcze poza nią i tymi dzieciakami?

— Nikt.

— To może wyjdiesz na chwilę i weźmiesz ze sobą tę kobietę?

— Mam zadzwonić na posterunek?

— Nie, najpierw zobaczymy, czy sam sobie z nim nie poradzę. Ale wy wyjdźcie na zewnątrz.

Wstała zaraz, ale potem się zawahała. Pomyślałem, że chce coś powiedzieć. Zamiast tego obeszła jednak biurko i zbliżyła się do kobiety. Maeve zaczęła wyjaśnienia i przez chwilę obie patrzyły na mnie. Grubaska też wyraźnie nie chciała wychodzić. W końcu jednak usłyszała coś, co skłoniło ją do zmiany zdania. Zerwała się z krzesła, jakby ją katapultowało. Z szybkością wyścigowego motocykla minęła mnie i wybiegła na zewnątrz. Wszystko jasne.

Mijając mnie, Maeve przystanęła jeszcze.

— Frannie?

— Tak? — Spojrzałem na drzwi sali komputerowej, modląc się, by wyszła jak najszybciej i dała mi szansę uporania się z całą sprawą.

— Moja córka Nell tam jest. Nell i jej przyjaciółka Layla.

— Zajmę się wszystkim. Nie ma powodów do niepokoju.

— Gdyby coś się stało. . .

— Nic się nie stanie — odparłem spokojnym tonem, jakby rzeczywiście chodziło o drobiazg. — Wejdę tam i wyjdę z tym gościem. Raz, dwa, i znikniemy stąd. Proszę, zaufaj mi.

— Ufam ci, Frannie. Ale to Nell. Nie pozwól, żeby cokolwiek stało się mojemu dziecku.

— W żadnym wypadku nie pozwolę. — Dotknąłem dłonią jej policzka. Była bliska łez, powieki jej drżały.

Gdy znikła z budynku, obszedłem wolno biurko. Przyłgnałem do ściany i odbezpieczyłem moją berettę. Trzymając ją przy boku, przesunąłem się ostrożnie w kierunku sali komputerowej. Docierałem już do drzwi i zaraz miałem zajrzeć przez szybę, gdy całkiem bez ostrzeżenia eksplodowała mi w głowie supernowa niewiarygodnego bólu. Ponieważ opierałem się o ścianę, nie upadłem, tylko osunąłem się na podłogę. W każdej innej sytuacji upadłbym na twarz. Nie panowałem nad własnym ciałem.

Najpierw pomyślałem, że ktoś do mnie strzelił, ale zaraz przestałem myśleć o czymkolwiek. Ból wypełnił wszystko, ledwo mogłem oddychać, nic nie widziałem. Nie znałem dotąd gorszego cierpienia. Najgorsze, że przez cały czas pozostałem przytomny. Żadnego omdlenia, ucieczki. . . Musiałem wyglądać jak pijany, gdy siedziałem tak na podłodze i gapiłem się w przestrzeń. A naprawdę to czułem się, jakby ktoś dokonał w mojej głowie testu nuklearnego. Z podziemnymi wybuchami atomowymi jest tak samo: na powierzchni widać jedynie niewielkie zapadlisko, a pół mili niżej szaleje piekło o mocy pięćdziesięciu megaton.

Nie wiem, jak długo to trwało. Może pięć sekund, może minutę. Nie wiem też, jakim cudem przetrwałem. Gdy zaczęło ustępować, byłem ciężko wygłupiony. Oglupiały właściwie. I prawie sparaliżowany. Bałem się ruszyć, czując, że coś poprzestawiało mi się w głowie i teraz już nic nie będzie takie samo.

Dalej siedziałem na podłodze i patrzyłem na wielką, czarno-białą fotografię Ernesta Hemingwaya wiszącą na przeciwległej ścianie. Obok widniały podobizny

Fitzgeralda, Faulknera, Emersona i Thoreau. Znałem te twarze, ale całą wieczność trwało, nim wygrzebałem ich nazwiska przysypane wieloma tonami mentalnego gruzu. Dla upewnienia się, że to Hemingway, wypowiedziałem głośno jego nazwisko. Zabrzmiało poprawnie, chociaż ciągnęło się jak karmelowa mordoklejka. Wieki minęły, nim doszedłem do ostatniej głoski.

Czułem dłońmi chłód podłogi, twardą ścianę za plecami, ale na sobie polegać już nie mogłem. Skończyło się. Gdy umysł wznowił pracę, od razu pomyślałem, że oto guz mózgu zaczął przejmować nade mną kontrolę. Wbrew temu, co mówił Barry, nie miałem kilku dni. Mylił się. Być może nie dożyję nawet do wieczoru.

Spróbowałem unormować oddech, ale bez powodzenia. Płuca dalej pracowały spazmatycznie jak u osaczonego zwierzęcia. Chciałem siłą woli zmusić je do miarowego i głębokiego oddychania, ale też nie zadziałało. Przesunąłem spojrzeniem po przeciwległej ścianie i po podłodze, aż trafiłem na własną dłoń. Nadal trzymałem w niej broń, chociaż długo nie mogłem rozpoznać, co to za przedmiot.

Z sali komputerowej doleciał dziecięcy śmiech. To wyostrzyło mi myśli bardziej niż cokolwiek innego. Przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem: dostać Floona, wyciągnąć córkę Maeve. Wstawaj.

— Wstawaj, kulwa. — Uśmiechnąłem się, słysząc własne przejęzyczenie. Wypowiedziałem błędnie jedno z moich ulubionych słów. Spróbowałem raz jeszcze, uważniej. — Wstawaj, kurrwa. — Dobrze, teraz trzeba wstać. Spróbowałem dźwignąć się z podłogi, ale byłem niesamowicie ciężki. Jakby siła grawitacji urosła dwukrotnie. Albo i trzykrotnie. Żadnych szans, żeby się podnieść.

Na chwilę głowa znowu zapłonęła mi żywym ogniem. Przed oczami zatańczyła mi długa na wiele mil błyskawica, jakie trafiają się na sierpniowym niebie. Ale to wszystko. Jedna błyskawica, chwila bezdechu, i po wszystkim. Minęło.

Znów przemówiłem sobie do słuchu, ale teraz nie własnym głosem:

— Wstawaj, do kurwy nędzy — powiedziałem ja-nie ja, tym razem z idealną artykulacją.

— Nie mogę. Brak mi sił — odparłem z całkowitym spokojem, bez śladu użalania się nad sobą.

— Ty nie możesz, ale ja tak. Więc wstawaj — zabrzmiał znowu głos Gi Gi.

— Gdzie jesteś? — spytałem wyczekująco.

— Wszędzie, gdzie mnie potrzebujesz. No już, wstawaj.

Uznałem, że dobrze będzie odłożyć pistolet na linoleum podczas próby wstawania. Nie chciałem narobić hałasu. Broń została czarną plamą na żółtym tle. Jak ja nie cierpię żółtego!

— Zapomnij o żółtym! Myśl o najważniejszym. Przede wszystkim patrz, co robisz.

— Dobra. — Zwilżyłem wargi i zebrałem się w sobie, żeby wstać. Z początku szło powoli. Wyprostowałem się trochę i całkiem nagle poczułem przypływ świeżych sił, ale tylko w rękach, nigdzie indziej. Te ręce... miałem wrażenie, jakby

należały do kogoś bardzo mocnego i sprawnego. Kogoś może siedemnastoletniego... — To ja czy ty, Gi Gi?

— Tak, to ja, znaczy ty. Ale nie próbuj filozofować. Bierz się w garść i do dzieła. — W jego głosie wyczułem irytację, jakby moja bezradność dawała mu do wiwatu.

Stanąwszy, spojrzałem na podłogę, na mój pistolet. Leżał chyba pięć mil w dół, odległy niczym dno Wielkiego Kanionu. Mogłem go za chwilę bardzo potrzebować, ale nie wiedziałem, czy zdołam go podnieść, nie padając jak długi.

— Chyba mi się nie uda.

— Bierz broń, do cholery.

Jak ten starzec, którym byłem w Wiedniu, ostrożnie ugiąłem kolana i powolutku przykucnąłem, by sięgnąć po berettę. Udało się, a ja poczułem się, jakbym naprawdę czegoś dokonał, gdyż mimo silnych ramion, reszta ciała nadal była prawie bezużyteczna.

— I co teraz? — rzuciłem w pustkę. Nie doczekałem się odpowiedzi. Gi Gi zniknął akurat wtedy, gdy byłby najbardziej przydatny.

Etna w mojej głowie ledwo przygasła po erupcji, dym z popiołem prawie że buchały mi z uszu i nie miałem pewności, czy znów się za chwilę nie wywrócę. A mimo to miałem wejść tam, do środka, i rozbroić szalonego milionera i mordercę i ochronić jeszcze przed nim dwoje dzieci.

Troje dzieci. Gdy udało mi się dotrzeć do drzwi, zerknąłem przez szybę i ujrzałem plecy trzech małych istot stojących wkoło jednej większej. Dwie dziewczynki, jeden chłopiec i Floon patrzyli na ekran monitora. Floon siedział, ale żadne z dzieci nie sięgało mu powyżej ramienia. Maluchy przysunęły się jak najbliżej, żeby nie przeoczyć nic z tego, co migotało na ekranie. Pokazywał taką masę informacji, że moje oczy nie zdołały jej sobie przyswoić ani rozpoznać. Ponieważ wszyscy byli do mnie odwróceny plecami, patrzyłem dalej.

Floon sięgał co chwilę do klawiatury i pisał coś na niej w tempie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Dlatego dzieci tak się śmiały. Ilekroć atakował komputer, piszczały z uciechy i pchały się, byle bliżej. Słyszałem, że rekordzista potrafi zapisać sto sześćdziesiąt słów na minutę, ale Floon był nieporównanie lepszy. Komputer nie nadążał za nim. Przysięgam na Boga, że dawało się dostrzec narastające opóźnienie pomiędzy wpisywanymi komendami a sytuacją na ekranie. Floon wyglądał przy tym jak postać z filmu rysunkowego puszczanego na przewijaniu.

W końcu usiadł wygodnie i poczekał, aż komputer go dogoni i zrobi, co trzeba. Parę sekund później ekran zalała fala słów, grafiki i czegoś na kształt symboli matematycznych. Floon popatrzył i znów rzucił się na klawiaturę. Dzieciaki szalały, ale miliarder jakby w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Może zresztą naprawdę ich nie zauważał. Ale ja owszem... zauważałem je, a nawet więcej, szczególnie od chwili, gdy chłopiec odwrócił się do Nell Powell i pchnął ją na drugą dziewczynę.

czynkę. Nell mu oddała, przez co stracił równowagę i siadł z rozmachem na tyłku. Wtedy dopiero zobaczyłem jego twarz... i to byłem ja, dziewięcio- lub dziesięcioletni. W sali komputerowej był mały Frannie McCabe, a duży i stary Frannie McCabe stał przed drzwiami i patrzył.

Gdy spytałem Gi Gi, gdzie jest, odparł: „Wszędzie, gdzie mnie potrzebujesz”. Więc o to chodziło? Nie był już tylko mną i nastolatkiem, ale McCabe’em z dowolnego czasu. Nawet małym chłopcem, tam z Floonem. Wszystko równocześnie.

Siedząc ciągle na podłodze, dzieciak spojrzał na drzwi. Z miną ministranta, który zmienił się na chwilę w miejskiego szczura. Albo odwrotnie. Nie okazując nawet śladu zdumienia, uśmiechnął się do mnie jak do współnika w niecnym dziele i uniósł kciuki do góry.

Odwrociłem się od drzwi i oparty o ścianę zacisnąłem mocno powieki. Pokręciło się, ale nieważne. Tak już będzie do końca: wszędzie chaos, żadnych wyjaśnień, głowa tykająca niczym bomba zegarowa i co rusz jakiś McCabe wyrastający, gdzie go nie posiali. Pokręciło się, ale ty zrób z tego użytek, wykorzystaj, ile się da, bo nic więcej i tak począć nie możesz, chłopie.

Stojąc znów przy oknie, patrzyłem, jak chłopiec wstaje i ponownie zerka w moją stronę. Uniósł brwi, pytając wyraźnie: co mam zrobić? Nell też to dojrzała i obróciła się ku drzwiom, więc szybko się cofnąłem. Nie chciałem, by wiedziała, że tu jestem.

Jaki miałem wybór? W czym mógłby wyrezytować mnie mały chłopiec, silniejszy pewnie i przytomniejszy w tej chwili niż ja, ale tylko chłopiec? Co takiego mógłby zrobić Floonowi? Atak wyczerpał mnie, byłem przez to roztrzęsiony i aż nazbyt świadomy groźby, że w każdej chwili znowu mogę upaść.

Jeśli czegoś mi w dzieciństwie brakowało, to na pewno cierpliwości. Już wcześniej powinienem sobie to przypomnieć, a najpóźniej w chwili, gdy mały zaczął mnie poganiać zirytowaną miną. Całym ciałem pytałem, co, u diabła, ma zrobić.

Pokazałem mu najlepiej, jak mogłem, co ma zrobić. Nakreśliłem w powietrzu kształt monitora i jeszcze parę rzeczy. Zrozumiał szaradę, przytaknął i zajaśniał niczym tysiacywatowa żarówka. Spodobało mu się.

Bez chwili wahania obszedł stukającego w klawisze Floona i chwycił monitor w obie ręce, dźwignął i zrzucił na podłogę. Huknęło, cała czwórka zamarła na kilka sekund, ale ten skurczybyk Floon nie zareagował, jak oczekiwałem. Zamiast rozedrzeć paszczę w ataku szału i godnej Rumpelstiltzkińskich desperacji, że mu wszystkie dane przepadły i cała mrówcza robota na nic, on tylko wstał i przesiadł się do następnego komputera. Z przerażającym opanowaniem znów zaczął pisać i nawet mu się palec z klawisza nie omsknął.

Skoro pomysł spalił na panewce, otworzyłem po prostu drzwi, podszedłem do Floona i rąbnąłem go w tył głowy kolbą broni. To podziałało. Z wielkim impetem

uderzył czołem w monitor, aż ekran pokrył się siatką pęknięć. Złapałem jeszcze za szopę siwych włosów i doprowadziłem do zderzenia jego twarzy z klawiaturą.

— Wynocha, dzieciaki. Nell, twoja mama czeka na zewnątrz.

Dziewczynki wymiotło, ale mały McCabe został.

— Ale to było fajne!

— Wyjdź.

— Mowy nie ma! Myślisz, że daruję sobie taki cyrk?

Uderz go jeszcze raz.

— Idź albo powiem twojej mamie o tych piętnastu dolarach, które wykradłeś jej z portmonetki, żeby pojechać na imprezę motoryzacyjną w White Plains.

Szczęka mu opadła.

— Skąd wiesz?

— Zwykła telepatia — odparłem, tłumiąc uśmiech. — Poczekaj na mnie na zewnątrz.

— Żeby to kaczki. . . — mruknął i skierował się ku drzwiom. — Ale pamiętaj, będę na ciebie czekał.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, raz jeszcze trzasnąłem twarzą Floona o klawiaturę. Nie, żeby było to konieczne, po prostu miałem ochotę mu przyłożyć. Nie czułem się już policjantem i mogłem sobie pozwolić na nieprofesjonalne zachowania. Potem poszukałem jego broni. Była. Wziąłem i przełożyłem ją do własnej kieszeni.

— McCabe. . . — wymamrotał.

— Zamknij się, Caz, albo znowu zagram twoim łbem w palanta. Nie myśl, że mnie nie kusi.

— Słuchaj, McCabe. . . — powtórzył z uporem pijanego trzymającego się płotu.

Ból przeszył mi czaszkę. Nie teraz! Proszę, tylko nie teraz. Wyprostowałem się i przeczekałem ze sztywnym karkiem.

— Spójrz przynajmniej na ekran, McCabe.

Na ekranie widniało coś, co kojarzyło się z bardzo gęsto upakowanym rozkładem jazdy pociągów.

— Patrzę i co z tego?

— Tan. . . — Wziął głęboki oddech, ale rozkaszał się w połowie wdechu. Krew pociekła mu z ust na blat. — Tancrexis. Jeszcze tego nie wynaleziono! Nigdzie nie ma żadnej wzmianki. Czy to nie dziwne? Nie ma nawet takiego hasła w słowniku. Nikt o tym jeszcze nie wie.

— Nie wiem, o czym gadasz, Caz. I mało mnie to obchodzi.

— Nie o b c h o d z i c i ę? Rozkład tankretyczny cię nie obchodzi? Nuklearna transmutacja? To z i m n a f u z j a, idioto! Jak to się stało, że jeszcze tego nie odkryli?



Znów uderzyłem jego głową o klawiaturę. Zaczynało mi się to podobać. Złość na tego dupka napędziła mi do krwi tyle adrenaliny, że nawet sił mi przybyło.

— Za mały kutas na mnie jesteś, Floon. — I dośpiewałem mu jeszcze, na melodię *Wonderful World* Sama Cooka:

Nie wiem wiele o zimnej fuzji,  
Jeszcze mniej o Floona konfuzji,  
Ale wiem, jak skopać mu dupę,  
I chętnie zaraz ci przyłupię. . .

Nie obchodzi mnie, czego szukasz. Zaraz stąd wyjdziemy, a jeśli zrobisz po drodze cokolwiek, co mi się nie spodoba, zabiję cię bez wahania. Masz na to moje słowo.

— Nie możesz mnie zabić. Jesteś policjantem.

— Czas przeszedł, Caz. Minęło. Nowy, wspaniały świat nam nastał. Wstawaj.

— Proszę, McCabe, daj mi dwie minuty. To, co usłyszysz, odmieni twoje życie.

Parsknąłem.

— Niewiele mi go już zostało i dość się ostatnio zmieniło, żebym nie miał ochoty na dalsze rewolucje. Czego chcesz? Masz minutę. Gadaj.

— Dobrze. — Dotknął czoła i skrzywił się. Spojrzał bezradnie na swoje zakrwawione palce. Jego zagubienie poprawiło mi humor.

Zerknąłem na nadgarstek bez zegarka i przyłożyłem go do ucha, że niby słucham, czy tyka.

— Minęło już trzydzieści sekund z twojej minuty, Caz.

— Przestań! Powinieneś być mi wdzięczny za to, czego się dowiesz. Pokażę ci, jak zostać bardzo bogatym.

Co najmniej tyle. Starczy pięć minut. Daj mi tylko pięć minut. . .

— Dwie. Jestem już bogaty.

— Dwie, dobrze. Pokażę ci. — Przesunął się do trzeciej z kolei maszynki. W tym tempie biblioteka mogła zostać niebawem bez komputerów. Załomotał po klawiaturze i wydobył coś na ekran.

— Znam tę stronę! Finanse Yahoo.

— Zgadza się. A teraz patrz — powiedział, pisząc coś dalej. Po chwili wyszukiwarka pokazała stronę firmy „SeeReal”, w wykazach giełdowych figurującej jako SEER. Jej udziały sprzedawano po cztery dolary i piętnaście szesnastych. SeeReal działała od trzech lat, ale na razie nie przyniosła ani centa dochodu.

— SEER. Znacząca nazwa, Caz. Cztery dolce za udział? To ma być znak jasnowidzenia? Do INTEL-u im daleko, idziemy.

— Nie, musisz mnie wysłuchać! — uniósł się. — SeeReal wynalazł substancję zwaną naterskine. Dalsze badania doprowadzą ich do czegoś, co nazywa się

rozkład tankretyczny. Gdy rzecz się rozejdzie, wartość kompanii skoczy dziesięciokrotnie, firma stanie się potężniejsza niż General Electric. Uwierz mi, McCabe. To dlatego tak mną wstrząsnęło, gdy odkryłem, że to się jeszcze nie stało. Nawet w najnowszych słownikach ani encyklopediach nie ma wzmianki o tym wynalazku. Ale to twoja szansa, McCabe. To tak, jakby Bill Gates poprosił cię o zainwestowanie w nową firmę, którą założył pod nazwą Microsoft. A jeśli dasz mi więcej czasu, to znajdę ci jeszcze masę innych okazji. Zainwestujesz w nie, a za pięć lat będziesz bogaty jak Krezus.

— Uczepiłeś się mnie jak gówno podeszwy, Floon. Im szybciej cię zeskrobie, tym lepiej. Z jakiegoś niepojętego powodu spotkał cię przywilej cofnięcia się o trzydzieści lat. Doświadczyłeś podróży w czasie, na miłość boską. To czterogwiazdkowy cud, absolutnie fascynująca przygoda. A ty co robisz? Siadasz do komputera, żeby robić pieniądze. Zniesmaczasz mnie.

— Nie o to mi chodziło.

— Nieważne, o co ci chodziło. Wstawaj.

— Nie bądź dupa, McCabe. Żaden z nas nie wie, czemu zostaliśmy tu odesłani. Nie wiemy też, czy kiedykolwiek wrócimy do naszych czasów. Czemu nie spróbować się zabezpieczyć?

Uważał najwyraźniej, że spotkał nas ten sam los.

— Twoim zdaniem zostałem tu przysłany z twojego czasu?

Zamrugał kilka razy, jakby przyszło mu patrzeć na dziwowisko, a gdy się odezwał, jego głos pełen był sarkazmu.

— Witamy, panie McCabe. Czy to nie w Wiedniu spotkaliśmy się ostatnio?

— Floon, ty masz sześćdziesiąt lat. Czyja wyglądam na tyle?

— To nieistotne...

— Właśnie że bardzo istotne. Odesłanie cię wstecz było błędem. Odesłanie mnie było naprawieniem wcześniejszego błędu. To mój czas i nie ma mowy o pomyłce.

Nie uwierzył mi. Skrzyżował ręce na piersi.

— Skąd wiesz?

Już miałem mu wszystko wyjaśnić, ale pomyślałem, że nie warto się wysilać.

— Bo obcy mi powiedzieli. Idziemy.

— Jacy obcy? — spytał takim tonem, jakby w to akurat uwierzył.

— Nie spotkałeś ich jeszcze? Nie spotkałeś Marsjan ze Szczurzego Ziemniaka? Miłe chłopaki. Na Ziemi pojawiają się przebrani za sanitariuszy lub garniturowych czarnych z kosztownymi zegarkami. Ruszaj się.

— Gdzie idziemy?

Właśnie. Dokąd mieliśmy pójść? Aż do tej chwili nie zastanawiałem się, co z nim zrobić. I co zrobić z całym tym zamieszaniem. Floon trafił w dziesiątkę. Do więzienia go zabrać nie mogłem. Wyjaśnianie wszystkiego na posterunku zabrałoby zbyt wiele czasu, a czasu akurat nie miałem.

— Nie chcesz wiedzieć, co robiłem z pomocą komputera, McCabe?  
— Nie i zamknij się. — Gdzie, u diabła, miałem go zabrać?  
Drzwi otworzyły się i w progu stanął mały ja.  
— Gliny przyjechały.  
— Że jak? Nie kazałem ci czekać na zewnątrz?  
— I czekałem, geniuszu mniemany. Ale teraz czekają tam gliny. Więc wszedłem, żeby ci o tym powiedzieć. Pomyślałem, że wolałbyś wiedzieć. Przyjechali dwoma gablotami i rozmawiają teraz po drugiej stronie ulicy z bibliotekarką.  
— To Maeve musiała ich wezwać — mruknąłem, myśląc głośno.  
— Zamierzasz mnie aresztować, McCabe? — spytał wyzywająco Floon.  
— Raczej każe cię wypchać. A teraz zamknij paszczę. Muszę pomyśleć.  
Popatrzyli na mnie obaj, jakby uważali, że panuję nad sytuacją. Floon czekał biernie, chłopiec cały szczęśliwy, że tym razem nie kazałem mu wyjść, co znaczyło dlań, że będzie siedzieć mi na karku i nie umknie mu nic z dalszego rozwoju wydarzeń.  
Nadal myślało mi się ciężko, ale najszybciej jak mogłem zrobiłem przegląd możliwości. Jeśli zostaniemy w bibliotece, Bill Pegg uzna w końcu, że ktoś tu występuje w roli zakładnika i podejmie odpowiednie kroki. To by nie wróżyło dobrze. Lubiłem Billa, ale wiedziałem też, jak bardzo marzy o bohaterskich czynach. Dotąd nie miał wielkiego szczęścia. Mógłby uznać, że oto wybiła jego godzina, co niekoniecznie wyszłoby nam na zdrowie.  
O wiele prościej byłoby po prostu wyjść z biblioteki. Ale wówczas musiałbym strawić parę godzin na wyjaśnianie tej niezwyklej sytuacji. Raz jeszcze uznałem, że nie mogę sobie pozwolić na stratę czasu.  
— A co z piwnicą? — spytał mały, ale dopiero po chwili pojąłem, o czym mówi.  
— Co?  
— Piwnica. Może byśmy się wymknęli przez piwniczne drzwi?  
— Czemu wymknęli?  
— Bo na zewnątrz są gliny, dzwońcu! Jezu, chcesz, żeby cię złapali czy jeszcze gorzej?  
— Co to za dzieciak, McCabe?  
— Mój syn.  
— W żadnym razie!  
— No, prawie. Skąd wiesz o przejściu przez piwnicę?  
— Bo znam tu każdy kąt. Zbadałem dokładnie całą okolicę. Razem z tym chłopakiem znaleźliśmy drogę schodami w dół i dalej przez drzwi przeciwpożarowe.  
Ciągle zbyt mi iskrzyło w głowie, bym mógł sobie przypomnieć, o jakim chłopaku mówi. Owszem, zablokowałem kiedyś zamek w tamtych drzwiach, chyba

nawet miałem wtedy tyle lat, co mały. Wówczas włączyłem się z Alem Salvato. . .

— Al Salvato — powiedziałem, zanim zdążyłem pomyśleć.

Mały Fran przytaknął, bo przecież o nim właśnie mówił. I miał rację: mogliśmy bez trudu wymknąć się tamtymi drzwiami, by po strategicznym odwróceniu różnymi zakątkami w pięć minut zniknąć z okolicy.

— Bystry jesteś. A skoro to twój pomysł, to może poprowadzisz?

— Okay.

Wziąłem Floona za ramię i pchnąłem go przed sobą. Nie stawiał oporu, co było mądrym posunięciem, gdyż z miejsca zarobiłby znowu w czachę. Wyszliśmy z sali komputerowej i skręciliśmy w prawo, ku szerokiej klatce schodowej. Dzieciak zbiegł po kilka stopni naraz, nam szło to wolniej, ale w końcu też stanęliśmy na dole.

Mały machał już, byśmy szli za nim.

— To tamte drzwi.

— Jak ci się podoba ten bystrzak, Floon? Zaraz nas stąd wyprowadzi. Nic dziwnego, że jestem taki lotny. . . Młodo zaczynałem.

— O czym ty, u diabła, mówisz, McCabe? -Mniejsza z tym. Po prostu idź za tym młodocianym geniuszem.

Już miałem pchnąć drzwi, gdy dostrzegłem na ścianie znak mówiący, że to awaryjne wyjście przeciwpożarowe. To oznaczało, że w chwili ich otwarcia rozlegnie się „wyraźnie słyszalny sygnał”, jak głosiły przepisy. Skłonny byłem przypuszczać, że oznacza to syrenę zdolną wystraszyć rabusia próbującego wyśliznąć się z biblioteki ze skradzioną książką. Wycie upiornych mechanizmów nie pomogłoby nam w dyskretniej ucieczce.

— Czy mogę coś zaproponować? — spytał Floon, ale wcale nie poczekał na pozwolenie. — Gdy otworzysz te drzwi, uruchomisz jednocześnie elektroniczny alarm. To na wypadek, gdybyś nie przeczytał tego schildu.

— To się nazywa tabliczka, Floon, albo plakietka. Nie schild. Wiem już o alarmie.

— To i dobrze, a gdybyś rozejrzał się trochę, to pewnie znalazłbyś też kable czujników. Kable można rozłączyć.

Jego spokojny ton obudził moją podejrzliwość.

— Czemu tak ci zależy, żebyśmy wyszli stąd po cichu?

— Ponieważ nie chcę zostać aresztowany. Mam pewne plany, których nie zrealizuję, jeśli będę siedział w celi więziennej.

— Niczego nie zrealizujesz, póki z tobą nie skończę. A potem sam zamknę cię w pudle.

Chłopiec oparł dłonie na biodrach i spojrzał na nas z ukosa.

— Gadacie czy idziecie? Dalej, ruszajmy się!

Odszukanie kabla zajęło pięć minut, a przecięcie go z pomocą „Bucka”, pękatego scyzoryka małego, ledwie parę sekund. Po chwili byliśmy już na zewnątrz i drzwi zatrzasnęły się za nami. Weszliśmy na niewielki pagórek, minęliśmy wąski strumyk, a gdy się obejrzelśmy, gmach biblioteki zniknął nam już z oczu. Podobnie jak moja niepewność, dokąd pójść.

— Teraz w prawo.

— Czy mogę spytać, gdzie idziemy? — Pedantyczny Floon niezmiennie przemawiał raczej, niż mówił. Miałem wrażenie, że w tej chwili dobrze się bawi moim kosztem i chętnie przyłożyłbym mu kijem baseballowym.

— Do domu George’a.

— Po co? Już tam byliśmy! — Po raz pierwszy w jego głosie pojawił się ton irytacji. Wreszcie coś ludzkiego!

Chłopiec szturchnął mnie w bok.

— Kto to jest George?

— Słuchaj, junior, jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc w bibliotece, ale jeśli chcesz dalej mi towarzyszyć, to zapamiętaj, że nie życzę sobie żadnych pytań. Żadnych, o nic. Zbyt wiele się ostatnio dzieje i łeb mi wysiada. Pytania nie ułatwią mi życia. *Capische?*

— Tak, ja *capische*.

— Dobrze. Ale tym razem jeszcze ci odpowiem: idziemy do domu mojego przyjaciela. Ma na imię George i jest bardzo mądry. Chcę, żeby pomógł mi coś ustalić. Okay? To jeśli chodzi o bieżące plany.

Szliśmy znajomymi podwórkami i bocznymi uliczkami Crane’s View. Mały chłopiec prowadzący dwóch mężczyzn w średnim wieku. Chwilami podskakiwał w marszu i uśmiechał się do siebie zagubiony w świecie własnych myśli. Patrząc na niego, próbowałem przypomnieć sobie fragmenty tego świata, w którym kiedyś żyłem: cukierki z likworem Good and Planty, podnoszone łóżko w moim pokoju, Early Wynn rzucający piłką w Cleveland Indians, magazyn „Famous Monsters of Filmland”, Beatlesi śpiewający *I Wanna Hold Your Hand*, *The Three Stooges* w telewizji. Wszystkie smakowite drobiazgi, które wypełniały tamte dni. Niektóre wróciły, ale większość zniknęła, co napełniało mnie smutkiem. Żałowałem, że nie mam czasu przysiąść gdzieś z tym chłopcem i poprosić go, by opowiedział o swoim życiu. Moim życiu. Wtedy przypomniabym sobie wszystkie detale i zatrzymał tę wiedzę na resztę życia, która mi pozostała.

Chwilami wyglądał na zagubionego, bo miasto zmieniło się przez czterdzieści lat. Znane mu domy były nie tam, gdzie oczekiwał, a przecież domy winny stać zawsze na swoim miejscu. Inne też były sprzęty wkoło i jeszcze cała masa obcych kręciła się po ulicach. Skąd oni się wzięli? Nikt nie zna małych miasteczek lepiej niż mieszkające w nich dzieci. Ulice są ich żywiołem. Zapamiętują ludzi, samochody i witryny sklepów. Latem, gdy nie mają wiele do roboty, to albo nudzą się w domu, albo wędrują po mieście. Zatrzymują się z rowerami, by popatrzeć na

samochody wprowadzane na podnośnik przy stacji benzynowej, wiedzą, kto przybył, kto wybył. O każdym nowym członku społeczności dowiadują się pierwsze i zaraz potrafią powiedzieć, ile jest dzieci w tej rodzinie, jakiego mają psa, jakie meble i czy mąż krzyczy na żonę.

Crane's View było miastem małego Frana, chociaż to nie było to samo Crane's View. Jednak zmiany, które musiał wszędzie dostrzegać, jakoś nie wytrącały go z równowagi. Gdy napotykał coś szczególnie zaskakującego, przystawał i oglądał się na mnie, oczekując instrukcji. Floon szedł kilka kroków przede mną, ale ja patrzyłem głównie na dzieciaka i wciąż się uśmiechałem. Podobała mi się jego gotowość do zaakceptowania modyfikacji krajobrazu; chociaż inny, ten świat też był w porządku. Wyraz twarzy małego sugerował pełną otwartość na każdą nowość.

— McCabe? — Floon odwrócił się i spojrzał na mnie.

Pchnąłem go do przodu.

— Ruszaj się, dupku.

— Ruszam się. Jak sądzisz, dlaczego zostaliśmy tu odesłani?

— Wiem, czemu mnie odesłali, Caz. Ty jesteś tu przez pomyłkę. Robisz za ofiarę brakoróbstwa.

— Skąd wiesz?

— Obcy mi powiedzieli.

— Jesteś bardzo pomocny.

— Zawsze do usług.

Szliśmy dalej, chłopak niezmiennie na przedzie.

— Słuchaj, Caz, jak byś wiosłował na drewnianym morzu?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Nie lubię szarad.

— Łyżką.

Spojrzeliliśmy obaj na chłopca.

— Łyżką?

— Tak, bo nie ma czegoś takiego, jak drewniane morze. A gdyby nawet, to byłoby czyste wariactwo, zatem do wiosłowania na nim też trzeba by użyć czegoś zwariowanego. Na przykład łyżki. Zresztą, może to nie morze, tylko litera C? Widzisz?<sup>3</sup> — Uśmiechnął się przekornie. — O którą z tych możliwości ci chodziło?

— Chryste, nawet o tym nie pomyślałem.

Floon patrzył to na moją młodocianą wersję, to na mnie.

— O czym nie pomyślałeś? — spytał.

— Że może to nie morze, tylko C.

Caz zmarszczył brwi.

---

<sup>3</sup>Wyraz „morze” — *sea* — nie różni się wiele w potocznej mowie od wyrazu *see*, który tutaj znaczy „widzisz, rozumiesz”, oraz od wymowy litery C (przyp. tłum.)

— Cofam moje słowa, McCabe. On może być twoim synem. Dostrzegam znaczne, wręcz rodzinne podobieństwa w zawiłościach myślenia.

— Zawiłościach, mówisz. Ty to masz określenia. Ja jestem niby zawiły. A kto wpadł niedawno na pomysł przerzucania się zgadywankami?

Chłopiec zrównał się ze mną. Podskoczył parę razy i ku mojemu zdumieniu, wziął mnie za rękę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Było mi dziwnie, ale też miło. Trzymać się za rękę z sobą samym młodszym o czterdzieści lat.

— Co będziesz robił, gdy dorośniesz? — Znałem odpowiedź, ale i tak chciałem, żeby powiedział. Chciałem usłyszeć jego głos dochodzący z tej epoki marzeń, w której żyłem przez wiele chłopięcych lat.

Najpierw wypiął dumnie pierś, dopiero potem odpowiedział.

— Chcę zostać aktorem. Chcę grać w filmach o potworach. Mogę być tym, który ubiera się w kostium potwora.

— Naprawdę? Znasz *Siódmą podróż Sindbada*? To mój ulubiony film.

Puścił moją dłoń i odskoczył.

— Mój też, mój też! To najlepszy film na świecie. Najbardziej podobają mi się cyklopi. Zrobiłem nawet jednego w glinie na lekcji plastyki. — Uniósł obie ręce, zwinął dłonie w trójpazurzaste szpony i ryknął głosem cyklopa. — A pamiętasz ten fragment, gdy wypala cyklopowi oko pochodnią i ten ślepie, i potyka się przez to, i spada ze skały? Pamiętasz to?

Przytaknąłem z pełnym zrozumieniem.

— Jak mógłbym zapomnieć? To był najlepszy kawałek. — Ile razy oglądałem tę scenę, siedząc z kumplami w czwartym rzędzie kina Embassy i potem, gdy moja domyślna żona podarowała mi kilka lat temu na Gwiazdkę kasetę z tym filmem? Gdy Magda była na mnie zła, nazywała mnie „Sekourah” — imieniem głównego czarnego charakteru z tego obrazu.

Resztę drogi do domu George’a przegadaliśmy o ulubionych filmach i ukończonych scenach z tych filmów. Osiągnęliśmy całkowitą zgodność oceny, co nie było zaskakujące, ale i tak bardzo miłe. Nie trwało to długo, bo i tej drogi niewiele nam już zostało, ale Floon i tak przyspieszył niespokojnie kroku i zapytał skrzywiony, czy nie moglibyśmy zmienić tematu. -

Nie! — odparliśmy radosnym unisono i gadaliśmy dalej.

\* \* \*

— Co to za samochód?

Przed domem George’a parkował futurystyczny samochód, taki z napędem na cztery koła. Widziałem jego reklamy w telewizji. To był jakiś model Isuzu. Cały w aerodynamicznych krągłościach. Przypominał szpanerskie wozy z wideoklipów pokazywanych w MTV

— „Vehicross” Isuzu — odezwał się Floon, zanim zdążyłem odpowiedzieć chłopcu. — Cudowny wóz. Dwieście piętnaście koni, możliwość przełączania napędu na cztery koła. Miałem taki w młodości. To był pierwszy nowy samochód, jaki kupiłem — dodał z tak rozanieloną miną, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby zaraz pojawiły mu się nad czupryną czerwone serduszka. Jak u zakochanych ptaszków z filmów Disneya.

— Ja uważam, że jest brzydki. Wygląda jak wielka, srebrna żaba. Można nim jeździć po wodzie? Przypomina wozy Jamesa Bonda, a on zjeżdżał z drogi na wodę.

Floon wyglądał na mile połączanego takim porównaniem.

— Nie, po wodzie się nie da. Ale z drogi zjechać można, chociaż czasem bywa niebezpiecznie. Ma martwą strefę z tyłu. Przez to miałem wypadek.

— Jaką martwą strefę?

Floon zignorował małego. Cały czas wpatrywał się z uśmiechem w samochód, jakby to był jego rodzony syn.

— Mój Boże, wreszcie się uśmiechasz, Caz. Myślałem, że w ogóle tego nie potrafisz.

Przesunął serdelkowatymi palcami po dachu samochodu i poklepał go z uczuciem. Zabrzmiało to dość głośno, bo wszędzie wkoło panowała cisza.

— Przywołuje miłe wspomnienia. Miałem wtedy dwadzieścia dziewięć lat i pracowałem u Pfizera. Dali mi właśnie podwyżkę, a ja o niczym tak nie marzyłem, jak o tym samochodzie. Myślałem, że jak go będę miał, to świat legnie u mych stóp. Zrobię się taki gość, że lwy będą wcinać na śniadanie. Pamiętasz, jak to jest, gdy samochód staje się wszystkim, McCabe? Ja świetnie pamiętam tamten dzień, gdy pojąłem, że wreszcie mnie na niego stać. Wybrałem ten sam kolor. Ale z rozmysłem odczekałem dwa tygodnie i dopiero potem poszedłem do salonu. Tak jakby stać przed cukiernią z kieszenią pełną pieniędzy. Odwlekasz kupno dla samej przyjemności oczekiwania. Miesiącami wczytywałem się w katalog. Nauczyłem się wszystkich danych mojego upragnionego wozu, większość pamiętam do dzisiaj. — Zamilkł na chwilę i wpatrzył się w samochód. Smakował wspomnienia.

Nadal nie przekonany mały założył ręce na piersi i zmarszczył czoło.

— Dalej uważam, że wygląda jak żaba.

Floon zaczął obchodzić wóz. Nie wiedziałem, co zamierza, ale na wszelki wypadek nabrałem czujności.

— Miałem go zaledwie dwa miesiące, gdy wjechałem na kogoś, cofając na parking. Właśnie przez tę osobliwą martwą strefę obserwacji. Głupi błąd w projekcie. Wgniotłem porządnie blachę, dokładnie... — Pochylił się i zniknął mi z oczu po drugiej stronie samochodu.

Na dłuższą chwilę zrobiło się całkiem cicho. W końcu spojrzeliśmy po sobie z chłopcem i jak na komendę obeszliliśmy wóz, żeby sprawdzić, co jest grane.



Floon przykucnął na asfalcie i z przejęciem przesuwiał dłonią po wielkim wgnieceniu karoserii z tyłu, po lewej. Nic nie mówił, ale pracował palcami z takim przejęciem, jakby zamierzał wypolerować skazę na idealną gładź.

— Co jest, Caz? — spytałem jak najłagodniej, niepewny, co właściwie go opętało.

Gdy uniósł głowę, twarz miał niepokojąco ściągniętą.

— To jest dokładnie takie samo wgniecenie. — Spróbował wstać, skrzywił się i zamarł w przysiadzie. Potem przycisnął dłoń do pleców i wstał wreszcie, ale bardzo wolno. Bez słowa poczłapał do drzwi po stronie kierowcy i otworzył je.

Zdumiony jego bezczelnym milczeniem miałem już wrócić do roli gliniarza i zabronić mu tego, ale uznałem, że dzieje się tu coś interesującego. Wołałem poczekać i zobaczyć, co zrobi dalej.

Floon wpakował się do samochodu, ale zamiast usiąść, uklęknął na fotelu kierowcy i zaczął szukać czegoś na podłodze. Potem wzięło go na gadanie do siebie. Nie, żeby słowo czy dwa, ale całymi zdaniem. Podszedłem posłuchać, ale niczego nie zrozumiałem. Mówił w jakimś obcym, gardłowym języku. Przypominał niemiecki, ale potem okazało się, że to holenderski — raczej seria chrząknięć niż artykułowana mowa, ale dawało się wyczuć, że jest zdenerwowany, zdumiony i zaniepokojony. Każdy czasem tak gada, gdy się spieszy i jak na złość nie może znaleźć kluczyków.

— Telemann! — krzyknął, unosząc pojemnik z kompaktami i potrząsając nim, jakby to był dowód w jakiejś bardzo poważnej sprawie. Wciąż plecami do mnie, odstawił płyty i znowu zaczął przeszukiwać podłogę, sięgać pod siedzenia.

— Floon...

— Czekaj!

Z wrodzonej uprzejmości dałem mu jeszcze kilka sekund, żeby znalazł to, czego tak pilnie szukał. Poza tym miło było patrzeć, jak mózg mu się z wolna przegrzewa.

— Tak, zgadza się! Miałem rację! — wykrzyknął nagle po angielsku.

— Co on robi? — spytał mały, zbliżając się do wozu i stając na palcach, żeby lepiej widzieć.

— Obawiam się, że właśnie popada w szaleństwo — zadudniłem basem, naśladując Orsona Wellesa.

— Co? Że jak?

— Dokładnie to jeszcze zobaczymy. Poczekajmy, co zrobi. — Położyłem dłoń na ramieniu chłopca. Szybko ją strząsnął i odsunął się o kilka kroków.

— Frannie? To ty?

Uniosłem głowę. Na werandzie stał George, obok niego zaś ujrzałem młodego, obcego gościa. Z początku go nie poznałem, chociaż z kimś mi się kojarzył. Po chwili mnie oświeciło i prawie się roześmiałem. No proszę!

— Ale jaja! Caz?

Dalej mamrotał, buszując w samochodzie. Nie obrócił się.

— Floon!!

Raczył zwrócić na mnie uwagę. Obejrzał się przez ramię. Trzymał coś w ręce, ale zasłaniał widok tułowiem. Niemniej jego znaleziska i tak mało mnie obchodziły, chciałem jak najszybciej podzielić się z nim moim odkryciem i zobaczyć jego reakcję.

— Czego chcesz, McCabe? -warknął niecierpliwie z wyraźną złością.

Wycelowałem w niego palec i odpowiedziałem pięknym za nadobne.

— Nie odzywaj się do mnie w ten sposób, wypierdku mamuta. Spójrz na werandę. Tam. — Gwałtownym wymachem ręki pokazałem kierunek. Jak skłonić tego muła, żeby zwrócił oczy, gdzie trzeba?

— Co mówisz?

— Popatrz na werandę, Floon!

— Nie mogę. Muszę. . .

— Dobra, rozumiem. Wysiadaj! Chodź tutaj. . . — Sięgnąłem po niego, ale okazał się szybszy. Nagle ujrzałem w jego dłoni wycelowany we mnie pistolet. Skąd on wytrzasnął broń? Ale i to nie było aż tak istotne, przynajmniej w porównaniu z tą bombą, która czekała na niego na werandzie.

— Odsuń się ode mnie, McCabe.

Odstąpiłem i uniosłem ręce.

— Czy zechcesz może spojrzeć na werandę?

Niezgrabnymi skrętami ciała wydostał się z samochodu.

Cały czas mierzył dokładnie w moje serce. Stanął na jezdni i dopiero wtedy spojrzał, gdzie pokazywałem. Obcy obok George'a obserwował to wszystko dość obojętnie, ze śladowym ledwie zainteresowaniem. Jakby owszem, chciał wiedzieć, co będzie dalej, ale nie, żeby go to wciągało.

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie. Dreszcz przebiegł mi po grzbiecie, bo ku mojemu zaskoczeniu wyraz ich twarzy nie zmienił się ani o jotę. Młodszy wyglądał, jakby poznawał osobę, ale wolał trzymać się od niej z dala. Starszy stał ogłupiały.

— Nie wiesz, kto to jest? Na rany Boga, nawet ja go poznaję! Nie kojarzysz, Floon? To ty! To ty z młodych lat!

— Wiem. Wiedziałem, że tu jest, od chwili, gdy zobaczyłem wgniecenie karoserii. Dlatego chciałem rozejrzeć się w środku. Poznałem, że to mój samochód. Zawsze trzymałem w nim broń. Przykleiłem ją pod siedzeniem pasażera tego samego dnia, gdy przyprowadziłem go od dilera.

Ja zaś przypomniałem sobie, co słyszałem od Floona w Wiedniu. Że to George i ja daliśmy mu kiedyś to pióro, które wszystko odmieniło. A George miał znać Floona z lat jego młodości.

George zszedł z werandy i ruszył ku nam. Młody, około trzydziestoletni Caz de Floon pociągnął za nim. Żaden z Floonów nie wydawał się przesadnie zado-

wolony z obecności tego drugiego. Ich chłód zaskoczył mnie. Takie spotkanie! Potem dopiero pomyślałem, że może Floon junior nie wie, kim jest naprawdę ten mężczyzna z bronią. Ostatecznie, gdy spojrzysz w lustro i spróbujesz wyobrazić sobie, jaki będziesz za trzydzieści lat, możesz nie trafić. Mi się nie udało, co wiem, bo widziałem się przecież u schyłku życia w Wiedniu.

Jednak tutaj grało rolę coś jeszcze, o czym nie wiedziałem. I to coś miało się zaraz ujawnić i wszystko zmienić.

Młodszy miał taką samą szopę włosów, tyle że na razie kasztanowych, postawę oficera wojsk lądowych i dłonie z serdelkowatymi palcami. Największe było jednak podobieństwo głosu. Ledwo się odezwał, zaraz musiałem uznać, że głos mają identyczny.

— Co tu robisz, ojcze? — powiedział Floon do Floona. Młody do starego. Wpatrzeni w siebie, przestali nas zauważać. Dla nich robiliśmy teraz za dekorację.

Stary Floon nie odpowiedział. Wbił oczy w swą młodszą wersję, jakby usiłował odgadnąć, do czego tamten pije. Broń trzymał teraz przy boku, ale wciąż wycelowaną we mnie. Poznałem Walthera PPK. Paskudna broń w rękach paskudnego człowieka.

— Nie jestem twoim ojcem.

Ignorując te słowa, młody Floon podszedł bliżej i splunął.

— Obiecałeś, że zostawisz mnie na dwa lata. Dwa lata, ojcze. Tak się umówiliśmy. Zgodziłeś się. Nie minęło jeszcze nawet pół roku. Czemu tu przyjechałeś? — Był wyraźnie wściekły, gotów spopielać i topić samym dotykiem. Jednak odbijało się to tylko w głosie, jego twarz pozostawała kontrastowo obojętna, wręcz pusta.

— Nie jestem twoim ojcem! Nie widzisz, jak bardzo się od niego różni?

— Widzę, że naruszasz naszą umowę. W typowy dla ciebie sposób. Jesteś odrażający, wiesz? Oboje z matką jesteście godni pogardy. Odsuń się, proszę, od mojego samochodu. — Zlustrował starego spojrzeniem tak dokładnie, jak chłopak oceniający dziewczynę. Zatrzymał oczy na pistolecie. — Skąd masz tę broń?

Stary Floon spojrzał najpierw na swoją dłoń, potem na tego drugiego.

— Skąd? Spod siedzenia. Przecież wiesz.

— Tak myślałem. Zajrzałeś bez pytania do mojego samochodu. Mój samochód, moja broń. . . Dokładnie w twoim stylu. I o to mi właśnie chodzi. Nie miałeś prawa wziąć tej broni, ojcze. Sam ją sobie kupiłem. Za własne pieniądze, nie za twoje. Nie mam już niczego, co dostałbym od ciebie, absolutnie niczego. I niczego takiego już nigdy nie będzie.

— Wiem! Pamiętam, jak to było. Jeden z największych dni w moim życiu! — krzyknął starszy.

Potem zrobiło się tak cicho, że byłoby słyhać padające ciało. Nie, żebym miał to za przenośnię. Naprawdę oczekiwałem, że zaraz legnie tu czyjś świeży trup, nie wiedziałem tylko czyj. Scena była jak z wariatkowa i logika straciła rację bytu. Wszystko mogło się zdarzyć. Nic by mnie nie zdziwiło. Floon zabijający

mnie, Floon zabijający Floona, Floon kapitulujący przed Floonem, Floon... Sami wiecie.

— Popatrz na moje dłonie, na miłość boską! Popatrz, jakie są grube. Nie pamiętasz jego dłoni? — Stary Floon wyciągnął ręce przed siebie, jakby się nam poddawał. Zahaczony za kabłąk przy spuszczeniu pistoletu kołysał się na palcu wskazującym. — Pamiętasz jego długie palce? Te, które pakował mi do ucha, ile razy coś było nie tak? Pamiętasz?

Młodszy nie dał się przekonać. Skrzyżował ręce na piersi, przymknął oczy i pokręcił głową.

— Masz takie same ręce jak ja, ojczu. Czemu kłamiesz? O co ci chodzi?

Stary Floon eksplodował.

— O co mi chodzi? O to, że nie jestem twoim ojcem! On miał smukłe dłonie! A gdy coś mu się nie podobało, puszczał je w ruch! Tak, właśnie. Dźgał mnie tymi smukłymi palcami w ucho i mówił: „Mój syn nie będzie taki. Nie mój syn”, „Teraz mieszkamy w Ameryce! Więc mów jak Amerykanin”. Raz w tygodniu, czasem częściej, pięć razy w tygodniu, znajdował nowy powód, żeby mnie dręczyć tymi przeklętymi łapami, palcami jak ołówki. — Z lekka oszalały Floon patrzył na swoje dłonie, ale myślami był gdzieś bardzo daleko. — Popatrz na moje ręce, głupku. Grube jak rękawice do baseballu. Naprawdę przypominają tamte?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, wściekł się jeszcze bardziej. Złapał małego Franniego za przedramię i szarpnięciem przysunął do siebie. Dziecko krzyknęło i spróbowało się oswobodzić, ale nie miało szans. Stary Floon wetknął pistolet za pasek spodni, żeby uwolnić drugą rękę. Gdy znowu się odezwał, jego głos brzmiał całkiem inaczej. Gardłowy akcent, powoli padające słowa... Mówił jak poważny człowiek mający coś ważnego do przekazania. Jak Henry Kissinger stwierdzający: „Bohater zjada lwy na śniadanie”. Wepchnął palec w ucho małego tak silnie, że twarz chłopca jakby się zapadła, a z jego ust dobył się przypominający miauczenie pisk.

— Chcesz zostać bohaterem czy wolisz roznosić pocztę? Albo prasować cudze koszule? Prasowacz koszul: to byłaby dobra praca dla mojego syna. — Kolejne dźgnięcie w ucho, kolejny krzyk bólu.

George, Floon junior i ja patrzyliśmy osłupiali, jak sześćdziesięcioletni piernik wyładowuje frustracje całego życia na małym chłopcu. Było to coś tak niaturalnego i szokującego, że przez dłuższą chwilę nie zrobiliśmy dokładnie nic. Gapiliśmy się tylko jak zahipnotyzowani na ten ohydny pokaz siły. No ale tak bywa. Gdy ktoś pierwszy raz widzi wypadek samochodowy, też patrzy pilnie, całą zainteresowany. Jak myślicie, dlaczego w miejscach kraksy zawsze tworzą się korki? Bo każdy musi zwolnić, żeby obejrzeć sobie dokładnie, co zostało z tych pechowców. Zresztą — czy wypadek samochodowy, czy inne nieszczęście, czy ktoś tracący panowanie nad sobą w publicznym miejscu, zawsze chodzi o to sa-

mo: jakiś rodzaj cywilnej lub rzeczywistej śmierci na polu walki. I trzeba podejść, żeby przekonać się, jak życie kąsa. . . kogoś innego.

— Puszczaj! — Chłopiec wrywał się dziko, ale nie mógł uciec. W żaden sposób.

Kilka stóp dalej stał oparty o ścianę domu długi i dość ciężki metalowy drąg. Na werandzie leżał czarny, przypominający talerz przedmiot ze zwieszającymi się z bolcu kolorowymi drutami. Docelowo miał zostać umieszczony na drągu. Po właściwym podłączeniu i ustawieniu całość miała się stać zewnętrzną anteną telewizyjną. Kilka dni wcześniej George długo sterczał na dachu i kombinował, aby potem napisać jak najbardziej przejrzystą instrukcję montażu.

Drąg zauważyłem już wcześniej, ale wobec burzliwego rozwoju wypadków nie zapadł mi specjalnie w pamięć. Stary Floon patrzył wyłącznie na podskakującego i wrywającego się dzieciaka i nie spostrzegł nawet, że młody Floon podszedł do domu, wziął ten drąg. Bez chwili wahania uderzył nim starego z całej siły w głowę.

Łupnęło i trzasnęło, gdy metal napotkał na kość. Niezbyt głośno, ale charakterystycznie, w sposób, który zawsze się zapamiętuje, nawet gdy samemu nie ma się w zdarzeniu żadnego udziału. Zaraz potem drąg zatrzęsł się gwałtownie, prawie jak żywe stworzenie. Przesunąłem spojrzeniem po wibrującym maszcie, aż napotkałem oczy młodego Floona. Wciąż były puste i wyprane z uczuć, ale coś jakby w nich błysnęło, nadając im odrobinę bardziej ludzki wygląd. Niemniej to było wszystko. Ten mężczyzna był przekonany, że zabił właśnie własnego ojca, roztrzaskał mu głowę pięciostopowym metalowym masztem, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Stary Floon upadł na lewo, mały Frannie zaś wydarł na prawo. Szarpał się tak bardzo, że gdy tylko dręczyciel zwolnił uchwyt, dzieciak upadł. Oddzielili się od siebie jak pękające ramiona mostka kurczęcia, którym można się przełamywać na szczęśliwą wróżbę, tyle że jeden został na miejscu, a drugi czym prędzej odpełzł na czworakach byle dalej. Nie widział za bardzo, co się stało, kojarzył tylko, że wreszcie jest wolny, i za żadną cenę nie miał zamiaru pozwolić, by złapano go ponownie. Zmykając, krzyczał wysokim, chłopięcym głosem: „Dupek, dupek!” Dziwny był to widok: pełzający dzieciak wymyślający starszemu facetowi, który leżał spokojnie na plecach i nie miał już na tym padole nic do roboty prócz stygnięcia i sztywnienia.

Popatrzyłem na pozostałych i pochyliłem się, żeby zbadać puls. Ani śladu. Wiedziałem, że tak będzie, zanim jeszcze dotknąłem szyi: starczył jeden rzut oka na głowę. Część skroniowa zmieniła się w białą-czerwoną miazgę.

Spojrzałem na zabójcę.

— Zmykaj do domu, chłopie. Załatwiłeś go na dobre.

Młody Floon uniósł lekko brwi i cisnął metalowy drąg na ziemię. Wylądował z brzękiem i potoczył się parę stóp. Chyba wszyscy śledziliśmy go uważnie, aż

znieruchomiał. Nagle zyskał osobowość. Starczyło półtorej minuty, żeby z anonimowego masztu antenowego zmienił się w narzędzie mordy.

# PILOT

Niemal wszystko, co działo się potem, było bardzo dziwne, jednak najbardziej zaskoczyło mnie nasze zachowanie. Bez słowa wzięliśmy się do roboty. Mały patrzył.

Podszedłem do samochodu i pokazałem Floonowi juniorowi, by otworzył tylne drzwi. Odsunął je, a ja wróciłem po ciało. Spojrzałem tylko na George'a i powiedziałem: „Przynieś torby”. Poszedł do domu i po chwili pojawił się z kartonem wielkich toreb na śmieci, których używał do pakowania gałęzi po przycinaniu jabłoni. Zaraz wyciągnął kilka i wysłał nimi podłogę w samochodzie. W ślad za nim przybiegł jego dachsound Chuck. Przez ostatnie dziesięć minut nie spojrzałem nawet wkoło, żeby sprawdzić, czy nie obserwuje nas ktoś z sąsiedztwa. Teraz też nie miałem do tego głowy.

Manewrując niezręcznie ciałem, zapakowaliśmy je do kolejnej czarnej i lśniącej torby i władowaliśmy ją do bagażnika. Szeleszcząc rozgłośnie, wylądowała na zasłanej plastikiem podłodze. Upchnęliśmy ją w kącie. Obok cisnąłem narzędzie mordu. Uznałem, że też powinno zniknąć.

Zrobiwszy to wszystko, wyciągnąłem rękę po kluczyki. Sprawa nie podlegała dyskusji: ja prowadzę. Floon podał mi je i całą czwórka (razem z psem) wsiedliśmy do zupełnie nowego isuzu i odjechaliśmy.

W ciszy prowadziłem przez miasto, co pewien czas zerkając na boki. Pamiętałem, jak odmiennie wyglądało tu jeszcze rano, gdy Crane's View było młodsze o trzydzieści lat. Z tego, co mogłem dostrzec po drodze, wychodziło, że ekipa ze Szczurzego Ziemiaka uwinęła się, jak trzeba. Wszystko było na swoim miejscu. Ib znaczy chyba było, bo przecież nie mogłem się zatrzymać, by sprawdzić szczegóły. Nie z taką bombą w bagażniku.

George i Floon siedzieli z tyłu, chłopiec obok mnie. Milczeliśmy wszyscy, aż nagle dotarło do mnie, że przecież nie wiem, kurwa, gdzie mamy jechać. Spojrzałem we wsteczne lusterko ciekaw, czy pasażerowie też są podobnie zagubieni. Obaj gapili się w okna z dłońmi na podółkach.

— Patrzcie.

Zamrugąłem i zerknąłem na chłopca.

— Czego chcesz?

Trzymał w dłoni to słynne pióro. Bawił się nim, okręcając je w palcach.  
— Skąd je masz?  
Nic nie powiedział, tylko przechylił głowę i przytulił ją do ramienia.  
— Co to ma znaczyć?  
— Od niego. Od tego w torbie.  
— Jak?  
— Po prostu mam. — Całkiem nagle dostał napadu lakoniczności.  
— Daj mi je.  
Nie obrócił nawet głowy. Strzeliłem mu palcami przed nosem.  
— Daj mi je.  
Westchnął ciężko i podał mi pióro.  
— Ten stary kutas poranił mi ucho w środku. Ciągle boli.  
— Nie wątpię. — Zerknąłem we wsteczne lustro i napotkałem spojrzenie Floona. Wyciągnąłem rękę z piórem do tyłu i pomachałem, że ma je wziąć. — Przyda ci się.  
Wziął, obejrzał pobieżnie i nic nie powiedział.  
— Masz krew na policzku, lepiej ją zetrzyj. A teraz słuchaj, to pióro jest niesamowicie ważne, chociaż nie pytaj mnie dlaczego, bo nie wiem. To nie jest zresztą zwykłe pióro i wbrew pozorom nie pochodzi z żadnego ptaka. To coś całkiem innego. Co dokładnie, to już sam sprawdzisz, zbadawszy je w swoim laboratorium czy gdziekolwiek. Odegra kluczową rolę w twoim życiu, więc dobrze go pilnuj.  
— Skąd wiesz to wszystko, Frannie?  
— Po prostu wiem, George, i nie przeszkadzaj mi, bo to jeszcze nie koniec. Po drugie, Floon, jeśli masz jakieś pieniądze, zainwestuj je w kompanię zwaną SeeReal...  
— Cereal?  
— Nie. SeeReal. Dwa wyrazy razem. Giełdowy skrót to S-E-E-R. Zajmij się tym jak najszybciej i kupuj jak najwięcej. — Usilnie próbowałem sobie przypomnieć, co jeszcze stary Floon przekazał mi w bibliotece, ale miałem pustkę w głowie. Potem odgrzebałem jeszcze wzmianki o „rozkładzie tankretycznym” i zimnej fuzji, ale stało się to za późno, gdy potencjalni słuchacze odzégłowali w swoją przyszłość.  
— Co teraz zrobimy, Frannie? — spytał George, biorąc Chucka na kolana. Nawet rozdokazywany psiak musiał wyczuć powagę chwili, bo nie pchał się do nikogo z mordą.  
— Najpierw wstąpimy do mnie i weźmiemy łopatę. Potem pojedziemy do lasu za majątkiem Tyndalla i zakopimy ciało. Chyba że macie lepszy pomysł.  
— Ktoś może je znaleźć. Ten las nie jest aż taki duży.  
— Owszem, George, ale do wyboru mamy to albo jeździć wkoło i namyślać się, aż skończy nam się benzyna. Wtedy będziemy musieli zatankować w CITGO. Nie dam głowy, czy ktoś nie zauważy przy tej okazji, co wozimy z tyłu. A potem



znów przyjdzie nam krążyć po okolicy. Uważacie, że to byłby lepszy plan? A może ktoś ma inny pomysł?

Cisza.

— Dobra. Znaczy, realizujemy mój plan i trzymajmy kciuki, żeby nas nikt nie przyuważył.

— Czemu to robisz, Frannie? Jeśli nas złapią, nieodwołalnie wylądujemy w więzieniu. W życiu się nie wytłumaczymy. A ty jesteś szefem policji!

— On? — wybełkotał Floon zduszonym głosem.

— Robię, co robię, bo nie zostało mi już wiele czasu. To jedno wiem na pewno. Musimy usunąć go niepostrzeżenie i nie pytajcie mnie dlaczego: po prostu tak trzeba. Nie mam czasu kombinować, co zrobić z ciałem. Najważniejsze, żeby zniknęło, i niech Floon zaraz stąd wyjeżdża. Mogę się mylić, ale zwykle ufam intuicji. Są ważniejsze sprawy do załatwienia.

— Ważniejsze niż to, Frannie?

— O wiele, uwierz mi.

Ci na tylnym siedzeniu spojrzeli po sobie.

— Floon, czemu przyjechałeś do George'a właśnie teraz?

— Ponieważ wynalazłem coś i potrzebowałem najlepszego w tym fachu, żeby napisał mi instrukcję.

Patrząc na George'a we wstecznym lusterku, uderzyłem dłonią w kierownicę.

— Znaczy, zjawił się u ciebie niespodziewanie akurat dziś rano, żeby zaprosić cię do współpracy?

— Niezupełnie. Zadzwoił wczoraj, że jest w Nowym Jorku, i spytał, czy moglibyśmy się dzisiaj spotkać.

— Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności. To chyba jednak nie mógł być przypadek.

— Co nie mogło być przypadkiem?

— Że pan Floon złożył ci wizytę właśnie dzisiaj, w tym samym czasie, gdy ja przyszedłem do ciebie z nim... -Pokazałem kciukiem przez ramię i wszyscy pojęli, o kim mówię.

Gdzieś w okolicy czoła rozpalili mi się nagle płomień bólu tak silnego, że odruchowo prawie przymknąłem oczy. Potem przemknął do potylicy, poszalał tam przez kilka sekund, buchnął wysoko i zgasł jak wyłączany neon, ja zaś uprzytomniłem sobie, że nie powinienem prowadzić. Przy następnej okazji mogę wjechać komuś przez ścianę do salonu. Wprawdzie rozwiązałbym tym samym wszystkie nasze problemy, ale chyba jednak nie o to dokładnie chodziło.

Gdy zatrzymałem się przed naszym domem, z otwartego okna na piętrze rozlegała się głośna muzyka. To był pokój Pauline. Czy George odwiózł ją do domu przed spotkaniem z Floonem? Mimo wszystko się uśmiechnąłem. Żółto-zielony letni dzień, głośna muzyka techno dobiegająca z pokoju nastolatki... Czy coś może być normalniejsze i bardziej kojące niż taka scena? Matka Pauline leżała

jeszcze w szpitalu, ale wiedzieliśmy już, że naprawdę nic jej nie jest. Nie było się czym martwić. Magda miała niebawem wrócić do domu.

Stanąłem na chodniku wpatrzony w nasz dom. Spieszyło mi się, ale chciałem dać sobie minutkę, żeby zapamiętać tę miłą scenę. W tamtej chwili byłem szczęśliwy. Ile bym oddał, żeby spędzić resztę życia z tymi kobietami, starzeć się przy nich dzień po dniu, patrzeć, jak Pauline dojrzewa i układa sobie własne, interesujące życie. Może gdybym miał więcej czasu, sam zdołałbym pojąć, jak bardzo obie nadawały sens mojemu życiu. Chociaż... może nigdy bym do tego nie doszedł, ale w gruncie rzeczy dopóki mieszkałem tutaj, z tymi ludźmi, w ukochanym mieście, świadomość szczegółów nie miała większego znaczenia. A teraz... nieważne, co mnie czekało, i tak nie miałem powodów do narzekań.

Kusiło mnie, żeby wbiec na górę, zerknąć, co robi Pauline, i upewnić ją, że wszystko będzie dobrze. Ale nie miałem czasu. Nie chciałem też, by zobaczyła samochód Floona i zaczęła pytać, co się dzieje.

Ruszyłem więc do garażu po łopatę. Mój samochód parkował w środku, co przypomniało mi, jak natrafiłem w jego bagażniku na powracające z grobu ciało Old Vertue. I jak nieco później rozmawiałem w samochodzie z Pauline o tym, co chce zrobić ze swoim życiem. I tak dalej, zakurzony garaż pełen był wspomnień, z których każde prowadziło do paru następnych. Nostalgia za gasnącym życiem zaczęła się nasilać.

Przeszukałem rupiecie w poszukiwaniu narzędzia, z którego pomocą pochowałem mojego ojca i cztery stuletniego psa (tego ostatniego dwakroć). Stało oparte o przeciwległą ścianę, tuż obok grabi. Troszkę dalej było okno wychodzące na ulicę. Biorąc łopatę, zerknąłem przez szybę i ujrzałem nadjeżdżający ulicą wóz policyjny. Zatrzymał się niemal naprzeciwko samochodu Floona.

Gliniarze musieli odkryć w końcu, że zniknąłem z biblioteki i że nie stałem się zakładnikiem (zakładnikiem gościa, który właśnie zginął z własnej ręki i którego zwłoki leżały w samochodzie po przeciwnej stronie ulicy). Sytuacja była zgoła surrealistyczna i nawet śmieszna, ale na śmiech też nie miałem czasu.

Z wozu wysiedli Adele Kastberg i Brett Rudin, co zaraz mnie uspokoiło, bo nie były to najlotniejsze gliny w naszym mieście. Co innego, gdyby to Bill Pegg pojawił się u moich drzwi. Poszli chodniczką ku werandzie i straciłem ich z oczu. To było jednak dość niewielkie okienko. Zadzwieczał znajomy dzwonek. Bezwiednie poruszyłem ustami, powtarzając ding-dong, jakbym i ten odgłos chciał zapamiętać. We trójkę czekaliśmy na otwarcie drzwi. Gdy przez dłuższy czas pozostały zamknięte, zadzwonili jeszcze raz. Pauline nie słyszała chyba nic, poza muzyką, która dobiegała wyraźnie nawet tutaj, do zamkniętego garażu. Zamknąłem oczy i zapragnąłem w duchu, by otworzyła drzwi. W połowie tego życzenia usłyszałem odgłos zapalnego silnika. Otworzyłem oczy akurat w porę, by zobaczyć tył samochodu Floona znikający w perspektywie ulicy.

— Co wy robicie, u diabła? Zostawiacie mnie na lodzie? — Przygryzłem dłoń. Bolało, ale musiałem jakoś rozładować frustrację.

Para głupich gliniarzy stała przed drzwiami, czyniąc ze mnie więźnia mojego własnego garażu. Zresztą, nawet gdybym mógł się wymknąć, to co miałem zrobić, skoro samochód z obiektem moich starań właśnie odjechał? Po prawdzie wiedziałem, czemu odjechał, i to miało sens: nie chcieli płatać się w polu widzenia policji z trupem w bagażniku. Ale co, u diabła, ja miałem zrobić? Czekać tu na nich z łopata, aż ewentualnie raczą wrócić? Czy zdążą, zanim głowa mi detonuje?

Szczęśliwie policja ruszyła muskularni. Znając funkcjonariuszkę Adele i jej dyplomatyczne talenty, skłonny byłem uznać, że to ona załomotała do drzwi tak głośno, aż na końcu kwartału było pewnie słychać. Adele zawsze lansowała siłowy model egzekwowania prawa, ale po raz pierwszy w ciągu długich lat naszej współpracy byłem jej za to wdzięczny.

Isuzu zniknął całkowicie z pola widzenia, a po chwili ucichła muzyka. Minęło jeszcze kilka chwil i rozległ się głos Pauline. I jeszcze dwa inne głosy. Ulżyło mi tak, że aż wysunąłem język i zrobiłem zeza jak stąd do Księżycy. Cała trójka pogadała trochę, ale nie dosłyszałem ani słowa. Potem trzasnęły drzwi. Uznałem, że weszli do środka, co znaczyło, że mam nieco czasu, aż znowu wyjdą. Rozejrzałem się po garażu w poszukiwaniu czegoś innego niż zbyt duży i za głośny samochód. Musiałem wymknąć się stąd szybko, ale po cichu.

Na początku lata Magda przeczytała pewien upiornie entuzjastyczny artykuł na temat sprawności fizycznej i skutkiem tego kupiła sobie rower górski. Dość nas ogłuszyła tym pomysłem. Potem zaś, zgodnie z naszymi przyzwyczajeniami, użyła go ze trzy razy i uznała, że muskularne łydki i ramiona to nie w jej stylu. Ledwie pokazała mi ten rower, zaraz ochrzciłem go „Dzwoneczek Poranny”, a to ze względu na przeraźliwie optymistyczny kolor: metalicznie różowy.

Nie cierpię rowerów i pedałowania. Siodełko zawsze uwiera w tyłek, a na dodatek zadyszki można dostać, całkiem bez sensu. Rowery są do tego szalenie niebezpieczne, szczególnie przy dużym natężeniu ruchu. Na dodatek używający ich ludzie coś nazbyt często miewają fioła na punkcie ekologii, sprawności fizycznej i nieustannego sprawdzania tętna, czy prawidłowe. Do diabła z nimi... ja, jak chcę sobie poprawić kondycję, to po prostu uprawiam seks.

Zatem koniec na dziś z godnością... I tak to było: szef policji Frannie McCabe popedałował jak szalony ulicami na kurewsko różowym rowerze. Ku uciesze P T. Publiczności, rzecz jasna: czy to nie brudna łopata sterczy mu nad kierownicą? W samej rzeczy, łopata. Czy on nie widzi, że w oponach prawie nie ma powietrza...?

Rower nie był duży, a ponieważ nie podniosłem wcześniej siodełka, kolana podchodziły mi prawie do piersi. W ten sposób było mi jeszcze niewygodniej. I tym bardziej było na co popatrzeć.

Byle szybciej za isuzu! Ale dokąd, skoro wyprzedzał mnie o całe pięć minut i dwieście koni mechanicznych? Jedna ulica, druga. . . Rozglądałem się na wszystkie strony, łopata nieustannie próbowała zsunąć się z kierownicy i pociągnąć mnie na jezdnię.

Po drodze co rusz mijałem kogoś znajomego. Starłem się nie rzucać w oczy, ale niezbyt mi to wychodziło.

— Sześć szefie! Cudny rowerek! — i radosny uśmiech.

— Cześć, Fran, zostaniesz atletą? — i chichot. Większość przyjaciół i sąsiadów tylko się śmiała. Ale co mieli robić? Nie co dzień trafia się w Crane's View cyrkowa mała na rowerze. . .

Wydało mi się, że dostrzegłem ich wóz skręcający w lewo na krzyżówce Broadwayu i April Street, ale to było chyba tylko pobożne życzenie. Próbowałem wykombinować, dokąd mogli pojechać. Zamyśliłem się i natychmiast łopata spadła mi na asfalt. Zahamował gwałtownie przy łomocie toczącego się po jezdni narzędzia.

Podniosłem je i ruszyłem dalej. Teraz zapewne prowadził George, bo on znał Crane's View. Jednak dokąd mój przyjaciel mógł się udać? Gdyby miał przygotować instrukcję na temat tego, jak pozbyć się niechcianego trupa w naszym mieście, to co by napisał?

Pedałując ulicami, przypomniałem sobie muzykę z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, a szczególnie ten fragment, gdy Miss Gulch ucieka rowerem z porwanym psem Toto. W dół, w górę, w dół, w górę. . . Nie tak wyobrażałem sobie mój ostatni dzień życia na ziemi.

Kondycję miałem fatalną: zatrute papierosami płuca skamlały o litość, całe ciało groziło, że jeszcze chwila, a rozpadnie się na części. Z mojego myślenia wyszło mi aż nazbyt wiele: ekipa z nieboszczykiem mogła się udać w kilkanaście różnych miejsc. Musiałem wybrać któreś z nich i zaryzykować i to teraz, póki jeszcze miałem choć trochę siły.

— Dobra, zatem las. Jedziemy do lasu. — I to właśnie zrobiłem. Skręciłem w lewo z Mobile Lane i skorzystałem ze znanego mi od czterdziestu lat skrótu przy domu Tyndalla. Teraz, gdy wiedziałem już, gdzie jadę, poczułem się znacznie lepiej, chociaż poza tym padałem na nos. Tknięta zapalem do regularnych ćwiczeń Magda powiedziała mi, że w ramach totalnego aerobiku jazda na rowerze liczy się jako druga, zaraz po pływaniu. Wtedy mruknałem tylko coś pod nosem i dalej czytałem gazetę. Teraz pojąłem, co miała na myśli. Pociłem się, dyszałem i przeklinałem, wszystko równocześnie, totalny odwrót. Czy na tym właśnie polega aerobik? Las za domem Tyndalla nagle wydał mi się znacznie bardziej odległy niż kiedyś, no ale minęło wiele lat od chwili, gdy przemierzałem Crane's View pieszo czy naciskając jakiegokolwiek inne pedały prócz pedału gazu. Entuzjaści sportów zawsze powiadają, że idąc lub jadąc na rowerze, widzisz znacznie więcej z krajo-

brazu, ale w tamtej chwili oczy przesłaniała mi czerwona furia, że nie udaje mi się zmusić tego przekłętego Dzwoneczka do porzucenia tempa znudzonego żółwia.

Gdy doszedłem do wniosku, że gorzej już być nie może, usłyszałem syrenę doganiającego mnie wozu patrolowego. Przez chwilę poczułem się, jakbym znowu był dzieckiem, które zawsze miało na bakier z prawem: chciałem uciekać, zmywać się stąd jak najszybciej. Nie daj się złapać! Pomyślałem nawet, czy by nie zeskoczyć z roweru i nie zwiewać dalej na piechotę, ale... gdybym sam był w tym wozie, to co bym zrobił, widząc gościa uciekającego mi na różowym rowerze? Tak więc pochyliłem tylko głowę i dalej dzielnie pedałowaliśmy w nadziei, że bogowie albo chociaż ci grandziarze ze Szczurzego Ziemniaka nie opuszczą mnie w potrzebie.

Ktoś chyba rzeczywiście musiał mieć na mnie oko, bo samochód przemknął z rykiem obok mnie i szybko zniknął w dali. Jestem pewien, że ktokolwiek w nim jechał, tak się cieszył z okazji do pohłasowania na pełnym gazie, że nie zwrócił nawet uwagi na potępieńca męczącego się na rowerku. Co dało mi nowy temat do przemyśleń: gdzie oni się tak spieszą? Policja miejska nie była od zapuszczania się w teren, chyba że miała po temu jakiś szalenie ważny powód. Co takiego się jeszcze porobiło?

Szczyśliwie docierałem już do domu Tyndalla, a zaraz za nim był akwedukt, kolejny odcinek skrótu do lasu, dostępny tylko pieszo lub na rowerze. Po raz pierwszy od wyjechania z domu byłem zadowolony, że jadę na dwóch kółkach. Od drogi wiodącej do lasu dzieliło mnie pięć minut, ale jeśli i tam nie dojrzę śladu George'a, to znajdę się w punkcie wyjścia.

Śladu George'a nie znalazłem, niemniej pojechałem dalej tą drogą ku naszej wielkiej puszczy. Trochę to trwało, bo byłem wykończony. Gdyby ktoś mi zapowiedział, że czeka mnie jeszcze stromy podjazd, zaraz zawróciłbym rower i wrócił do domu i mniejsza o konsekwencje. Jechałem powoli i bezskutecznie wypatrywałem oczy, coraz bardziej zagubiony i obolały. Gdy jednak dotarłem do ostatniej linii drzew, zawróciłem i pojechałem z powrotem. I dalej się rozglądałem. Instykt starego policjanta nie pozwalał mi się poddać. Wbijałem spojrzenie w szosę, zerkałem między drzewa, szukając jakiegokolwiek znaku, że tutaj właśnie przyjechali zakopać ciało. Ale jak mieli to zrobić bez łopaty?

— Żeby cię cholera, George. Czemu mnie nie posłuchałeś? Tak byłoby najłatwiej — rzuciłem do Dzwoneczka i drzew, chociaż wiedziałem, że to niedokładnie tak. Ale ciut mi ulżyło.

Co pewien czas mijały mnie samochody. Starłem się jechać jak najbliżej krawędzi drogi i nie rzucać się w oczy, ale jak tu nie rzucać się w oczy pośrodku pustej szosy na różowym rowerze? Jakoś w ogóle nie dotarło do mnie, że isuzu to wóz z napędem na cztery koła, *ergo*, chłopcy mogli zjechać z drogi.

Już miałem zrezygnować z peregrynacji i zacząć rozważać, co dalej, gdy z mroku pod sosnami po drugiej stronie szosy wyłonił się mały Frannie. Zoba-

czył mnie i jakoś się nie zdziwił. Ręce trzymał wepchnięte do kieszeni i nie wyglądał na uszczęśliwionego. Podtoczyłem się do niego niespiesznie i postawiłem wreszcie stopy na ziemi.

— Cześć.

— Cześć. — Nawet na mnie nie spojrział. — Genialny rower. Tylko czemu różowy?

Ogarnęło mnie zakłopotanie i odruchowo zabrałem się do wyjaśnień. — To nie mój, tylko mojej żony. Gdzie reszta?

— W głębi za drzewami — odparł cicho i ze smutkiem, a skończywszy, westchnął głęboko.

— A ty czemu tutaj?

— Powiedzieli mi, żebym wracał do domu — mruknął, wbijając oczy w ziemię.

— Możesz mnie do nich zaprowadzić? — Starłem się nie okazywać zniecierpliwienia. Nie chciałem urazić dzieciaka.

Zaraz pojaśniał. Oto dorosły zapraszał go do wzięcia udziału w wydarzeniach.

— Jasne! Bierzesz rower? Czemu on ma takie duże opony?

W jego czasach nikomu nie śniły się jeszcze rowery górskie, sceptycyzm był zatem w pełni zrozumiały.

— Bo na takich lepiej się jeździ, szczególnie w trudnym terenie, po lesie czy skałach. Wskakuj, pokażesz mi, gdzie są. Potem sam będziesz mógł się przejechać, jeśli zechcesz.

— Ty kierujesz, a ja będę pilotem! Pokażę ci, gdzie jechać.

— Dobra, panie pilot. Tylko trzymaj łopatę.

Nie mogłem ich wcześniej dojrzeć, bo zapuścili się całkiem głęboko między drzewa, a na dodatek przystanęli w parowie, który maskował ich obecność od strony szosy. Gdy dotarliśmy do samochodu Floona, nikogo przy nim nie było, ale trup leżał wciąż w bagażniku. Niedobry znak.

— Gdzie oni są? — Oparłem rower o drzewo i zatoczyłem spojrzeniem pełny krąg. Bez skutku.

Chłopiec też przepatrywał las.

— Chcieli pójść poszukać dobrego miejsca, żeby go zakopać. Miało być pod jakiś drzewem. Nie pozwolili, żebym poszedł z nimi. Ten chłopak Floona nazwał mnie małym hultajem.

Odruchowo chciałem poklepać go po czuprynie i powiedzieć, że mnie w jego wieku nazywali znacznie gorzej. Powstrzymałem się jednak i spróbowałem dodać mu ducha słowami.

— Ale to komplement! Ja jestem dużym hultajem i jestem z tego dumny, a i dużym tylko dlatego, że urosłem. Daj mi łopatę. Chcesz się teraz przejechać?

Pokręcił głową.

— Nie, chcę pójść z tobą.

— Dobra, to chodźmy. Rower zostawimy tutaj, potem po niego wrócimy.

Krażyliśmy przez kilka minut, ale nikogo nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy. W lesie pachniało przyjemnie, zieleniły się liście, cienie migotały. Wkrótce jesienne słońce miało to zmienić: zrobi się mroczniej, wonie nabiorą intensywności, liście opadną i zgniją. Potem śnieg spadnie na obumarły, brunatny las i wkoło zapanuje jednorodna biel.

Ja jednak już tego nie zobaczę. To była koszmarna myśl. Próbowałem ze wszystkich sił wypchnąć ją z umysłu. Odeszła powoli, przystając jeszcze raz, żeby posłuchać innych.

— Kim jesteś?

Zawahałem się. Uśmiechnąłem.

— Tobą, ale dorosłym.

Spojrzał na ziemię i przemyślał kwestię.

— To jak możemy być razem w tym samym czasie?

— Nie wiem. Tak jakoś wyszło. Nie umiem tego wyjaśnić. To chyba muszą być jakieś czary.

— Dobra. — Zakotłosał się na piętach, zobaczył coś na ziemi i pochylił się, by podnieść z kamienia ciekawie wyglądający patyk. Po chwili odezwał się, całkiem spokojnie i rozsądnie, jakby nie chodziło o nic wielkiego. — Wiedziałem, że jesteśmy jakoś spokrewnieni, ale nie wiedziałem jak. Naprawdę jesteś mną z dorosłości?

— Tak. Jestem tobą, gdy będziesz miał czterdzieści siedem lat.

— To bardzo dużo. Ale dobrze wyglądasz. Wciąż masz penisa?

Zatkało mnie.

— Penisa? No, tak. Czemu miałbym nie mieć?

— Marvin Bruce powiedział, że po czterdziestce penis chowa się do środka.

Samo wspomnienie tego chudego szczura kanałowego o żółtych zębach, lizusa przy tym nieprawdopodobnego, zjeżyło mi włosy na karku.

— Marvin Bruce gotów jest wleźć każdemu w tyłek bez mydła — powiedziałem, może trochę zbyt zdecydowanie. — Ufasz komuś, kto tak postępuje?

— Znasz Marvina?

— Jasne. To kutas. Wyrośnie pewnie na kogoś w rodzaju Kennetha Starra.

— Kto to jest?

— Nieważne. Chodźmy.

\* \* \*

Znaleźliśmy ich daleko w głębi lasu. Obaj siedzieli na ziemi i wpatrywali się obojętnie w przestrzeń. Chuck spał na lewej stopie Floona. Tylko George podniósł głowę na nasze powitanie. Wyraz jego twarzy sugerował, że wraca właśnie

myślami z jakiejś bardzo dalekiej wycieczki i ciężko mu to idzie. Może dlatego wcale nie zdziwił się na mój widok.

— Proszę, dotarłeś. Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blady.

— Nic mi nie jest. Co robicie? Czemu siedzicie beczynnio? W samochodzie jest ciało. Nie możecie tego tak zostawić.

— Właśnie mieliśmy po nie wrócić. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek, a Caz zaczął mi opowiadać o swoim projekcie. Absolutnie zdumiewający. Jak mu się uda, to konsekwencje będą... oszałamiające. Nawet sobie nie wyobrażasz...

— Wierzę ci na słowo, George. Wstawaj. Dość marnowania czasu, musimy wykopać dół. Znaleźliście już dobre miejsce?

Chłopiec odszedł parę kroków, nakłuwając ściółkę kijkiem.

— Tutaj wszędzie będzie dobrze, Frannie. Daleko od drogi, musimy tylko kopać dość głęboko, żeby go dzikie zwierzęta nie odgrzebały.

Wbiłem łopatę w ziemię. Zadzwonila głośno o korzeń. Zupełnie, jak tamtego dnia, gdy chciałem pochować Old Vertue. Grube korzenie wiły się pod całym lasem. Dowiedziałem się wówczas, że łopatą takiego nie przetniesz.

Pokrzyżłem trochę, sprawdzając grunt co parę stóp, ale wszędzie trafiałem na płataninę korzeni. Słychać było tylko ptaki, moje łomotanie łopatą i uderzenia patyka, którym chłopiec smagał pnie i gałązki.

— Nie sądzę, żebyśmy tu coś wskórali. Za dużo korzeni.

— To mamy przynieść ciało czy nie?

Cisnąłem łopatę na ziemię i założyłem ręce na piersi. W głowie zrobił się mi się gigantyczny korek myśli. Trzeba było coś począć, i to szybko, ale co?

Dmuchał wiatr. Powietrze wypełniła woń żywicy i zmysłowy szmer ciepłego powiewu w letnim lesie. Odruchowo uniosłem głowę i odetchnąłem głęboko.

— Boże, ale piękny zapach.

Słońce migotało niezdecydowanymi plamami po całej sylwetce chłopca. Mały pochylił głowę. Na oko musiał go niedawno przycinać nasz Vernon, nasz miasteczkowy fryzjer, zmarły dwadzieścia lat temu.

Chłopiec dojrzał coś na ziemi, odrzucił kijek i pochylił się powoli. Oczy wbijał w jedno, konkretne miejsce.

— Patrzcie! — zawołał, stojąc dwadzieścia stóp od nas.

Miałem ochotę go zrugać, że przeszkadza mi w myśleniu, ponadto i tak nie wiedziałem, co takiego znalazł. Pewnie błahostkę, która tylko dzieciaka może ruszyć. Nie czas na bzdury. George i Floon stali i czekali, aż coś postanowię. Ale ironia... dwaj supermózgowcy wypatrujący instrukcji E McCabe'a, „przyszłego lokatora komory gazowej”. Ten tytuł zyskałem po wielkiej awanturze z dyrektorem szkoły, ale przed podpaleniem jego samochodu. Ale co im miałem powiedzieć? W głowie ciągle paliło mi się czerwone światło.

— Patrzcie! — powtórzył chłopiec i podniósł coś z ziemi.



Wstając, trzymał to coś pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Resztę palców rozczapierzył, jakby się, bał nimi dotknąć ów obiekt. Z początku myślałem, że to kolejny patyk, ale potem obiekt się poruszył.

To była jaszczurka, a może kameleon, nie znam się na tym, nie jestem herpetologiem. Normalnie spytałbym George'a, bo on wie wszystko, ale byłem zbyt poruszony. Biedne stworzenie zajmowało się własnymi, jaszczurczymi sprawami, może łąpało tę odrobinę słońca dostępnego w lesie, a tu nagle, całkiem bez ostrzeżenia, ktoś uniósł je za ogon. Na chwilę tylko, bo po paru sekundach szamotaniny ogon urwał się i jaszczurka spadła na ziemię i rzuciła się do ucieczki. Chłopiec pisnął z obrzydzenia i radości, że udało mu się zobaczyć coś takiego. Jaszczurka zaś uciekała dość dziwnie, bo po mojej łopacie. Widząc ten obrazek -jaszczurkę na łopacie — poczułem, że coś zaskakuje mi w głowie.

Przypomniałem sobie, jak oglądaliśmy z George'em szkice Antony Coronado. Powiedział wtedy, że tylko dwa elementy pojawiają się na wszystkich obrazkach niczym znaki prorocze: ta właśnie łopata i jaszczurka.

Powędrowałem oczami do miejsca, gdzie chłopiec znalazł gada, i zaraz tam podszedłem.

— Kop tutaj.

— Tutaj? To zaraz pod drzewem. Pod spodem będzie pełno korzeni.

— Łap się za łopatę i kop tutaj, Floon, bo jak nie, to wpakuję ci ją do dupy.

Błachą naprzód.

— Ale, Frannie, on ma rację. Te korzenie. . .

— George, pamiętasz notatnik Antony Coronado? Pamiętasz, co zawsze się powtarzało?

George przygryzł dolną wargę i uniósł dłoń na znak, że nie rozumie. Wyglądał jak uczeń zgłaszający się do odpowiedzi. Po chwili ręka zamarła w miejscu. Pojął. Zwinął dłoń w pięść i machnął nią aż miło.

— Jaszczurka i łopata!

— Właśnie. Zaczynaj kopać. Dokładnie tutaj.

— Tak! — Obrócił się do Floona, który patrzył teraz na nas obu jak na wrogów. — To tutaj, Caz. Frannie ma rację. . . Tu właśnie powinniśmy kopać.

— Ja zacznę! Pozwólcie! — krzyknął radośnie chłopiec i porwał łopatę, ale zaraz ją upuścił z tej radości. Potem ujął ją, jak trzeba, i zaczął się uwijać jak mała kopareczka.

— Nie, my to zrobimy. Szybciej pójdzcie. Ty stań obok. -Pokazałem mu, żeby oddał łopatę.

Nie chciał. Próbował chować ją za plecami.

— To nie fair! Ja znalazłem jaszczurkę. Ja! I tych tutaj też znalazłem, gdy ty nie mogłeś, więc to ja powinienem kopać pierwszy.

Spróbowałem odwołać się jak jedyny sprawiedliwy u jego boku do zdrowego rozsądku chłopca.

— Kolego, musimy uwinąć się z tym jak najszybciej. Musimy wykopać dół i wynosić się stąd.

Próbował zachować kamienną twarz, ale wiecie, jak to jest z dziećmi: opanowanie jest ich słabą stroną. Świetnie potrafią wyrażać najskrajniejsze nawet emocje, ale obojętność im nie wychodzi. W następnej chwili się rozplakał.

— To nie fair! Pomogłem ci dzisiaj dwa razy, świetnie wiesz! Z biblioteki też ja cię wyprowadziłem. Ja...

— Oddaj mi tę przeklętą łopatę. Zaraz!

Podszedłem do niego. To, co wyczytał mi z twarzy, musiało go wystraszyć. Łopatę trzymał za plecami, ale jak byłem już blisko, upuścił ją i zaczął się cofać, aż potknął się o trzonek i upadł. Ciągle wpatrywał się we mnie przerażonymi oczami. Nie miałem czasu. Podniosłem łopatę i odwróciłem się od chłopca.

— Hultaj jesteś! Wielki, tłusty drań! I nie masz penisa! — Okrzyki złości przeszły w coś na kształt śpiewnego zawodzenia: — Nie masz penisa, nie masz pe-nissa!

Ignorując chłopca, przekazałem łopatę Floonowi i wskazałem miejsce, w którym miał zacząć. Zakręciło mi się w głowie, musiałem usiąść.

— Frannie, uważaj... — rozległ się głos George'a i coś uderzyło mnie mocno w kolano.

Zachwiałem się, ale nie przewróciłem. Gdy spojrzałem przez ramię, ujrzałem chłopca uciekającego między drzewa.

— Kopnął cię.

— Nieważne. Zaczynamy.

Ale to było ważne. Gdy postanowiliśmy, że lepiej będzie, jeśli Floon i George przyniosą najpierw ciało, zostałem sam i zacząłem rozglądać się za małym. Gdzie mógł pobiec? Czy wróci?

Było mi słabo, ale myśli płynęły jaśniej niż w ciągu całego dna: wykopać dół, pogrzebać ciało, wrócić do miasta... Trzask gałązek obwieścił powrót Floona i George'a. Ciało starego Floona upchnięte w worku wydawało się mniejsze.

Troskliwie, jakby wciąż chodziło o żywego człowieka, opuścili je na ziemię. Floon wziął łopatę i zaczął kopać. Oszczędnymi ruchami wydobywał ziemię, nie pozwalał sobie na żaden zbyteczny gest. Dół pogłębiał się szybko, ale nie było też przeszkód po drodze: ani korzeni, ani kamieni. Zwykła ziemia, bez niespodzianek. Dokładnie jak przewidywałem. Jaszczurka była nieomylnym znakiem.

Przejmując łopatę, George spytał mnie, czy słyszałem kiedykolwiek o Kilioa. Gdy zaprzeczyłem, wyjaśnił, że to istota z mitów, kobieta-jaszczurka, która pilnowała dusz potępionych. Nie robiło mi jednak różnicy, czy to Kilioa pokazała mi miejsce, czy też była to zwykła jaszczurka korzystająca z pogodnego dnia.

— Tak, ale jaszczurki zawsze odgrywały wielką rolę w mitologii całego świata, Frannie. Symbolizują całą masę mrocznych i tajemniczych rzeczy.

— Fascynujące. Kop dalej.

— Nie obchodzi cię to?

— Ani trochę.

Praca postępowała. Rozmawialiśmy przy tym trochę, ale naprawdę niewiele. Nie czułem się na siłach, żeby przyłączyć się do roboty, więc patrzyłem tylko, jak im idzie. Co pewien czas sprawdzałem profilaktycznie, czy martwy Floon nigdzie sobie nie poszedł.

Dotarli już całkiem głęboko, gdy od strony drogi doleciało nas wycie dwóch syren samochodów, które przemknęły szosą jeden za drugim. Dość mnie to zaniepokoiło, bo nie pojmowałem przyczyny. Policja z Crane's View nie używa zwykle wyjek. Obawiając się najgorszego, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli obaj moi towarzysze znikną stąd już teraz i sam dokończę pracę, a potem pójdę spokojnie do domu.

Gdy im to oznajmiłem, nie wyglądali na zmartwionych. Stanęliśmy nad dziurą i spojrzeliśmy do środka.

— George, wolałbym, żebyś wyjechał na razie z miasta. Tak na tydzień albo dwa. Masz przy sobie pieniądze?

— Tak, ale dokąd mam jechać?

— Nie wiem. Byleście zniknęli stąd z Floonem. Zadzwoń do mnie za parę dni. Powiem ci, czy horyzont czysty i czy można wracać. Usunę wszystkie ślady, jakie mogły zostać u ciebie, a potem zamknę twój dom. Kto wie, czy ktoś nas tam nie widział.

— Okay.

— Możemy pojechać do mnie. Mam mieszkanie w Nowym Jorku — powiedział Floon.

— Nie, to kiepski pomysł. Ruszajcie gdzieś dalej. Zróbcie sobie wycieczkę w okolicę, gdzie nikt nie zna żadnego z was. Pojedźcie nad ocean. Pogadasz z Floonem o jego planach, George.

Przypomniałem sobie pokój hotelowy z Wiednia i psa na łóżku. Astopel powiedział, że to właśnie jest George Dalemwood. Susan Ginnety zaś stwierdziła, że George trzydzieści lat temu zniknął nagle z Crane's View i więcej go nie widziano.

— Idź przodem, Floon. Muszę jeszcze powiedzieć coś George'owi.

Gdy tamten odszedł już dość daleko, by nas nie słyszeć, położyłem obie dłonie na ramionach przyjaciela i przysunąłem się do niego, aż staliśmy nos w nos.

— Nie wyglądasz dobrze, Frannie. Wyglądasz wręcz na chorego. Skończmy robotę, a potem zawiozę cię do domu.

— Nie, wszystko gra, George. Słuchaj: wiem trochę o przyszłości. Wiem, że dokonacie z Floonem czegoś wielkiego. To może zająć lata. Niewykluczone, że chodzi o ten projekt, w który cię wtajemniczył. Pracuj z nim, ale uważaj na każdym kroku. Cały czas się pilnuj. Nie ufaj mu za bardzo, nawet jeśli masz go za

geniusza. A teraz wyjedź z miasta i przez jakiś czas nie wracaj. Nie wiem, jaki obrót przybiorą sprawy w ciągu najbliższych dni, ale nie chcę, żebyś był w pobliżu, gdyby jednak szlag trafił bombki. I jeszcze jedno. . .

— Tak? — spytał z wyraźnym zaintrygowaniem i niepokojem.

Serce mi pękało, ale nic więcej nie mogłem zrobić. Już miałem powiedzieć mojemu przyjacielowi, jaki był mi zawsze bliski, ale nagle coś innego przyszło mi do głowy.

— Mówi ci coś określenie „rozkład tankretyczny”? A wiesz, co to jest zimna fuzja? Tak? Świetnie! Więc jedno z drugim ma coś wspólnego. Miej oko na sprawę, bo to odmieni świat. Rozkład tankretyczny, zapamiętasz?

— Tak. Kiedy mam do ciebie zadzwonić?

— Za kilka dni. Poczekaj, aż się uspokoi. — Wiedziałem, że nigdy nie wrócisz, ale nie chciałem mu tego mówić, straszyc. — Dbaj o siebie. I o Chucka. — Pocałowałem go w policzek. — Dobry z ciebie kumpel. Najlepszy.

— Boję się, Frannie.

— Ja też.

— Ty? Ty nigdy niczego się nie boisz.

— Boję się, że pewnego dnia stracę to wszystko, co nie dość kochałem. Pamiętaj i nie wahaj się kochać tego, co kochać warto. I za mnie też, jeśli nie zapomnisz.

Pchnąłem go lekko, by już odszedł. Chuck tańczył mu pod nogami, biegał wkoło szczęśliwy, że może ruszyć w drogę z kimś, kogo kocha najbardziej. George odwrócił się tylko raz. Raz jeszcze powiedziałem „rozkład tankretyczny”. Powtórzył to, ale był już za daleko, bym cokolwiek mógł usłyszeć.

Czekałem, aż usłyszę silnik isuzu, ale nic mnie nie dobiegało. Długo czekałem, jakoś za długo. Ale w końcu wychwytiłem słaby, bardzo słaby odgłos dobiegający z odległości może pół mili. Wyobraziłem sobie, jak odjeżdżają powoli, omijając dołki, pniaki i kamienie. George prowadzi czy Floon? Raczej George. Znał okolicę, wiedział, że po dotarciu do szosy muszą skrócić w prawo i po pięciu milach krętą drogą trafią na autostradę.

Zszedłem niezdarnie do dołu i zacząłem kopać. Ziemia była miękka i wilgotna, co za każdym razem dawało pełną łopatę. Pracując, oczami duszy widziałem ich samochód mijający kolejne punkty orientacyjne. Czerwony buk trafiony przez piorun. Mały biały krzyż przy szosie, znak fatalnego wypadku sprzed lat. Nieruchomy staw pokryty zawsze zieloną rzęsą i liliami wodnymi. Jako dzieci złapaliśmy tam mnóstwo żab. Kiedyś wepchnąłem Marvina Bruce'a do wody i przycisnąłem go, aż zanurzył się cały.

Zupełnie bez przyczyny serce zaczęło mi łomotać. Zamknąłem oczy i poprosiłem je w milczeniu, by się uspokoiło. Potem błagałem. Po kilku jeszcze szalonych, nierównych uderzeniach zaczęło przycichać. Czekałem, czy to na dobre. Przycisnąłem brodę do piersi. Przycichnij, serce moje, wszystko będzie dobrze. Nie mogłem już ufać własnemu ciału. Ile mi jeszcze zostało? Może rzeczywiście

powinienem pozwolić im dokończyć robotę i odwieźć mnie do miasta. Może to byłoby o wiele właściwsze niż moje obecne wysiłki.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na ziemię na dnie dołu. Powoli uniosłem kolejną pełną łopatę. Coś przy tym odkryłem. Serce pozostało spokojne, ale czułem jego bicie we wszystkich zakamarkach ciała.

W dole było coś białego. Coś białego skrytego w czarnej, wilgotnej ziemi. Odłożyłem łopatę na górę i opadłem na kolana, żeby się przyjrzeć. Z wahaniem odgarnąłem trochę ziemi. Pokazał się jeszcze kawałek białego. To był materiał, bawełna, coś z ubrania. Czyżby T-shirt? Złożoną dłonią odgarnąłem humus, aż dojrzałem, że to faktycznie bawełniana koszulka. A pod nią... Chryste, ciało!

Jaszczurka i łopata pokazały, by kopać właśnie tutaj. Tu spoczywa ciało. Masz je znaleźć. Całkiem bezwiednie zmierzałem do tego krok po kroku. Tutaj kopać.

Tutaj kopać.

Ostrożnie odgarnąłem ziemię, aż ukazała się twarz. Dziecko. Wiedziałem, kto to jest. Choć nie mógł być. Jednak poznałem... Nie! Uciekać, wydostać się stąd... te małe usta, niewielki nos, spokojnie zamknięte oczy...

To był chłopiec. Ten sam chłopiec, który parę chwil temu uciekł między drzewa. Mój pilot, ja sam. Martwy, skryty pod warstwą ziemi na dnie dołu. Dołu, który dopiero co wykopałem, dołu, który chciał pomóc kopać. Teraz leżał w nim martwy, a ja go odkopywałem. Twarz była jeszcze ciepła. Wargi rozchyliły się pod naciskiem dłoni. Wciąż były wilgotne. Dolna błyszczała od śliny...

— Nie!

Jakoś to przetrwałem. Przetrwałem, uciekając na chwilę w szaleństwo, ale pomogło. Był cały brudny. Leżał pod ziemią i należało go wyciągnąć, oczyścić. Zacząłem go ratować, chociaż to nie było właściwe słowo, jednak tak właśnie pomyślałem. Muszę go uratować... przywrócić go światu... wyciągnąć skądś, gdzie nie powinien się znaleźć.

Rozmawiałem z nim, taszcząc ciało na górę. Rozmawiałem z nim i później, gdy trzymałem go w ramionach i otrzepywałem z niego ziemię. Próbowałem oczyścić miękką, dziecięcą skórę, ubranie, wszystko. Ułożyłem ciało na krawędzi grobu obok łopaty.

Wyszedłem na górę. Słaby i chory, ale dziwnie ożywiony. Miałem coś do zrobienia. Misję ratunkową: sprowadzić mojego pilota z powrotem. Wszystkie moje sprawy musiały poczekać.

Najpierw musiałem jednak odpocząć. Przysiadłem obok ciała i przytrzymałem je, żeby nic złego już mu się nie stało. Leżał zbyt blisko dołu. Nie podobało mi się to. Należało bardziej się odsunąć, bo dziura była głęboka i niebezpieczna. Niezależnie od wszystkich środków bezpieczeństwa mógł znowu tam wpaść.

Wstałem, uniosłem go i ruszyłem przed siebie. Gdyby ciało ponownie nie odmówiło mi posłuszeństwa, pewnie wyszedłbym z lasu. Niemniej zaprotestowało wkrótce i nie chciało zrobić ani kroku więcej. Posłuchałem więc: zatrzymałem się.

I czekałem. Miałem nadzieję, że za parę chwil siły jeszcze mi wrócą. Nie przemawiałem już do chłopca, nie przeproszałem go, że nie pozwoliłem mu pomagać przy kopaniu. Przede wszystkim pragnąłem ciszy.

Ciało było lekkie. Czy dlatego, że było ciałem małego chłopca, czy może śmierć ujęła mu wagi? Stałem w tym lesie plecami do grobu Floona i czekałem, aż coś się stanie, chociaż niczego właściwie nie wypatrywałem. Wiedziałem, że powinienem położyć dziecko na ziemi, wrócić do dołu i dokończyć robotę. Wiedziałem, że to właśnie powinienem uczynić, ale niczego nie robiłem.

Chyba zatonąłem wtedy w myślach. Stałem tylko i trwałem, nie zastanawiając się nawet, co dalej. Czy tak można? Najwidoczniej.

Trwało to, aż usłyszałem łomot. Trzecie lub czwarte z kolei łup! Są takie odgłosy, których nie rozpoznajesz, póki na własne oczy nie ujrzysz, co je powoduje. Stojąc plecami do dołu, wyłowilem uszami trzykrotne łupnięcie. Powolne, żadne staccato. Znałem ten dźwięk, ale nie mogłem go z niczym pokoiarzyć. Na dodatek dochodził z miejsca, gdzie nikogo nie było. Ale nie mogłem się odwrócić. Jeszcze nie. Łup. Łup.

Chciałem odczekać, aż odgłos nabierze mocy, rozwinie się. Wtedy dopiero przytuliłem dziecko silniej do piersi i z wolna się odwróciłem.

Było ich pięciu. Wszyscy zgarniali łopatami ziemię do dołu. Łup. Łup. Choć żaden się nie odzywał, wyglądali na zadowolonych. Uśmiechali się radośni, że mogą pracować razem. Byli w różnym wieku. Najmłodszy wyglądał na czternaście lat, najstarszy na czterdzieści pięć, chociaż to tylko moje domysły. Wszyscy ubrani byli w to samo, co martwy chłopiec na moich rękach: spodni khaki, bawełnianą koszulkę, buty na gumowej podeszwie. Takie czarne i wysokie.

I wszyscy byli mną. Zасыpywali grób Floona. Worek z ciałem zniknął. Musieli opuścić go do dołu, który właśnie wypełniali. Razem robili to za mnie.

Patrzyłem, póki nie skończyli. W piątkę szybko się uporali. Łopaty lekko chodziły im w rękach, wielkie grudy ziemi leciały do dołu. Przez cały czas patrzyli na siebie wzajem i uśmiechali się. To było dla nich święto, zupełnie jak spotkanie rodzinne: wszyscy bracia znowu razem. Wtedy nawet kopanie dołu to świetna zabawa. Tyle że to nie byli bracia. To byłem ja.

Stanęli oparci na łopatach, żeby popodziwiać swoje dzieło. Z mojego miejsca nie mogłem dostrzec żadnego śladu na ziemi. Nikt nie miał prawa się domyślić, że ktoś wykopał tu głęboki dół i potem go zasypał. Poszycie lasu wyglądało tak samo jak przed naszym przyjściem.

Kopacze znów spojrzeli po sobie i najstarszy pokiwał głową z aprobatą. Inny klepnął najmłodszego w plecy i mrugnął, wręczając mu swoją łopatę. Czy to była ta sama, którą przywiozłem? Wszystkie wyglądały identycznie. Chłopak wziął narzędzie cały dumny. Widać było, że tę piątkę łączy głębokie i szczere uczucie i uważają te chwile za najwspanialsze w swoim życiu.

Potem podeszli do mnie jak jeden. Gdy byli już blisko, ten, który oddał łopatę najmłodszemu, wyciągnął ręce i ostrożnie przejął ode mnie małego. Nie protestowałem.

— W porządku. Teraz ja się nim zajmę — powiedział.

Trzymał ciało z większą troską niż ja i ciepło, cudownie ciepło na nie spoglądał. Wiedział oczywiście, co z nim zrobić.

— Chodź — odezwał się inny, ale nie wiedziałem, który.

Ruszyli ku skrajowi lasu, a ja z nimi. Czułem, że to najważniejsze, co mogę zrobić. Szli obok mnie z obu stron. Patrzyłem to na jednego, to na drugiego. Znałem ich wszystkich. Byli moimi młodszymi wersjami z minionych lat.

Ciało przestało mi dokuczać. Uspokoilo się po drodze, ale równocześnie zaczął mnie ogarniać głęboki, bardzo głęboki smutek. Czemu? Ponieważ zobaczyłem ich razem, jak pracują i cieszą się tym, przekonałem się, jak bardzo się lubią, a potem zobaczyłem martwe dziecko w ramionach jednego z nich i w końcu zrozumiałem.

Jak przepłynąć drewniane morze? Wciąż nie znałem odpowiedzi, ale zobaczywszy ich, pojąłem, gdzie jej szukać. Czy o to chodziło Astopelowi i jego pobratymcom? Czy to chcieli nam przekazać? Że nie ma niczego ważniejszego niż świadomość minionych wersji siebie samego. Nie zapominaj, kim byłeś. Słuchaj dawniejszego siebie. Niech cię prowadzi.

Nie tyle poznaj siebie, ile poznaj wszystkich siebie. Wszystkich z całego twego czasu. Z dni z Magdą i Pauline, z okresu pomarańczowych kowbojskich butów, ze smarkatego wieku, gdy wierzyłeś, że mężczyznom po czterdziestce penisy chowają się do środka.

Spoglądamy wprawdzie czasem wstecz, ale zwykle uznajemy, że głupi kiedyś byliśmy lub zabawni, i nigdy nie docieramy do sedna. Tak jakbyśmy przerzucali karty starego albumu, zwracając uwagę tylko na śmieszne kapelusze i szerokie klapy garniturów. Jaki ja byłem wtedy naiwny, jaki ograniczony...

I to błąd! Bo teraz, choć inny już jesteś i jako ty wiele umiejętności utraciłeś, w dawnych postaciach nadal przecież potrafisz latać, wiesz, jak znaleźć drogę do lasu czy wyjście z biblioteki. Tylko tamte postaci dostrzegą jaszczurkę czy zakopią dół, gdy zbraknie ci na to siły.

Gi Gi, pilot, kopacze... Teraz pojmowałem, jak bardzo byli mi potrzebni, bym mógł pojąć moje życie. Jak przebyć drewniane morze? Spytaj ich i wysłuchaj uważnie ich odpowiedzi, chociaż każdy powie co innego.

— Chyba nie dam już rady dalej. — W głowie mi łupało, koniuszki palców zaczęły dziwnie drętwieć.

— Pomożemy ci — powiedział jeden z nich i wziął mnie pod prawe ramię.

Drugi przysunął się z lewej. Podtrzymywany przez nich poczułem się znowu niemal dobrze.

— To niedaleko. Już prawie jesteśmy.

\* \* \*

To pani burmistrz Susan Ginnety znalazła ciało Franniego McCabe'a. Wracła z wypadu do Nowego Jorku. Jechała i marzyła sobie, jak to by było miło, móc zajechać przed dom, a tam mąż i normalne życie, a nie tylko praca i praca. Nigdy jeszcze nie czuła się równie zagubiona i przerażona jak teraz, gdy wciąż nie mogła uwolnić się od lęku, że resztę swoich dni spędzi w samotności. Minęła staw i przygnębiający biały krzyż przy skraju szosy. Wjechała do niewielkiego lasu, który wyznaczał granicę Crane's View, i zwolniła trochę, bo droga robiła się tu bardziej kręta. Susan zawsze prowadziła ostrożnie. Gdy zobaczyła leżące na poboczu ciało, na prędkościomierzu miała ledwie trzydzieści mil. Najpierw pomyślała, że ktoś podpity postanowił zdrzemnąć się trochę na słoneczku. Leżał na plecach i bez wątplenia był mężczyzną. Susan nie chciała się zatrzymywać, trochę bała się takich sytuacji, z drugiej strony była jednak burmistrzem i to nakładało na nią pewne obowiązki. Zresztą, cokolwiek zamierzała, gdy zatrzymała się o kilka stóp od ciała, dojrzała twarz tego mężczyzny. Zaraz go poznała i całkiem bezgłośnie otworzyła szeroko usta.

Ledwie zdołała przesunąć dźwignię biegów na pozycję postojową. Zaraz potem zalała się łzami. Nikt nigdy nie dowiedział się, że burmistrz Susan Ginnety przesiedziała w samochodzie długie minuty, łkając tak głośno, że ptaki na pobliskich drzewach zaczęły się płoszyć. Wiele czasu minęło, zanim doszła do siebie na tyle, żeby wysiąść i zbliżyć się do ciała.

Dawne opowieści jednak nie kłamią. Ci, którzy najbardziej nas kochają, prawie zawsze czują w głębi serca, co się z nami dzieje. Ledwie Susan Ginnety rozpoznała, kto leży przy drodze, zaraz wiedziała, że Frannie McCabe nie żyje. W tej samej chwili osaczyły ją wspomnienia radosnych lat, które spędziła z nim w młodości. Nigdy ich nie zapomniała, a teraz z całą wyrazistością miały towarzyszyć jej do śmierci.

Dopiero kilka samotnych i smutnych miesięcy później spłynęło na nią objawienie. Pewnego zimowego wieczoru wreszcie się uśmiechnęła. Minęło już sporo czasu od jego śmierci i wtedy uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy miała szczęście, że to ona znalazła Franniego. Mogła pierwsza go pożegnać. Jednak w następnej chwili znów dopadła ją beznadzieja i lęk przed życiem. Bo wprawdzie to dar, ale cóż można począć z pierwszym pożegnaniem?



# EPILOG

Wbrew życzeniu Magdy pogrzeb stał się wielkim wydarzeniem. Żaden z przyjaciół Franniego nie potrafił orzec, czy szanowny zmarły byłby zachwycony czy ciężko wkurzony faktem, że w uroczystości wzięło udział przeszło pięćset osób. Aż tylu ludzi szczerze dotknęło odejście tego wciąż całkiem młodego mężczyzny. A był tak bystry, kompetentny i jeszcze sympatyczny. Bez wątpienia Crane's View nie miało nigdy lepszego szefa policji. Opowieść o tym, jak w dniu swej śmierci uratował córkę Maeve Powell z rąk tajemniczego szaleńca, tylko dodała blasku jego gwiazdzie.

Jasne, wielu pamiętało, jakim był upiornym dzieciakiem. Jak podpalił samochód dyrektora. Został wyrzucony ze szkoły, trafił do aresztu, ciężko zranił serce ojca. Jednak po jego śmierci wszystkie te historie zmieniły się w anegdoty, apokryficzne i żartobliwe opowiadki. Stary Frannie, to był ktoś, nie? Zresztą, czy większość naprawdę dobrych ludzi nie przechodziła ciężko młodości? I nie zapominajcie jeszcze, że pomógł rozwiązać zagadkę drugiego morderstwa w historii Crane's View.

Więc co z tego, że kiedyś łobuzował — wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Był dobrym i w stu procentach lojalnym przyjacielem, kochał żonę i sprawdzał się w pracy. To liczy się najbardziej i ludzie byli wdzięczni losowi, że mieli okazję znać Franniego.

Dzięki Bogu był jeszcze chłopak. Naprawdę nazywał się Gary Graham, ale wolał, by mówiono na niego Gi Gi. Przystojny młodzieniec. Ci, którzy go poznali, powiadali, że bardzo przypomina Franniego z lat młodości.

Tego samego dnia, gdy Gi Gi przyjechał zamieszkać z McCabe'ami, jego ciotka trafiła do szpitala, a wuj umarł. Kiepskie raczej powitanie, ale nieważne: chłopak zachował się, jak trzeba, i zdobył tym wielką sympatię.

Wraz z Pauline przygotował cały pogrzeb, przywiózł Magdę ze szpitala, a gdy nadeszła właściwa pora, przyjechał z nią na cmentarz. Potem te dobre dzieciaki stały obok niej, gdy patrzyła na prostą trumnę męża.

Ktoś w pobliżu dosłyszał, jak wypowiedziała przy tym jedno tylko zdanie: „Lubię cię”. Potem rzuciła na trumnę jasny kwiat róży i wróciła na miejsce. Poza tak tłumnym uczestnictwem trzy jeszcze rzeczy zdumiały ludzi: po pierwsze

brak najlepszego przyjaciela Franniego, George'a Dalemwooda, po drugie i trzecie — przybycie Johnny'ego Petanglesa (na wózku inwalidzkim) oraz pewnego tajemniczego, a wytwornego dżentelmena, który oficjalnie pożegnał zmarłego nad grobem.

Nikt go tu wcześniej nie widział. W eleganckim, czarnym garniturze wyglądał na polityka i tak też się zachowywał, a głos miał niczym prezydent radiowy. Ktoś siedzący blisko Gi Gi spytał chłopaka szeptem, kto zacz. „Wiem, kto to jest. Zналиśmy go ze stryjkiem Franiem” — odparł młodzieniec trochę dziwnym głosem.

Nikt się nie palił, żeby pytać Magdę, czy to nie ktoś z jej rodziny, ale najwyraźniej uznała za właściwe to, co dżentelmen powiedział, a szczególnie poruszyło ją nawiązujące do Koranu zdanie, że Jak rozważy się wszystko do końca, to przestanie się o tym śnić”. Wtedy też jeden jedyny raz podczas całej ceremonii zapłakała, ale znów nikt nie považył się spytać, dlaczego.

Gdy było już po wszystkim i ludzie odchodzili, chłopak zbliżył się do dżentelmena i mało przyjaznym szeptem spytał, czy mogliby chwilę porozmawiać. Mężczyzna rzucił mu przenikliwe spojrzenie, uśmiechnął się i odparł, że oczywiście, jak tylko będzie wolny. Wolny, czyli gdy uściśnie dłonie wszystkich w najbliższej okolicy. Naprawdę zachowywał się, jakby kandydował na jakiś urząd. Niemniej chłopak poczekał i tylko uprzedził Pauline, że spotkają się później w domu. Dziewczyna spojrzała na niego z uczuciem bliskim miłości i stwierdziła, że w porządku, tylko niech się pospieszy.

Widząc, jak cierpliwie czeka z założonymi rękami, ludzie myśleli, że Gi Gi chce podziękować dżentelmenowi.

Jednak gdy zostali w końcu sami, chłopak rozejrzał się dla pewności, że nikt ich nie usłyszy, i puścił język w ruch.

— Popierdoliło cię, kurwa? Po co przylazłeś?

— Powinieneś mi raczej podziękować, że pozwoliłem ci wrócić. Nie musiałem, wiesz?

— Nie, nie wiem. Niczego nie wiem. Czemu nic mi nie mówisz? Co? Tyle chyba mógłbyś zrobić?

Mężczyzna spojrzał na wytworny srebrno-czarny zegarek zapięty na lewym nadgarstku. Gdy chłopak go zobaczył, oczy mu się rozszerzyły.

— To ten zegarek. Ukradłeś mu zegarek!

— Pożyczyłem. Piękny, prawda? Kawałek dobrej roboty. Oddam ci go, gdy już tu skończymy. Potem będziesz mógł powiedzieć, że go znalazłeś, zarobisz punkty u Magdy. Tak, tak będzie najlepiej. — Wydawał się bardzo dumny ze swojego pomysłu.

Chłopak wręcz przeciwnie. Zaciśnął usta w cienką linię, aż mu wargi pobieły. Wyglądało, że jeszcze chwila, a skoczy na dżentelmena z pięściami, chociaż gość był od niego znacznie większy.

Teraz, gdy ceremonia dobiegła końca, pojawili się błyskawicznie czekający dotąd w stosownej odległości pracownicy cmentarni. Dwóch zaczęło składać z trzaskiem zielone krzesła, inny zajął się roślinnymi dekoracjami. Ktoś uruchomił mały spychacz, ale z nie znanych powodów silnik kaszlnął kilka razy i umilkł. Przyszli jeszcze jacyś ludzie do zbierania krzesel. Dżentelmen i chłopak przeszkadzali im w pracy, przesunęli się zatem kilka stóp obok.

— Dlaczego wróciłeś? Co ja tu robię? Myślałem, że zginąłem.

— Bo zginąłeś. Przywróciłem cię do życia.

— I pewnie mam ci być za to wdzięczny? Naprawdę mam podziękować?

— Byłoby miło.

Chłopak jednak przyskoczył do dżentelmena i pokazał mu oburącz wiadomy gest. Jeden z pracowników cmentarnych zauważył te wyprostowane palce i aż go zatchnęło. Pokazał zjawisko kumplom i zaczął się śmiać. Z takimi wyrazami do polityka! Dobrze sobie. Astopel spojrział na robotnika i z aprobatą pokiwał głową. Też uważał, że to śmieszne.

— Czemu to zrobiłeś? A skoro już żyję, to czemu nie odesłałeś mnie do moich czasów?

— Od teraz to jest twój czas, Gi Gi. I lepiej do niego przywyknij.

Astopel sięgnął do kieszeni marynarki i długo czegoś tam szukał, patrząc przy tym na wspaniale błękitne niebo. Słońce odbijało się w kryształowej tarczy jego zegarka. Raz odbłask trafił w oczy chłopca, który musiał się aż odwrócić.

— Masz. Przyjrzyj im się uważnie.

Astopel wyciągnął z kieszeni osiem osobliwie kolorowych kamyków. Był tam jeden niebieski, jeden czerwony, dwa żółte, jedno kocie oko... Zwykłe kulki, jakie dzieci noszą po kieszeniach.

— Oto życie Franniego McCabe'a.

Astopel zebrał kamyki w stulonych dłoniach i potrząsnął nimi energicznie. Zagrzechotały głośno, irytująco. Przestał, rozchylił dłonie i znów pokazał kamyki. Gi Gi oczekiwał bezwiednie, że ujrzy coś całkiem innego, że to wszystko jakaś sztuczka. Ale nie, tylko kulki na łososiowej dłoni. Popatrzył mężczyźnie w twarz, ale tamten tylko się uśmiechał. Całkiem zwyczajnie się uśmiechał. Nagle rzucił kamyki w powietrze. Chłopak pochylił się, myśląc, że mogą w niego trafić, kamyki jednak zawisły parę stóp na ziemią, tworząc idealnie pionową linię. Osiem kamyków: dwa żółte na górze, potem niebieski... Nie poruszały się. Słońce odbijało się w nich, a one wisiały w powietrzu pomiędzy oboma mężczyznami. Po kilku chwilach wciąż uśmiechnięty Astopel zebrał je kolejno, jeden po drugim, i znów przytrzymał w dłoni. Zagrzechotał wszystkimi i ponownie rzucił je w górę. Tym razem ułożyły się chaotycznie. Jeden tutaj, drugi tam, jeden wyżej, dwa niżej...

— I to też jest życie Franniego McCabe'a, Gi Gi. Mógłbym rzucać tak całe popołudnie, a za każdym razem układałyby się w inny wzór. Te kamyki to zdarzenia

i ludzie w twoim życiu. Masz je tylko jedno, ale musieliśmy je trochę odmienić. Wyobraź sobie, że te kamyki to surowy materiał, z którym musimy pracować. Rzucamy je co rusz w powietrze w nadziei, że w końcu uzyskamy odpowiednią kombinację.

— Wykorzystujecie mnie. Ty i cała reszta porąbanych obcych wykorzystujecie mnie do swoich celów.

— Wykorzystujemy? Nie. Przemieszczamy cię tylko w obrębie twojego własnego życia. — Zebrał kamyki i potrząsnął nimi. Zagrzechotało. — Pod koniec swego życia Frannie o mały włos wyszedłby poza tę granicę. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Bardzo nas poruszył. Ponieważ był tak blisko, postanowiliśmy sprowadzić cię z powrotem i dać ci jeszcze jedną szansę.

— A czemu nie jego? Czemu pozwoliliście mu umrzeć?

— To była jego decyzja. W to nie możemy ingerować.

— Ale stary Floon mnie zabił.

— Floon nie mógł cię zabić. Poznał Franniego, gdy miał dwadzieścia dziewięć lat. Ciebie nigdy nie znał.

— No to kto mnie zastrzelił?

— Pechowo wyszło, że Frannie na to pozwolił, a to zupełnie co innego, chociaż rozumiał rzecz dopiero pod koniec. Tak więc teraz ty musisz zrobić dobry użytek z tego odkrycia. Pomyśl o tym w ten sposób, synu: wśród nieskończonej liczby sposobów, w jakie te kamyki mogą się ułożyć, istnieje też jeden idealny. Może to linia pionowa, może okrąg, kto wie? A ty musisz go odnaleźć. Ty, niejaki Francis McCabe. Jak dotąd się nie udało, ale teraz trzeba to zrobić, gdyż jest nam potrzebny do czegoś szalenie ważnego. Tylko McCabe może tego dokonać. W takim lub innym układzie życiowym, ale tylko on. Teraz zatem twoja kolej, żeby spróbować. Frannie był mężem Magdy, Pauline była jego pasierbicą. Dla ciebie Magda będzie ciotką, a Pauline kuzynką. — Astopel uśmiechnął się. — Albo kimś więcej niż kuzynką.

— A co, jeśli układ z ciotką Magdą nie zadziała? — spytał rzeczowo chłopak. — Jeśli i ja nie znajdę dla was właściwego ułożenia tych głupich kulek? — Wyciągnął rękę, żeby wziąć je od Astopela, ale tamten zatrzaskał dłonie równie gwałtownie jak aligator zaciska szczękę.

— Przecież wcale nie chcesz odrzucać naszej propozycji, Gi Gi. To już twoje życie.

— Ale jeśli do niczego nie dojdę, sprowadzicie następnego Franniego z któregoś tam roku i wstawicie go w kolejny układ. Znów to zrobicie.

— Będziemy to robić do skutku, aż któryś McCabe dokona dzieła i będziemy mogli dodać je do maszyny świata.

Żaden z nich nie miał już nic więcej do powiedzenia. Gi Gi aż chodził ze złości, w żyłach miał nie krew, ale czystą adrenalinę. Astopel był w świetnym hu-

morze. Zakończył na razie pracę i zastanawiał się, czy nie wybrać się dla odmiany do kina. W taki piękny dzień. . .

— Jeśli chcesz, możemy ci pomóc. Dostaniesz. . .

— Pigułki na przeczyszczenie?

— Nie, pomocnika. Takiego, który może naprowadzi cię na właściwe rozwiązanie.

— Dobra, czemu nie? Przyda się.

— W porządku. Tylko wymyśl, co powiesz Magdzie. — Astopel wsunął dwa palce do ust i zagwizdał, ale słabo i nieczysto. Dźwięk urwał się, ledwie rozbrzmiał.

— Też coś! — parsknął Gi Gi.

Nikt nie potrafił gwizdać tak jak on. Złożył dwa palce i wydał odgłos, od którego uszy puchły. Nawet Astopel się skrzywił. Zobaczywszy jego reakcję, Gi Gi oczywiście gwizdnął ponownie.

Nic się nie zdarzyło. Chłopak nie wiedział wprawdzie, czego oczekiwać, ale sądził, że coś tym wywoła. Spojrzał na Astopela, który wcale nie robił wrażenia zaniepokojonego.

— Mam raz jeszcze gwizdnąć?

— Nie trzeba. On już idzie.

„On” okazał się całkiem sporym obiektem, który przemieszczał się po zieleni cmentarnej murawy. Zbliżał się. Był młody i miał dwoje zdrowych oczu i cztery normalne łapy. Truchtał na nich komicznie. Język wywiesił z pyska i wyglądał, jakby się uśmiechał. Może i faktycznie tak było. Pulchny i uśmiechnięty psiak dziwnie kojarzący się z ciastkiem z kremem.

— Ten pies? To mój p o m o c n i k?

— Zdziwisz się jeszcze, jak mądry jest Old Vertue, Gi Gi.

— Gi Gi. Na zawsze ma mi zostać to przezwisko?

— Może. Od teraz jako Gi Gi zamieszkaś z Magdą i Pauline.

— I tym pieprzonym psem.

— Nadal nie wygląda, żeby krzywda ci się dzieła. Dobra, ja już spadam. — Dżentelmen wrzucił kulki do kieszeni i odszedł bez słowa.

Old Vertue przysiadł przy nodze Gi Gi, jakby byli starymi przyjaciółmi. Chłopak chciał zrazu odpędzić tłustego skórkowańca, ale nic nie powiedział. Spojrzał tylko na przykrytą częściowo brezentem stertę świeżo wykopanej ziemi. Robotnicy cmentarni gdzieś zniknęli. Zostało po nich tylko kilka całkiem nowych łopat leżących na murawie i cichy spychacz, który miał zapewne zgarnąć ziemię. Gi Gi podszedł do grobu, wziął jedną z łopat i zważył ją w dłoni. Pod czujnym spojrzeniem psa młodzieniec zaczął zasypywać grób Franniego McCabe’a.